

MROCZNIEJSZY
NIŻ JO NESBØ



ENNE DUE ŚMIERĆ

m.j. arlidge



ENE, DUE, ŠMLERČ

M. J. Arlidge

ENE
DUE
ŚMIERĆ

Przekład
Agnieszka Brodzik



Tytuł oryginału: *Eeny Meeny*

001/117

Sam śpi. Mogłabym go teraz zabić. Odwrócił się do mnie plecami, więc nie miałabym żadnych trudności. Rozbudziłby się, gdybym się poruszyła? Próbowałby mnie powstrzymać? Czy może po prostu ucieszyłby się, że ten koszmar wreszcie się skończy?

Nie mogę tak myśleć. Muszę przypominać sobie, co jest prawdziwe, co jest dobre. Ale kiedy ktoś cię więzi, dni wydają się ciągnąć w nieskończoność; za to nadzieja umiera pierwsza.

Wyteżam umysł w poszukiwaniu miłych wspomnień, które pomogłyby mi odpędzić ponure myśli, ale przychodzi mi to z coraz większą trudnością.

Jesteśmy tu dopiero od dziesięciu dni (a może jedenastu?), a jednak normalne życie wydaje się już odległą przeszłością. Wracaliśmy właśnie autostopem z koncertu w Londynie. Padał deszcz i kolejne samochody mijały nas, nawet nie zwalniając. Przemokliśmy do suchej nitki i właśnie zastanawialiśmy się, czy nie lepiej zawrócić, kiedy wreszcie zatrzymał się van. W środku było ciepło i sucho. Poczęstowano nas kawą z termosu; sam zapach sprawił, że poprawił nam się humor, smak okazał się jeszcze lepszy. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to ostatnie chwile naszej wolności.

Kiedy odzyskałam przytomność, poczułam pulsujący ból głowy i smak krwi w ustach. Ciepłe wnętrze vana gdzieś zniknęło; znajdowałam się w zimnym i ciemnym miejscu. A może to sen? Podskoczyłam, słysząc jakiś dźwięk za plecami. Okazało się jednak, że to tylko Sam próbował się podnieść.

Okradziono nas. Okradziono i porzucono. Moje oczy powoli przyzwyczyły się do ciemności. Ruszyłam chwiejnie do przodu, przeciągając rękami po otaczających nas ścianach. Pod palcami wyczuwałam zimne, twarde płytki. Wpadłam na Sama i przytuliłam go, wciągając nosem zapach, który tak kochałam. Po chwili zrozumieliśmy, w jak potwornej znaleźliśmy się sytuacji.

Ktoś zostawił nas w nieużywanym basenie do nurkowania, opuszczonym

i zniszczonym, pozbawionym trampolin, oznakowania, a nawet schodów. Zabrano wszystko, co się tylko dało. Otaczały nas jedynie gładkie ściany zbiornika, z którego nie można było się wydostać.

Czy ta wredna suka słuchała naszych krzyków? Zapewne tak; czekała, aż skończymy. Kiedy wreszcie zamilkliśmy, rozległ się dzwonek telefonu. Przez krótką chwilę pomyślałam, że zaraz ktoś nas uratuje. Wtedy jednak zobaczyliśmy blask wyświetlacza urządzenia, które leżało na dnie basenu. Sam się nie poruszył, więc ja podbiegłam. Dlaczego to musiałam być ja? Dlaczego to *zawsze* muszę być ja?!

– Witaj, Amy.

Głos po drugiej stronie był nieludzko zniekształcony. Chciałam błagać o łaskę, wytłumaczyć, że doszło do potwornej pomyłki, ale skoro osoba po drugiej stronie знаła moje imię, brzmiałoby to zupełnie nieprzekonująco. W końcu nie powiedziałam nic, więc nieznajomy kontynuował, beznamiętnie i nieustępliwie.

– Chcesz żyć?

– Kim jesteś? Co to wszystko ma zna...

– Chcesz żyć?

Przez chwilę nie potrafiłam odpowiedzieć. Język odmówił mi posłuszeństwa, jednak wreszcie udało mi się wydukać:

– Tak.

– Obok telefonu leży broń. W środku znajduje się jedna kula. Dla Sama albo dla ciebie. Taką cenę musisz zapłacić za wolność. Musisz zabić, by przeżyć. Chcesz żyć, Amy?

Nie mogłam mówić, zbierało mi się na wymioty.

– Chcesz czy nie?

Po tych słowach połączenie zostało przerwane. Wtedy Sam zapytał:

– Co usłyszałaś?

Sam śpi obok. Mogłabym to teraz zrobić.

002/117

Kobieta zawyła z bólu, a potem nastąpiła cisza. Na jej plecach pojawiły się sine ślady. Jake ponownie uniósł szpicrutę i smagnął ostro. Kobieta pochyliła się, krzyknęła, a potem powiedziała:

- Jeszcze.

Rzadko mówiła cokolwiek innego. Nie należała do zbyt wygadanych osób, zupełnie inaczej niż niektóre z jego klientek. Administratorki, księgowe i urzędniczki, trwające w pozbawionych seksu związkach, one wręcz *pały się* do rozmowy – desperacko szukały aprobaty mężczyzny, który bił je za pieniądze. Ta była inna; nie dało się jej przejrzeć. Nigdy nie wspomniała, jak go odnalazła. Albo dlaczego. Zamiast tego zawsze jasno i wyraźnie określała swoje potrzeby, a potem nakazywała mu wykonać polecenie.

Zawsze zaczynają od związania jej nadgarstków. Dwa nabite ćwiekami paski Jake ściąga mocno, by nie mogła oderwać rąk od ściany. Żelazne kajdany przytwierdzają jej stopy do podłogi. Ubrania czekają złożone na krześle, podczas gdy kobieta stoi w samej bieliźnie i łańcuchach, gotowa na karę.

Nie ma żadnego odgrywania ról. Żadnego „proszę, nie rób mi krzywdy, tatusiu” albo „jestem niegrzeczną dziewczynką”. Ona po prostu chce poczuć ból. W pewnym sensie stanowi to dla niego ulgę. Każda praca w miarę upływu czasu staje się rutyną, więc dobrze dla odmiany nie odtwarzać fantazji żalonych masochistów. Jednocześnie jej odmowa zbliżenia się do niego frustrowała go. Najważniejszym elementem sesji S&M jest zaufanie. Ulegli muszą czuć się bezpiecznie w rękach dominatora i wierzyć, że zna on ich osobowość i potrzeby na tyle dobrze, by dać im satysfakcjonujące doświadczenie, oparte na zasadach akceptowanych przez obie strony. Jeśli nie ma zaufania, sesja szybko prowadzi do nadużyć, przeradzając się nawet w maltretowanie – a tego Jake zdecydowanie nie chciał.

Dlatego zbierał okruchy informacji – tu jakieś niewinne pytanie, tam drobny komentarz – i z czasem udało mu się ustalić podstawy: nie pochodziła

z Southampton, nie miała rodziny, dobiegała czterdziestki i wcale jej to nie przeszkadzało. Ze wspólnych sesji wywnioskował również, że po prostu lubiła ból. Seks nie miał z tym nic wspólnego. Nie chciała, żeby się z nią droczył czy wzbudzał w niej pożądanie. Chciała zostać ukarana. Nigdy nie posuwał się zbyt daleko, ale też jej nie oszczędzał. Miała idealne ciało do chłosty – była wysoka, muskularna i dobrze wyrzeźbiona – a stare blizny sugerowały, że S&M nie jest dla niej niczym nowym.

A jednak mimo jego dociekliwości i ostrożnie zadawanych pytań z całą pewnością wiedział o niej tylko jedną rzecz. Pewnego razu, kiedy się ubierała, z kieszeni kurtki wypadła jej legitymacja ze zdjęciem. Natychmiast ją podniosła, zapewne przekonana, że Jake nic nie zdążył zauważyć. Myliła się. Mężczyźnie zdawało się, że potrafi przejrzeć swoich klientów, ale ona go zaskoczyła. Gdyby nie legitymacja, nigdy by nie zgadł, że ma do czynienia z policjantką.

003/117

Amy kuca kilka kroków ode mnie. Teraz już zupełnie bez zażenowania sika na dno basenu. Patrzę, jak cieniutka, srebrna strużka spływa na kafelki, a kilka kropel spada na jej brudne majtki. Kilka tygodni temu odwróciłbym wzrok... ale nie teraz.

Jej mocz spływa krętą ścieżką do kałuży odchodów, która zebrała się w głębszej części basenu. Nie mogę oderwać oczu od małego strumyka; wreszcie ostatnie krople znikają i przedstawienie się kończy. Amy wraca do swojego kąta. Żadnych przeprosin, żadnej reakcji. Staliśmy się zwierzętami – nie przejmujemy się niczym.

Nie zawsze tak było. Z początku kierowała nami wściekłość i wzburzenie, a także determinacja, by wspólnie to przetrwać i nie umrzeć w tym miejscu. Amy wspięła się na moje ramiona i łamiąc paznokcie na kafelkach, próbowała dosięgnąć krawędzi basenu. Kiedy to nie zadziało, zaczęła podskakiwać. Niestety basen ma cztery i pół metra wysokości, może nawet więcej, a ratunek wydaje się poza naszym zasięgiem.

Spróbowaliśmy skorzystać z telefonu, ale był zabezpieczony PIN-em, bateria zaś wyczerpała się po sprawdzeniu kilku kombinacji. Krzyczeliśmy, wręcz wrzeszczeliśmy do zdarcia gardeł. Odpowiadało tylko przedrzeźniające nas echo. Czasami czujemy się jak na innej planecie, jakby w pobliżu kilku mil nie było żadnej ludzkiej istoty. Zbliża się Boże Narodzenie, z pewnością już nas szukają. Trudno uwierzyć, że jesteśmy tutaj, wśród potwornej, uporczywej ciszy.

Nie liczymy już na ucieczkę; teraz staramy się po prostu przeżyć. Nasze paznokcie były obgryzione do krwi, a my chciwie wyszliśmy czerwony płyn. O świcie zlizujemy rosę z kafelków, ale nasze brzuchy wciąż bolą. Rozważaliśmy już zjedzenie ubrań... i zrezygnowaliśmy. W nocy pojawia się mróz; tylko resztki ubioru i ciepło naszych ciał chronią od śmierci z wyziębienia.

Tylko mi się tak wydaje, czy nasze objęcia nie dają już tyle ciepła, tyle poczucia bezpieczeństwa? Odkąd tu trafiliśmy, przytulamy się do siebie dzień i noc,

próbując ratować się przed samotnością w tym okropnym miejscu. Dla zabicia czasu wyobrażamy sobie, co zrobimy, gdy wreszcie przybędą nam z odsieczą – co zjemy, co powiemy rodzinie, co dostaniemy pod choinkę. Jednak powoli przestajemy o tym mówić. Wreszcie zdaliśmy sobie sprawę, że znaleźliśmy się tu w konkretnym celu i nie doczekamy szczęśliwego zakończenia.

– Amy?

Cisza.

– Amy, proszę, powiedz coś.

Nie patrzy na mnie. Nie mówi do mnie. Czyżbym stracił ją na dobre? Staram się odczytać jej myśli, ale nie potrafię.

Może nie zostało już nic do powiedzenia. Może spróbowaliśmy już wszystkiego i poznaliśmy każdy milimetr naszego więzienia, poszukując drogi ucieczki. Nie tknęliśmy tylko jednej rzeczy. Broń ciągle leży, przyzywając nas do siebie.

Unoszę głowę i widzę, że Amy na nią patrzy. Zauważa moje spojrzenie i spuszcza wzrok. Zdobyłaby się na podniesienie broni? Jeszcze dwa tygodnie temu powiedziałbym, że za nic w świecie. Ale teraz? Zaufanie to delikatna sprawa – trudno na nie zasłużyć i łatwo stracić. Niczego już nie jestem pewien.

Wiem tylko, że jedno z nas zginie.

004/117

Wychodząc na rześkie wieczorne powietrze, Helen Grace poczuła się odprężona i szczęśliwa. Zwolniła kroku. Delektowała się chwilą spokoju, spoglądając rozbawionym wzrokiem na otaczający ją tłum zakupowiczów.

Szła w kierunku jarmarku bożonarodzeniowego w Southampton. Raz w roku rozstawiano wzdłuż południowej strony galerii handlowej WestQuay budki, w których można było kupić oryginalne, ręcznie robione prezenty, jakich próżno szukać na liście życzeń na Amazonie. Helen nienawidziła Bożego Narodzenia, ale nigdy nie zapomniała o prezentach dla Anny i Marie. Tej jednej świątecznej przyjemności nigdy sobie nie odmawiała i starała się wyciągnąć z niej jak najwięcej. Kupowała im biżuterię, świece zapachowe i inne ozdóbki, nie żałowała też pieniędzy na artykuły spożywcze, wrzucając do torby daktylę, słodkości i nieprzyzwoicie drogi bożonarodzeniowy pudding oraz paczkę czekoladek z miętowym nadzieniem – Marie wprost je uwielbiała.

Zabrała swojego kawasaki z parkingu WestQuay i popędziła przez ulice centrum, jadąc na południowy wschód, w stronę Weston. Uciekała od rozrywki i bogactwa w stronę głodu i rozpacz, nieubłagane zbliżając się do pięciu potężnych bloków górujących nad okolicą. Przez lata witały ludzi zbliżających się do Southampton od strony morza i kiedyś zasługiwały na ten zaszczyt; uosabiały siłę, futurystyczną wizję i optymizm. Te czasy jednak dawno minęły.

Melbourne Tower zdecydowanie zmierzała do zupełnej ruiny. Cztery lata temu na szóstym piętrze wybuchła nielegalna wytwórnia narkotyków. Wypadek spowodował potężne zniszczenia, wyrrywając serce budynku. Rada miasta obiecała go odbudować, jednak recesja pokrzyżowała jej plany. Teoretycznie wieżowiec wciąż był przeznaczony do remontu, ale nikt nie spodziewał się, by do niego teraz doszło. I tak oto Melbourne Tower trwała w tym stanie, zraniona i niekochana, porzucona przez większość mieszkańców. Teraz gościli tu narkomani, squattersi i ci, którzy nie mieli gdzie się udać. Budynek był paskudnym, zapomnianym miejscem.

Helen zostawiła swój motor w bezpiecznej odległości; resztę drogi pokonała pieszo. Kobiety zazwyczaj nie chadzały tędy po zmroku, ale Helen Grace nigdy nie obawiała się o swoje bezpieczeństwo. Nie była tu obca, a miejscowi starali się jej unikać, co zawsze przyjmowała z zadowoleniem. Dzisiaj panowały tu cisza i spokój, tylko kilka psów węszyło w okolicach spalonego samochodu. Helen ruszyła do Melbourne Tower, lawirując między porzrzuconymi igłami i kondomami.

Na czwartym piętrze stanęła przed numerem 408. Kiedyś znajdowało się tutaj ładne, przytulne mieszkanie socjalne, ale teraz przypominało Fort Knox. Na drzwiach wejściowych było pełno zamków, najbardziej wyróżniały się jednak cztery metalowe pręty, również zabezpieczone kłódkami. Zewnętrzną część drzwi pokrywało złośliwe graffiti – *ułom, down, debil* – dość wyraźnie sugerując, dlaczego tak solidnie je chroniono.

Właśnie tutaj mieszkały Marie i Anna Storey. Anna urodziła się jako dziewczynka o wysokim stopniu niepełnosprawności: nie mogła mówić, samodzielnie jeść ani korzystać z toalety. Teraz, jako czternastolatka, wciąż potrzebowała do wszystkiego pomocy matki, która starała się dbać o nią najlepiej, jak tylko mogła. Utrzymywały się z zasiłków i darów, robiąc zakupy w dyskoncie i oszczędzając na ogrzewaniu. Dawałyby sobie w ten sposób radę – takie życie zesłał im los i Marie nie była z tego powodu rozgoryczona – gdyby nie miejscowi obwiesie. To, że nie mieli co ze sobą począć i pochodzili z rozbitych rodzin niczego nie tłumaczyło. Te dzieciaki to po prostu wredne łachudry, wręcz uwielbiały dręczyć, obrażać i atakować bezradną kobietę oraz jej córkę.

Helen wiedziała o wszystkim, ponieważ bardzo interesował ją los tej dwójki. Jedną z krążących po okolicy kanalii – złośliwy i pryszczaty wyrzutek, Steven Green – próbowała spalić ich mieszkanie. Strażacy dotarli na czas i ogień ogarnął tylko korytarz oraz pierwszy pokój, ale wydarzenie miało druzgocący wpływ na Marie oraz Annę. Kiedy Helen je przesłuchiwała, były przerażone. Podpalenie kwalifikowało się na próbę zabójstwa, więc sprawę przekazano policji. Helen zrobiła, co mogła, jednak z braku świadków sprawca nigdy nie stanął przed sądem. Próbowwała nakłonić Marie do przeprowadzki, niestety kobieta okazała się uparta. Mieszkanie należało do ich rodziny i przystosowano je do niepełnosprawności dziewczynki – dlaczego miałyby je zmieniać? Sprzedała

wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, żeby uczynić z niego fortecę. Cztery lata później wybuchła wytwórnia narkotyków. Przedtem winda działała bez problemów i pod numerem 408 znajdował się w zasadzie szczęśliwy dom. Teraz miejsce to stanowiło więzienie.

Pracownicy socjalni powinni mieć oko na Marie i jej córkę, ale unikali tego miejsca jak ognia; ich wizyty były co najwyżej rzadkie. Od czasu do czasu wpadała w odwiedziny Helen, którą mało co trzymało wieczorem w domu, dlatego też była na miejscu, gdy Steven Green i jego kumple przyszli dokończyć robotę. Chłopak był jak zwykle naćpany i ścisnął w rękę kanister, próbując podpalić własnoręcznie zrobiony lont. Nie dano mu tej szansy. Pałka Helen trafiła go w łokieć, a potem w kark, posyłając oprycha na podłogę. Reszta rozpięzchła się na widok policjantki, porzucając swoje małe benzynowe bomby. Jednym udało się uciec, innym nie. Helen swego czasu dobrze wyćwiczyła umiejętność zatrzymywania uciekinierów. Udaremniła podpalenie i później miała niekłamaną przyjemność zobaczyć Stevena Greena i trzech jego najbliższych przyjaciół za kratkami, dokąd trafili na dość długi czas. Niekiedy praca przynosiła jej ogromną satysfakcję.

Helen próbowała uspokoić nerwy. Obskurne korytarze, zrujnowane życie, graffiti i brud – to wszystko przywoływało niechciane wspomnienia z jej własnego dzieciństwa. Próbowała je stłumić. W końcu przyjechała tu dla Marie i jej córki – nie pozwoli, by coś popsło jej dzisiaj humor.

Zapukała do drzwi trzy razy (to był ich specjalny kod) i po dłuższej chwili słuchania szczęku otwieranych zamków wreszcie mogła wejść do środka.

– Zamawiała pani jedzenie? – zapytała.

– Odwal się – nadeszła spodziewana odpowiedź.

Helen uśmiechnęła się i ponure myśli zaczęły zniknąć – „ciepłe” powitanie w wykonaniu Marie zawsze tak na nią działało. Helen wręczyła im prezenty i przyjęła te przeznaczone dla niej, czując kojący spokój. Na krótką chwilę mieszkanie numer 408 stało się dla niej schronieniem przed mrocznym i niebezpiecznym światem.

005/117

Deszcz padał, zmywając z jej policzków łzy. Powinien działać oczyszczająco, ale tak się nie stało – upłynęło zbyt wiele czasu. Przeciskała się wściekle przez gęste listowie, nie zwracając uwagi na kierunek. Chciała po prostu uciec. Daleko. Daleko. Daleko.

Ciernie kaleczyły jej twarz, kamienie raniły stopy. Mimo to parła do przodu. Wzrokiem nieustannie szukała kogoś lub czegoś, ale widziała tylko drzewa. Przyszła jej do głowy potworna myśl – czy w ogóle znajdowała się w Anglii? Wołała o pomoc, ale nie miała dość siły. Jej gardło nie nadawało się już do niczego.

W Sampson Winter Wonderland całe rodziny stały cierpliwie w kolejce przed Grotą Świętego Mikołaja. Całe miejsce składało się w zasadzie z kilku pośpiesznie rozstawionych na błotnistym polu namiotów, ale dzieciom się najwyraźniej podobało. Ojciec czwórki, Freddie Green, właśnie wgryzł się w swoją pierwszą babeczkę w tym sezonie, i wtedy zobaczył tę dziewczynę. W strugach deszczu wyglądała jak zmora. Freddie zastygł z babeczką mniej więcej w połowie drogi do ust, kiedy zjawa kroczyła powoli przez pole, patrząc prosto na niego. Z bliska nie budziła już strachu, tylko litość – była przemoczona, krwawiąca i blada jak śmierć. Wyglądała na wariatkę. Freddie nie chciał mieć z nią nic do czynienia, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, unieruchomione przez dzikość jej wzroku. Ostatnie kilka metrów pokonała szybciej niż się spodziewał, i nagle Freddie zatoczył się do tyłu; dziewczyna rzuciła się na niego. Jego babeczka pofrunęła w powietrzu, by za chwilę wylądować z głośnym plaśnięciem w kałuży.

W biurze Sampson Winter Wonderland, owinięta w koc, nie wydawała się ani trochę przytomniejsza na umyśle. Nie chciała powiedzieć, gdzie była i skąd pochodzi. Najwyraźniej nie wiedziała nawet, który mają dzień. Właściwie to udało im się tylko dowiedzieć, że nazywa się Amy i tego ranka zamordowała swojego chłopaka.

Helen z całej siły nacisnęła hamulec i zatrzymała się przed Głównym Komisariatem Policji w Southampton. Futurystyczny budynek ze szkła i piaskowca górował nad nią, obiecując fantastyczny widok na miasto i doki. Liczył sobie zaledwie rok czy dwa i niewątpliwie budził podziw. Areszt z udogodnieniami najnowszej generacji, prokuratorzy i laboratorium na miejscu – wszystko, czego potrzebowała współczesna policja. Helen zaparkowała i weszła do środka.

– Drzemka w godzinach pracy, Jerry?

Policjant zajmujący się administracją komisariatu obudził się ze swojego snu na jawie i próbował udawać bardzo zajętego. On i jego koledzy zawsze prostowali się na widok Helen. Nie tylko dlatego, że była ich zwierzchnikiem; miało to też coś wspólnego z jej postawą. Kiedy wchodziła, ubrana w skórę motocyklisty, wyglądała jak metr osiemdziesiąt czystej ambicji i energii. Nigdy się nie spóźniała, nigdy nie miała kaca, nigdy nie chorowała. Żyła swoją pracą z zapalem, o jakim oni mogli tylko pomarzyć.

Helen ruszyła prosto do centrum operacyjnego. Największy komisariat Southampton może i był rewolucyjny, ale miasto, nad którym sprawował pieczę, pozostawało do bólu zwyczajne. Kiedy Helen przyjrzała się liczbie spraw, upadła nieco na duchu, myśląc o tym, jakie są przewidywalne: rodzinna kłótnia, która zakończyła się morderstwem – dwa zrujnowane życia i małe dziecko zabrane do sierocińca; próba zabójstwa kibica Saints przez podróżujących wielbicieli Leeds United; brutalna śmierć napadniętego osiemdziesięciolatka... W tym ostatnim wypadku napastnicy porzucili skradziony portfel podczas ucieczki z miejsca zdarzenia, a wyraźny odcisk palca pozwolił na szybką identyfikację. Przestępca okazał się dobrze znany gliniarzom z Southampton – kolejna szumowina, która zrujnowała życie niczego niespodziewającej się rodziny tuż przed Bożym Narodzeniem. Właśnie tego ranka Helen miała przekazać prokuratorom niezbędne informacje w tej sprawie. Otworzyła teczkę, zdeterminowana, by zebrać niepodważalne dowody przeciwko owemu łachudrze, kiedy do środka właśnie wszedł Mark Fuller, jej bezpośredni podwładny.

– Nie rozsiadaj się. Mamy robotę – rzucił.

Mark, przystojny i utalentowany policjant, pracował z Helen przez ostatnie pięć

lat. Morderstwa, porwania dzieci, gwałty, handel żywym towarem – pomógł jej rozwiązać wiele nieprzyjemnych spraw; Helen nauczyła się polegać na jego oddaniu, intuicji i odwadze. Paskudny rozwód niestety zebrał swoje żniwo – od niedawna Mark przestał być taki odpowiedzialny i solidny. Helen ze smutkiem zauważyła, że po raz kolejny śmierdziało od niego alkoholem.

– Młoda dziewczyna mówi, że zabiła swojego chłopaka.

Mark wyciągnął ze swojej teczki zdjęcie i podał je Helen. W prawym górnym rogu widniała wyraźna pieczętka Zaginiony/-a.

– Ofiarą jest Sam Fisher.

Helen spojrzała na fotografię młodego chłopaka, schludnego, optymistycznie nastawionego do życia, nawet nieco naiwnego. Mark zamilkł. Dał Helen chwilę na przyjrzenie się zdjęciu, a potem podał jej kolejne.

– A to nasza podejrzana. Amy Anderson.

Helen nie potrafiła ukryć swojego zaskoczenia. Przed jej oczami znalazła się twarz pięknej dziewczyny o cygańskich rysach, najwyżej dwudziestoletniej. Miała długie, rozpuszczone włosy, wyraziste kobaltowe oczy i delikatne usta; wyglądała jak uosobienie młodości i niewinności. Helen sięgnęła po marynarkę.

– No to ruszamy.

– Chcesz prowadzić? Czy ja...

– Ja poprowadzę.

Poszli na parking bez słowa. Po drodze Helen zwerbowała kolejną detektyw, która pracowała przy zaginięciach. Dziarska i żywiołowa Charlene „Charlie” Brooks była dobrą policjantką, pracowitą i pełną werwy, która uparcie odmawiała ubierania się jak gliniarz. Dzisiaj miała na sobie obcisłe skórzane spodnie. Krytykowanie jej stylu nie leżało w gestii Helen, ale i tak miała ochotę to zrobić.

W samochodzie smród alkoholu wydobywający się z ust Marka wydawał się jeszcze silniejszy. Helen spojrzała na niego z ukosa, a potem opuściła szybę.

– Więc co udało się ustalić do tej pory?

Charlie zdążyła już otworzyć folder z dokumentami.

– Amy Anderson. Zgłoszono jej zaginięcie trochę ponad dwa tygodnie temu. Ostatni raz widziano ją na koncercie w Londynie. Wysłała swojej matce maila wieczorem drugiego grudnia, żeby dać jej znać, że będzie wracać z Samem

autostopem i nie pojawi się w domu przed północą. Od tamtej pory ani śladu. Jej matka zgłosiła zaginięcie.

- A co potem?

- Pojawiła się u Sampsona dzisiaj rano. Oznajmiła, że zabiła swojego chłopaka, a potem zamilkła. Od tamtej pory nie powiedziała do nikogo ani słowa.

- I gdzie była przez cały ten czas?

Mark i Charlie spojrzeli po sobie, a potem Mark odparł:

- Wiem tyle, co ty.

Zaparkowali przed Winter Wonderland i pomaszerowali do biura. Helen zszokował widok, jaki zastała po wejściu do podniszczonego kontenera mieszkalnego. Owinięta w sfatygowany koc dziewczyna wyglądała dziko i boleśnie chudo.

- Witaj, Amy. Nazywam się Helen Grace i jestem detektywem z policji. Możesz mi mówić po imieniu. Pozwolisz, że usiądę?

Żadnej odpowiedzi. Helen ostrożnie zajęła krzesło naprzeciwko dziewczyny.

- Chciałabym porozmawiać z tobą na temat Sama. Zgadzasz się?

Amy podniosła wzrok, a na jej zmęczonej twarzy pojawił się grymas przerażenia. Helen przyjrzała się dokładnie jej rysom, w wyobraźni porównując ten widok ze zdjęciem z kartoteki. Gdyby nie przenikliwe, niebieskie oczy i stara blizna na brodzie, mieliby problem z identyfikacją. Piękne włosy zbiły się w tłuste kołtuny i zwisały smętnie. Paznokcie były długie i brudne. Twarz, ramiona i nogi wyglądały jak po akcji samookaleczania. Oprócz tego ten zapach... Najpierw czuło się zapach. Słodki. Gryzący. Obrzydliwy.

- Muszę znaleźć Sama. Powiesz mi, gdzie on jest?

Amy zamknęła oczy. Pojedyncza łza wydostała się spod powieki i spłynęła po policzku.

- Gdzie, Amy?

Długa cisza, a potem wreszcie szept:

- W lesie.

Amy kategorycznie odmówiła opuszczenia azylu w kontenerze mieszkalnym, więc Helen musiała skorzystać z pomocy psa. Zostawiła dziewczynę pod opieką Charlie, Marka zabrała ze sobą. Simpson, retriever, zanurzył nos w pochłapanych

krwią łachmanach, które kiedyś służyły Amy za ubrania, a potem wystrzelił w stronę drzew.

Nie było trudno śledzić jej drogę przez las. Szła na oślep, dziko, tworząc spore dziury w poszyciu. Skrawki materiału i skóry znaczyły trasę. Simpson, przeczesując listowie, znajdował wszystkie. Helen kroczyła tuż za nim, a Mark starał się nie pozwolić, by wyprzedziła go kobieta. Kosztowało go to wiele wysiłku i śmierdzącego alkoholem potu.

W oddali majaczył cień samotnego budynku: basen miejski, od lat przeznaczony do rozbiórki, smutny relikw dawno zapomnianej rozrywki. Simpson podrapał w zamknięte na kłódkę drzwi, a potem uciekł i zaczął biegać wokół budynku, by w końcu zatrzymać się przy wybitym oknie. Resztki szyby pokrywały świeże ślady krwi. Znaleźli kokon Amy.

Wejście do środka nie było łatwe. Mimo że budynek popadł w ruinę, zadbano o zabezpieczenie każdego wejścia i wyjścia. Przed kim? Nikt tutaj nie mieszkał. W końcu Helen i Mark przecięli kłódkę i rozpoczęli się tradycyjny policyjny taniec, pełen odgłosów szurania butami w sterylnych ochraniaczach.

I oto znaleziono chłopaka. Leżał ponad cztery metry niżej, na dnie basenu. Po krótkich poszukiwaniach drabiny Helen wylądowała na dole, stając twarzą w twarz z „Samem” Amy. Za życia był to porządny chłopak i czekała go kariera prawnicza, ale nie dało się tego teraz poznać. Wyglądał jak trup typowego ulicznika. Jego ubranie znaczyły plamy uryny i odchodów, paznokcie były brudne i połamane, a twarz... Wychudła twarz chłopaka zastygła w ohydny grymasie; strach, agonia i przerażenie trwale zapisały się w jego wykrzywionych rysach. Za życia był przystojny i ujmujący. Śmierć uczyniła go odpychającym.

006/117

Czy oni kiedyś przestaną ją torturować?

Amy myślała, że w szpitalu będzie bezpieczna, że zostawią ją samą, by mogła opatrzyć rany i ukoić żal. Ale oni ją ciągle dręczyli. Nie pozwalali jej pić ani jeść, chociaż o to błagała. Powiedzieli, że ma spuchnięty język, a żołądek i jelita są zbyt ściśnięte i mogą pęknąć, jeśli trafi do nich stały pokarm. Dlatego podłączyli ją do kroplówki. Może i należało tak postąpić, ale nie tego chciała. Czy ktoś z nich kiedykolwiek nie jadł nic przez dwa tygodnie? Co oni mogli o tym wiedzieć?

Miała też kroplówkę z morfiną, która nieco pomagała, chociaż postarali się, by nie wlać do niej zbyt dużo płynu. Kontrolowała ją lewą dłonią, naciskając przycisk w chwili, gdy ból stawał się nie do wytrzymania. Prawą rękę miała przypiętą kajdankami do łóżka. Bardzo spodobało się to pielęgniarce, które spekulowały teatralnym szeptem o poczynaniach Amy. Czyżby zabiła swoje dziecko? Męża? Naprawdę doskonale się bawiły.

A wtedy – niech Bóg ma ją w opiece – wpuścili do środka matkę. Wściekła się z tego powodu; wrzeszczała do zderzenia gardła, aż w końcu jej rodzicielka wyszła z polecenia lekarza. Co oni sobie myśleli, do cholery? Matka nie może jej teraz zobaczyć; nie w takim stanie.

Amy chciała po prostu zostać sama. Skoncentrować się na otaczających ją przedmiotach, wpatrywać intensywnie w splot bawełnianej poszewki na poduszkę i przez długie godziny gapić się na hipnotyczny, świecący żarnik nocnej lampki. W ten sposób mogła zapanować nad swoimi myślami. A kiedy wspomnienie Sama jednak pojawiał się znikąd, naciskała przycisk od morfiny i na chwilę odpływała do krainy szczęśliwości.

W głębi serca wiedziała, że nie zostawią jej w spokoju na długo. Demony już krążyły wokół, ciągnąc ją z powrotem do żywej śmierci, którą zostawiła za sobą. Widziała policjantów czekających na zewnątrz, gotowych do wejścia i zadawania jej pytań. Czy oni nie rozumieją, że Amy nie chce na nie odpowiadać? Czyż nie wycierpiała wystarczająco dużo?

– Powiedz im, że nie mogę ich przyjąć.

Pielęgniarka uniosła wzrok znad wyników badań.

– Powiedz, że mam gorączkę – ciągnęła dalej dziewczyna. – Albo że śpię...

– Nie mogę ich zatrzymać, skarbie – odparła beznamiętnie kobieta. – Najlepiej od razu mieć to z głowy, prawda?

Cierpienie nigdy się nie skończy, Amy już to zrozumiała. Zabiła człowieka, którego kochała, i nie mogła tego cofnąć.

007/117

– Powiedz mi, Amy, jak wydostałaś się z basenu?

– Po drabince.

– Nie widziałam tam żadnej drabinki.

Amy skrzywiła się i odwróciła. Podciągnęła pod brodę szpitalny koc i po raz kolejny zamknęła się w sobie. Helen patrzyła na nią, zaintrygowana. Jeśli dziewczyna kłamała, była doskonałą aktorką. Policjantka zerknęła na Marka i kontynuowała:

– Po jakiej drabince?

– Ze sznura. Zrzuciono ją zaraz po tym, jak...

Z oczu Amy popłynęły łzy, a jej głowa opadła na klatkę piersiową. Faktycznie na dłoniach dziewczyny znaleziono pewne obtarcia. Być może takie, jak po wspinaniu się po drabince sznurowej? Helen spoliczkowała się w myślach – dlaczego brała to pod uwagę? Opowieść Amy to czyste szaleństwo. Jej zdaniem zostali zabrani z ulicy, uśpieni, porwani i głodzeni, a potem zmuszono ją do popełnienia morderstwa. Po co ktokolwiek miałby to robić? Na pierwszy rzut oka Amy i Sam wydawali się dobrymi dzieciakami, ale powodu tej potwornej zbrodni musieli teraz głęboko szukać w ich życiorysach...

– Opowiedz mi o swoim związku z Samem.

W tym momencie Amy zaczęła płakać.

– Może należałoby teraz zrobić przerwę, pani detektyw? – Matka dziewczyny upierała się, by na miejscu znalazł się adwokat.

– Jeszcze nie skończyliśmy – odparła Helen.

– Ale sama pani widzi, że Amy jest wykończona. Z pewnością mo...

– Widzę tylko ciało chłopaka, Sama Fishera, który został postrzelony w plecy. Z niedużej odległości. Przez pańską klientkę.

– Moja klientka nie zaprzecza, że pociągnęła za spu...

– Ale nie chce nam powiedzieć, *dla czego* to zrobiła.

– Przecież powiedziałam! – fuknęła Amy.

- Tak, to wspaniała historia, Amy, *ale nie ma krzty sensu.*

Helen pozwoliła, by jej słowa zawisły w powietrzu. Mark zrozumiał ten znak i podniósł nieco ciśnienie.

- Nikt was tam nie widział. Vana też nie, Amy. Ani kierowcy, ani policjanci kierujący ruchem, ani inne dzieciaki jadące autostopem tamtą trasą; nie widział was absolutnie nikt. Dlaczego więc nie przestaniesz wciskać nam kitu i nie powiesz wreszcie, dlaczego zabiłaś swojego chłopaka? Uderzył cię? Groził ci? Dlaczego zabrał cię do tego okropnego miejsca?

Amy nie odezwała się ani słowem, nawet nie podniosła oczu. Zupełnie jakby Mark w ogóle nic nie powiedział. Helen przejęła pałeczkę.

- Nie ty pierwsza, Amy, zakochałaś się w miłym chłopaku, który okazał się sadystycznym brutalem - odezwała się nieco delikatniejszym tonem. - To nie twoja wina i nikt cię nie osądza, a jeśli powiesz mi, co się stało, co poszło nie tak, obiecuję, że ci pomogę. Napadł cię? Znalazły się tam jakieś osoby trzecie? Dlaczego cię tam zabrał?

Wciąż cisza. Po raz pierwszy w głosie Helen zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

- Dwie godziny temu musiałam powiedzieć matce Sama, że jej syn został zastrzelony. Teraz ona i jej pozostałe dzieci, młodsze rodzeństwo Sama, potrzebują kogoś, kto odpowie za tę zbrodnię. A na razie mamy tylko ciebie. Dlatego dla własnego i ich dobra przestań ściemniać i powiedz prawdę. Dlaczego to zrobiłaś, Amy? Dlaczego?

Nastała długa chwila ciszy, a potem dziewczyna wreszcie uniosła głowę i spojrzała groźnie przez łzy.

- *Ona* mnie zmusiła.

008/117

- I co o tym myślisz, szefowo?

Po raz pierwszy w swoim życiu Helen nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Tak czy nie, winny czy niewinny, Helen Grace zawsze umiała ocenić. Ale nie teraz. Tutaj coś nie grało. Doświadczenie mówiło jej, że Amy kłamie. Historia porwania była wystarczająco szalona, a fakt, że napastnik to działająca w pojedynkę kobieta, podważał ją niemal zupełnie. Żony mordują mężów, matki dzieci, a opiekunki swoich podopiecznych. Nie porywają obcych ani nie wybierają scenariuszy z wysokim ryzykiem, takich jak ten, który opisała Amy, gdzie ofiary przewyższały liczebnie napastnika. Nawet jeśli ta jedna zdecydowała się na ten krok, jakim cudem miała dość siły, by wyjąć dwoje dorosłych ludzi z vana i umieścić w basenie? Helen miała ochotę rzucić to Amy prosto w twarz. Być może dopiero oskarżenie o morderstwo skłoniłoby ją do powiedzenia prawdy.

A jednak... dlaczego miałyby wymyślać taką historię? Amy to inteligentna dziewczyna, bez żadnych problemów natury psychicznej. Jej zeznanie wydawało się logiczne i konsekwentne. Opis „porywaczki” był bardzo precyzyjny – włosy w kolorze ciemny blond, okulary przeciwsłoneczne, krótkie i brudne paznokcie – i trzymała się go wytrwale. Nawet takich szczegółów, że van wchodził na zbyt wysokie obroty na niskich biegach. Poza tym było jasne, że kochała Sama, naprawdę kochała, i załamała się po jego śmierci. Wszyscy opisywali ich jako papużki nierozłączki, połówki jednego jabłka. Poznali się na Uniwersytecie w Bristolu, a potem oboje poszli na studia magisterskie do Warwick, żeby zostać razem, opóźniając moment podjęcia pracy i wkroczenia w dorosłe życie. Nie mieli zbyt wiele pieniędzy, ale podróżowali autostopem po całym kraju, rzadko spędzając czas w dodatkowym towarzystwie.

Ekspertyzy wykazały, że strzelała z broni znalezionej na miejscu zdarzenia, więc niewątpliwie to ona zabiła, potwierdziła się też jej historia o więzieniu. Stan fizyczny obojga – włosy, paznokcie – plus odchody znalezione w basenie sugerowały, że trzymano ich tam przynajmniej dwa tygodnie. Czyżby stracili

nadzieję i ciągnęli losy? Dogadali się?

– Dlaczego on, a nie ty?

Amy znowu się zacięła. Helen powtórzyła pytanie i w końcu udało jej się uzyskać odpowiedź:

– Ponieważ mnie o to poprosił.

W takim razie wyraz miłości. Akt samopoświęcenia. Coś takiego poważnie obciąża sumienie... o ile tak było naprawdę. I właśnie to ciągle gnębiło policjantkę: sam fakt, że Amy załamała się pod wpływem tych wydarzeń. Nie miała po prostu traumy. To ją zniszczyło, zapadła się pod ciężarem poczucia winy. Helen знаła ten stan aż za dobrze i mimo wszystko współczuła dziewczynie. Może potraktowała ją zbyt szorstko.

Jednakże... po co ktokolwiek miałby robić coś takiego? Co mógł – mogłaby – w ten sposób zyskać? Zgodnie z opowieścią Amy porywaczki nawet tam nie było, więc jaki w tym wszystkim cel? To nie mogła być prawda, a jednak Helen, odpowiadając na typowe dla Marka bezpośrednie pytanie, stwierdziła:

– Myślę, że mówi prawdę.

009/117

Ben Holland nienawidził swoich cotygodniowych wycieczek do Bournemouth. Uważał, że w ten sposób tylko bezsensownie tracił dzień. Jednak ich firma bardzo dbała o to, by pracownicy różnych oddziałów widywali się twarzą w twarz, dlatego co tydzień Ben i Peter (Portsmouth) zjadali kanapki i wypijali kawę z Malcolmem i Eleanor (Bournemouth) oraz Hellie i Sarah (Londyn). Omawiali najważniejsze punkty prawa morskiego, bankowych sporów sądowych i zatwierdzania międzynarodowych dokumentów, a potem zaczynali narzekać na swoich klientów. Niekiedy udawało mu się zyskać jakieś informacje, niekiedy nawet nieźle się bawił, ale jeśli wziąć pod uwagę czas poświęcony na podróż z Portsmouth i z powrotem, każdy wyjazd okazywał się zupełnie nieopłacalny.

Ten wydawał się jeszcze większą stratą. Jak zwykle Ben podwoził Petera, pozwalając starszemu koledze wypić drinka przy lunchu. Peter to błyskotliwy prawnik z dobrymi wynikami, zachowywał się jednak prostacko, ciągle się powtarzał i śmierdział. Ciężko było z nim wytrzymać w sali konferencyjnej, teraz zaś Ben musiał bite dwie godziny siedzieć z nim w jednym samochodzie. A przynajmniej tyle by wyszło, gdyby nie skończyła im się benzyna...

Ben wyciągnął telefon, przeklinając pod nosem. Jego oczy otworzyły się szerzej w konsternacji.

– Brak zasięgu.

– Co? – odparł Peter.

– Nie mam zasięgu. A ty?

Peter spojrzał na wyświetlacz swojego telefonu.

– Nic.

Długa chwila ciszy.

Ben starał się opanować gniew. Ile kotków musiał skopać w swoim życiu, żeby zasłużyć sobie na utknięcie w środku New Forest tuż przed zmrokiem, i to z Peterem? Ben napełnił bak na stacji Esso zaraz za Bournemouth – mieli tam najtańsze paliwo – a jednak już godzinę później był on pusty. Co prawda pojawiło

się ostrzeżenie, ale Benowi nie chciało się w nie wierzyć, zresztą i tak powinno starczyć benzyny przynajmniej do Southampton. Jednak kilka chwil po tym, jak zapaliła się kontrolka, samochód po prostu stanął. Czasami los daje popalić. Czy będą musieli iść piechotą do najbliższej stacji? Spędzić wspólnie noc?!

– Platynowe ubezpieczenie samochodu, i co nam to niby pomogło? – stwierdził Peter.

Ben rozejrzał się po cichej, leśnej drodze. Peter nie powiedział na głos, że skracanie drogi przez New Forest było pomysłem Bena. Zawsze tak robił, unikając jazdy po okrężającej Southampton dwudziestce siódemce, zamiast tego przebiegle przecinając Park Narodowy New Forest, by wyjechać na Calmore, ale dzisiaj przyszło mu za to zapłacić. Ben miał przeczucie, że już po wszystkim zostanie mu to wypomniane. Peter sobie tego nie podaruje. Po prostu czeka na odpowiedni moment.

– Ja mam pójść, czy ty? – zapytał Peter.

Pytanie retoryczne. Peter był starszy, a poza tym miał „problem” z kolanami. Ben spojrzał na mapę, wypatrzył na niej kilka domków letniskowych zaledwie dwa czy trzy kilometry dalej. Może gdyby się pośpieszył, mógłby tam dotrzeć przed zmrokiem. Postawił kołnierz, kiwnął do Petera i wyszedł na drogę.

– „Jeszcze się spotkamy...” – zanucił Peter.

Palant, skwitował w duchu Ben.

I nagle okazało się, że los im jednak sprzyja. Ben zauważył dwa punkty światła. Zmrużył oczy. Tak, zdecydowanie. Lamy samochodowe. Po raz pierwszy tego dnia mężczyzna poczuł, że się uspokaja. Bóg jednak istnieje. Pomachał energicznie ręką; van już zwalniał, by im pomóc.

Dzięki Bogu, pomyślał Ben. Wybawienie.

010/117

Diane Anderson nie widziała swojej córki ponad trzy tygodnie. Teraz też nie mogła jej zobaczyć, chociaż Amy właśnie dusiła ją, przyciśnięta do jej piersi. W szpitalu pozwolili jej się umyć, niestety wciąż nie przypominała samej siebie.

Atrakcyjna policjantka – Charlie – towarzyszyła im w drodze do domu. Powiedziała, że chce w ten sposób pomóc Amy, żeby dziewczyna czuła się bezpiecznie, wracając do świata, ale w rzeczywistości chodziło o przespiegi. Kobieta miała czekać, obserwować i składać raporty. Dwóch policjantów w mundurach za ich drzwiami wyraźnie o tym świadczyło. Mieli chronić Amy? Czy nie pozwolić jej uciec? Cóż, przynajmniej odganiaли prasę. Dziennikarka z lokalnego szmatławca ośmieliła się nawet krzyczeć przez otwór w drzwiach do wrzucania listów, w wyjątkowo brutalnych słowach pytając Amy, dlaczego zabiła swojego chłopaka. Płeć i młody wiek dziennikarki tylko pogarszały sytuację – co opętało tych ludzi?

„Amy zastrzeliła Sama” – właśnie tak ujęła to ta bardziej surowa policjantka, inspektor Grace. To nie miało sensu. Amy nigdy nikogo by nie zastrzeliła, a już na pewno nie Sama. Nigdy wcześniej nie miała nawet broni w ręku. To nie są Stany Zjednoczone!

Diane próbowała zwrócić się w tej sprawie do męża, oczekując, że wyjaśni całe zajście, na jego twarzy malował się jednak ten sam wyraz, co na jej: czysty szok. Poczwała przypływ wściekłości – na Richarda nigdy nie można liczyć w chwilach, gdy jest najbardziej potrzebny! – ale po chwili opanowała się i kolejny raz stanęła twarzą w twarz z gorzką prawdą. Amy *kochała* Sama. W wolniejszych chwilach Diane często zastanawiała się, jak wyglądałoby ich wesele. Zawsze zakładała, że jej córka poszłaby z duchem czasu i zamieszkała z chłopakiem bez ślubu. Amy zaskoczyła ją stwierdzeniem, że w odpowiednim czasie z pewnością chciałaby wyjść za mąż. Oczywiście z typową dla siebie domieszką oryginalności. Nie było mowy, by założyła białą sukienkę, a zamiast ojca do ołtarza miałyby zaprowadzić ją matka. Czy Richard by to zniósł? Ludziom by się spodobało? Może uznaliby to

za dziwactwo? Nagle Diane zdała sobie sprawę, że znowu się zamyśliła. I to o ślubie, do którego nigdy nie dojdzie.

Nic nie miało sensu. Sam nie był ani brutalny, ani agresywny, więc nie ma mowy o obronie własnej. Inspektor Grace w irytujący sposób milczała na ten temat: „Lepiej, żeby Amy sama opowiedziała państwu o wszystkim w swoim czasie”. Tyle że Amy nie odezwała się ani słowem. Milczała jak zakłeta. Diane próbowała do niej dotrzeć – robiła jej koktajle, otworzyła paczkę ulubionych czekoladek, przyniosła do ich wspólnej teraz sypialni wszystkie jej ulubione zabawki z dzieciństwa i pamiątki. Niestety, nic nie działało. W końcu tylko siedzieli w trójkę w ciszy. Charlie usiadła na krawędzi sofy, próbując nie rozlać herbaty, Diane postawiła kolejne niechciane ciasteczka, a Amy po prostu gapiała się w przestrzeń i wyglądała jak cień dawnej, żywiołowej dziewczyny.

011/117

To była zasadzka. Kobieta schowała się, a kiedy Helen wysiadła z samochodu, wyskoczyła z kryjówki.

– Da mi pani chwilkę, pani inspektor?

Helen opadły ręce. Już się zaczęło.

– Miło cię widzieć, Emilio, niestety jestem bardzo zajęta.

Helen przesunęła się w bok, ale natrafiła na wyciągnięte ramię. Spojrzała na jego właścicielkę spode łba. Jej przeciwniczka, Emilia Garanita, zrozumiała sugestię i powoli zabrała rękę, wciąż szczerząc zęby w uśmiechu. Zwracała uwagę swoim wyglądem; była młoda i zgrabna, ale też oszpecona. Jako nastolatka miała całe grono wielbicieli, w późniejszych latach padła jednak ofiarą napaści z użyciem żrącego kwasu. Jeśli patrzyło się na jej lewy profil, widziało się ładną, atrakcyjną dziewczynę. Jednak ta sama twarz oglądana z prawej strony wzbudzała tylko współczucie – rysy kobiety były zniekształcone, a szklane oko nieruchomo tkwiło w prawym oczodole. Miejscowi nazywali ją „Piękną i Bestią”. Pracowała jako najważniejsza reporterka działu kryminalnego „Southampton Evening News”.

– Sprawa Amy Anderson. Wiemy, że go zabiła, ale nie znamy motywu. Co on jej zrobił?

Helen starała się ukryć swoją pogardę. Była pewna, że to Emilia krzyczała przez otwór do wrzucania listów w drzwiach Andersonów, wiedziała jednak, że lepiej nie zadzierać z przedstawicielką prasy na tak wczesnym etapie śledztwa.

– Chodziło o seks? Uderzył ją? Szukacie innego winnego? – padały kolejne pytania.

– Znasz zasady, Emilio. Jak tylko będziemy mieli coś do powiedzenia mediom, odezwę się. A teraz przepraszam...

– Jestem ciekawa, bo ją wypuściliście, i to bez kaucji. Zazwyczaj trzymacie ich nieco dłużej, żeby ich zmiękczyć, prawda?

– Nikogo nie próbujemy „zmiękczyć”, Emilio. Zawsze działamy zgodnie

z przepisami i dobrze o tym wiesz. Dlatego wszelkie kontakty z prasą załatwimy tradycyjnymi kanałami, okej?

Helen posłała jej szeroki uśmiech i ruszyła dalej. Wygrała pierwszą potyczkę długiej wojny. Emilia miała kryminał we krwi. Jako najstarsza z szóstki rodzeństwa stała się sławna, gdy jej ojca skazano na więzienie za wykorzystywanie dzieci do przemytu narkotyków. W czasie wielu wycieczek z Southampton na Karaiby młodziutką Emilię i jej pięcioro rodzeństwa zmuszano do połykania prezerwatyw z kokainą. Kiedy ich pochodzący z Portugalii ojciec wreszcie trafił za kratki, jego zleceniodawcy próbowali nakłonić Emilię do wznowienia działalności, by mogli odrobić straty. Odmówiła, więc postanowili ją ukarać – złamali jej nogi w kostkach i wylali na twarz pół litra kwasu siarkowego. Napisała o tym książkę, co w końcu zaprowadziło ją na dziennikarską ścieżkę kariery. Chociaż wciąż utykała, nie bała się nikogo i nigdy się nie poddawała.

– Pamiętaj o mnie! – zawołała, gdy Helen znalazła się przy wejściu do policyjnej kostnicy.

Helen zdała sobie sprawę, że jej życie właśnie stało się odrobinę trudniejsze. Nie miała jednak czasu na rozmyślenia.

Czekała ją randka z trupem.

012/117

Wyglądał jak duch. Beztroska i przystojna twarz, która patrzyła na nią z jego zdjęcia profilowego na Facebooku, w niczym nie przypominała tej pośmiertnej maski, jaką zobaczyła w kostnicy. Wychudzone ciało Sama leżało na stole sekcyjnym, sztywno ze szczęśliwego, pełnego nadziei człowieka, jakim był za życia. Bolesny widok.

Helen odwróciła się, by oderwać się od tych rozmyślań i przyjrzeć się pracy patologa, Jima Grievesa. Nawet po trzydziestu latach praktyki Jim wciąż nie śpieszył się z przygotowaniami do sekcji. Bezustannie mył ręce, co sprawiało, że wyglądał jak współczesna (choć pulchniejsza) Lady Makbet, a przyglądając się jego wysiłkom przy zakładaniu sterylnych rękawiczek, Helen miała ochotę podejść i mu pomóc. Niektórzy policjanci tak robili. Inni uważali tylko, że Jim przesadza. Helen nie chciała go ponaglać. Warto było na niego czekać, zresztą dostrzegała coś niemal magicznego w jego powolnej transformacji ze zwalistego, wytatuowanego prostaka odzianego w fartuch, przenikliwego patologa, który już wiele razy pomógł ruszyć sprawę do przodu.

– Będę mówił z typowymi zastrzeżeniami i jeśli znowu będziecie mnie pośpieszać...

Helen uśmiechnęła się – przyzwyczała się już do narzekania Jima – i pozwoliła mu kontynuować. Faktycznie go ponaglała, ale nie miała innego wyjścia. Nie było łatwo powiadomić matkę Sama o jego śmierci, częściowo dlatego, że tak niewiele informacji mogła jej przekazać. Olivia Taylor kilka lat wcześniej owdowiała, w tej bolesnej chwili nie mogła więc liczyć na wsparcie męża. W jakiś sposób musiała w pojedynkę pomóc dzieciom poradzić sobie ze śmiercią ukochanego brata. Helen chciała jej jakoś ulżyć, dlatego powinna ostatecznie potwierdzić lub zanegować historię Amy.

Jim skończył zrzędzić. Odwrócił się w stronę stołu sekcyjnego i zaczął podsumowanie:

– Pojedynczy strzał w plecy. Pocisk wszedł w ciało pod prawą łopatką

i zatrzymał się na żebrach. Używam terminów medycznych, więc daj znać, jeśli czegoś nie zrozumiesz, okej?

Helen puściła to mimo uszu. Wypowiedzi każdego patologa, którego znała, charakteryzował podobny sarkazm. Jim kontynuował, nie czekając na odpowiedź.

- Przyczyna śmierci: nagłe zatrzymanie krążenia. Być może spowodowane utratą krwi, ale raczej szokiem po postrzale. Jego ciało wcześniej nie było w najlepszym stanie. Widać oznaki wychudzenia na torsie, kończynach i twarzy. Zwróć uwagę na zapadnięte oczodoły, nabiegłe krwią dziąsła i przerzedzone włosy. Pęcherz moczowy i jelita praktycznie puste, w żołądku znalazły się fragmenty ubrań, włosów, kleju do płytek, a także ludzkiego ciała.

Jim przeszedł na drugą stronę stołu, by podnieść rękę Sama.

- Ciało należało do niego samego, odgryzione z przedramienia. Wygląda na to, że udało mu się ugryźć trzy albo cztery razy, zanim zrezygnował.

Helen zamknęła oczy – przerażająca prawda o ostatnich dniach Sama powoli docierała do jej świadomości – a potem zmusiła się, by otworzyć je znowu. Jim przytrzymał wyniszczone ramię Sama, żeby mogła mu się przyjrzeć. Po chwili ostrożnie odłożył je na stół.

- Szacuję, że głodował i nie przyjmował płynów przez co najmniej dwa tygodnie, zapewne dłużej. Jego ciało przez ten czas czerpało energię z zapasów tłuszczu, a kiedy te się skończyły, zaczęło żerować na organach wewnętrznych. W chwili śmierci chłopak był o krok od ostrej niewydolności wielonarządowej. Z tego, co słyszałem o stanie dziewczyny, jej również niewiele brakowało. Jeszcze kilka dni i oboje umarliby z przyczyn naturalnych.

Jim zamilkł raz jeszcze, tym razem przerzucając swoje papiery.

- Krew: taka, jakiej można się spodziewać u osoby cierpiącej na poważne odwodnienie i na skrajną niewydolność. Jediną anomalią była obecność benzodiazepin. Spodziewam się, że znajdziecie ślady tych substancji także w jej krwi, a większe ilości w odchodach.

Helen kiwnęła głową – laboranci już potwierdzili obecność silnego środka odurzającego w ekskrementach znalezionych w basenie. Policjantka zdusiła rosnący niepokój. Najwyraźniej wszystko to zmierzało do jednego. Po kolejnych dziesięciu minutach przemowy Jima Helen oznajmiła, że ma już wszystko, czego

potrzebowała.

Wbrew wszystkiemu historia Amy zaczynała się potwierdzać. W kącie basenu znaleziono włókna liny, mogące uwiarygodniać rzekomą ucieczkę dziewczyny po spuszczonej drabince sznurowej. Co więcej, na ubraniach było mnóstwo śladów ziemi, a więc Amy i Sam mogli być ciągnięci po podłożu z vana do opuszczonego basenu. Czy kobieta poradziłaby sobie bez pomocy z ważącym całe siedemdziesiąt sześć kilogramów Samem, czy raczej potrzebowałyby do tego współnika?

Wracając na siódme piętro, Helen zrozumiała, że od teraz całkowicie poświęci się tym dywagacjom. Nie spocznie, dopóki nie rozwiąże tej dziwnej sprawy. Kiedy weszła do centrum operacyjnego, z zadowoleniem zobaczyła, że Mark już zabrał się do roboty. Istniało mnóstwo praktycznych i biurokratycznych rzeczy, którymi trzeba było się zająć od razu. Mark był klasycznym detektywem, szorstkim, ale skutecznym; potrafił zarządzać ludźmi tak, by chodzili jak w zegarku. Zebrał zespół dobrych gliniarzy: Bridgesa, Groundsa, Sanderson, McAndrew i grupę wspierających niższego szczebla; przed oczami Helen już rysowało się dochodzenie.

Mark podszedł szybko, gdy tylko zobaczył ją przy wejściu.

– Co powiemy prasie, szefowo?

Dobre pytanie, nad którym Helen zastanawiała się od wyjścia z kostnicy. Emilia Garanita nie zamierzała odpuścić, a jej śladem niedługo z pewnością podążą kolejni dziennikarze. Młoda dziewczyna zastrzeliła chłopaka w opuszczonym basenie. Historia była przerażająca, więc będzie się dobrze sprzedawać.

– Najmniej jak się tylko da. Dopóki nie zapanujemy nad sytuacją, nikt nie może się dowiedzieć, że w sprawę zamieszane są osoby trzecie. Oficjalnie uznajemy to za przemoc domową, ale nie podajemy zbyt wielu szczegółów. Prasa zacznie zmyślać o tym, jaki był Sam i dlaczego Amy go zabiła...

– A nie chcemy bez potrzeby oczerniać chłopaka.

– Właśnie. On i jego matka na to nie zasłużyli.

– Dobra. Na razie działamy ostrożnie...

Wrócił do pracy. Mark niewątpliwie nie prezentował się zbyt dobrze – chudy, nieogolony, szorstki – ale dobrze było mieć w zespole takiego dobrego gliniarza.

Helen miała nadzieję, że to się nie zmieni.

Zadowolona, że wszystko było pod kontrolą, pozwoliła sobie na pięć minut przerwy na gorącą herbatę. Była zmęczona – przesłuchiwanie Amy zebrało swoje żniwo, wizyta w kostnicy okazała się jeszcze gorsza. Chciała się na chwilę odprężyć, niestety umysł jej na to nie pozwalał. Okropna śmierć Sama głęboko ją poruszyła; Helen nie mogła pozbyć się wspomnienia jego pozbawionej życia, wykrzywionej twarzy. Potworny widok dla jego matki.

Pogrążona w rozmyślaniach, nie zauważyła Charlie, dopóki ta nie podeszła bardzo blisko.

– Szefowo, na pewno chcesz to zobaczyć.

Dzień do tej pory zaserwował jej wiele paskudnych niespodzianek. Helen miała przeczucie, że teraz czekała ją kolejna.

Charlie podała jej zdjęcia dwóch mężczyzn w garniturach, jednego po trzydziestce i drugiego sporo starszego.

– Ben Holland i Peter Brightston. Od trzech dni oficjalnie zaginięci. Właśnie wracali ze spotkania z kolegami po fachu w Bournemouth. Nie dotarli do domu.

Helen poczuła, że robi jej się niedobrze.

– Samochód znaleziono w New Forest. Miejscowi i pracownicy parku przeszukali każdy skrawek lasu. Ani śladu.

– I? – Helen czuła, że to nie wszystko.

– Płaszcz, torby i portfele zostały w aucie. Telefony komórkowe znaleziono w pobliżu. Karty SIM celowo zniszczono.

Czyli kolejne porwanie. To wydawało się jeszcze dziwniejsze niż poprzednie. Dwóch dorosłych mężczyzn, inteligentnych, silnych i potrafiących o siebie zadbać, zniknęło bez śladu.

013/117

Jak się obudzić, gdy śniesz? Kiedy znajdujesz się w samym środku koszmaru, jak wydostać się z otchłani?

Właśnie takie myśli krążyły po głowie Benowi Hollandowi. Z pewnością śnił. *Musią*ło tak być. Może razem z Jennie podjechali po pracy do monopolowego po butelkę żubrówki? Może właśnie śnił pijackim snem? W każdej chwili może się obudzić z bólem głowy i głupim uśmiechem na twarzy...

Ben otworzył oczy. Oczywiście od samego początku wiedział – zapachu nie dało się znieść. Jak mógłby sobie wyobrazić, że przebywa gdzieś indziej? Nawet gdyby się udało, jęki Petera natychmiast przywróciłyby go do rzeczywistości. Od czasu porwania Ben na przemian wściekał się albo tracił nadzieję. Peter wybrał rozpacz.

– Peter, zamknij się wreszcie, na miłość boską...

– Pierdol się – fuknął tamten.

Gdzie te twoje zdolności przywódcze, pomyślał złośliwie Ben.

Zostali uwięzieni, choć nie miało to żadnego sensu. W jednej chwili znajdowali się w vanie, uspokojeni i zadowoleni, a w drugiej obudzili się tutaj, półprzytomni, poobijani i pokryci grubą warstwą pyłu. Ben podniósł się, nie dowierzając, i próbował dojrzeć cokolwiek w mroku. Znaleźli się w swego rodzaju gigantycznym silosie albo magazynie, którego podłogę przysypano węglem. Właśnie tym się ubrudzili. Pył przyklejał im się do języków i wciskał do oczu oraz uszu. Ben odruchowo podszedł do ściany. Z pewną trudnością, gdyż podłogę wciąż osuwało mu się spod nóg, ale wreszcie mu się udało. Poczł zimną, gładką stal. Wykorzystując ścianę jako przewodnika, chwiejnie obszedł całe pomieszczenie, mimo wszystko mając nadzieję na odnalezienie drzwi albo innej drogi ucieczki. Bez skutku. Po kilku okrążeniach wreszcie się poddał. Podniósł wzrok i zauważył światło sączące się przez szparę przy ogromnym włączniku. A więc tak się dostali do tego dziwnego piekła...

Dopiero teraz Ben zdał sobie sprawę, że na jego twarzy i klatce piersiowej jest

pełno skaleczeń i siniaków. Spadli z dobrych sześciu metrów, a zbity węgiel nie zamortyzował upadku. Nagle wszystko zaczęło go boleć. Szok powoli ustawał i jego obite ciało postanowiło zaprotestować. Peter właśnie ruszył w jego stronę, potykając się – na twarzy towarzysza malowało się puste, głupie zaskoczenie. Szukał odpowiedzi, ale Ben mu żadnych nie udzielił. I wtedy, gdy stali tak, pozbawieni sił i nadziei, zadzwonił telefon. Zamarli na chwilę, a potem jednocześnie rzucili się w stronę urządzenia. Ben dorwał je pierwszy.

Kiedy otrzymali swoje śmiertelne ultimatum, obaj zanosili się szaleńczym śmiechem, jakby to wszystko stanowiło jedynie potworny żart. Powoli jednak śmiech ucichł.

– Zadzwońmy po policję.

Ben nagle poczuł, że musi się stąd wydostać.

– Dobry pomysł. Zadzwoń do Carol, ona będzie wiedziała, co robić – poradził Peter, gdy udzieliła mu się energia kolegi.

Ben zaczął wybierać znajomy numer, ale telefon okazał się zablokowany PIN-em. Cztery cyferki dzieliły ich od wolności.

– Jaką kombinację wypróbujemy najpierw?

Wzrok Bena przyciągnął wskaźnik naładowania baterii, znajdujący się w prawym górnym rogu wyświetlacza.

– Mamy tylko kilka szans. Co najpierw? – W jego głosie słychać było napięcie. Zaczynał rozumieć, że zadanie jest niemożliwe do wykonania.

– Nie wiem. 1, 2, 3, 4?

Ben spojrzał na niego z ukosa.

– No co, skąd mam niby wiedzieć, do cholery! – rzucił nerwowo Peter. – W którym roku się urodziłeś?

Desperacki krok, ale nie gorszy niż inne. Ben spróbował wpisać rocznik Petera, a potem swój. Podchodził właśnie do trzeciej kombinacji, kiedy telefon się wyłączył.

– Cholera.

Słowo odbiło się echem od ścian.

– Co teraz?

Stali w ciszy i gapili się żałośnie na zamknięty właz nad ich głowami. Światło przesączało się przez szpary, padając na pistolet leżący na podłodze między

nimi.

– Nic. Nic nie...

Ben zamilkł, a potem odwrócił się i wrócił w mrok. Opadł na węgiel, nagle przytłoczony ciężarem rozpacz. Dlaczego właśnie im musiało się to przytrafić? Co takiego zrobili?

Zerknął na Petera, który chodził w kółko, mrużąc coś pod nosem. Ben nigdy go nie lubił, ale nie chciał go zabijać, na miłość boską! Może broń nie jest prawdziwa? Wstał i chciał ją sprawdzić, ale Peter posłał mu takie spojrzenie, że natychmiast usiadł z powrotem.

Został w swoim własnym małym piekiełku. Nigdy nie czuł się dobrze w zamkniętych przestrzeniach. Zawsze lubił wiedzieć, gdzie znajduje się wyjście ewakuacyjne, bez względu na sytuację, w jakiej się znalazł. Teraz jednak został uwięziony, i to, co gorsza, pod ziemią. Pogrzebany żywcem. Czuł, jak dłonie zaczynają mu się trząść. W głowie mu szumiało, miał mroczki przed oczami, a skóra pokryła się potem. Od lat nie cierpiał na ataki paniki, ale rozpoznał oznaki. Świat zwałił mu się na głowę.

– Muszę stąd wyjść. – Ben zaczął się podnosić. Peter odwrócił się, zaskoczony i zdenerwowany. – Proszę, Peter, muszę stąd wyjść. POMOCY! BŁAGAM, POMOCY!

Krzyczał i krzyczał, próbując powstrzymać narastającą falę przerażenia, aż zrobiło mu się słabo i musiał przestać. Z pewnością ktoś ich znajdzie i uratuje, prawda? Alternatywa była nie do pomyślenia.

014/117

Mark Fuller opuścił komisariat chwilę po tym, gdy Charlie przekazała sensacyjne wieści. Sprawa zyskała zupełnie nowy wątek, na razie jednak zajmą się nim tylko ludzie od przetwarzania informacji oraz policjanci w mundurach. Właśnie trwało wymagające ogromnego nakładu pracy dwu- i trzykrotne sprawdzanie faktów; dopiero kiedy zaginięcie zostanie uznane za podejrzone, wkroczą detektywi z dochodzeniówki. Zapowiadało się, że następny dzień będzie pracowity dla Marka, Charlie i reszty zespołu, więc Helen odesłała ich do domu... Ale Mark nie zamierzał iść spać.

Zamiast tego pojechał do podmiejskiego Shirley. Zaparkował w spokojnej okolicy. Nigdy nie korzystał z własnego auta, żeby się nie wydało. Zniszczony golf z przyciemnionymi szybami miał odwrócić uwagę od roli, jaką przyszło mu odgrywać – i rzeczywiście: piesi ignorowali auto, stwierdzając, że to kolejny wrak odpicowany przez jakiegoś nastolatka. Samochód stanowił idealny punkt do potajemnej obserwacji.

W oknie pojawiła się siedmioletnia dziewczynka. Mark wyprostował się, nie odrywając od niej wzroku. Dziecko popatrzyło na ulicę, a potem zaciągnęło zasłony. Mark przeklinał swojego pecha – czasami Elsie stała w tym samym miejscu dobre dwadzieścia minut, albo nawet i dłużej. Rozglądała się po okolicy i czasem Mark przekonywał sam siebie, że szukała właśnie jego. Był to wymysł, ale poprawiał mu humor.

Usłyszał stukanie wysokich obcasów na chodniku i zjechał niżej na fotelu. W zasadzie niepotrzebnie, bo i tak nikt go nie widział, wstyd jednak popycha człowieka do robienia głupich rzeczy. Patrzył, jak szczupła trzydziestolatka maszeruje do domu. Zanim zdążyła włożyć klucz do zamka, drzwi się otworzyły, a kobieta trafiła w ramiona wysokiego, muskularnego mężczyzny. Całowali się długo i namiętnie.

I tak to wyglądało, w wielkim skrócie. Jego była żona odeszła do drugiego mężczyzny, a Mark został na lodzie. Zalała go fala gniewu. Podarował tej kobiecie

wszystko, a ona złamała mu serce. Co powiedziała, kończąc ich krótkie małżeństwo? Że nie kochała go wystarczająco mocno. Najbardziej bolesna ocena związku, jaka tylko istnieje. Nie zrobił nic złego. Po prostu jej *nie wystarczał*.

Poszli do ołtarza zbyt młodo, dziecko pojawiło się zbyt wcześnie... Niemniej przez chwilę chaos i emocje związane z rodzicielstwem zbliżyły ich do siebie. Połączył ich strach o to, że pozostawiony bez opieki noworodek przestanie oddychać, napędzana brakiem snu paranoja, że są złymi rodzicami, ale także ogromna radość na widok ich małej dziewczynki, która rośnie zdrowo i coraz lepiej sobie radzi. Niestety, Christina w końcu znudziła się ograniczeniami rodzicielstwa – otepiającą rutyną, wyrzeczeniami – i rzuciła się w wir pracy, co sprawiło, że ich kłótnie o opiekę nad dzieckiem stały się ohydne. Na rozprawach Christina porównywała naturalną opiekuńczość matki, swoje uporządkowane życie i dobrze płatną pracę z nieprzewidywalnym i niebezpiecznym życiem Marka jako gliniarza; nie omieszkła też dorzucić kilku anegdotek o jego problemie z alkoholem. A co zrobiła, kiedy dostała pełną opiekę nad Elsie? Natychmiast wróciła do pracy na pełen etat, a córkę powierzyła swojemu kochankowi. Kobieta, która kiedyś twierdziła, że kocha Marka całym sercem, okazała się zdradziecką i mściwą cipą.

Christina i Stephen weszli teraz do środka i wszystko ucichło. Elsie zostanie wykąpana i przebrana do spania w koszulkę z Hello Kitty i kapciuszki, które kupił jej Mark. Zasiądzie przed bajką CBeebies, skierowaną w zasadzie do młodszych dzieci, ale że Elsie ma do niej sentyment, nie przegapiła ani jednego odcinka. Nagle Mark poczuł, że jego gniew ustępuje miejsca potwornemu smutkowi. Jemu też rodzicielstwo ciążyło – ta niekończąca się sekwencja kąpiei, przebierania, bajek, odwiedzin u koleżanek i wielu innych rzeczy – ale oddałby wszystko, żeby wrócić do tej rutyny.

Głupio zrobił, przyjeżdżając tutaj. Mark uruchomił silnik i ruszył spod domu w nadziei, że zostawi problemy za sobą. Niestety uczepliły się jego mózgu jak rzep psiego ogona, zmuszając go do rozmyślania o własnych porażkach i samotności. Chociaż miał wrócić do siebie, nagle zmienił kierunek i skierował się na Castle Way. Niedaleko doków znajdował się pub, do którego po północy nie wpuszczano już klientów. Wystarczyło pojawić się tam przed zamknięciem drzwi, by pić całą noc. I właśnie to miał zamiar zrobić.

015/117

Dom Brightstonów okazał się imponującym wiktoriańskim budynkiem w bogatym Eastleigh. Helen chodziła w kółko przed wejściem, zła i sfrustrowana. Miała się tu spotkać z Markiem o dziewiątej trzydzieści. Dochodziła już prawie dziesiąta, a po nim nadal nie było śladu. Zostawiła trzecią wiadomość na jego poczcie głosowej, a potem postanowiła nie tracić więcej czasu i zadzwoniła do drzwi. Dlaczego Mark zawsze musi coś spieprzyć?

Otworzyła jej Sarah Brightston, ładna kobieta po czterdziestce. Ubrana w drogie ciuchy, nienagannie umalowana, nie okazała żadnych emocji, widząc Helen na swoim progu; zaprosiła ją do środka. Po wymianie uprzejmości detektyw od razu przeszła do rzeczy.

– Kiedy zgłosiła pani zaginięcie męża?

– Dwa dni temu.

– Chociaż nie pojawił się w domu wieczorem trzy dni temu?

– Peter czerpie z życia pełnymi garściami, czasami aż za bardzo. Uwielbia te wycieczki do Bournemouth i wcale nie zdziwiłabym się, gdyby upił wszystkich i musieliby odespać w miejscowym hostelu. Nie jest jednak bezduszny, więc zadzwoniłby na drugi dzień rano, żeby porozmawiać ze mną i z chłopcami.

– I nie ma pani pojęcia, gdzie mógłby się teraz znajdować?

– Biedak prawdopodobnie się zgubił! Pewnie zepsuł im się samochód i próbowali piechotą dotrzeć do najbliższego mechanika. A że wypił, pewnie po drodze zwichnął nogę, czy coś w tym guście. To by było bardzo w jego stylu. Nigdy nie miał dobrej koordynacji...

Mówiła z pełnym przekonaniem – ani przez chwilę nie wątpiła, że jej mąż żyje i ma się dobrze. Helen podziwiała jej optymizm, ale też zaintrygowało ją to.

– Ilu ludzi wysłali państwo na poszukiwania? – zapytała Sarah.

– Każdego wolnego policjanta.

Przynajmniej w tej kwestii nie kłamała. Faktycznie ostro wzięli się do poszukiwań, niczego jednak nie znaleźli i z godziny na godzinę obawy Helen

rosły. Droga, którą jechali mężczyźni, wyprowadziłaby ich z lasu w Calmore. Spacer byłby długi, ale łatwy. Było chłodno, jednak skoro nie padał śnieg...

Helen czuła, że przejścia Amy i zniknięcie Petera miały ze sobą coś wspólnego, niemniej zabroniła innym to sugerować. Oficjalnie nadal zajmują się sprawą zaginięcia. Helen nie powiedziała Sarah, że ma do czynienia z policjantką z wydziału zabójstw. Jeszcze przyjdzie na to czas.

– Czy Peter ostatnio chodził zamyślony? Miał jakiś problem? – zapytała.

Sarah pokręciła głową, a funkcjonariuszka rozejrzała się po elegancko wykończonym wnętrzu. Peter jako prawnik dużo zarabiał, a jego żona pracowała w handlu antykami, więc nie brakowało im pieniędzy.

– Czy ktoś nie prosił go ostatnio o pożyczkę? Nie zauważyła pani zmian w państwa sytuacji finansowej? Na korzyść? Niekorzyść?

– Nie, wszystko było... po staremu. Nigdy nie brakowało nam pieniędzy.

– Jak opisałyby pani swoje małżeństwo?

– Pełne miłości. Wierności. Silne.

Podkreśliła ostatnie słowo, jakby pytanie ją uraziło.

– Jakież problemy w pracy? – wypytywała dalej Helen, zmieniając temat.

Peter i Ben pracowali dla prestiżowej kancelarii adwokackiej specjalizującej się w prawie morskim. W prowadzonych przez nich długich procesach toczyła się walka o duże sumy pieniędzy, zwłaszcza jeśli chodziło o transport towarów. Zniknięcie dwóch prawników mogłoby być komuś na rękę.

– Narzekał ostatnio na wyjątkowo stresującą sprawę?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Pracował dłużej niż zwykle?

Nieznacznie pokręciła głową.

– Rozmawiał z panią na temat prowadzonych przez siebie procesów?

Sarah twierdziła, że nie ma pojęcia o szczegółach pracy męża, więc Helen zanotowała w pamięci, by sprawdzić te rzeczy w kancelarii. Przez cały czas miała jednak paskudne przeczucie, że do niczego jej to nie doprowadzi. Rozglądając się po ścianach w poszukiwaniu inspiracji, zauważyła zdjęcie Petera na słonecznej plaży, uśmiechniętą głowę rodziny pośrodku grupki wczasowiczów. Sarah podążyła za jej wzrokiem i opowiedziała o fotografii, przy okazji wspominając o planowanej na Wielkanoc rodzinnej wycieczce do Bostonu. Kobieta była

przekonana, że Peter wkrótce się pojawi i życie wróci do normalności. Helen również chciała w to wierzyć, ale nie potrafiła. W głębi duszy obawiała się, że Sarah już nigdy nie zobaczy męża.

016/117

Był środek nocy. Peter Brightston przemarzył do szpiku kości. Zawsze nosił lekkie garnitury, nawet zimą, ponieważ dużo się pocił. Bardzo tego teraz żałował. Gdzieś w New Forest stał samochód Bena, a w nim leżał jego płaszcz z podpinką, który dostał od Sarah na urodziny. Przeklinając głośno, owinął się szczelniej marynarką.

Oddychał ciężko; z jego ust wydostawał się obłok pary. W zasadzie niczego poza tym nie widział – zapadł zmrok, a razem z nim nastąpiły egipskie ciemności. Czuł, że niedaleko siedzi Ben, niestety nie mógł go dostrzec. Co robił? Ben to w gruncie rzeczy dobry koleś, ale źle się czuł na zamkniętej przestrzeni. Wcześniej omal nie zemdlał; dostał jakiegoś ataku paniki, a potem krzyczał przez sen. Otaczające ich stalowe ściany wzmacniały odgłosy nocnego strachu, tworząc koszmarną atmosferę i sprawiając, że Peter czuł w trzewiach tępą, dręczącą trwożę. Czy aby na pewno zostaną odnalezieni na czas? A może umrą w tej paskudnej dziurze?

Peter spojrzał mniej więcej w kierunku Bena i korzystając z panujących ciemności, wsunął rękę do kieszeni. Nigdy nie podróżował bez paczki miętówek – nie można wracać do domu, śmierdząc alkoholem – i powoli, ostrożnie, wyciągnął ostatni cukierek. Szybko wrzucił go do ust. Kiedy tu trafili, miał pół paczki. Zjadł wszystkie, nie mówiąc o nich Benowi. Nie wątpił, że Ben na jego miejscu zrobiłby to samo, więc dlaczego nie? Jeśli nawet miał jakieś wyrzuty sumienia, skutecznie zagłuszyło je burczenie w brzuchu. Obracał miętówkę językiem, pozwalając, by cukier rozpuścił się i popłynął do żołądka. Uczucie było ciepłe, słodkie, kojące.

I co teraz? Jego niewielkie zapasy właśnie się skończyły. Nie mógł spać, co tylko wzmagało głód. Co ma – mają – teraz zjeść, do cholery? Węgiel? Zaśmiał się, po czym zdusił ten wybuch gorzkiej radości. Echo brzmiało dziwnie, a Peter i tak miał nerwy w strzępach. *Musi się uspokoić.* Dwa razy w ciągu pięciu lat przechodził zawał i nie potrzebował kolejnego – na pewno nie tutaj.

Z początku zszokowało go ich więzienie, ale od czasu telefonu był bardzo aktywny; rozpaczliwie próbował znaleźć jakieś wyjście z ich sytuacji. Ściany silosu w niektórych miejscach nadzarta rdza; po męczącym szarpaniu mężczyźnie udało się oderwać długi, sześciocentymetrowy kawałek metalu. Zawsze to jakiś początek. Zaczął uderzać w stal dokoła, próbował wybić dziurę w ścianie, a nawet wykorzystać pręt jako podporę do wspinaczki. Wszystko to jednak okazało się bezcelowe. W końcu Peter opadł na węgiel.

Nagle poczuł, że po jego twarzy płyną łzy. Myśl o śmierci w tej dusznej dziurze napełniała go rozpaczą. Miał przyjemne życie. Zrobił wiele dobrych rzeczy, a przynajmniej się starał. Nie zasłużył na *to*. Nikt na *to* nie zasłużył. Wściekle odgarniając węgiel, Peter wykopał sobie niewielkie wgłębienie i ułożył się w nim do snu. Czy Ben wciąż spał? Uciszył się teraz i Peter nie miał pewności. Może trzeba było zareagować na jego krzyki? Może się obraził? Czy będzie to miało wpływ na jego myślenie, skoro teraz... Peter pozwolił myśli odpłynąć; nie chciał zapuszczać się w te rejony. Niestety prawda była taka, że nie miał pojęcia, co Ben myślał lub czuł. Znał go jako kolegę z pracy, ale nie jako człowieka. Ben nigdy nie opowiadał o swojej przeszłości – dlaczego? Czy to przez niego się tu znaleźli? Peter już miał zawołać Bena i zażądać wyjaśnień, lecz ugryzł się w język. Lepiej o nic go nie oskarżać – nie wiadomo, jak zareaguje.

Leżąc na zimnym węglu, zaczął ganić samego siebie za brak zainteresowania Benem. Niestety nigdy nie da się nikogo poznać tak do końca...

I właśnie ta myśl nie pozwoliła mu usnąć przez całą noc.

017/117

W centrum operacyjnym panowało duże poruszenie. Zdjęcia Amy i Sama zostały przyłączone do tablicy, razem z mapami ich podróży z Londynu do Hampshire, planami i fotografiami opuszczonego basenu, listą przyjaciół oraz krewnych i tak dalej. Sanderson, McAndrew i Bridges wydzwaniali do potencjalnych świadków, a inni przy stanowiskach komputerowych wpisywali wszystkie detale do systemu HOLMES2, porównując szczegóły porwania z dziesiątkami tysięcy innych przestępstw w ogromnej policyjnej bazie. Grounds stał nad nimi, skrupulatnie przyglądając się wynikom.

Mark zatrzymał się w progu i nie potrafił wejść do środka. We łbie mu huczało i co chwilę ogarniały go mdłości – sam ruch panujący w pomieszczeniu przyprawiał go o zawroty głowy. Miał ochotę odwrócić się i uciec, ale wiedział, że musi stawić czoło rzeczywistości. Zrobił krok do przodu i ruszył prosto do biurka Charlie.

– W samą porę! – powiedziała radośnie. – Za dziesięć minut mamy zebranie. Już miałam blefować, ale skoro tu jesteś...

Mark naprawdę lubił Charlie w dni takie jak ten. Chociaż zachowywał się skrajnie nieprofesjonalnie, dziewczyna nigdy go nie osądzała. Jak zawsze pozostawała lojalna i okazywała mu wsparcie. Marka ogarnęły wyrzuty sumienia, że znowu ją zawiódł.

– Może napijesz się kawy? Mógłbyś się trochę odświeżyć i przygotować do burzy mózgów – ciągnęła.

Właśnie wstawiała z fotela, kiedy w pomieszczeniu dało się słyszeć wyraźny głos Helen.

– Miło pana widzieć, detektywie Fuller.

Mark poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Niedługo cieszył się chwilą ulgi. Odwrócił się na pięcie i ruszył ze wstydem do biura Helen. Reszta udawała, że jest bardzo zajęta, kątem oka jednak wszyscy patrzyli na skazańca.

Mark zamknął za sobą drzwi i stanął twarzą do Helen. Nie wskazała mu krzesła, więc nie usiadł. Najwyraźniej chciała, żeby reszta zespołu go widziała. Odczuwany przez niego wstyd stał się nieco bardziej dojmujący.

– Przepraszam, szefowo.

Helen uniosła wzrok znad papierów.

– Za co?

– Za to, że nie przyjechałem na umówione spotkanie. Za brak profesjonalizmu. Za...

Mark przygotował po drodze na komisariat przemowę, niestety gdy teraz intensywnie próbował przypomnieć sobie następne słowa, nic nie przychodziło mu do głowy. Poczuł jeszcze większe dudnienie i zawroty – chciał uciec stąd jak najdalej.

Helen patrzyła na niego, ale trudno było rozszyfrować jej wyraz twarzy. To gniew? Rozczarowanie? Czy tylko znudzenie?

Długa chwila ciszy. Potem wreszcie Helen przemówiła.

– A więc...?

Mark gapił się na nią, niepewny, czego właściwie się po nim spodziewa.

– Zamierzasz mi powiedzieć, co się dzieje? Spóźniłeś się. Jesteś pijany. Do emerytury ci daleko, a wyglądasz jak gówno.

Nie zamierzał zaprzeczać, więc w ogóle się nie odezwał. Wiedział z doświadczenia, że Helen w takich chwilach lepiej nie przerywać.

– Wiem, że masz za sobą ciężki okres, Mark, ale musisz zrozumieć, że jesteś o krok od zrujnowania sobie życia. Whittaker z chęcią wykorzysta tę okazję, żeby się ciebie pozbyć, uwierz mi. Nie chcę, żeby tak się stało, więc lepiej powiedz, co się dzieje. Mamy przed sobą trudne zadanie i potrzebuję cię obecnego zarówno ciałem, jak i umysłem.

– Wyszedłem na kilka drinków...

– Spróbuj jeszcze raz.

W głowie Marka zadudniło szybciej, głośniejsze.

– No dobra, dużo drinków, ale spotkałem się z kilkoma kumplami...

– Jeszcze raz. I jeśli znowu mnie okłamiesz, sama zadzwonię do Whittakera.

Mark wbił wzrok w podłogę. Nienawidził przykrego zainteresowania, jakie wzbudzało jego picie. Wyczuwał wyraźną dezaprobatę. Wszyscy wiedzieli, że

Helen jest abstynentką; jak miał się przyznać do codziennych zgonów i nie zabrznieć przy tym żałośnie?

– Gdzie poszedłeś?

– Do Unicorna.

– Chryste. I?

– Piłem tam od ósmej do ósmej. Piwo, whisky i wódkę.

Proszę bardzo, jak na spowiedzi.

– Od kiedy?

– Od dwóch miesięcy. Może trzech.

– Każdej nocy?

Mark wzruszył ramionami. Nie potrafił zmusić się do potwierdzenia, chociaż wydawało się oczywiste, że tak właśnie zabrzmiałaby odpowiedź. Zarówno w oczach Helen, jak i Marka stało się jasne, że był na dobrej drodze do alkoholizmu. Zauważył swoje odbicie w szybie za plecami Helen. W głowie ciągle widział siebie jako przystojnego mężczyznę sprzed roku – wysokiego, smukłego, z gęstymi, kręconymi włosami – w rzeczywistości zaś widać było po nim, w jakim stanie się znalazł. Poszarzała skóra, pusty wzrok. Nieogolony, powłóczyący nogami zombiak.

– Chyba nie dam rady dłużej.

Nie chciał tego powiedzieć, samo wyszło. Naprawdę potrzebował z kimś porozmawiać. Helen zawsze była wobec niego fair. Zasłużyła sobie na szczerą.

– To nie w porządku wobec ciebie i reszty zespołu...

Helen przyjrzała mu się. Po raz pierwszy tego dnia Mark zobaczył, jak jej rysy łagodnieją.

– Wiem, jak się czujesz, Mark, i jeśli chcesz trochę wolnego, nie ma sprawy. Ale nie odejdziesz.

W jej głosie zabrzmiała wyraźna nuta determinacji.

– Jesteś za dobry. Nigdy nie miałam lepszego śledczego.

Mark nie wiedział, co powiedzieć. Spodziewał się kpin, Helen jednak mówiła do niego łagodnie, a propozycja pomocy wydawała się szczerą. To prawda, że wiele razem przeszli – w zeszłym roku rozwiązali na przykład sprawę morderstw z Paget Street, która stała się najważniejszym punktem kariery Marka – a z czasem wytworzyły się między nimi silne więzi zawodowe. W wielu

kwestiach jej serdeczność była gorsza od drwin.

– Chcę ci pomóc, Mark – ciągnęła. – Ale będziesz musiał ze mną współpracować. Jesteśmy w środku sprawy, morderstwa, więc kiedy mówię, że masz się gdzieś pojawić o dziewiątej trzydzieści, lepiej żebyś się tam pojawił. Jeśli nie możesz albo nie chcesz, załatwię ci przeniesienie, ewentualnie zawieszenie. Rozumiesz?

Mark pokiwał głową.

– Nigdy więcej wódki na śniadanie – kontynuowała. – Nigdy więcej wypraw do pubu w porze lunchu. Jeśli mi zaufasz, pomogę ci przez to przejść... Ale musisz mi zaufać. Ufasz mi?

Mark spojrzał jej prosto w oczy.

– Oczywiście.

– Świetnie. W takim razie do roboty. Zebranie za pięć minut.

I w ten sposób wrócili do pracy. Mark wyszedł z jej biura zaskoczony, ale pozytywnie. Helen Grace zawsze potrafiła wprawić go w zdumienie.

018/117

Jadąc na motorze z powrotem do swojego mieszkania w centrum, Helen przypominała sobie rozmowę z Markiem. Była dla niego zbyt surowa? Zbyt łagodna? Powtarzała błędy przeszłości? Wciąż ją to gryzło, kiedy zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Wsunęła łańcuch na miejsce i ruszyła do łazienki. Nie spała od czterdziestu ośmiu godzin i potrzebowała porządnego prysznica.

Stała twarzą do strumienia, pozwalając wodzie spływać po szyi i piersiach, a potem odwróciła się. Kiedy gorąca woda zetknęła się z plecami, ciało Helen przeszła fala bólu. Z początku był obezwładniający, potem jednak powoli złagodniał i Helen znowu się uspokoiła.

Wycierając się, ruszyła do sypialni. Już sucha, rzuciła ręcznik na podłogę i spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze. Nago wyglądała atrakcyjnie, ale niewielu miało okazję ją podziwiać. Ostrożnie podchodziła do intymności i łączących się z nią nieodzownie pytań, więc jej kontakty z płcią przeciwną były przypadkowe i krótkie. Nie sprawiała im tym przykrości – w większości wypadków mężczyźni wydawali się niezwykle zadowoleni, że zechciała iść z nimi do łóżka i nie zostawała na śniadanie.

Otworzyła szafę i spojrzała na rzędy jeansów i koszul, a potem wybrała jednak dresy i podkoszulkę; miała później pojawić się na treningu sztuk walki, nie było sensu dwa razy się przebierać. Zawahała się przez chwilę i zerknęła na swoje dawne mundury policyjne, schludnie przechowywane w workach próżniowych. W tamtym okresie kształtowała się jej osobowość. Moment, w którym po raz pierwszy związała włosy, zapięła rzepy kamizelki kuloodpornej i ruszyła na ulice, był najszcześniejszym w jej życiu. Wreszcie poczuła, że gdzieś przynależy. Że ma znaczenie. Cieszyła się z tego, jak zmieniły się jej wygląd i samopoczucie – neutralny płciowo uniform pasował do bezpieczeństwa i siły, jaką dawał. Niczym przebranie, ale takie, które wszyscy rozpoznawali i szanowali. Gdzieś w głębi duszy tęskniła za tamtym czasem. Ambicja i brak cierpliwości nie pozwoliły jej jednak zbyt długo pozostawać szeregową policjantką.

Porzuciwszy te nostalgiczne myśli, zrobiła sobie herbaty i poszła do salonu. Pomieszczenie było duże i spartańsko urządzone. Na ścianach nie wisało zbyt wiele fotografii, nigdzie nie leżały rozrzucone czasopisma. Czysto i schludnie; wszystko na swoim miejscu.

Helen wybrała książkę i zaczęła czytać. Półki ugięły się od publikacji na temat zachowań przestępczych, seryjnych morderców i historii akademii FBI w Quantico; było widać, że czytano je wielokrotnie. Raczej nie przepadała za fikcją – nie wierzyła w szczęśliwe zakończenia – ale za to ceniła wiedzę. Kartkując ulubiony podręcznik psychologii kryminalnej, Helen zapaliła papierosa. Wiele razy chciała rzucić palenie, ponieważ jednak zawsze wracała do nałogu, przestała nawet próbować. Mogła znieść wyrzuty sumienia, bo tytoń wciąż dawał jej porządnego kopa. Powtarzała sobie, że każdy ma jakiś paskudny zwyczaj.

Nagle znów przyszedł jej do głowy Mark. Jej słowa odniosły skutek? Czy facet właśnie topił smutki w barze? Swój nałóg może przypłacić posadą albo nawet życiem – miała ogromną nadzieję, że uda mu się zawrócić z tej drogi. Nie chciała go stracić.

Helen próbowała skupić się na książce, ale czytała słowa bez zrozumienia i wciąż musiała wracać do tych samych miejsc, bo nie nadążała za logiką wyводу. Nigdy nie szło jej leniuchowanie – to między innymi dlatego tak dużo pracowała. Mocniej zaciągnęła się papierosem. Zauważyła, że znowu wzbierają w niej znajome nieprzyjemne uczucia. Zgasła peta, a książkę położyła na stoliku. Złapała torbę z rzeczami na siłownię i pobiegła po motor. Może wpadnie po drodze na komisariat, by sprawdzić, czy nie ma nic nowego? W każdym razie zajmie się czymś przez najbliższe godziny i ciemność nie wygra.

019/117

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam, jak ojciec bije matkę. W zasadzie to i tak nie pamiętam zbyt dobrze rzeczy, które widzę. W moich wspomnieniach znacznie wyraźniej zapisują się dźwięki. Odgłos pięści uderzającej w twarz. Ciało padającego na stół w kuchni. Czaszki lądującej na ścianie. Szlochu. Krzyku. Niekończącego się znęcania.

Nigdy się nie przyzwyczajasz, za to zaczynasz się tego spodziewać. I za każdym razem stajesz się ciut bardziej rozzłoszczony. I czujesz się nieco mniej bezradny.

Nigdy nie walczyła; właśnie to mnie tak wkurzało. Po prostu przyjmowała ciosy, zupełnie jakby na nie zasługiwała. Naprawdę tak myślała? Nieważne, jeśli ona nie zamierzała z nim walczyć, ja to zrobię. Następnym razem.

Nie musiałam czekać zbyt długo. Najlepszy kumpel ojca, Johnno, zmarł z przedawkowania heroiny, po pogrzebie ojciec pił przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy. Kiedy mama chciała go powstrzymać, uderzył ją z dyńki w twarz – złamał jej nos, cholera jasna. Nie zamierzałam tego tolerować. Dlatego kopnęłam tego głupiego cwela w jaja.

Złamał mi rękę, wybił przednie zęby i omal nie udusił paskiem. Naprawdę myślałam, że mnie zabije.

Terapeutka kiedyś zasugerowała, że właśnie to wydarzenie leży u podstaw mojej nieumiejętności tworzenia zdrowych związków z mężczyznami. Pokiwałam tylko głową, a tak naprawdę miałam ochotę splunąć jej w twarz.

020/117

Czy można umrzeć ze strachu? Peter nie poruszył się od kilku godzin.

– Peter?

Wciąż nic. W sercu Bena zagościła nadzieja. Może serce jego kolegi nie wytrzymało pod naporem teatralnego uzalania się nad sobą? Tak, właśnie to się stało. I świetnie. Doskonałe rozwiązanie. Przetrwają najsilniejsi.

Ben natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Życzył komuś śmierci. To żałosne, że w ogóle o tym pomyślał, biorąc pod uwagę to, co razem przeszli. Poza tym... nawet jeśli Peter nie żyje, czy to się będzie liczyć? Czy Ben zostanie wypuszczony? Przecież go nie zabił.

Myśli Bena powędrowały do ich porywaczki. Nie rozpoznał jej – a przyciągała uwagę swoimi czarnymi warkoczykami i pełnymi ustami – więc dlaczego wybrała właśnie ich? To jakiś chory żart z reality show? Ktoś wyskoczy z ukrycia, gdy tylko okaże się, że w magazynku są same ślepe naboje? Ton jej głosu w telefonie sugerował coś innego. Kobieta pragnęła krwi.

Ben zaczął płakać. W jego dotychczasowym życiu przelano jej tyle, że taki koniec wydawał się wyjątkowym okrucieństwem.

Teraz. Dlaczego nie? Zrobi to tylko po to, by zobaczyć, czy Peter żyje. Wygląda na martwego, więc żadna szkoda, prawda?

– Peter...? Peter?

Ben podniósł się. Nie dało się zrobić tego po cichu, więc poruszał się ostentacyjnie głośno. Przeciągając się i ziewając, powiedział:

– Idę się wysrać, Peter. Przepraszam.

Nic.

Ben zrobił krok w kierunku broni. Potem kolejny.

– Słyszysz mnie, Peter?

Pochylił się powoli. Strzyknęło mu w kostce – odgłos odbił się echem po wnętrzu silosa – więc zatrzymał się. Potem ostrożnie i po cichu podniósł pistolet.

Zerknął na Petera, spodziewając się, że ten wstanie, zaalarmowany, ale tak się nie stało. Ben żałował; w innej sytuacji przynajmniej mógłby z nim walczyć.

Bez problemu znalazł bezpiecznik, a potem wycelował bronią w plecy Petera. Nie, nie zrobi tego w ten sposób. Mógłby spudłować albo tylko go zranić. Kto wie, co może nawyrabiać rykoszet w tej metalowej puszcze. Zabić ich obu? Tak, to byłby dobry dowcip.

Przestań się wykręcać...

Ben zrobił krok do przodu.

– Peter?

Naprawdę nie żył. Mimo to powinien strzelić, żeby się upewnić. Musi się stąd wydostać. Pomyślał o Jennie, swojej narzeczonej. Która będzie cierpieć. Którą zobaczy już niedługo. Która mu wybaczy. Oczywiście że mu wybaczy. W końcu zrobi tylko to, co musi, co każdy inny zrobiłby na jego miejscu.

Kolejny krok.

Ben opuścił broń tak, że lufa omal nie dotykała karku Petera. To koniec, pomyślał, i zaczął naciskać spust. I właśnie wtedy Peter nagle się podniósł, wbijając ostry kawałek metalu w lewe oko Bena.

021/117

Helen w końcu nie dotarła na siłownię. Kiedy pojawiła się w komisariacie, natychmiast dopadła ją Charlie. Beztroska policjantka tym razem miała bardzo poważny wyraz twarzy. Po krótkiej szeptanej rozmowie wymaszerowały z pomieszczenia.

– Lesbijski wieczorek na siłce? – rzucił Bridges, nieudolnie udając, że wcale nie nęci go jak najbardziej heteroseksualna Charlie.

Helen i Charlie pędziły przez centrum miasta, żeby dostać się do Zakładu Medycyny Sądowej. Pięciominutowa podróż może trwać nawet pięć razy dłużej w godzinach szczytu, a teraz na ulicach Southampton pełno było ludzi robiących przedświąteczne zakupy i imprezowiczów. Właśnie trwał sezon na przyjęcia bożonarodzeniowe w biurach. Helen warknęła z frustracją na taksówki tarasujące pasy dla autobusów. Wyciągnęła koguta i wreszcie niechętnie utorowano jej przejazd. Przyśpieszyła i wjechała w świeżo utworzoną kałużę wymiocin, ochlapując przy tym zaskoczonego winowajcę. Charlie powstrzymała się od uśmiechu.

Kiedy kobiety pojawiły się w budynku Zakładu Medycyny Sądowej, srebrny lexus Bena Hollanda stał przygotowany do inspekcji. Sally Stewart, oddana pracownica zakładu, już na nie czekała.

– Charlie pewnie przekazała ci najważniejsze informacje, ale myślę, że powinnaś sama to zobaczyć.

Przeszły pod samochód i spojrzały w górę. Sally podświetliła latarką prawy tylny łuk nad kołem.

– Dość brudny, co nie dziwi, biorąc pod uwagę liczbę kilometrów przebytych w ciągu tygodnia. Ale to miejsce jest bardziej zanieczyszczone i śmierdzące niż inne. Dlaczego? Ponieważ jest pochłapane benzyną.

Pokazała im gestem, żeby się ruszyły, i gdy znalazły się poza samochodem, Sally obniżyła go tak, by znajdował się niemal na poziomie ich wzroku.

– Oto dlaczego.

Korzystając z pomocy zastępcy, kobieta ostrożnie zdjęła spojler z prawej strony pojazdu. Ich oczom ukazało się wnętrze auta, a Sally skierowała światło latarki na zbiornik paliwa. Helen szerzej otworzyła oczy.

- Zbiornik został przekłuty. Nie ma dużej dziury, ale ze względu na umiejscowienie paliwo wyciekłoby z czasem całkowicie. Sądząc po jego resztkach na łuku, powiedziałabym, że samochód był porządnie zatankowany, kiedy panowie wyjechali z Bournemouth. Zbiornik opróżniałby się szybko i bez przerwy. Według moich obliczeń mniej więcej z prędkością półtora litra na minutę, co oznacza, że kierowcy zabrakłoby benzyny jakoś w połowie New Forest. Chociaż trudno mi ocenić, dlaczego jechał akurat tamtędy...

Helen nic nie powiedziała. Jej mózg działał na najwyższych obrotach, próbując przetrwać nowe informacje.

- Kolejne pytanie brzmi: czy to wypadek? Wszystko jest możliwe, ale moim zdaniem dziura jest zbyt okrągła, zbyt gładka. Zupełnie jakby ktoś wbił niewielki gwóźdź w dno zbiornika. Jeśli to faktycznie sabotaż, to prosty i efektywny.

I tymi słowami zakończyła. Nie do niej należało ustalanie przyczyn - Sally tylko przekazywała fakty. Helen i Charlie spojrzali po sobie - było jasne, że myślą o tym samym. Ben dopiero co napełnił bak, więc nie przyglądał się wskaźnikowi poziomu paliwa i zapewne do ostatniej chwili nie zdawał sobie sprawy, że kończy mu się benzyna. Nawet jeśli zapaliła się odpowiednia kontrolka, to zaledwie minutę czy dwie przed całkowitym opróżnieniem zbiornika.

- Musiała wiedzieć - myślała na głos Helen. - Musiała wiedzieć, że Ben i Peter jeżdżą tamtędy co tydzień. Że Ben napełnia bak na stacji Esso. Musiała przygotować się w najmniejszych szczegółach: wielkość zbiornika, zużycie paliwa, odpowiednia dziura...

- Wszystko po to, by zatrzymali się dokładnie w tym miejscu, w którym chciała - Charlie dokończyła za Helen.

- *Śledziła* ich. Od tego zaczniemy. Jedź do rodziny Amy i zapytaj o wszelkie oznaki podejrzanego zainteresowania, dziwne włamanie, cokolwiek. To samo z Hollandami i Brightstonami.

To był ich pierwszy krok. Helen miała nadzieję, że uda się w ten sposób coś osiągnąć, w głębi duszy spodziewała się jednak długiej, ciężkiej i śmiertelnej rozgrywki. Stało się jasne, że mają do czynienia z kimś bardzo zorganizowanym,

inteligentnym i dokładnym. Motywy zbrodni wciąż pozostawały tajemnicą, nie było jednak wątpliwości, z jakim mordercą przyszło im się mierzyć. Najważniejsze pytanie brzmiało: gdzie są Ben i Peter? I czy któryś z nich przeżyje?

022/117

Minęło już kilka godzin, a poziom adrenaliny nie spadał. Gniew nie poddał się jeszcze wyrzutom sumienia, więc Peter Brightston chodził w kółko, przeklinając swoją ofiarę. Kolesi miał zamiar go *zabić*, strzelić prosto w kark – czego on się spodziewał?

Zaśmiał się gorzko, wspominając chwilę, w której dawał Benowi pracę w firmie. Wybrał go spośród kandydatów z lepszymi kwalifikacjami, ponieważ polubił jego odwagę, jego zapał. I jak mu się odwdzieczył? Nie zastanawiając się zbyt długo, chciał odstrzelić mu łeb. Dupek. Ale dostał za swoje i wył z bólu, gdy Peter wbił mu metalowy odłamek w oko.

Peter zacisnął pięść na broni, na której powoli krzepła krew Bena. Nawet gdy najgorsze miał już za sobą, nie chciał – nie potrafił – się jej pozbyć.

To była samoobrona. Oczywiście. Musi to sobie powtarzać. A jednak... przygotował swoją broń ostrożnie i cicho, więc nie mógł się oszukiwać, że niczego nie zaplanował, prawda? Wiedział, że Ben go nie lubi, nie szanuje. Że żartuje sobie z niego za jego plecami. Można się było spodziewać, że postawi siebie na pierwszym miejscu, prawda? Peter wiedział o tym i przygotował się. To było jedyne sensowne rozwiązanie. Miał żonę i dzieci. A co miał Ben? Narzeczoną, którą wszyscy uważali za głupią i chciwą. Ich ślub mógłby rywalizować ze ślubem Katy Perry pod względem kiczu – różowy powóz, bezowe suknie, kucyki i pazie, wzmianka w „Hello”, o której będzie się mó...

Ben nie żyje. Jego krew wypływa z dziury w głowie. Nie będzie żadnego ślubu.

Cisza. Najbardziej przerażająca, samotna cisza, jakiej Peter kiedykolwiek doświadczył. Zabójca sam na sam ze swoją ofiarą. O Boże.

A potem oślepiające światło. Właz został otwarty i do środka wpadały promienie słońca w zenicie, aż oczy zapiekły. Coś ciężkiego spadło mu na głowę.

Drabinka sznurowa.

Jego płuca wypełniły się świeżym, bogatym w tlen powietrzem, a całym ciałem

wstrząsnęły spazmy euforii. Odzyskał wolność, zachował życie. *Przetrwał.*

Utykając, ruszył w dół cichej, wiejskiej drogi. Nikt tu się już nie pokazywał, więc jakie miał szanse na spotkanie kogoś, kto mu pomoże? Nawet teraz, gdy odzyskał wolność, wciąż podejrzewał oszustwo. Czuł, że jego porywaczka teraz śmieje się ze swej ofiary. Że zostanie złapany. Peter pogodził się już z wizją śmierci w ciemnej dziurze – czy to w ogóle możliwe, by ta kobieta dotrzymała obietnicy? W oddali dostrzegł oznaki życia i przyśpieszył.

Zaśmiał się, kiedy wreszcie zobaczył „Zapraszamy” wypisane zawadiacką czcionką nad drzwiami sklepu wielobranżowego. Napis wydawał się tak przyjazny, że Peter aż się popłakał. Wpadł do środka. Powitało go morze zaniepokojonych twarzy emerytów i dzieciaków zszokowanych jego przerażającym wyglądem. Z twarzą obryzganą krwią, śmierdzący moczem, Peter ruszył w stronę kasy. Zemdlał, zanim się tam dostał, wpadając na wystawkę chipsów Doritos. Nikt nie podszedł, by mu pomóc. Wyglądał jak trup.

023/117

Dunston stała dumnie na zachodnim krańcu Southampton Water. W czasach swojej świetności ta elektrownia węglowa dostarczała energię na południowe nabrzeże i jeszcze dalej. Zamknięto ją tymczasowo w 2012 roku; padła ofiarą determinacji, z jaką rząd Wielkiej Brytanii próbował odmłodzić krajowe źródła energii. Dunston była stara, nieefektywna i nie mogła konkurować z bardziej ekologicznymi elektrowniami, które budowano w innych częściach państwa. Pracownicy zostali przeniesieni, a budynki zabezpieczono. Miano je zburzyć dopiero za dwa lata, więc na razie stały niczym puste pomniki wspaniałej przeszłości. Ogromny komin rzucał cień na miejsce zbrodni i przyprawiał Helen o ciarki, gdy szła w stronę policyjnej taśmy, furkoczącej na wietrze wiejącym od morza.

Mark szedł za nią krok w krok. Celowo przywiózł Helen samochodem z komisariatu. Nie pił i wyglądał na nieco bardziej wypoczętego. Być może jej słowa odniosły jednak jakiś skutek... Kiedy szli obok siebie, oczy Helen wędrowały to w tę, to w inną stronę, oceniając możliwości.

Kiedyś zainstalowano tu alarm, ale gdy złodzieje miedzi zniszczyli go po raz setny, podjęto decyzję o nienaprawianiu go już więcej. I tak zabrano już wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Co oznaczało, że „ona” musiała już tylko zdjąć łańcuch z głównej bramy i wjechać na plac. Znajdą ślady opon? Odciski butów? Do podziemnego silosa z węglem łatwo można było się dostać, a zbyt ciężki dla człowieka wjazd bez problemu dawał się otworzyć dzięki wykorzystaniu samochodu z łańcuchem. Głębokie ślady opon sugerowały, że „ona” tak właśnie zrobiła. Czyli wiedzą już, jak przetransportowano ofiary.

– Jak przeniosła ich z vana do silosu? – zapytał Mark, czytając jej w myślach.

– Ben miał prawie metr osiemdziesiąt, ale był szczupły. Jak myślisz? Siedemdziesiąt pięć kilogramów?

– Pewnie. Nawet kobieta byłaby w stanie przeciągnąć sama taki ciężar, ale Peter ważył...

- Dziewięćdziesiąt kilogramów, albo i lepiej.

Helen schyliła się, żeby lepiej widzieć. Nie ulegało wątpliwości, że ziemia przy włazie została naruszona... ale czy to rezultat wciągnięcia dwóch ofiar do środka, czy niezgrabnego wdrapywania się Petera na zewnątrz?

Popelniali wyraźny błąd. Doświadczony policjant nigdy nie dokonuje instynktownych osądów na temat przestępstwa czy tożsamości sprawcy. Helen *wiedziała* jednak, że to drugie morderstwo w serii. Nawet gdyby zignorowali dowody sabotażu w samochodzie Bena, historia Petera Brightstona była tak bliska zeznaniom Amy, że nie dało się nie połączyć obu zdarzeń. Ból, wyrzuty sumienia i przerażenie, wymalowane na twarzy Petera, wcześniej widać było na twarzy Amy. Oboje stanowili żywy dowód czyjegoś sadyzmu. Czy o to w tym wszystkim chodziło?

Stało się jasne, że mają do czynienia z seryjnym zabójcą. Helen odbyła kursy, przeczytała akta wielu spraw, nic jednak nie mogło jej przygotować na coś takiego. Zazwyczaj motyw, związek sprawcy z ofiarą, był łatwy do odgadnięcia; tutaj ofiar nie łączył ani wiek, ani płeć, ani status materialny. Helen miała wrażenie, że coś zasysa ją w ciemny, długi tunel. Poczowała falę depresji i musiała się uszczyplnąć, żeby się z niej otrząsnąć. Złapie osobę odpowiedzialną za te morderstwa. Oczywiście że złapie.

Helen i Mark podeszli do włazu. Grace poprosiła o drabinkę – chciała się tam dostać jak najszybciej i poznać najgorsze. Wejście było już otwarte; mogła zajrzeć do środka. W mroku leżało ciało mężczyzny, którego zabił Peter. Bena Hollanda.

- Chcesz zejść? Czy ja mam to zrobić?

Mark miał dobre chęci, nie chciał traktować jej jak „słabszej płci”. Helen musiała jednak to zobaczyć sama.

- Nie ma problemu. To nie zajmie zbyt dużo czasu.

Ostrożnie zeszła po drabince do wnętrza silosu. Zapach był bardzo mocny; pył węglowy i fekalia. Technicy z Zakładu Medycyny Sądowej znaleźli w odchodach Sama i Amy ślady silnych środków usypiających, benzodiazepin. Tutaj pewnie też je odnajdą. Helen przeszła do ofiary. Mężczyzna leżał twarzą do dołu, a jego ciało wykręciło się od upadku. Wokół głowy utworzyła się kałuża krwi. Helen klęknęła, starając się niczego nie dotykać, i wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na twarz zmarłego.

Obrzydzenie, a potem zaskoczenie. Obrzydzenie na widok dziury w miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się jego oko. Zaskoczenie, gdy zdała sobie sprawę, że to nie był Ben Holland.

024/117

Jake nie wierzył własnym oczom, kiedy znowu ją zobaczył. Dotychczas dało się przewidzieć jej wizyty: jedna godzinna sesja na miesiąc. Miał ochotę nie odpowiedzieć na dzwonek – było już po jedenastej, poza tym wszystkie spotkania należało zapowiedzieć ze względów bezpieczeństwa. Kiedy jednak zobaczył jej twarz na ekranie, zmartwiła go. Zmartwiła i zaintrygowała.

Coś się wydarzyło. Nie patrzyła na niego, kiedy weszła do mieszkania, nawet słowem nie wspominając o późnej godzinie. Zazwyczaj posyłała mu uśmiech albo przynajmniej mówiła „cześć”. Ale nie dzisiaj. Była rozkojarzona, zamyślona, jeszcze mniej komunikatywna niż zazwyczaj. Położyła pieniądze na stole i zdjęła ubranie, nie patrząc na niego. Potem ściągnęła też bieliznę i stanęła przed nim naga. A więc to tak – tego rodzaju zachowanie zazwyczaj prowadziło do propozycji. Był panem, nie dziwką. Świadczył usługi, ale nie tego rodzaju.

Gdy podeszła bliżej, miał już gotową przemowę, minęła go jednak i ruszyła prosto do jego arsenału. Kolejna zasada została złamana – tylko on mógł wybierać sposób wymierzenia kary. To część ceremonii: niewolnica nie wiedziała, co dokładnie ją czeka. Mimo wszystko Jake milczał, ponieważ coś w jej zachowaniu mówiło, że dzisiaj nie zniesie sprzeciwu. Poczł dreszcz strachu i podniecenia. Zupełnie jakby reguły zostały odwrócone i teraz ktoś inny dowodził.

Zignorowała szpicruty i ruszyła prosto po nabijane ćwiekami bicze. Przeciągnęła po nich palcami, a potem wybrała najpaskudniejszy. Tego używał tylko na najbardziej hardcorowych masochistach; do niej raczej nie pasował, ale podała mu go i pomaszerowała pod ścianę. Zapiął jej kajdany. Wciąż nie powiedziała nawet słowa.

Poczł się dziwnie niepewnie, jakby nie znał zasad gry, w którą przyszło mu zagrać, dlatego jego pierwsze uderzenie było delikatne.

– Mocniej.

Posłuchał, ale wciąż jej było mało.

- MOCNIEJ.

Poszedł na całość i tym razem połała się krew. Wzdrygnęła się pod ciosem; potem, kiedy kropla czerwieni spłynęła po jej plecach, chyba lekko się rozluźniła.

- Jeszcze raz.

Jak to się skończy? Nie potrafił przewidzieć. Był pewien tylko jednego - ta kobieta chciała krwawić.

025/117

– Powiedz mi jeszcze raz, co się stało.

Amy zamknęła oczy i zwiesiła głowę. Charlie wydawała się miłą osobą i podchodziła do niej jak do dziecka... tylko dlaczego musiała jej to robić? Od czasu, kiedy oficjalnie ją wypuszczono, próbowała absolutnie wszystkiego, by *przestać* o tym myśleć. I tak już matka uczepliła się jej jak rzep psiego ogona i dawała jej spokój dopiero, gdy Amy się złościła. Korzystając z chwili samotności, dorwała się do resztek alkoholu z imprezy i „sekretnego” zapasu valium matki, a kiedy to nie zadziało, sięgnęła po tabletki nasenne ojca. Ogromny błąd. W swoich snach – koszmarach – ciągle widziała Sama. Uśmiechał się do niej. Nie mogła tego znieść i obudziła się z krzykiem, by za chwilę znaleźć się przy drzwiach frontowych i rozpaczliwie ciągnąć za łańcuch, by się uwolnić. Właśnie wtedy zdecydowała, że już nigdy nie zaśnie – do końca życia – i będzie unikać wszelkiego kontaktu z ludźmi. Ale znowu pojawiła się policja, przypominając jej o potwornej zdradzie, jakiej się dopuściła.

– Próbowaliście złapać stopa. Padało. Zatrzymał się van.

Amy kiwnęła głową bez słowa.

– Opisz mi ten samochód.

– Przecież już zeznawałam...

– Proszę.

Ciężkie westchnienie. Wrażenie duszenia się. I nagle znowu popłynęły łzy. Amy starała się je zdusić.

– Dostawczy.

– Jakiej marki?

– Ford? Vauxhall? Coś w tym guście. Był biały.

– Co powiedziała kobieta? Dokładne słowa, proszę.

Amy zawahała się, niechętnie wracając pamięcią do tamtych chwil.

– „Potrzebujecie ratunku?” Właśnie tak to ujęła. „Potrzebujecie ratunku?” Potem otworzyła drzwi od strony pasażera; w środku zobaczyliśmy fotele dla

trzech osób, więc wsiedliśmy. Żałuję tego. Cholernie żałuję.

I tym razem naprawdę się popłakała. Charlie pozwoliła na to przez chwilę, a potem podała jej chusteczkę.

– Miała akcent?

– Południowy.

– Coś bardziej konkretnego?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Co potem powiedziała?

Amy przypomniała sobie wszystko, kawałek po kawałku. Kobieta twierdziła, że pracuje jako inżynier ogrzewania i właśnie wraca od klientów. Amy nie pamiętała żadnego logo czy nazwy na vanie, może jakieś było, może nie, nie patrzyła. Nieznajoma mówiła o swoim mężu, który miał dwie lewe ręce do wszystkiego, i dwojce dzieci. Zapytała ich, dokąd jadą w taki ziąb, a potem podała im picie.

– Jakich użyła słów?

– Zauważyła, że trochę się trzęsiemy i stwierdziła, że „przydałoby się nas rozgrzać”. To wszystko. Potem podała nam termos.

– Napój był gorący? Jak pachniał?

– Pachniał dokładnie tak, jak powinien. Podała nam kawę.

– A jak smakowała?

– Dobrze.

– Jak wyglądała kobieta?

Kiedy to się skończy?

– Miała krótkie blond włosy i lustrzane okulary. Kombinezon. Wkręty w uszach, o ile dobrze pamiętam. Krótkie, brudne paznokcie. Widziałam je na kierownicy. Brudne ręce. Twarz zobaczyłam tylko z profilu. Duży nos, pełne usta. Żadnego makijażu. Wzrost przeciętny. Wyglądała normalnie. Zupełnie, kurwa, normalnie, okej?

I po tych słowach Amy wyszła z salonu i udała się prosto na górę, dławiąc się łzami; oddychała z trudem. Pod ciężarem potwornego poczucia winy pozwoliła sobie na wybuch gniewu. Sam wybrał łatwiejsze wyjście. Umarł. *Jego* cierpienie się skończyło. Ale ona nigdy się go nie pozbędzie. Nigdy nie pozwolą jej zapomnieć o tym, co zrobiła. Patrząc z okna w sypialni na wyłożoną kamieniami

ścieżkę, zastanawiała się, czy Sam przyjąłby ją z otwartymi ramionami, gdyby zdecydowała się do niego dołączyć. Nagle spodobała jej się ta myśl i pociągnęła za rączkę; okno było jednak zamknięte na klucz. Nawet jej rodzina ją teraz torturowała.

026/117

– Jak wyglądała?

Peter Brightston zadrżał. Dreszcze nie opuszczały go, odkąd go zabrali. Całe jego ciało trzęsło się, wybijając rytm traumy w dziwny, pierwotny sposób. Helen była pewna, że mężczyzna w każdej chwili może zasłabnąć, ale lekarze pozwolili im na przesłuchanie, więc...

Nie chciał na nią spojrzeć. Cały czas gapił się na swoje dłonie, ciągnąc za rurki kroplówek, które wyrastały z niego niczym macki.

– Jak wyglądała, Peter?

Chwila ciszy, a potem spomiędzy zaciśniętych szczęk nadeszła odpowiedź:

– Wyglądała zajebiście.

Helen nie tego się spodziewała.

– Opisz ją.

Głęboki wdech, a potem:

– Wysoka, umięśniona... ciemne włosy... praktycznie czarne. Długie. Niżej linii ramion. Obcisła biała podkoszulka. Duże cycki.

– A twarz?

– Umalowana. Pełne usta. Nie widziałem oczu. Miała okulary przeciwsłoneczne od Prady.

– Jesteś pewien marki?

– Podobały mi się, zapamiętałem je. Pomyślałem, że może kupię takie Sarah z okazji rocz...

Potem zaczął szlochać.

W końcu udało im się wyciągnąć z niego coś więcej. Kobieta prowadziła samochód marki Red Vauxhall Movano, który należał do jej męża. Mieszkała z nim i trójką dzieci w Thornhill. Właśnie byli w połowie przeprowadzki do Bournemouth i chcieli zaoszczędzić pieniądze, sami przewożąc rzeczy, stąd van. Była bardzo rozmowna, śmiała i figlarna. Właśnie dlatego zaproponowała im po

łyku z piersiówki męża, kiepsko schowanej pod mapą samochodową. Peter oczywiście się zgodził i potem oddał flaszkę Benowi. W tym momencie swojego zeznania Peter znowu zamilkł.

Helen zostawiła go z Charlie, która lepiej radziła sobie z płcią przeciwną. Miała bardziej konwencjonalną urodę niż Helen, zachowywała się łagodnie i z otwartością – nic dziwnego, że mężczyźni ustawiali się do niej w kolejce. W gorszy dzień Helen odnosiła wrażenie, że dziewczyna jest nijaka, ale z pewnością bywała pożyteczna i z czasem stanie się dobrym gliną... Jednak to Marka teraz potrzebowała; pragnęła sprawdzić na nim swoje pomysły.

White Bear znajdował się w bocznej uliczce za szpitalem. Helen celowo – prowokacyjnie – wybrała to miejsce, by sprawdzić swojego towarzysza, i na razie sobie radził, popijając tonik. Dziwnie było widzieć się z nim w pubie. Oboje czuli, że trochę to przypominało randkę, ale mieli ważniejsze sprawy na głowie.

– Więc z czym mamy do czynienia? – zaczął Mark.

Widział, że Helen intensywnie myśli, próbując zrozumieć ostatnie niespodziewane wydarzenia.

– Ben Holland nie jest Benem Hollandem. Tak naprawdę nazywa się James Hawker.

Za każdym razem, kiedy o nim myślała, oczami wyobraźni widziała ten sam obraz: obryzganego krwią młodego człowieka, który zdawał się zupełnie zagubiony. W stanie katatonicznym z powodu szoku.

– Jego ojciec był biznesmenem, do tego oszustem i krętaczem. Joel Hawker stracił wszystko i postanowił się zabić razem z rodziną, zamiast stawić czoła bankructwu... Najpierw zabił konie i psa, a potem podpalił stajnię. Sąsiedzi zadzwonili po straż, ale ja dotarłam tam pierwsza.

Głos Helen zdrztał nieco, kiedy wspominała tę historię. Mark wpatrywał się w nią intensywnie.

– Byłam wtedy dzielnicową. Zobaczyłam dym i usłyszałam krzyki dochodzące z wnętrza domu. Wparowałam do środka. Matka już nie żyła, najstarsza córka i jej chłopak też, a ojciec właśnie szedł w kierunku Jamesa z nożem do mięsa.

Helen zawahała się, a potem ciągnęła dalej:

– Aresztowałam go. Biłam mocniej, niż musiałam. Dostałam za to pochwałę, lecz także ostrzeżenie na przyszłość.

Uśmiechnęła się smutno, a Mark odpowiedział tym samym.

– Ale miałam to gdzieś. Żałowałam, że jeszcze mocniej go nie pobiłam.

– A więc James zmienił nazwisko?

– Dziwisz mu się? Nie chciał tego rodzaju sławy ciągnącej się za nim do końca życia. Przez jakiś czas chodził na terapię, próbował się pogodzić z przeszłością, ale tak naprawdę wolałby po prostu udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Staralam się utrzymywać z nim kontakt, jakiś rok czy dwa po morderstwie przestał się jednak odzywać. Nie chciał, żebym mu przypominała o tamtym wydarzeniu. Było mi przykro, ale rozumiałam to i chciałam dla niego jak najlepiej. Świetnie sobie poradził.

To prawda. James zdobył wykształcenie, dobrą pracę, a z czasem znalazł też dziewczynę – niewinną i łagodną – która chciała za niego wyjść. Mimo trudnych, traumatycznych przeżyć udało mu się wyjść na ludzi. Dopóki ktoś nie zmusił jego kolegi z pracy do wbicia mu kawałka metalu w oko... Oczywiście była to samoobrona, ale to nawet gorzej. James/Ben nienawidził przemocy. Co musiało się dziać w jego głowie, że próbował zabić Petera?

Wszystko było zbyt pokręcone, aż trudno ująć to w słowa. A jednak tak wyglądała sprawa, którą przyszło im rozwiązywać.

– Myślisz, że jedno z drugim jest jakoś powiązane? Morderstwa Joela Hawkera i śmierć Be... Jamesa? – Mark obudził Helen z zamyślenia.

– Może. Ale Amy i Sam w żaden sposób w tym nie uczestniczyli. Gdzie mieliby pasować?

Na chwilę zapadła cisza. Może powiązania istniały, tylko jeszcze ich nie dostrzegali.

Więc co pozostawało? Para sadystycznych morderstw bez motywu, sprawiająca wrażenie zupełnie oderwanych od siebie, a do tego przestępczyni, która może być albo niechlujną blondynką z firmy zajmującej się ogrzewaniem, albo biuściastą, figlarną panią domu z długimi kruczoczarnymi warkoczami. Kompletny bałagan; oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Mark rozglądał się po pubie, czując narastający głód. Wszędzie dokoła mężczyźni i kobiety śmiali się, żartowali i pili. Z zapamiętaniem wlewali sobie do gardeł wino, piwo, wódkę, koktajle i popitki.

– Świetnie sobie radzisz, Mark.

Słowa Helen odwróciły jego uwagę. Przyjrzał jej się podejrzliwie. Współczucie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebował.

– Wiem, że jest ci ciężko, ale to początek końca. Wspólnie wyprowadzimy cię na prostą. Zrobimy to razem, dobra?

Mark pokiwał głową z wdzięcznością.

– Równie dobrze możesz mnie zbyć i pójść do Anonimowych Alkoholików, zrozumiem. Wątpię jednak, żeby oni cię znali. Nie wiedzą, co przechodzimy każdego dnia, co ta praca z nami robi. I właśnie dlatego zamierzam ci pomóc. Zawsze, kiedy będziesz potrzebował towarzystwa albo pomocy, możesz na mnie liczyć. Zdarzy się nieraz, że będziesz naprawdę potrzebował drinka. I to jest okej, ten moment przyjdzie, czy ci się to podoba, czy nie. Ale umowa brzmi tak: pijesz wyłącznie w mojej obecności. I kiedy każę ci przestać, przestajesz. Jasne?

Mark nie powiedział „nie”.

– Właśnie w ten sposób to pokonamy. Ale jeśli dowiem się, że złamałeś tę zasadę, że mnie okłamałeś, wtedy umyvam od wszystkiego ręce. Jasne? Świetnie.

Zniknęła przy barze, a potem wróciła z butelką lagera w ręce. Postawiła mu ją pod nosem. Dłoń Marka trzęsła się nieco, kiedy podniósł piwo. Przysunął je do ust. Zimny napój spłynął jego gardłem... Ale potem Helen zabrała mu butelkę. Przez chwilę miał ochotę ją uderzyć; i wtedy alkohol dotarł do jego żołądka. Nagle wszystko znowu było piękne. Zdał sobie sprawę, że ona wciąż trzymała go za rękę. Odruchowo zaczął ją głaskać. Odsunęła się.

– Pozwól, że postawię sprawę jasno, Mark. Tu nie chodzi o „nas”. Tu chodzi o ciebie.

Źle ocenił sytuację i teraz poczuł się głupio. Głaskać dłoń przełożonej. Co za palant z niego!

Wkrótce potem wyszli. Helen patrzyła, jak odjeżdża – oczywiście chciała mieć pewność, że nie zawróci do baru. Ciepły, piwny optymizm popołudnia już się ulotnił; Mark poczuł się pusty i samotny.

Kiedy zapadł zmierzch, golf Marka zatrzymał się przed jego dawnym rodzinnym domem. Elsie o tej porze leżała już w łóżku ze swoją owieczką, skąpana w zielonej poświacie lampki nocnej. Nie widział jej, ale wiedział, że tam jest i to

napełniało go miłością. Niewiele, jednak musiało mu wystarczyć – na razie.

027/117

Gdy Helen pojawiła się z powrotem w komisariacie, nadinspektor Michael Whittaker już na nią czekał. Był charyzmatycznym czterdziestopięcioletkiem – towarzyskim, opalonym, wysportowanym – który cieszył się powodzeniem wśród żeńskiej części personelu, wręcz marzącej o pieprzeniu tego silnego i odnoszącego sukcesy kawalera. Oprócz tego był przebiegły i na kilometr wyczuwał wszystko, co mogłoby się przysłużyć jego karierze. Swego czasu doskonale radził sobie z łapaniem złodziei, dopóki paskudna strzelanina w czasie napadu na bank nie pozbawiła go połowy płuca, co wynagrodzono mu awansem. Nie mógł już pracować w terenie, nadzorując działania policji, więc teraz często zdarzało mu się nadużywać swojej władzy, kiedy uznał, że coś dzieje się zbyt wolno albo wymyka się spod kontroli. Przetrwał już tak długo – i radził sobie świetnie – właśnie dzięki dbałości o szczegóły.

– Jak ona to robi? – warknął na Helen. – Pracuje sama? Czy ktoś jej pomaga?

– Trudno powiedzieć na tym etapie – odparła. – Wybiera odludne miejsca i nigdy nie zostawia śladów, co sugerowałoby, że pracuje sama. Jest drobiazgowa i precyzyjna, i podejrzewam, że wołałaby do tak starannie przygotowanej operacji nie angażować nikogo więcej. Do podporządkowywania sobie ofiar używa środków chemicznych, a nie siły, co również wskazywałoby na to, że nie potrzebuje i nie chce pomocy. To niesie za sobą oczywiste pytanie: jak ich przenosi? Przewożeni są samochodem dostawczym, gdzie można ich łatwo schować, gdy są uśpieni, aż do czasu, kiedy znajdą się w odpowiednim miejscu. Na więzienia wybiera odludne, zapomniane miejsca, by zmniejszyć do minimum szanse, że ktoś zobaczy, jak taszczy ich z samochodu. Czy potrzebuje do tego pomocy? Prawdopodobnie, choć każda z czterech ofiar ma otarcia na kostkach, co sugerowałoby, że zostały związane i ciągnięto je po ziemi. Potwierdzają to też obrażenia na nogach, kłatkach piersiowych i głowach. Ale to nie byłoby takie łatwe. Nawet jeśli ktoś przywiązał linę do kostek Petera Brightstona, mężczyzna ważył przecież jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów... Przetransportowanie go

w ten sposób jest co prawda możliwe, ale trudne.

– A co z vanem? – drażył Whittaker, nie dając Helen wytchnienia.

– Nic sensownego. Amy nie jest pewna marki, a w pobliżu basenu nie ma żadnych kamer. Peter jest przekonany, że porwano go autem marki Vauxhall Movano, ale całe tuziny takich kradnie się każdego miesiąca w samym Hampshire. Jest czerwony, co nieco pomaga, tyle że mogła go przemalować. Ponieważ zabrano ich z New Forest i przewieziono do elektrowni Dunston wiejskimi drogami, znowu nie mamy żadnych nagrań z kamer.

Whittaker westchnął.

– Mam nadzieję, że nie pośpieszyłem się z twoim awansem, Helen.

Powiedział to zupełnie beznamiętnie.

– Mogłabyś kiedyś zająć moje miejsce... ale tego rodzaju sprawy potrafią zniszczyć karierę. Potrzebujemy aresztowania, Helen.

– Rozumiem.

– Ta dziwka Garanita dosłownie rozbiła pieprzony obóz w atrium, nakręcając całą resztę lokalnych pismaków. Dzisiaj rano tematem zajęło się kilku dziennikarzy z prasy krajowej. Ci idioci od rzecznika prasowego dostają zawału za każdym razem, gdy zadzwoni ktoś z „Timesa” i biegną z tym od razu do mnie. Co im wszystkim powiemy?

– Śmierć Sama traktujemy jako przemoc domową. Nie szukamy osób trzecich i tak dalej. Z kolei Ben to wypadek. On i Peter Brightston pojechali do Dunston służbowo i doszło do tragicznego w skutkach wypadku. Prasa na razie to kupuje.

Whittaker zamilkł. Nigdy by nie przyznał, że *jego* przełożeni dają mu popalić, ale Helen wiedziała, jak to działa. Gównu w tego typu sprawach szybciej wędruje z góry na dół.

– W pewnym momencie wszystko może się posypać, więc jeśli poczujemy, że czas udać się z tym do prasy, możemy tak zrobić. Powiemy im, że w zabójstwa wmieszane są osoby trzecie. Skorzystamy z pomocy widzów i czytelników...

– Za wcześnie – przerwał jej Whittaker. – Mamy jeszcze za mało informacji. Wyjdziemy na imbecyli.

– Rozumiem.

Helen wyczuwała jego zdenerwowanie i niezadowolenie, i zaskoczyło ją to. Zazwyczaj zachowywał większy dystans. Chciała go uspokoić – w przeszłości

zawsze jej się to udawało – ale nie mogła mu niczego zaoferować. Whittaker miał tendencję do nerwowych reakcji, kiedy czuł zbyt dużą presję. A nie tego Helen teraz potrzebowała. Dlatego z całych sił starała się go przekonać, że nie musi się o nic martwić, bo prowadzone jest szeroko zakrojone dochodzenie. Powoli się odprężyła. Zawsze ufał Helen i jeśli ktoś mógł trzymać wszystko w ryzach, to właśnie ona. Chociaż ktoś pokroju Whittakera nigdy by tego nie przyznał, Helen idealnie wpasowywała się w ten typ śledczego, który góra uwielbia. Kobieta, abstynentka, pracowiczka, zerowe zainteresowanie posiadaniem dzieci. Żadnego ryzyka alkoholizmu, łapówek, urlopu macierzyńskiego i innych nieprzyjemności. Pracowała jak maszyna i w dużej mierze to dzięki niej mieli dobre wyniki, więc nawet jeśli od czasu do czasu wciskała im kit, będą to tolerować, bo jest jedną z najlepszych.

Tak dobrze jej poszło przekonywanie przełożonego, że przez chwilę sama uwierzyła we własne słowa. Niestety kiedy wracała na motorze do domu, ta fałszywa pewność siebie wyparowała. W przeddzień Wigilii całe Southampton opanował świąteczny nastrój, zupełnie jakby wszyscy podjęli wspólną decyzję, by zignorować krzykliwe nagłówki z wieczornych wiadomości i wspólnie zasiąść do stołu. Zespoły Armii Zbawienia grały świąteczne przeboje, jarmarczne lampki świeciły wesoło nad sklepami i wszędzie widziało się podekscytowane dziecięce twarzązki, jednak Helen nie czuła świątecznej radości. Wszystko to wydawało jej się kiczowate i niestosowne. Gdzieś grasował morderca, który zabija bez wyrzutów sumienia i nie zostawia śladów. Czy właśnie śledzi kolejne ofiary? A może już ktoś został uwięziony i błaga o litość? Helen nigdy wcześniej nie czuła się tak zagubiona. W tej sprawie nic nie wydawało się pewne, niczego nie mogli bezpiecznie założyć. Przypuszczalnie miano przelać jeszcze więcej krwi, a inspektor Grace mogła tylko czekać i patrzeć, kto będzie następny.

028/117

To zabawne, co zostaje nam w głowach, prawda? Dlaczego ten renifer tak mocno wbił mi się w pamięć? Był strasznie lichey, nawet jak na tamte czasy; wyliniały zwierz z naćpanymi oczami. Wyglądał jak trup. Ale nie mogłam przestać na niego patrzeć, gdy stałyśmy w tamtej długiej kolejce. Może ciągnie mnie do beznadziei. A może nie. Nie ma co przesadzać z analizowaniem tego typu rzeczy.

Nadeszło Boże Narodzenie i wreszcie było w porządku. Ojciec gdzieś zniknął. Czyżby miał inną rodzinę, z którą spędzał święta? Nigdy nie udało mi się tego dowiedzieć. W domu zostały same baby. Mama piła, ale miałyśmy plan, jak nie pozwolić jej się zbyt sponiewierać. Żeby oszczędzić jej chodzenia, zaproponowałam, że sama pójde po alkohol. Skoczyłam do sklepiku na rogu, wzięłam kilka puszek, ale też coś konkretniejszego. Chleb, chipsy, cokolwiek. Kiedy wróciłam, siedziałam razem z mamą, gdy piła. Myślę, że czuła się przez to trochę głupio, a bez dopingującego ją ojca wypijała coraz mniej, aż w końcu przestała w ogóle. Nigdy nie byłyśmy blisko, ale w tamto Boże Narodzenie było w porządku. Dlatego zabrała nas do centrum handlowego.

Muzyka, tanie dekoracje i zapach strachu. Wszędzie dokoła panikujący rodzice, zapędzeni w kozi róg przez święta, które znowu przyszły za wcześnie. Nasza lista zakupów była krótka – bardzo krótka – ale i tak zajęły nam one wiele czasu. Musiałyśmy się upewnić, że ochroniarz w BHS był czymś bardzo zajęty, zanim mama mogła wcisnąć ubrania i kiczowatą biżuterię pod nasze sweterki. „Nagrodą” miała być później wizyta u Świętego Mikołaja. Biorąc pod uwagę, że udawał go nauczyciel z miejscowej szkoły katolickiej, prawdziwą nagrodę zapewne dostawał on.

Tak wyraźnie pamiętam jego twarz. Posadził mnie na kolanie i ze swoim najlepszym „ho, ho, ho!” zapytał, co chciałabym dostać na Boże Narodzenie. Uśmiechnęłam się, spojrzałam mu w oczy i powiedziałam: „Chciałabym, żeby mój tata umarł”.

Po tym incydencie wyszłyśmy raczej w pośpiechu. Mikołaj plotkował

z przerażonymi mamuškami – suki uwielbiały nadawać na takich ludzi jak my. Kiedy szłyśmy do wyjścia, uderzyłam tego wyliniatego renifera łokciem w bok. Nie udało mi się zobaczyć, co tym osiągnęłam – wybiegłyśmy na zewnątrz, zanim ochrona zdążyła nas złapać.

Spodziewałam się, że mama mnie uderzy, a przynajmniej zacznie wrzeszczeć. Ale zamiast tego tylko płakała. Usiadła na przystanku i płakała. Trochę szkoda, bo to jedno z moich najszcześliwszych wspomnień.

029/117

Jej wizyta była niespodziewaną przyjemnością. Rzadko ktoś się u nich pojawiał – kto przy zdrowych zmysłach by się tu zapuszczał? – a ci, którzy z reguły przychodzili, nie mieli dobrych zamiarów. Złodzieje albo zbiry. Nawet policję rzadko można było tu spotkać, nie mówiąc już o opiece społecznej. Do niczego się nie nadawali.

Jej matka aż podskoczyła na dźwięk dzwonka. Pochłonięta oglądaniem *Strictly*, nie usłyszała kroków na korytarzu. Ale Anna usłyszała. Za każdym razem, gdy dochodziły stamtąd dźwięki, jej serce biło nieco szybciej. Żadne z innych mieszkań nie było zajęte, więc o ile to nie ćpuni szukające pustego lokum albo węszący Cyganie, ktoś szedł *do nich*. Kroki zwolniły, a potem zatrzymały się przed ich frontowymi drzwiami. Anna chciała ostrzec mamę i chrząkała najgłośniej, jak tylko potrafiła, ale Flavia właśnie tańczyła fokstrota i Marie nie mogła oderwać oczu od telewizora. Potem zabrzmiał dzwonek, wyraźnie i pewnie. Marie posłała córce spojrzenie – chwila zawahania – a potem zdecydowała, że zignoruje przybysza.

Anna bardzo się z tego ucieszyła. Nie lubiła niespodzianek. A jednak nieznajomy ją zaciekawił, ponieważ kroki dobiegające z korytarza były lekkie, stukające. Jakby ktoś miał na nogach wysokie obcasy. To sprawiło, że Anna zaśmiała się w duchu. Odkąd wyprowadziły się dziwki, nie słyszała już takich odgłosów.

Znowu dzwonek do drzwi. Przycisk został naciśnięty tylko raz, ale zabrzmiało nagłoco. A potem usłyszały głos wołający je po imieniu. Czy mogłyby porozmawiać? Marie ściszyła telewizor – może jeśli nieznajoma nie będzie ich słyszeć, pomyśli, że ich nie ma. Bez sensu; światło i dźwięki dobiegające z mieszkania były niczym latarnia w ciemności. Wtedy dzwonek zabrzmiał po raz trzeci i tym razem Marie wstała. Anna patrzyła, jak matka podchodzi do drzwi. Nienawidziła zostawać sama. Co jeśli coś jej się tu stanie?

Ale wtedy Marie wróciła, a krok za nią ładna kobieta ściskająca plastikowe

torby. Wyglądała trochę jakby była z opieki, ale nie miała depresji i brzydkich ubrań. Rozejrzała się po pokoju, a potem zbliżyła się do Anny i kucnęła.

– Cześć, Anna. Nazywam się Ella.

Uśmiechnęła się ciepło i Anna natychmiast ją polubiła.

– Właśnie mówiłam twojej mamusi, że pracuję dla organizacji, która nazywa się Shooting Stars. Mogłaś widzieć nasze ogłoszenia w lokalnej prasie. Wiem, że twoja mama lubi ci je czytać.

Ślicznie pachniała. Jak róże.

– Co roku przynosimy paczki świąteczne rodzinom, którym ciężko się żyje, tak jak wam. Co o tym myślisz? Brzmi kusząco?

– Proszę się nad nami nie litować – przerwała jej ostro Marie.

– To nie litość, Marie – powiedziała Ella, wstając. – Po prostu wyciągamy pomocną dłoń, której nie musicie przyjmować. Jest mnóstwo innych rodzin, które z chęcią przyjmą te prezenty, proszę mi wierzyć!

Słowo „prezenty” zadziało jak czary. Marie usiadła cicho, a Ella wyjęła puszki i paczki z torby. Prawdziwe skarby! Oprócz podstawowych produktów także turecki przysmak i czekoladowe pierniczki, a do tego zupy, soki i owocowy sorbet dla Anny. Zakupy zostały starannie przemyślane; dziewczynka była zaskoczona, że ktoś wykazał tyle troski. Ella zaczęła wypytywać Marie o córkę – jakie miała ulubione czytanki? Czy lubiła słuchać książek o Tracy Beaker? Co oglądała w telewizji? Anna rozkoszowała się poświęconą jej uwagą.

W tym roku im się poszczęściło. W tym roku ktoś o nich pomyślał. Uszczęśliwiona Marie ruszyła na poszukiwania sherry i świąteczny duch nieco podupadł. Anna spojrzała na gościa. Kobieta uśmiechała się i kiwała głową, ale teraz wydawała się spięta. Anna pomyślała, że to pewnie przez napięty grafik, na pewno jednak nie o to chodziło, bo kiedy Marie wróciła, Ella uparła się, by otworzyć babeczki. Sama nie chciała się poczęstować, ale zachęcała do tego Marie. Dopiero co wyjęto je z pieca w piekarni przy St. Mary's Road, gdzie upieczono ich całą górę do rozdania na Boże Narodzenie.

Kiedy Marie zjadła babeczkę, Ella wyraźnie się rozluźniła. I właśnie wtedy zrobiło się dziwnie. Marie źle się poczuła – kręciło się jej w głowie i zbierało na wymioty. Próbowwała wstać, ale nie dała rady. Ella podeszła, by jej pomóc, potem jednak bez ostrzeżenia pchnęła Marie na podłogę. Co ona wyprawia? Anna

chciała krzyknąć i pośpieszyć matce na ratunek; niestety mogła tylko chrząkać i płakać. Teraz Ella przytrzymywała Marie na podłodze. Związała jej ręce za plecami paskudnie wyglądającym drutem. *Przestań, proszę, przestań.* Wciskała jej coś do ust, wrzeszczała na nią. Dlaczego? Co zrobiła nie tak? Potem „Ella” spojrzała na dziewczynkę. Zupełnie jakby zmieniła się w kogoś innego: wzrok miała zimny, a uśmiech wręcz lodowaty. Podeszła bliżej; Anna próbowała walczyć, ale jej bezużyteczne ciało pozostawało nieruchome. Potem kobieta włożyła dziewczynce torbę na głowę i zrobiło się ciemno.

030/117

Sandra Lawton. Wiek: 33. Prześladowanie.

Helen przejrzała dokument. Lawton była obsesyjną romantyczką, która nie potrafiła znieść odrzucenia. Trzykrotnie skazano ją za nękanie i pogróżki. Terapia wyraźnie nie działała, a przekonanie o tym, że mądrzy, wykształceni mężczyźni na różnych odpowiedzialnych stanowiskach skrycie marzyli o seksie z Sandrą Lawton, pozostawało równie silne, co w przeszłości.

Helen przeszła do następnej. Sandra była niespełna rozumu, ale nie agresywna.

Isobel Screed. Wiek: 18. Prześladowanie w Internecie. Tę Helen także odrzuciła. Chudzinka spędziła życie na obrażaniu gwiazd oper mydlanych przez SMS-y i Twittera. Groziła, że wytnie im macice i tak dalej, ale najwyraźniej nigdy nie odeszła od komputera, więc można ją było pominąć. Typowy internetowy tchórz.

Alison Stedwell. Wiek: 37. Posiadanie niebezpiecznego narzędzia. Napaść i pobicie. Wielokrotne nękanie. Ta była już bardziej obiecująca. Doświadczona przestępczyni, która próbowała strzelić z łuku do prześladowanego przez nią współpracownika, zanim ją aresztowano i skazano. Teraz znowu jest na wolności, najwyraźniej pod obserwacją, i przez kilka ostatnich miesięcy nie popełniła żadnego wykroczenia. Potrafiłaby zaplanować coś takiego? Helen osunęła się na fotel. Kogo próbowała nabrać? Alison to wredne babsko, ale nie miała za grosz subtelności – celowo nie ukrywała się przy nękaniu swojej ofiary. Poza tym czarnowłosa piękność z opisu Petera Brightstona w niczym nie przypominała szczerbatej brzyduli, która spoglądała na Helen z ekranu. Kolejna osoba do wykreślenia z listy.

Korzystała z systemu HOLMES2 już od kilku godzin, wyszukując każdego stalkera płci żeńskiej, jakiego skazano w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Bez powodzenia. Przestępczyni, której szukali, była wyjątkowa i w niczym nie przypominała kobiet z listy. Najwyraźniej obserwowała swoje ofiary przez długie tygodnie, bo inaczej nie udałooby jej się ustalić, że Amy i Sam lubią podróżować autostopem, a Ben i Peter co tydzień jeżdżą tą samą trasą do Bournemouth.

Sposób, w jaki zaplanowała ich porwanie w odludnych okolicach bez zasięgu telefonii komórkowej, był naprawdę imponujący. Ale już odnalezienie miejsc, gdzie nikt by ich nie usłyszał ani nie zobaczył i gdzie mogliby zostać przetrzymani do czasu, aż zwariowaliby z głodu i pragnienia – to coś zupełnie innego. Tego rodzaju zbrodni nie popełnił ktoś, kto ukrywa się w trzewiach baz danych. Inaczej byłby już gwiazdą, regularnym bohaterem policyjnych seminariów i literatury.

Po odnalezieniu samochodu Bena Helen i Charlie jeszcze raz przesłuchały Amy i Petera oraz ich rodziny, szukając dowodów na to, że byli śledzeni. Amy i Sam byli wyluzowanymi dzieciakami, które na nic nie uważały i mieszkały w pełnym studentów kampusie. Nic nie zwróciło ich uwagi. Peter Brightston upierał się, że zauważyłby atrakcyjną kobietę, gdyby go taka śledziła, ale brzmiało to raczej jak przechwałka – nie miał żadnego powodu do podejrzliwości czy ostrożności. Ben to zupełnie co innego; on z natury był bardzo przezorny... jednak nie dało się już z nim porozmawiać, a jego narzeczona nie odnotowała niczego niepokojącego przed jego uprowadzeniem.

Jedyny niewielki ślad przyszedł wraz z wynikami oględzin samochodu Bena. Zabójczyni miała niewiele czasu na wybitcie dziury w baku. Załedwie trzy do czterech godzin, ponieważ tamtego dnia spotkanie w kancelarii w Bournemouth okazało się krótsze niż zazwyczaj. Ben zwykle zostawiał auto na parkingu przed biurem, tamtego dnia jednak wszystkie miejsca były zajęte, ponieważ trwał lunch z klientami, więc zatrzymał się na parkingu za rogiem. Instynkt podpowiadał Helen, że wszelkie zmiany w rutynie Bena sprawiały zabójcy kłopot, więc warto było sprawdzić ten trop. Kamery z monitoringu pokazały Bena i Petera wjeżdżających na czwarte piętro, niedaleko windy. Pięć minut po tym, jak zostawili samochód, na parkingu pojawiła się kobieta w limonkowej pikowanej kurtce i białej czapce z daszkiem. Robiła rozpoznanie? Zapewne tak, bo chwilę później odziana w rękawiczkę dłoń pojawiła się przed obiektywem kamery i zasprejowała jej widok na świat. Helen poprosiła o analizę i powiększenie nagrania, jeśli będzie to możliwe, a Sanderson zleciła sprawdzenie kamer monitoringu z okolicy, żeby przekonać się, jak sprawczyni weszła do budynku. Teraz jednak musieli pracować z tym, co mieli. A choć było tego niewiele, przynajmniej przelotny widok zabójczyni potwierdzał wszystko,

co powiedzieli o niej Amy i Peter. W tym plec sprawcy, co wcale nie było znowu taką nieistotną informacją. W zespole wciąż znajdowały się osoby – Grounds i Bridges w szczególności – które nie wierzyły, by zbrodnię zaplanowała kobieta. Przynajmniej tu mieli już jasność.

Helen wyłączyła program i wyszła z biura, by powędrować do pubu za rogiem. Dzisiaj wszyscy pracownicy komisariatu świętowali Boże Narodzenie i chociaż Helen uważała tę imprezę za całkowicie niestosowną w tych okolicznościach, musiała iść. Żaden funkcjonariusz z wyższych stanowisk nie mógł jej opuścić – co w sumie dziwne, bo ostatnie, czego szeregowy policjant potrzebuje do dobrej zabawy, to obecność przełożonego.

Helen zobaczyła członków swojego zespołu i zaczęła przeciskać się przez tłum w ich stronę. Wszyscy czuli się głupio na imprezie, gdy w sprawie morderstw nadal trzeba było tyle zrobić, ale każdy starał się, jak mógł. Zwłaszcza Mark miał dobry humor; z dumą sącył tonik niczym abstynenckie trofeum. Wyglądał też lepiej – jego szczupła twarz nabrała kolorów, a w oczach pojawiły się iskry. Powitał Helen ciepło i właśnie miał ją włączyć do rozmowy na temat koszmaru Nowego Roku. Trochę przesadzał i Helen kilka razy złapała znaczące spojrzenie Charlie.

– A więc kto ma ochotę na buziaka pod jemiołą?

Whittaker. Po wyjściu z biura całkowicie się zmieniał. Znikały jego nerwowość i ciągle politykowanie, a ich miejsce zajmowały życzliwość i ciepło.

– Tyle pięknych dziewcząt, tak mało czasu – westchnął, rzucając udawane lubieżne spojrzenia w stronę zebranych w pubie kobiet.

– Mam to już za sobą – odparła cierpko Helen. – Nic ciekawego.

– W takim razie Charlie – ciągnął dalej Whittaker. – Spraw mi prezent na Boże Narodzenie.

Charlie oblała się rumieńcem, niepewna, jak odpowiedzieć na te żartobliwe zaloty podchmielonego szefa.

– Ona ma męża. Prawie, ale na jedno wychodzi – wtrąciła znów Helen.

– Słyszałem, że wciąż żyje w grzechu, a więc nadal jest szansa – rzucił niespeszony Whittaker.

– Ja bym sobie dała spokój, szefie. Jest mnóstwo innych kandydatek.

– Szkoda. Ale trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać. – Jego wzrok powędrował do

młodej i atrakcyjnej McAndrew.

– Jeśli jest pan zdesperowany, ja mogę się skusić – zaproponował Mark. Helen wybuchnęła śmiechem, podobnie jak pozostali, ale Whittakerowi nie spodobał się dowcip. Nigdy nie przepadał za męską częścią podległych mu policjantów; interesowały go tylko kobiety.

– Chyba spasuję. Wybaczcie...

I odszedł, by molestować inne grupy. Rozmowa została wznowiona, a Sanderson zaczęła wypytywać wszystkich, gdzie spędzają święta. Helen uznała to za dobry moment, by się ewakuować.

Z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że spędziła w pubie ponad godzinę. Właściwie zadziałało to na nią nieco odświeżająco – na chwilę mogła wyłączyć myślenie – ale teraz, gdy wracała w wieczornym chłódzie na komisariat, jej umysł znowu wszedł na wysokie obroty. Chciała sprawdzić trop z benzodiazepinami. Gdzie zabójczyni zdobywała te środki? Może w ten sposób ją wyśledzą?

Grace wróciła do pustego centrum operacyjnego i raz jeszcze wznowiła łowy.

031/117

Jej gniew sięgał zenitu; miała ochotę wrzeszczeć, dopóki nie pękną jej płuca. Ostatnie dni były przerażające i dezorientujące, ale milczenie matki milion razy pogarszało sytuację.

Kiedy Ella włożyła jej torbę na głowę, Anna z początku myślała, że się udusi – nie mogła ruszać głową, a jeśli jej nos i usta pozostałyby zakryte, umarłaby powolną, nieubłaganą śmiercią. Na szczęście torba okazała się luźna i zrobiona z naturalnego materiału, dzięki czemu Anna mogła oddychać. Kiedy ją ułaskawiono, zaczęła nasłuchiwać. Czyżby właśnie ich okradano? A może mordowano Marie? Poza dźwiękiem zamykanych i ryglowanych drzwi niczego nie było słychać. To Ella wychodziła? Czy Marie? Boże, nie zostawiaj mnie tu samej, modliła się Anna. Ale nikt nie odpowiedział na jej modlitwy, więc siedziała tylko, samiutka i pogrążona w potwornej ciemności.

Przesiedziała w ten sposób kilka godzin, a potem nagle oślepiło ją światło, gdy ktoś ściągnął jej z głowy torbę. Zamknęła oczy z bólu, a potem ostrożnie je otworzyła, próbując przyzwyczaić się do odzyskanej wolności. Kiedy siedziała, wyobrażała sobie przeróżne potworne scenariusze – mieszkanie wywrócone do góry nogami, zwłoki matki – ale teraz rozejrzała się i wszystko wydawało się... normalne. Nic nie zginęło, a do tego znowu została sama z Marie. Z początku czuła ulgę. Czekala, aż Marie wyjaśni jej, że wariatka zabrała im tylko parę rzeczy i nic się nie stało. Ale matka nie powiedziała ani słowa. Anna chrząkała i sapała, by zwrócić na siebie uwagę, desperacko szukając kontaktu wzrokowego z rodzicielką. Marie jednak nie chciała na nią spojrzeć. Dlaczego? Co się stało, że wstydziła się spojrzeć w oczy własnej córce?

Anna znowu zaczęła płakać. Miała zaledwie czternaście lat i nie wiedziała, co się dzieje. A jednak matka nie zamierzała nawet spróbować jej pocieszyć. Zamiast tego po prostu wyszła z pokoju. Minęły trzy, może cztery dni, odkąd pojawiła się Ella, i przez cały ten czas Marie nie powiedziała do niej ani jednego znaczącego słowa. Czytała jej, zabierała ją do toalety, kładła spać, ale w ogóle

z nią nie rozmawiała. Anna nigdy wcześniej nie czuła się tak niekochana. I tak dezorientowana. Zawsze stanowiła ciężar dla swojej matki, wiedziała o tym, i zawsze gorąco kochała ją za całą cierpliwość, miłość i troskę, jakie ta jej okazywała. Ale teraz nienawidziła Marie. Nienawidziła jej całym sercem za to jej okrucieństwo.

Głód przeszedł w kolejną fazę. Cały czas miała skurcze żołądka, w głowie jej się kręciło, a w ustach miała tak sucho, że czuła posmak krwi. Ale matka nie dawała jej żadnego jedzenia. Dlaczego? I dlaczego sama też nic nie jadła? Co tu się działo?

Jakiś dźwięk dobiegający z korytarza. Potworne krzyki i tłuczenie. Pięści, wrzaski matki. Nagle Marie wróciła do pokoju i minęła córkę bez słowa, z szaleństwem w oczach, wymęczona.

Otworzyła okno. Ponieważ mieszkali w wysokim bloku, okna były zablokowane na środku i otwierały się tylko trochę, żeby nie dało się wyskoczyć – mądre posunięcie, biorąc pod uwagę desperację lokatorów. Ale dało się poczuć na twarzy podmuch wiatru, jeśli tego się właśnie chciało.

Teraz Marie wołała o pomoc. Krzyczała, by ktoś – ktokolwiek – przyszedł je uratować. I wtedy Anna się domyśliła. Zostały uwięzione. Właśnie tego matka nie chciała jej powiedzieć. Ella zamknęła je od zewnątrz, więząc je w środku. Znalazły się w pułapce.

Dlatego jej matka wołała w ciemności nocy w nadziei, że ktoś będzie przechodził i ją usłyszy. Że ktoś zada sobie odrobinę trudu. Ale Anna wiedziała z doświadczenia, że lepiej nie liczyć na uprzejmość obcych. Kiedy Marie opadła na podłogę, pokonana, wreszcie zdała sobie sprawę, że zostały pogrzebane żywcem we własnym domu.

032/117

Powinni odwołać Boże Narodzenie? Tak brzmiało pierwsze pytanie, jakie Sarah zadała Peterowi, gdy wrócił ze szpitala. Nie interesowała się jego zdrowiem – widziała, że powoli, ale stale robi postępy – ani nie chciała rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Nikt nie chciał o tym rozmawiać. Pragnęła za to wiedzieć, co mają zrobić z Bożym Narodzeniem. Czy Peter wolałby je spędzić, jak zawsze, z rodzicami i kuzynami? Jakby nic się nie wydarzyło i życie toczyło się dalej? Czy wolałby jednak uznać oficjalnie, że świat stał się dla niego mrocznym miejscem i nie ma powodu do świętowania?

Ostatecznie zdecydowali, że zrobią tak, jak zawsze. Peter całym swoim jestestwem chciał uniknąć spotkania z rodziną i przyjaciółmi. Nie mógł znieść ich trajkotania i niewypowiedzianych pytań wypełniających ich umysły. Ale myśl o byciu tylko z żoną przez święta wydawała się jeszcze bardziej przerażająca. Kiedy zostawał sam choć na sekundę, w jego głowie rodziły się ponure myśli. Musi czymś się zająć, skupić na dobrych rzeczach, nawet jeśli to wszystko miało być jedną wielką hipokryzją i nerwowym udawaniem.

Z początku kuściło go, by znienawidzić tę kobietę. Wyraźnie miała dylemat, nie wiedziała, jak traktować swojego męża-zabójcę. Nie potrafiła pojąć tego, co się stało, więc kręciła się wokół, robiąc milion drobnych rzeczy, by okazać mu troskę – a wszystko to było całkowicie pozbawione sensu. A jednak dni mijały i Peter zdał sobie sprawę, że kochał ją właśnie za te małe gesty i za to, że go nie obwiniała. Udało mu się nawet uśmiechnąć, gdy dowiedział się, że zakazała w tym roku fajerwerków. Nie wiedziała za bardzo, co się wydarzyło w silosie, jednak instynktownie czuła, że jej mąż nie będzie miał ochoty na głośne wystrzały. Miała rację i właśnie za to – i za wiele innych rzeczy – Peter był wdzięczny.

Cała rodzinka pojawiła się jak zwykle... i Boże, ależ byli uradowani. Minęli mundurowego pilnującego drzwi, jakby w ogóle nie istniał, roztaczając świąteczny nastrój w sposób maniackalny i wymuszony. Mnóstwo alkoholu

podarowano i otrzymano, jakby kolegiально uznali, że będzie potrzebny. Prezenty zdawały się nie kończyć, jakby chwila przerwy w ich wręczaniu mogła się skończyć tragicznie. Stosy nierozpakowanych podarunków piętrzyły się w całym pokoju.

Nagle Peter poczuł się osaczony. Podniósł się i wymknął z pokoju. Ruszył do kuchni; próbował przekręcić klucz w tylnych drzwiach, ale za bardzo trzęsły mu się ręce. Zaklął kilka razy i wreszcie mu się udało, a potem wyszedł na mróz. Lodowate powietrze uspokoiło go, więc postanowił zapalić papierosa. Po wyjściu ze szpitala wrócił do nałogu, który rzucił wiele lat wcześniej; oczywiście nikt nie odważył się tego skomentować. Małe zwycięstwo.

Nagle za jego plecami pojawił się Ash, najmłodszy bratanek.

– Potrzebowałem chwili przerwy. Poczłustujesz mnie? – powiedział, wskazując na papierosy Petera.

– Pewnie, Ash. Śmiało – odparł Peter, podając chłopakowi paczkę i zapalniczkę.

Mężczyzna patrzył, jak dzieciak niezdarnie zapala papierosa. Kiepski był z niego palacz, a jeszcze gorszy aktor. Peter natychmiast zrozumiał, że Ash został wysłany na przespiegi. W szpitalu lekarze ponad godzinę dyskutowali z Sarah na temat stanu psychicznego Petera, wypełniając jej i tak już niespokojny umysł koszmarnymi scenariuszami. A to oznaczało, że Petera trzeba było pilnować, by nie popełnił samobójstwa, chociaż nikt nie chciał ująć tego w ten sposób. Zupełnie bez sensu, bo Peter nie miał potrzebnej do tego energii, chociaż Bóg wie, że przeszło mu to przez myśl. Ash mówił, a Peter potakiwał i uśmiechał się, ale równie dobrze mógłby słuchać mandaryńskiego. Rozmowa w ogóle go nie interesowała.

– Wracamy do środka?

Ash nie wyglądał na zadowolonego ze swojego papierosa, więc Peter oszczędził mu męki. Wspólnie dołączyli do świętowania. Sprzątnięto już po obiedzie i na stole pojawiły się gry planszowe. Teraz Peter nie mógł się już wymknąć. Z rezygnacją zasiadł do tortur. Starał się, jak mógł, żeby okazywać radość, jednak jego myśli zaprzętało coś zupełnie innego. Gdzieś po drugiej stronie miasta narzeczona Bena Hollanda spędzała właśnie pełne żałoby święta, złorzecząc na los i na człowieka, który odebrał jej ukochanego na kilka tygodni przed ślubem. Jak ma z tym żyć? Jak oni wszyscy mają z tym żyć?

Peter uśmiechnął się i rzucił kośćmi, ale w głębi serca umierał. Trudno cieszyć się z Bożego Narodzenia z krwią na rękach.

033/117

Zapach przypraw był upajający; Helen głęboko wciągnęła powietrze. Jedyną rzeczą w czasie Świąt Bożego Narodzenia, jaką naprawdę lubiła, było to, że beczelnie płynęła pod prąd. Nigdy nie przepadała za indykiem i uważała, że świąteczny pudding jest jedną z najgorszych potraw, jakich kiedykolwiek próbowała. Jej zdaniem, jeśli ktoś nie lubi świąt, nie powinien tłumić tych uczuć. Dlatego kiedy inni walczyli o zabawki w sklepach i wydawali osiemdziesiąt funtów na indyka z wolnego wybiegu, Helen wybierała inną ścieżkę, prowadzącą w zupełnie przeciwnym kierunku. I dlatego obiad na wynos z Mumraj Tandoori w Boże Narodzenie stał się jej corocznym aktem rebelii.

– Murgh zafrani, peshwari naan, aloo gobi, ryż pilau i dwa papady z podwójną kolendrą – wyrecytował Zameer Khan, pakując zamówienie Helen. Mężczyzna trwale wpisał się w krajobraz okolicy; prowadził swoją restaurację już ponad dwadzieścia lat.

– Idealnie.

– Skoro mamy Boże Narodzenie, dorzucę jeszcze kilka czekoladek z nadzieniem miętowym. Brzmi nieźle?

– Cudownie – odpowiedziała Helen, zabierając pudełeczka i uśmiechając się z wdzięcznością.

Nie żałowała sobie przy zamawianiu, więc zawsze dojadała resztki drugiego dnia świąt. Jedną z radości Bożego Narodzenia było rozkładanie indyjskiej uczy na stole w kuchni i powolne, rozmyślne ładowanie jedzenia na talerz. Ściskając swoje zdobycze, Helen wróciła do mieszkania. W środku nie dało się zauważyć żadnych ozdób – w zasadzie jedynymi nowymi elementami wystroju były akta sprawy porwania Amy i Petera, które przyniosła do przejrzenia. Spędziła nad nimi większość wieczoru bez żadnej przerwy i nagle zdała sobie sprawę, że jest strasznie głodna. Włączyła piecyk i odwróciła się, żeby wziąć naczynie do podgrzania jedzenia. Niestety zahaczyła łokciem o torbę z zamówieniem i zrzuciła ją z blatu. Wszystko wylądowało na podłodze i kartonowe pudełka

pootwierają się, rozsypując indyjskie żarcie po całej kuchni.

– Cholera jasna.

Helen myła podłogę rano tego samego dnia; cytrynowy zapach płynu wymieszał się z indyjskimi olejami, tworząc drażniącą i nieprzyjemną woń. Grace patrzyła przez chwilę na bałagan w szoku, a potem nagle poczuła łzy w oczach. Zalał ją gniew; miała ochotę skopać to gównno, ale udało się jej opanować wściekłość i zamiast tego uciekła do łazienki.

Zapaliła papierosa i usiadła na zimnej krawędzi wanny. Była zła na samą siebie za tę nerwową reakcję. Zaciągnęła się mocniej dymem. Zazwyczaj nikotyna działała kojąco, ale dzisiaj smakowała goryczą. Rzuciła z niesmakiem papierosa do sedesu, patrząc, jak żarząca się końcówka gaśnie w wodzie. Idealnie pasowało to do stanu jej umysłu. Każdego roku Helen naigrywała się z Bożego Narodzenia i każdego roku dostawała za to w twarz. Ciemne chmury krążyły teraz wokół niej, przypominając o tym, że jest niekochana i bezwartościowa. Powoli myśli te zaczęły przejmować nad nią kontrolę; depresja wgryzała się w jej mózg. Spojrzała z ukosa na szafkę, gdzie leżały dyskretnie schowane żyletki.

Ostrze wbiło się w indyka, wypuszczając z niego soki. Charlie, z papierową czapczką na głowie, była w swoim żywiole. Uwielbiała wszystko, co związane z Bożym Narodzeniem. Kiedy tylko liście zaczynały spadać z drzew, w Charlie budziło się podniecenie. Zawsze była dobrze zorganizowana – kupowała prezenty już w październiku, a indyka zamawiała w listopadzie – więc kiedy wreszcie nadchodził grudzień, mogła cieszyć się każdą chwilą. Przyjęcia świąteczne, śpiewanie kolęd, pakowanie prezentów przy kominku, przytulanie się w trakcie oglądania świątecznego filmu – Boże Narodzenie było dla niej najlepszym okresem w roku.

– Możemy już otworzyć prezenty?

Bratanica Charlie, Mimi. Jak zwykle niecierpliwa.

– Dopiero po obiedzie. Znasz zasady.

– Ale jeszcze tyle czasu!

– Dzięki temu bardziej się ucieszysz, kiedy w końcu nadejdzie ta chwila.

Charlie nie zamierzała odpuścić – w Bożym Narodzeniu najważniejsze były rodzinne tradycje.

- Kogo próbujesz oszukać? - wtrącił się Steve. - Po prostu opóźniasz nieuniknione rozczarowanie.

- Mów za siebie - zastrzegła Charlie, szturchając swojego chłopaka. - Poświęciłam wiele wysiłku swoim świątecznym zakupom. Jeśli ty tego nie robisz, to twój problem.

- Pożałujesz tych słów później. Zobaczysz - odparł triumfalnie Steve.

Charlie już wiedziała, co od niego dostanie. Bieliznę. Sugerował to już od jakiegoś czasu, a poza tym ich intymne pożycie było w tej chwili bardzo intensywne. Charlie niczego nie pragnęła tak bardzo, jak dziecka. Czuła, że nadszedł jej czas; właściwie to jedyny prezent, jakiego naprawdę chciała. Niestety jeszcze go nie dostała, chociaż starali się już dość długo. Charlie zaczynała się martwić. Co jeśli coś było z nią nie tak? Wizja bezdzietności ją dobijała - zawsze chciała co najmniej dwójkę albo trójkę.

Ale Boże Narodzenie to nie czas na zmartwienia, więc Charlie zdusiła nieprzyjemne myśli. Był przecież pierwszy dzień świąt, najważniejszy dzień roku, dlatego dołożyła sobie świątecznego indyka, pokazała zęby w uśmiechu i starała się, jak mogła, by zarazić wszystkich świąteczną atmosferą.

Nie musiał już długo czekać. Mark czuł przyptyw lepszego humoru, gdy tylko myślał o spotkaniu z Elsie. W tym roku Christina oddała mu drugi dzień Bożego Narodzenia, więc jutro z samego rana odbierze swoją córeczkę, by spędzić z nią pełen świątecznych atrakcji dzień. Miał za sobą naprawdę gówniany rok, ale przynajmniej zakończy go pozytywnym akcentem. Zarezerwował już miejsca na lodowisku, bilety do kina i stolik w burgerowni Byrona - zapowiadał się najbardziej bombowy z bombowych dni.

Dzięki wizji spędzenia czasu z Elsie udało mu się jakoś przetrwać ostatnie trzydzieści sześć godzin. W Wigilię podrzucił swoje prezenty dla córki do domu Christiny. Elsie nie było - poszła razem z matką na mszę do miejscowego kościoła - więc zamiast z nimi spotkał się ze Stephenem. Mężczyzna uprzejmie odebrał podarunki i zapytał Marka, czy chce wejść na drinka. Mark miał ochotę uderzyć go w twarz; jak on *śmiał* grać gospodarza w domu, który należał kiedyś do Marka? O czym niby mieli rozmawiać? Co Mikołaj przyniesie im na święta? Nie wiedział, czy Stephen zrobił to celowo - wydawał się szczery, ale może umie

udawać – Mark jednak nie zamierzał tego sprawdzać. Wiedział z doświadczenia, że kiedy w głowie pojawiała mu się czerwona mgiełka, lepiej było odejść. Gotowało się w nim przez cały czas od tamtej chwili i nieraz złorzeczył na wskazówki zegarka, że tak wolno się przesuwają, ale... wreszcie nadszedł czas. Cierpliwość została nagrodzona.

Nadeszło Boże Narodzenie.

034/117

Marie leżała na łóżku, gapiąc się w sufit. Czy właśnie taki widok będzie jej towarzyszył w ostatnich chwilach? To poźółkłe i krzywe coś? Nigdy wcześniej jej nie przeszkadzał. Teraz wpatrywała się w niego już od tygodnia i budził w niej gniew tak silny, że aż absurdalny. Tak naprawdę nie powinno jej tu w ogóle być – powinna siedzieć w drugim pokoju z córką. Od samego początku wiedziała, że musi jej powiedzieć prawdę, ale jak? Historia była tak przerażająca, tak niewiarygodna... Jak miałyby ją opowiedzieć? Dlatego nie mówiła nic. Mijały kolejne potworne dni, a Anna nie miała pojęcia o śmiertelnym ultimatum czy pistolecie skrytym w szufladzie szafki nocnej. Dziewczynka wściekała się z powodu cierpienia, zdezorientowana, ale tak musiało zostać, bo Marie nie zamierzała – nie mogła – powiedzieć jej prawdy.

Była złą matką. Złym człowiekiem. Musiało tak być, skoro sprowadziła na nich takie nieszczęście. Wybrała nieodpowiedniego faceta na męża i urodziła dziecko, które ledwie żyło. Nie robiąc nic, co mogłoby sprowokować przemoc, musiała znosić niekończące się, bezsensowne akty okrucieństwa. A teraz to. Cios okrutny i kończący ich smutną historię. Przestała się zastanawiać, dlaczego właśnie im się to przytrafiło – po prostu tak było i już. Nie zamierzała też dalej walczyć. W telefonie nie było sygnału, odkąd wyszła Ella, drzwi zostały zamknięte z zewnątrz i nikt nie odpowiadał na ich krzyki. Raz wydawało jej się, że kogoś widziała – może dziecko – kiedy wołała o pomoc przez okno. Ale nieznajomy uciekł. A może tylko jej się to przyśniło? Kiedy raz utkniesz w niekończącym się koszmarze, trudno ocenić, co jest prawdą, a co snem.

Anna znowu płakała. To jedna z niewielu rzeczy, które potrafiła robić. Marie natychmiast otrzeźwiała. Jej córka cierpiała z powodu samotności i strachu – dwóch uczuć, przed którymi Marie przysięgała ją ochronić.

Wstała i podeszła do drzwi, ale tam się zatrzymała. Nie zrobi tego. Tyle że musi... Naprawdę. Ich jedyną bronią w walce ze światem były miłość i solidarność, a Marie głupio je zniszczyła ze strachu i tchórzostwa. Żałosne.

Chociaż wcześniej postanowiła nie mówić córce o położeniu, w jakim się znalazły, teraz zrozumiała, że musi. To ich jedyna broń. Jedyna nadzieja.

Mimo to zawahała się, próbując dobrać odpowiednie słowa, by wytłumaczyć swoje okrucieństwo, swoje milczenie. Zadanie okazało się niewykonalne; wreszcie zebrała się na odwagę i wyszła z sypialni do salonu. Spodziewała się, że powita ją oskarżycielskie spojrzenie córki, lecz zdarzył się cud: dziewczynka spała. Płacz wreszcie ją znużył i na chwilę uwolniła się od koszmaru. Anna odzyskała spokój.

A co jeśli nigdy już się nie obudzi? Ta myśl nagle wprawiła Marie w dobry nastrój. Wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie zastrzelić własnej córki – to absolutnie niemożliwe. Ale istniały inne sposoby. Marie od czasu zdiagnozowania problemów Anny przeczytała wiele historii o matkach, które nie potrafiły pogodzić się z niepełnosprawnością dzieci i zabiły je. Mówiły, że chciały w ten sposób zakończyć ich cierpienia, swoje także. Społeczeństwo patrzyło na nie ze współczuciem, dlaczego więc ją miałyby potraktować inaczej? Wszystko byłoby lepsze niż powolne zagłodzenie się na śmierć. Ich ciała wkrótce i tak zaczną buntować się przeciwko nim; jaki inny miała wybór?

Marie wróciła do sypialni. Podeszła do łóżka, sięgnęła po cienką poduszkę i zaczęła obracać ją w dłoniach. Jej umysł wszedł na wysokie obroty. Będzie miała dość odwagi? A może okaże się tchórzem? Nagle poczuła, jak zbiera jej się na wymioty – padła na kolana i gwałtownie opróżniła żołądek do kosza na śmieci. Podnosząc się, zobaczyła, że wciąż ściska w dłoniach poduszkę.

Lepiej się nie wahać. Lepiej nie wątpić... Dlatego Marie szybko pomaszerowała do salonu, gdzie smacznie spała jej córka.

035/117

Źle zrobiłam, ale nie mogłam się oprzeć. Szukałam sposobu, by go zranić; bez skutku. Nigdy mi się to nie udało. A wtedy rozwiązanie przyszło samo...

Matka znalazła go wężącego przy kubłach na śmieci na końcu działki. Śmieszny mały kundelek z białą łatką na jednym oku. Słodki, choć nieco wyliniały. Podarowała go ojcu na urodziny. Chyba miała nadzieję, że będzie częściej zostawał w domu, żeby opiekować się psem. Banalne, ale nawet skuteczne. Owszem, zniknął na kilka dni, żeby upijać się, bić i pieprzyć z miejscowymi dziwkami, jednak kundelek mu się spodobał. Ciągle go głaskał, a my tylko patrzyłyśmy, ignorowane.

To zabawne, ale kiedy wiesz, że zrobisz coś złego, świat nabiera barw. Czujesz się lekko, jesteś podekscytowany i wolny. Nikt nie wie, co planujesz. Nikt nie może cię powstrzymać. To twój mały sekret. Te kilka dni przed to jedne z najszcześniejszych chwil mojego życia.

Ostatecznie wybrałam truciznę. Dozorca naszego bloku ciągle narzekał na szczury – ile by nie wyłożył trutki, nie mógł się ich pozbyć. Dlatego nie było trudno zdobyć odrobiny specyfiku. Uznałam, że to najlepszy sposób. Kundel był strasznie łakomy i nigdy nie odmawiał jedzenia. Dlatego uszykowałam mu specjalne danie. Najtańsze, najgorsze żarło dla psa, doprawione trutką na szczury. Wciągnął wszystko.

Śmiałam się później na widok syfu, jakiego narobił. Psie gówno i rzygi na całej podłodze w kuchni. Życie uciekało z niego oboma końcami i w ciągu kilku godzin padł. Mama była przerażona; chciała wyrzucić truchło przed powrotem taty i udawać, że pies uciekł... Ale ojciec wrócił wcześniej i ją nakrył.

Zupełnie oszalał, zaczął nią potrząsać i wrzeszczeć. A ona wiedziała tyle co on. W końcu znalazł pustą tubkę po trutce w śmieciach na zewnątrz. Głupi błąd w zasadzie, ale wciąż byłam dzieciakiem. Wtargnął do pokoju, ściskając tubkę, a ja, głupia, uśmiechnęłam się. I to przeważało szalę.

Uderzył mnie w głowę, kopnął w brzuch i wcisnął but między nogi. Potem złapał mnie za kark i przytrzymał moją głowę przy piecyku. To przysuwał, to odsuwał. Nie

wiem, jak długo to trwało. Zemdlałam po dwudziestu minutach.

036/117

Dekoracje powoli znikwały, a życie wracało do normalności. Jest coś szczególnie smutnego w biurze wciąż przyozdobionym łańcuchami choinkowymi, kiedy święta dawno się skończyły. Niektórzy woleli je zostawiać aż do połowy stycznia, ale Helen do nich nie należała i poprosiła jednego z funkcjonariuszy o zdjęcie ostatnich ozdób. Chciała, żeby centrum operacyjne wyglądało tak, jak powinno. Musiała się ponownie skupić na sprawie.

Jak można się było spodziewać, Whittaker zażyczył sobie raportu, więc Helen udała się prosto do jego biura. W prasie coraz mniej pisało się o śmierci Sama. Przejęcie sporej ilości kokainy w porcie w Portsmouth odwróciło na jakiś czas uwagę dziennikarzy, a ponieważ Whittakera to zadowalało, ich spotkanie było krótkie.

Po powrocie do centrum operacyjnego Helen od razu zauważyła, że coś wisi w powietrzu – panowała napięta atmosfera i nikt nie miał odwagi, by spojrzeć jej w oczy. Charlie podeszła do niej szybko, a potem zawahała się, nie wiedząc, jak zacząć. Grace po raz pierwszy widziała, jak dziewczynie brakowało słów.

- Co się stało? – zapytała z naciskiem.
- Sanderson właśnie odebrała telefon od mundurowych.
- I?
- Są w Melbourne Tower.

O Boże, nie.

- Matka i córka zostały znalezione martwe w swoim mieszkaniu. Marie i Anna Storey. Tak mi przykro.

Helen patrzyła na nią jak na wariatkę – jakby wykręciła jej jakiś chory numer – ale na twarzy Charlie malował się tak szczery ból, że Helen przestała mieć wątpliwości.

- Kiedy?
- Telefon zadzwonił pół godziny temu, tylko że byłaś na spotkaniu, więc...
- Trzeba było je przerwać. Chryste, Charlie, dlaczego po mnie nie przyszłaś?

- Chciałam najpierw poznać więcej szczegółów.
- Jakich szczegółów? Dlaczego?
- Wydaje mi się... wydaje nam się, że to może być trzecie porwanie.

Wszyscy na nią patrzyli, więc z całych sił próbowała się opanować. Natychmiast wydała polecenia, ale jej umysł był już pół miasta dalej. Musi pojechać tam i na własne oczy zobaczyć, czy to naprawdę możliwe. W drodze do Melbourne Tower rozmyślała o wszystkim, co razem przeszły. Właśnie tak miał wyglądać ich koniec? Tak wyglądała nagroda, jaka czekała na nie po latach walki?

Czasami życie naprawdę kopało w tyłek. Helen zrobiło się słabo, kiedy Charlie przekazała jej wieści. Rozpaczliwie marzyła, by to wszystko okazało się pomyłką. Z całego serca chciała cofnąć czas i jakoś to odkręcić. Ale nie mogła – Marie i Anna nie żyły. Zespół ekspertów od rozbiórki zauważył dziwne SOS namazane na prześcieradle i wywieszzone w oknie na czwartym piętrze. Poszli to sprawdzić, ale nikt nie otwierał, chociaż słyszeli telewizor i widzieli światła, więc zadzwonili po policję. Funkcjonariusze nie byli z tego zbytnio zadowoleni – długo próbowali zdjąć żelazne rygle, a drzwi miały tyle zamków, że nie dało się ich łatwo wybić. Przez cały czas uważali, że to tylko strata czasu, że mieszkańcy celowo się ukrywali albo byli pod wpływem alkoholu bądź narkotyków. Ale kiedy udało im się dostać do środka, znaleźli matkę i córkę leżące razem na podłodze w salonie.

Z początku myśleli, że to samobójstwo i specjalnie się zamknęły. Jednak mimo poszukiwań nie znaleziono żadnych kluczyków – ani do zamków, ani do kłódek zabezpieczających rygle. Co więcej, ofiary miały naładowany pistolet. Leżał obok nich na podłodze, nieużywany. Nie znaleziono żadnego listu pożegnalnego ani pustych buteleczek po pigułkach czy wybielaczu – żadnych widocznych oznak samobójstwa. Na drzwiach nie było też oznak włamania i najwyraźniej niczego nie skradziono. Cała sytuacja była bardzo dziwna, a ofiary po prostu... martwe. Muchy krążyły nad ich ciałami, sugerując, że wydarzyło się to już jakiś czas wcześniej.

Helen kazała policjantom przeszukać cały blok i teren wokół, mówiąc, że mają szukać telefonu komórkowego, sama zaś dołączyła do techników medycyny sądowej, którzy zajęli się ciałami. Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się stracić zimnej krwi w obecności innych funkcjonariuszy. Widok Marie i Anny w takim stanie okazał się dla niej jednak zbyt przerażający. Przeszły tak wiele, tyle

wycierpiały, a jednak wciąż łączyła je miłość. Zawsze uśmiechały się i śmiały do siebie, mimo codziennego upokorzenia i bólu. Helen nie miała wątpliwości, że nie popełniły samobójstwa, a obecność pistoletu tylko to potwierdzała.

Inspektor udała się do maleńkiej kuchni, żeby odzyskać równowagę. Zaczęła powoli przeglądać wnętrza szafek i lodówki. Żadnego jedzenia, nawet w puszkach czy foliowych opakowaniach. Całe mieszkanie opróżniono ze wszystkiego, co dało się zjeść, a jednak... kosz był pusty. Żadnych pustych pudełek czy butelek. I kiedy w głowie pojawiła jej się pewna myśl, zebrało jej się na wymioty. Zdusiła je i pomaszerowała do zlewu. Odkręciła kran. Nic. Tak, jak się spodziewała. Podniosła telefon. Cisza. Helen opadła na najbliższe krzesło.

– Myślisz, że to ona? – zapytał Mark, wchodząc do kuchni.

Helen kiwnęła głową.

– Zamknęła je w środku. Zabrała im jedzenie, wyłączyła telefon i wodę, zostawiła pistolet. Nie znajdziemy kluczyków do rygli czy kłódek, bo zabrała je ze sobą...

Matka i córka uwięzione we własnym mieszkaniu. Nie mogły uciec, nie mogły nikogo zawiadomić. Bardzo samotna śmierć. Jeśli istniało jakieś pocieszenie w tym, że zabójczyni nie zdołała zmusić Marie do zabicia własnej córki, Helen go nie dostrzegala.

037/117

Dzisiejszy dzień okazał się jednym z najbardziej ponurych. Najgorszym, odkąd to się stało. Dzisiaj pogrzebali Bena. Od samego początku Peter Brightston unikał informacji na temat swojej ofiary jak zarazy – nie chciał wiedzieć, jak z jego śmiercią radzą sobie narzeczona i przyjaciele ani co o tym wszystkim myśleli. Jednak dni mijały i zauważył, że coraz więcej czasu spędza w Internecie, sprawdzając stronę upamiętniającą Bena oraz wiadomości na jego profilu na Facebooku. Śledził życie, które zniszczył.

Trzy dni temu zauważył informacje o pogrzebie Bena, które zamieścił jego najlepszy kolega. Nie wyglądało na to, by szykowało się duże wydarzenie. Peter zaczął się zastanawiać, kto z firmy się wybierze. Na pewno pójdą wszyscy partnerzy i większość zespołu Bena. A sekretarki i asystenci? Czy to możliwe, żeby byli tam wszyscy prócz Petera? Przez jedną szaloną chwilę rozważał, czy może sam nie powinien się tam udać, ale uznał to za niestosowne. Gdyby przyjaciele Bena go zobaczyli, rozdarliby go na strzępy. I kto by się im dziwił? A jednak Peter czuł, że chce tam być. Żeby się pożegnać. Żeby przeprosić.

Zastanawiał się nad wysłaniem listu do narzeczonej Bena, jednak Sarah wybiła mu ten pomysł z głowy. Oczywiście miała rację. W przypiływie irytacji przeciwstawił się jej i zasiadł do pisania, ale nie udało mu się skreślić ani jednego słowa. Wszystko, co miał do powiedzenia – nie chciałem tego zrobić; żałuję, że nie mogę cofnąć czasu – brzmiało pusto i bezsensownie. Jego uczucia i pragnienia nie miały dla niej żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że dźgnął jej narzeczonego, by ratować własny tyłek.

Było warto? Peter nie był już tego tak pewny. Kiedy spadł poziom adrenaliny i otrząsnął się z szoku, poczuł jedynie miazdzącą pustkę, jakby stracił smak, dotyk i węch, a teraz jedynie wegetował, zamiast żyć.

Co teraz pocznie ze swoim życiem? Wróci do pracy? Zostanie zaakceptowany? Wszystko będzie lepsze niż utrata zmysłów w domu.

Gdyby tylko Ben nacisnął spust! Mógł przecież. Miał dość czasu. Zawahał się

z tchórzostwa czy z poczucia moralności? Gdyby wystrzelił, teraz *on* tonąłby w morzu poczucia winy, a Peter leżałby bezpieczny i spokojny pod ziemią.

Samolubny drań.

038/117

Każdy musi czasem wyznaczyć granicę. Dla Jake'a taki moment nadszedł właśnie teraz. Sytuacja nie była już zabawna ani profesjonalna, wymykała się spod kontroli. Miał właśnie klienta, kiedy przyszła, ale najwyraźniej w ogóle się tym nie przejęła. Usiadła przed wejściem do mieszkania, patrząc w podłogę, podczas gdy Jake kończył sesję. Nastrój prysł jak bańka mydlana i musiał obiecać swojemu niezadowolonemu klientowi darmową sesję, żeby wreszcie się go pozbyć. Tego typu sytuacje mają zły wpływ na interesy – świątek S&M na południowym brzegu jest niewielki i wieści szybko się rozchodzą.

Przeprosiła, ale nieszczerze. Zachowywała się nielogicznie i emocjonalnie. Jake zapytał ją, czy piła. Nie spodobało jej się to, więc przypomniła mu, że jest panem, a nie lekarzem. Puścił to mimo uszu, nie chcąc jej prowokować, a potem zasugerował krótką, lekką sesję jako sposób na złagodzenie sytuacji. Później może porozmawiają.

Jednak jej to nie pasowało. Chciała pełnej, godzinnej sesji, bez wstrzymywania się. Pragnęła tyle bólu, ile tylko mógł jej dać. Co więcej, zażyczyła sobie wyzwisk – miał jej powiedzieć, że jest podła, brzydka, bezwartościowa i że najlepiej by było, gdyby ktoś ją zabił. Chciała, żeby ją *zniszczył*.

Na jego odmowę zareagowała gniewem, musiał być jednak szczery. W niektórych przypadkach przystałby na te warunki – nie jemu osądzać – ale nie w jej. Nie chodziło tylko o to, że ją lubił; po prostu instynktownie czuł, że potrzebowała czegoś innego. Często zastanawiał się, czy chodziła gdzieś indziej na terapię – jeśli nie, miał ochotę jej to zasugerować. Zamiast zwiększać intensywność ich sesji, by osiągnąć kolejny poziom drastyczności, Jake chciał postawić granicę i zaproponować inne rozwiązania.

– Żartujesz sobie, do cholery? – wybuchnęła Helen. – Jak śmiesz mówić mi, co mam robić?!

Jake'a zaskoczyła siła jej gniewu.

– To tylko sugestia i jeśli nie chcesz z niej skorzystać, nie ma problemu. Po

prostu nie czuję się komfortowo, podążając w tym kie...

– Nie czujesz się *komfortowo!* Jesteś pieprzoną dziwką, na Boga. Będiesz się czuł komfortowo ze wszystkim, za co ci zapłacę.

Właśnie szła w jego stronę i przez chwilę Jake spodziewał się ataku; do takiej wściekłości ją doprowadził. Zawsze miał paralizator schowany gdzieś blisko, ale nigdy jeszcze nie musiał go używać. Cóż za ironia, że miałby go użyć teraz, *na niej*. Na szczęście, kiedy Jake już zbliżał się powoli do niego, ona odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z mieszkania, trzaskając drzwiami.

Jake zdusił chęć ruszenia za nią. Nie byli przyjaciółmi; to tylko klientka. Przekroczył tę granicę i pożałował. Najlepiej odciąć się od niej i nie oglądać się za siebie. Lubił ją, ale nie zamierzał tolerować wyzwisk. Za długo w tym siedział, żeby znosić takie zachowanie. Z westchnieniem opuścił żaluzje i na zawsze usunął ją ze swojego życia.

039/117

Helen przyśpieszyła do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i wjechała na pas do szybkiej jazdy. Było już późno i obwodnica opustoszała. Cieszyła się wolnością, coraz mocniej gazując. Prędkość ją uspokajała – choć na chwilę potworne, bolesne wydarzenia z ostatnich kilku dni znikwały z jej myśli.

Zostało już tylko kilka kilometrów. Skupiła się na tym, co ją czekało. Miała zadanie do wykonania. I będzie musiała się postarać; od tego mogło zależeć czyjeś życie. Trzy ofiary, Bena, Marie i jej córkę, znała osobiście. To nie mógł być zbieg okoliczności. Czy to, że ich znała, miało znaczenie? A może coś w ich przeszłości sprawiło, że zwrócili na siebie uwagę zabójczynie?

Amy nie pasowała do reszty. Helen nigdy wcześniej nie widziała jej na oczy, a dziewczyna najwyraźniej nie miała zatargów z prawem. Tak samo Sam. Więc jeśli powiązanie z Helen miało znaczenie, dlaczego zostali wybrani właśnie oni? Zrobiło się już późno; pani Anderson nie podziękuje za wizytę i kolejne pytania, ale nie było innego wyjścia.

Drzwi otworzył ojciec, gotowy zwymyślać późnego gościa. Odkąd Amy wróciła do domu, Emilia Garanita i jej koledzy po fachu nie znikali z ich życia nawet na chwilę. Andersonowie byli u kresu wytrzymałości. Widząc, że to Helen, mężczyzna ugryzł się w język i wpuścił ją do środka.

Została zaproszona do salonu, gdzie miała poczekać, aż Diane Anderson przyprowadzi córkę z sypialni. Helen rozejrzała się po ścianach, szukając inspiracji. Kilka zdjęć szczęśliwej rodziny – mamusia, tatuś i kochana córka – patrzyło na nią z wyrzutem, kpiąc z jej niekompetencji.

Amy pokazała butną minę, wyraźnie niezadowolona, że ktoś znowu wciąga ją z powrotem w koszmar. Naprawdę spała – co rzadko jej się zdarzało – i Helen musiała ciężko się napracować, żeby ją trochę rozgrzać. Powoli Amy zaczynała zdawać sobie sprawę, że nie jest uważana za złoczyńcę i odpowiadała na pytania Helen szczerze i otwarcie. Nigdy nie zdarzyło jej się podpaść policji i z pewnością nie spotkała wcześniej Helen. Czy Sam kiedykolwiek wpadł w kłopoty? Nie było

jej o tym wiadomo. Chciał zostać prawnikiem i zawsze podkreślał, że jedno potknięcie mogłoby go kosztować przyszłą karierę. Niektórzy uważali go przez to za nudziarza, ale Amy ceniła jego sumiennosc i odpowiedzialność. Zawsze mogła na niego liczyć – do czasu, aż strzeliła mu w plecy.

Dziewczyna znowu zaczęła się zamykać. Poczucie winy raz jeszcze torowało sobie drogę do jej świadomości, ciągnąc ją na sam dół. Matka chciała jej towarzyszyć w drodze do sypialni, Helen nalegała jednak, by została z mężem, bo chciała zadać im kilka pytań. Diane Anderson udzielała lakonicznych odpowiedzi. Helen znowu straciła cierpliwość, grożąc jej aresztem, jeśli nie usiądzie i nie zrobi tego, co jej każą. Kobieta podporządkowała się i przez następne pół godziny inspektor Grace wypytywała małżeństwo o ich przeszłość. Czy kiedykolwiek złamali prawo? Spotkali ją w jakichkolwiek okolicznościach? Okazało się, że nie licząc wykroczenia w postaci prowadzenia samochodu pod wpływem alkoholu, jakiego dopuścił się Richard trzy lata wcześniej, Andersonowie nie mieli do czynienia z policją. A czy łączyło ich coś z Benem? Albo z Anną i Marie? Helen kombinowała, ale wiedziała, że na próżno – pochodzili z zupełnie innych światów i obracali się w zupełnie innych środowiskach.

Richard Anderson odprowadził ją do wyjścia. Przyjechała w środku nocy i przemaglowała ich pytaniami bez sensownego powodu. Musi istnieć jakieś powiązanie – Helen nie miała wątpliwości – niestety na razie pozostawało nieznane.

040/117

Właśnie przypinała motor łańcuchem na parkingu przed komisariatem, kiedy za plecami usłyszała kroki. Wzdrygnęła się, czując czyjąś rękę na ramieniu. Niepotrzebnie; wyczuła, kim jest nieznajomy.

Mark zostawił niezliczoną liczbę wiadomości na jej poczcie. Martwił się o nią.

– Wszystko w porządku?

Trudne pytanie, więc Helen tylko kiwnęła głową.

– Tak szybko uciekłaś z mieszkania Marie... Nie miałem szansy z tobą porozmawiać.

– Nic mi nie jest, Mark. Przez chwilę byłam nieco roztrzęsiona, ale już mi przeszło. Potrzebowałam побыć w samotności.

– Pewnie, pewnie.

Ale wcale nie był tego taki pewien. Wydawała się taka krucha... a jednocześnie powściągliwa. W mieszkaniu miała łzy w oczach, co wszystkich zszokowało, ale teraz wróciła do swojej typowej zdystansowanej postawy. Nie spodziewał się, by chodziła na terapię pierwotnego krzyku, nie widział jej też nigdy wyładowującej się na siłowni, nie miała chłopaka, męża czy dzieci... więc jak radziła sobie ze stresem? U niego przynajmniej to było oczywiste – alkohol. W niej tkwiła jakaś przeklęta tajemnica, której nie chciała za nic wyjawić. Potwornie go to frustrowało.

– Dziękuję, Mark.

Położyła mu rękę na ramieniu, ścisnęła na ułamek sekundy, a potem weszła na komisariat. Przez chwilę Mark czuł się znowu jak nastolatek, głupio podniecony najdrobniejszym gestem.

– Przypomnijmy sobie wszystko, co mamy.

Helen wezwała cały zespół, żeby wspólnie przejrzeć dowody w sprawie.

– Świadcowie?

– Do tej pory nic – odparł Bridges. – Wciąż siedzimy na miejscu zbrodni, ale

przyszły tylko ćpyny szukające nagrody i cwaniaki napraszające się o uwagę. Ktoś widział ciemny samochód, ktoś motor, a jeszcze ktoś inny UFO... Gorąca linia jest naprawdę gorąca, tyle że dzwonią głównie staruszki i dowcipnisie.

Czego się spodziewała? Marie i Anna musiały zostać uwięzione prawie dwa tygodnie wcześniej – kto mógłby pamiętać cokolwiek po takim czasie?

– Dobra, a co z raportem patologa?

Charlie nie owijała w bawełnę.

– Obie ofiary wychudzone i poważnie odwodnione. Anna Storey zmarła z powodu uduszenia się. Blisko jej ciała znaleziono poduszkę ze śladami jej śliny oraz wydzieliny z nosa.

Helen starała się nie zareagować. Marie jednak zabiła swoją córkę – chociaż z czułością. W pewnym sensie to nawet gorzej. Charlie kontynuowała:

– Marie Storey zmarła w wyniku zatrzymania akcji serca z powodu niewydolności wielonarządowej. Przyczyną było zagłodzenie i odwodnienie.

Mark widział, jak ogromny wpływ te proste słowa miały na Helen – i pozostałych członków zespołu – więc wtrącił się z wreszcie dobrymi wieściami.

– W okolicy nie ma żadnych kamer monitoringu, ponieważ zniszczyli je wandalie wiele lat temu. Technicy medycyny sądowej przeszukali mieszkanie pod kątem odcisków palców, bez powodzenia, ale udało im się zabezpieczyć częściowy odcisk buta na krawędzi jednego z kwietników przy wejściu do bloku. Pantofle na wysokich obcasach w rozmiarze 39. Policjanci w mundurach chodzą po okolicy ze zdjęciem kobiety w limonkowej kurtce i czapce z daszkiem. Może coś się komuś przypomni.

– Dobrze. A co z pistoletem? – pytała dalej Helen.

– Nadal naładowany. Żadnych oznak używania – odpowiedziała McAndrew, przejmując pałeczkę. – To smith&wesson, zapewne z wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Bena Hollanda zabito glockiem, a Sama Taylora przerobionym taurusem.

– Skąd ona je bierze? – nie odpuszczała Helen. – Może pracowała kiedyś w wojsku? W policji? Sprawdźmy, czy nie zniknął któryś z pistoletów z zeszłorocznej amnestii.

McAndrew popędziła wykonać polecenie Helen. Bez żadnego solidnego dowodu – środki uspokajające pochodziły ze sprzedaży bezpośredniej, a telefony

okazały się niezarejestrowane, na kartę – i z opisem kobiety-kameleona z zeznań świadków, pozostawało im już tylko iść tropem motywów i *opus moderandi*. Dlaczego to robiła? Zmuszała swoje ofiary do grania w tę piekielną wyliczankę, wiedząc ponad wszelką wątpliwość, że morderca będzie cierpieć bardziej niż zamordowany. Czy właśnie trauma tych, którzy przeżyli, była ostatecznym celem i sprawiała jej przyjemność? Jeśli tak, czy zabójca wraca, by obserwować ofiary i upajać się swoim zwycięstwem? Warto posłać więcej ludzi do Amy i Petera? Koszty wzrosną lawinowo, ale może się to opłaci.

– Skąd wiedziała, kto zginie? – zapytała Charlie.

– Dobre pytanie. Czy naprawdę tak dobrze zna pary porwanych, by przewidzieć wynik gry? – zastanawiała się Helen.

– Z pewnością nie – stwierdziła Sanderson i Helen się z nią zgodziła.

– To mało prawdopodobne. Nie mogła przewidzieć reakcji ludzi w tego rodzaju kryzysowej sytuacji. Nasuwa się kolejne pytanie: czy wybiera ich zupełnie przypadkiem?

To już bardziej prawdopodobne. Niektórzy seryjni zabójcy śledzą swoje ofiary, ale dla większości bardziej liczą się szanse niż tożsamość. Fred West mordował autostopowiczów, Ian Brady porywał dzieciaki uciekające ze szkoły, a Rozpruwacz z Yorkshire uderzał w przypadkowe osoby...

Tylko że... Helen знаła osobiście ofiary dwóch porwań. Powiedziała to swoim ludziom, ale nie doczekała się reakcji. Czego się spodziewała? Ślepej teorii obwiniającej ją samą albo zdecydowanego zapewnienia, że jej znajomość z ofiarami nie miała żadnego znaczenia? Nie usłyszała nic, ponieważ, jak zauważył Mark, Helen nigdy nie spotkała Amy. Oczywiście miał rację – to interesująca teoria, jednak nie pasowała do tego, co mieli. Amy nie wpisywała się we wzór.

– A co jeśli zostali wybrani jako łatwy cel? – Charlie wtrąciła się raz jeszcze. – Ponieważ byli osamotnieni i bezbronni?

Pomruk zgody.

– Amy i Sam to cicha i spokojna para. Dziewczyna nie jest duszą towarzystwa i niewiele pod tym względem różniła się od swojego chłopaka. Skryci, mieli tylko kilkoro bliskich przyjaciół. Ben Holland trzymał się z dala od innych. Z czasem nabrał nieco pewności siebie i znalazł sobie narzeczoną, ale wciąż mieszkał sam,

choć od ślubu dzieliło go zaledwie kilka tygodni. Anna i Marie były samiotkie na świecie. A co jeśli zabójczynie wybiera akurat te osoby na swoje ofiary... bo po prostu *może*?

Helen kiwnęła głową, ale także i tej teorii nie dało się obronić w stu procentach. Nie można powiedzieć, by nikt za nimi nie tęsknił. Amy była blisko ze swoją matką, jej chłopak podobnie ze swoją. Ben się zaręczył i z pewnością jego wybranka bardzo teraz cierpi. Oczywiście Anna i Marie nie wzbudzały niczyjogo zainteresowania, ale pracownicy społeczni w końcu by je odnaleźli.

Kluczem było ustalenie powiązania między ofiarami. Albo udowodnienie, że zostały porwane wyłącznie dlatego, że przebywały parami.

Helen zakończyła spotkanie. Rozdzielono zadania – przekopywanie baz danych w poszukiwaniu każdego byłego skazańca, który mógłby mieć coś za złe Helen, albo zabójcy z upodobaniem do wyszukanych form sadyzmu i gier – chociaż w głębi duszy pani inspektor nie spodziewała się żadnych pożytecznych wyników.

Mieli przed sobą zagadkę – nic więcej, nic mniej.

041/117

Wszystkich zaskoczyło, kiedy Peter Brightston nagle ogłosił powrót do pracy. Jego partnerzy nalegali, by wziął trzy miesiące wolnego – nawet sześć, jeśli tylko zechce. Częściowo powodowała nimi troska, jeszcze bardziej zaś strach przed reakcją ludzi. Peter był prostakiem, ale generalnie lubianym, ponieważ znał prawo na wylot.

Teraz był też mordercą. Zabił swojego kolegę z pracy, a w podręcznikach do zarządzania zasobami ludzkimi nic na ten temat nie pisano. Nie spodziewali się dużego napięcia – policja niechętnie udzielała informacji, zasugerowano nieszczęśliwy wypadek. Sam Peter również nie podzielił się z nimi żadnym szczegółami, których jednocześnie pragnęli i obawiali się.

Kiedy pojawił się w kancelarii po kilkutygodniowej przerwie na rekonwalescencję, działał wbrew radom lekarzy i terapeutów. Peter był jednak zdeterminowany: styczeń to zawsze pracowity miesiąc, a poza tym... co mogli na to poradzić? Wyrzucić go, chociaż nie popełnił żadnego przestępstwa? Zakończyć trwającą dwadzieścia lat współpracę i zostawić go na lodzie z powodu wypadku? Prawda była taka, że nikt nie wiedział, co robić, więc – jak łatwo się domyślić – nie zrobiono nic.

Pojawił się w poniedziałek z rana, punktualny jak zawsze. W biurze panowała tego dnia dziwna cisza. Peter wysłał kilka maili i wypił kilka kaw. Nikt nie zaplanował mu żadnego spotkania – „nie szarżuj od razu, Peter” – a jego współpracownicy szybko znajdowali wymówki, żeby pojechać do biura w Bournemouth albo zabrać klienta na długi lunch. Po całym zamieszaniu z jego powrotem pytania o zdrowie i samopoczucie pojawiały się przez pierwsze pół godziny, a potem wszystko wróciło do normy.

Wszystko prócz jednego wolnego fotela. Posady Bena nikomu jeszcze nie oddano (w końcu dopiero co odbył się pogrzeb), więc jego biurko pozostawało puste. Rzeczy osobiste spakowano i odesłano jego narzeczonej; całe stanowisko

pracy wyglądało jak dziwnie obnażone. Pusta dziura w miejscu, gdzie wcześniej było życie.

Biurko stało w zasięgu wzroku Petera. W zasięgu wzroku każdego pracownika. Nieustannie przypominało o ponurym wydarzeniu. Wszyscy – od zarządu po kucharzy w stołówce – spodziewali się, że Peterowi będzie ciężko. Nikt jednak nie przewidział, że o 15:30 swojego pierwszego dnia po powrocie pójdzie on na dach, wykrzyczy imię żony i przeskoczy barierkę bezpieczeństwa, by spotkać się ze śmiercią.

042/117

Japonia? Australia? Meksyk?

W dzieciństwie miałyśmy globus. Taki, w którym zainstalowano lampkę. Bóg jeden wie, skąd się u nas wziął. Nie należeliśmy do wykształciuchów, a znajomość geografii u mojej matki sięgała najbliższego monopolowego... Ale ja uwielbiałam globus. Służył mi do snucia marzeń. Przeciągając palcem po jego gładkiej powierzchni, kiedy to w ciągu paru sekund przeskakiwałam z kontynentu na kontynent, łatwo mogłam sobie wyobrazić, że jestem wolna.

Wyobrażałam sobie, jak łapię stopa do portu, z plecakiem pełnym zapasów – koniecznie ciasteczek z marmoladą – na długą podróż. Wspinam się po śliskim łańcuchu od kotwicy, z ogniwami wielkości człowieka, a na pokładzie chowam się do łodzi ratunkowej. Moje ciało drży z podniecenia, kiedy czuję, jak gigantyczny statek odbija od brzegu i rusza w podróż przez morza i oceany, a w kryjówce jest bezpiecznie i przytulnie.

W końcu zatrzymujemy się w jakimś dalekim, egzotycznym miejscu. Zsuwam się po łańcuchu i ląduję na ziemi. Nowej ziemi. Początku zupełnie nowej przygody.

Czasami te marzenia niebezpiecznie zbliżały się do rzeczywistości. Brałam kilka plastikowych torebek i napełniałam je chipsami serowymi oraz herbatnikami; do siatki wciskałam jeszcze zapleśniały śpiwór.

Czmychałam na zewnątrz i zamykałam za sobą cichutko drzwi. Za obszczańką alejką czekała na mnie wolność.

Ale coś – albo ktoś – zawsze sprowadzało mnie z powrotem do domu.

043/117

Gapie są zawsze łatwymi celami, prawda? To ghule żywiące się nieszczęściem innych. A jednak... kto z nas potrafi się powstrzymać i nie spojrzeć? Kto z nas nie zwalnia na widok wypadku samochodowego? Czego szukamy? Oznak życia? Czy oznak śmierci?

Peter Brightston z pewnością przyciągnął ogromny tłum gapiów, niecierpliwie czekających, by przekonać się, jak wygląda dziewięćdziesiąt kilogramów mięśni i kości po zderzeniu z chodnikiem. Helen i jej zespół dotarli na miejsce zaledwie kilka minut po ratownikach medycznych. Jednak w przeciwieństwie do biedaków, którzy musieli pozbierać resztki, Helen, Charlie i Mark nie interesowali się Peterem. Jego współpracownicy widzieli, jak skacze – nie było mowy o udziale osób trzecich – więc sprawa zostanie w mig zamknięta jako przypadek samobójstwa. Nie, Helen i jej świta przyjechali popatrzeć na gapiów. Tych, którzy przyszli złaknieni jatki.

Helen miała przecucie, że zabójczynie nie porzuca swoich ofiar w chwili zakończenia gry. Samobójstwo Petera z pewnością stanowiło zwieńczenie jej wszystkich marzeń i nadziei. Chodząca wizytówka mordercy nie może poradzić sobie z poczuciem winy za czyn popełniony pod wpływem swojego porywacza. Morderczynie tym razem nie musiała nawet kiwnąć palcem. Wystarczyło usiąść wygodnie i podziwiać efekty swojej zmyślnej pracy. Z pewnością chciałyby je zobaczyć, prawda?

Dlatego wzięli ze sobą kamery. Z kilku dyskretnych punktów – na poziomie ulicy lub wyżej – skanowali tłum, rejestrując makabryczne zainteresowanie czyjąś tragedią.

Przeglądanie tego materiału później okazało się wyjątkowo przygnębiające. Nagrali moment, w którym na miejscu pojawia się Sarah. Wpadła w rozpacz, szła. Jeszcze nie zdążyła się pogodzić z porwaniem i niewiarygodnym powrotem męża. Nie zdążyła poradzić sobie z przytłaczającym przygnębieniem, które towarzyszyło im od tego momentu – próbowała terapii, ale pancierz Petera

okazał się zbyt twardy. A teraz to... Jej życie zostało zniszczone w ciągu kilku tygodni. Wcześniej żyła w świecie wygody, prywatnej edukacji, wycieczek na narty oraz poczucia spokoju i zadowolenia. Teraz wydawał się on miejscem ponurym, pełnym zła, sadyzmu i niebezpieczeństwa.

- Przewińmy trochę do przodu - zasugerowała Helen i nikt nie wyraził sprzeciwu.

Obraz na krótko przyśpieszył, a potem wrócił do normalnej prędkości. Niekończąca się parada ratowników i gapiów.

- Szukamy szczupłej kobiety, średniego wzrostu, jakieś metr sześćdziesiąt pięć, metr siedemdziesiąt. Duży nos, pełne usta. Biust średni lub duży. Przekłute uszy - Mark przypomniał zespołowi, na co powinni zwrócić uwagę.

Ale nawet mówiąc to, zastanawiał się, czy nie marnują czasu. Nawet jeśli zobaczą morderczynię, skąd mają o tym wiedzieć? Mieli portrety pamięciowe sporządzone na podstawie zeznań Amy i Petera, niestety były bardzo ogólne, z różnymi kolorami włosów etc. Czy mogliby patrzeć tej kobiecie w oczy i mimo to jej nie poznać?

Krótko po tym nagranie się skończyło.

- Co teraz, szefowo? - zapytała Charlie.

Obejrzeliby materiały już dwukrotnie i nikt niczego nie zauważył. Trudno jednak przyrzeć się dokładnie wszystkim ludziom na filmie, bo zgromadził się tam prawdziwy tłum. Po chwili wahania Helen odparła:

- Jeszcze raz.

Zasiedli do kolejnego seansu. Mark poczęstował wszystkich ciasteczkami; potrzebowali cukru i z wdzięcznością przyjęli słodycze z jego sekretnego schowka. Ponownie wbili wzrok w ekran i próbowali skoncentrować się bardziej niż dotychczas.

- Tutaj.

Charlie powiedziała to tak głośno, że Mark i Helen aż podskoczyli. Policjantka cofnęła nagranie i włączyła film, a potem nagle zatrzymała.

- Spójrzcie tutaj.

Wskazywała kobietę stojącą głęboko w tłumie, która przyglądała się medykowi ładującym ciało na wózek.

- Jak trochę przybliżyć, będzie lepiej widać...

- Kto to? - zapytała Helen.

- Widziałam ją wcześniej na pogrzebie Bena Hollanda. Była sama i zniknęła natychmiast po ceremonii. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, ale właściwie to nie zauważyłam, żeby z kimkolwiek rozmawiała.

Twarz kobiety zajmowała teraz większość ekranu. Czyżby po raz pierwszy patrzyli na swoją seryjną morderczynię? Przyjrzeni się dokładnie jej rysom. Miała szczupłą twarz z wyrazistym nosem, a do tego boba w kolorze blond i eleganckie, budzące szacunek ubrania. W zasadzie mogła być kobietą z portretów pamięciowych. Trudno jednak ocenić tego typu rzeczy - czasami człowiek tak bardzo chce coś zobaczyć, że umysł płata mu figle.

Kiedy jechali do Andersonów, Helen czuła bardzo wyraźną ulgę. Oprócz niej coś jeszcze: nadzieję. Wreszcie miała coś, co mogło pchnąć sprawę do przodu. Wpatrywała się w wydrukowane zdjęcie podejrzanej; Mark prowadził. Kim była ta kobieta?

Andersonowie wpuścili ich do środka z typowym niezadowoleniem. Zabawne, jak ofiary z czasem czują niechęć do policji, nawet jeśli potrzebują jej pomocy. Gdy już znaleźli się w salonie, Helen nie marnowała czasu i od razu przeszła do rzeczy.

- Mamy zdjęcie podejrzanej, Amy. Chcielibyśmy, żebyś na nie spojrzała.

Wreszcie jakieś oznaki zainteresowania. Helen zauważyła, że rodzice Amy wymienili się spojrzeniami; czyżby również poczuli przypływ nadziei? Podała Amy wydrukowany zrzut z nagrania. Dziewczyna przyjrzała się fotografii, a potem zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie porywaczkę. Cisza. Otworzyła znowu oczy i raz jeszcze spojrzała na zdjęcie.

Naprawdę długa chwila ciszy.

- To może być ona.

„Może”?

- Ile masz pewności, Amy?

- Trudno powiedzieć. Musiałabym zobaczyć ją na żywo, żeby wiedzieć na pewno, ale to zdecydowanie mogłaby być ona. Włosy, nos... tak, to może być ona.

Niezupełnie na to liczyli, ale na razie musiało wystarczyć. Amy podała zdjęcie rodzicom, którzy z wielką chęcią przypatrzyli się tej suce, która porwała ich

córkę. Helen chciała zabrać im wydruk – czas naglił.

– Znam ją.

Głos Diane Anderson zabrzmiał donośnie i wyraźnie.

Przez chwilę nikt nic nie powiedział. Potem odezwała się Helen:

– Twierdzi pani, że widziała ją wcześniej?

– Spotkałam ją. Rozmawiałam z nią. *Wiem*, kim jest.

Helen spojrzała na Marka. W końcu znaleźli powiązanie między ofiarami. Zajęło im to wiele czasu – zbyt wiele – ale teraz wreszcie mieli główną podejrzaną. Helen poczuła przypływ adrenaliny i na krótką chwilę przypomniała sobie, dlaczego w ogóle została policjantką.

044/117

Jej podekscytowanie nie trwało długo. Kiedy wychodziła z domu Andersonów, zauważyła charakterystycznego czerwonego fiata Emilii Garanity zaparkowanego po drugiej stronie ulicy tak, by zablokować jej wyjazd. I oto właśnie zbliżała się jego właścicielka, z niewinnym uśmiechem na twarzy.

– Wiesz, co ci grozi za utrudnianie śledztwa, Emilio?

– Ale inaczej nie mogę z tobą porozmawiać, prawda? – odparła. – Nie oddzwoniasz, a wasze biuro rzecznika prasowego wie o sprawie mniej niż ja, więc muszę sobie jakoś radzić, czyż nie?

– Ruszaj się. – Mark robił się niecierpliwy, ale w odpowiedzi otrzymał spojrzenie pełne pogardy.

– Chcę porozmawiać na temat Petera Brightstona – ciągnęła dalej Emilia.

– Prawdziwa tragedia.

– Dziwne, że zabił się tak krótko po wypadku Bena. To był tylko wypadek, prawda?

– Tak nam się wydaje.

– Tylko że jego współpracownicy słyszeli plotki o tym, że Peter *zabił* Bena. Mogłaby to pani skomentować, pani inspektor?

– Ludzie zawsze spekulują, dobrze o tym wiesz. – Helen nie zamierzała grać według czyichś zasad. – Jeśli coś się zmieni, dam ci znać; nie badamy...

– O co się pokłócili? O miłość? Pieniądze? Byli gejami?

Helen zepchnęła ją z drogi.

– Marnujesz mój czas, Emilio. A coś mi się zdaje, że to przestępstwo.

Helen i Mark wsiedli do nieoznakowanego samochodu. Mark uruchomił silnik, posyłając Emilii groźne spojrzenie. Ta tylko spojrzała na niego z góry, a potem powoli podeszła do swojego auta. Helen z ulgą i zadowoleniem przyjęła brak wątku Marie i jej córki w rozmowie – przyczynę ich śmierci oficjalnie podano jako naturalną i najwyraźniej nikt tego nie kwestionował... jak dotąd.

Kiedy odjeżdżali, Helen spojrzała w lusterko wsteczne, aby się upewnić, że

Emilia ich nie śledziła. Choć raz uznała dyskrecję za ważniejszą od zdobywania informacji. Helen westchnęła z ulgą. Nie mogła sobie pozwolić na publiczność przy tym, co miała zamiar zrobić.

045/117

Hannah Mickery właśnie przygotowywała wystawny obiad, kiedy na jej progu pojawiła się Helen. Kobieta wyglądała równie szacownie i atrakcyjnie, co na swojej stronie internetowej. Dobry przykład tego, co można osiągnąć dzięki odpowiednim funduszom. Butelki Clos de Vougeot przygotowane na wizytę gości podkreślały atmosferę bogactwa.

Według Helen kobieta stanowiła dobrą partię. A jednak żyła samotnie. To była pierwsza rzecz, która zwróciła jej uwagę. Później, w pokoju przesłuchań, Hannah Mickery upierała się, że to przez pracę. Tak wiele poświęcała dla swoich klientów, że rzadko miała czas na życie towarzyskie czy randki. Przyjęcie, które zrujnowała Helen, zostało już dwukrotnie przełożone z powodu nieprzewidywalnej pracy Hannah. Łatwo dało się wyczuć niechęć, jaką kobieta odczuwała wobec pani detektyw z tego powodu.

Za plecami Hannah stał jej adwokat. On też był drogi. Mickery zawsze czekała na jego interwencję i dopiero kiedy ta nie nadchodziła, odpowiadała na pytanie. Tworzyli silną, rozważną, wiarygodną drużynę. Trudno byłoby ich zdyskredytować, gdyby doszło do procesu.

Upierała się, że przyjechała na miejsce samobójstwa Petera wyłącznie z powodu jej powiązania z Benem. Była jego terapeutką i próbowała wyleczyć go z traumy po potwornych wydarzeniach z dzieciństwa. Morderstwo to najgorszy przypadek, gorszy niż samobójstwo – to przynajmniej ma w sobie tragizm czystej daremności i desperacji. Ale jak pomóc młodemu mężczyźnie, którego ojciec zniszczył całą rodzinę? Jak poradzić sobie z tym, że ktoś, kogo kochasz, rozerwał twój świat na strzępy i zostawił cię absolutnie samego?

Hannah uważała, że udało im się z Benem, czy też Jamesem, jak się wtedy nazywał, osiągnąć pewne postępy. Trzy lata po tamtych tragicznych wydarzeniach przestał do niej przychodzić. W pewnym sensie stanął na nogi. Jakoś funkcjonował.

– Utrzymywaliście kontakt? – przerwała jej Helen, już poirytowana czułym

tonem wspomnień Hannah.

– Nie, ale śledziłam jego życie. Przez Facebooka i tak dalej.

– Dlaczego?

– Bo go lubiłam. Chciałam, żeby sobie jakoś poradził. Ucieszyłam się, gdy ogłosił swoje zaręczyny.

– A jak się poczułaś, kiedy „odkryłaś”, że został zamordowany?

– Załamalam się, oczywiście.

Powiedziane beznamiętnym tonem, jak zdawało się Helen.

– A kiedy usłyszałam od przyjaciela, że jego zabójca targnął się na swoje życie... cóż, nie mogłam w to uwierzyć.

– Dlatego musiałaś to zobaczyć na własne oczy.

– Tak, wydaje mi się, że tak. To niezbyt miłe i niekoniecznie godne pochwały, ale chciałam go zobaczyć.

– To prawda, że oferowałaś swoje usługi Peterowi Brightstonowi po jego ucieczce?

Chwila ciszy. Spojrzenie z ukosa na prawnika, a potem:

– Tak.

– Mimo że zabił Bena, twójgo przyjaciela?

– Peter źle wyglądał. I wypuszczono go bez stawiania za...

– Skąd wiesz, że źle wyglądał? Widziałaś go po jego wyjściu ze szpitala?

Tym razem dłuższa chwila ciszy. Naprawdę długa.

– Poszłam raz do jego domu. Zadzwoiłam i zapytałam, czy mogę się z nim zobaczyć. Zaoferowałam swoje usługi; nie był zainteresowany.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mieszka?

– Nietrudno było to ustalić. Pomogły mi gazety.

– Śledziłaś go?

– Nie jestem pewien, czy podoba mi się to określenie, pani inspektor – wtrącił się adwokat.

– Wybacz, Sandy. Nie miałam pojęcia, że jesteś taki wrażliwy. Jak długo leczyłaś Diane Anderson? – kontynuowała Helen, znowu skupiając uwagę na podejrzaney.

– Dwa miesiące. Polecił mnie kolega. Nagle zmarł jej najlepszy przyjaciel i potrzebowała pomocy. Ale prawda jest taka, że nie przykładała się do terapii. Myślę, że jej zdaniem wizyty u psychologa to oznaka słabości.

- Spotkałaś w tym czasie Amy?

- Nie, chociaż oczywiście zdawałam sobie sprawę z jej istnienia.

- Pani inspektor... - wtrącił znowu adwokat. Widział, do czego zmierza ta rozmowa. Nie zważając na niego, Helen i tak zadała swoje pytanie.

- Nigdy się nie spotkałyśmy.

Przeszły do alibi. Hannah była w domu tej nocy, kiedy porwano Amy. Żaden świadek nie mógł tego potwierdzić, ponieważ pracowała samotnie nad dokumentacją. Za to rzekomo miała spotkanie z klientem w czasie, gdy zaginął Ben. Nie zatrudniała sekretarki czy asystentki, więc będzie to musiał potwierdzić jej klient.

- Powiedz mi o Marie Storey.

Tego się nie spodziewali.

- Przyjmowałaś ją kilka lat temu, po samobójstwie jej męża.

To Mark się tego dowiedział. Zabawne, jak jej zespół powoli zwierzał szeregi przy tej sprawie. Hannah skonsultowała się z adwokatem, a potem powiedziała:

- Przydzieliła mi ją opieka społeczna Hampshire. Jej mąż zabił się, wypijając wybielacz, o ile dobrze pamiętam. Nie mógł się pogodzić ze swoim ciężkim losem. Marie, matka, była jednak silniejsza. Musiała, ze względu na córkę.

- Świetnie pamiętasz wszystkie szczegóły.

- Mam dobrą pamięć.

Helen zignorowała tę uwagę.

- Widziałaś je ostatnio?

- Nie.

- Rozmawiałaś z nimi?

- Nie. Dowiedziałam się o ich śmierci z gazet, oczywiście. Założyłam, że w końcu życie stało się dla Marie zbyt ciężkie. Prasa nie podawała zbyt wielu szczegółów.

- Dlaczego przestałaś ją leczyć?

- Opieka obcięła fundusze. To nie była moja decyzja.

- Jak traktujesz swoich klientów? Jako po prostu klientów czy raczej pacjentów?

Przyjaciół?

- Traktuję ich jak klientów. Ludzi, którym mogę pomóc.

- Zdarza ci się nie lubić któregoś z nich?

- Nigdy. Bywają frustrujący, ale to normalne.

- Naprawdę nigdy nie denerwują cię ich słabości, uzalanie się nad sobą i biadolenie?

- Nigdy.

Odpowiadała dobrze, jak profesjonalistka, i wkrótce po tym prawnik ogłosił zakończenie przesłuchania. Musieli ją wypuścić. Nie mieli żadnych dowodów. Helen to nie przeszkadzało. Kiedy ona przepytowała Hannah, Mark zdobył nakaz przeszukania jej domu i biura. Cel można osiągnąć różnymi sposobami.

Jedną podejrzaną, powiązaną ze wszystkimi ofiarami, pochodzącymi z bardzo różnych środowisk. Ktoś, kto dobrze znał ich słabości. Teraz potrzebowali już tylko dowodu. Po raz pierwszy od początku śledztwa Helen poczuła, że wreszcie dokądś ono zmierza.

046/117

Trochę dziwne świętowanie. Ona ścisnęła butelkę soku, a on powoli sączył tonik. Niezbyt rock'n'rollowo, ale i tak było im przyjemnie. Żadne z nich nie miało wcześniej do czynienia z tego rodzaju sprawą. Wielokrotne morderstwa zdarzały się rzadko i jeśli już, to wtedy, gdy ktoś wpadał w szal. Następował wybuch niszczycielskiego gniewu, który szybko przygasał. Jednak te zabójstwa wymagały skrupulatnego planowania. Chociaż żaden policjant nie chciał tego przyznać, tego rodzaju przestępstwa wytrącały ich z równowagi. Sprawiały, że zaczynali wątpić, czy ich doświadczenie jest cokolwiek warte, instynkty działają, a przeszkolenie ma jakiegokolwiek zastosowanie w rzeczywistości. Takie zbrodnie niszczyły twoją wiarę.

Teraz jednak mieli ślad. Jeszcze niczego nie mogli udowodnić, ale policjant zawsze się cieszy, gdy natrafi na wyraźny trop. Coś, co pozwoli im wnieść sprawę do sądu. Mark patrzył, jak jego szefowa z ożywieniem mówi o śledztwie. Zawsze uważał ją za atrakcyjną; teraz dostrzegał nawet coś więcej: ciepło, pewien optymizm i nadzieję, które zazwyczaj skrywała. To jej uśmiech okazał się objawieniem. Rzadki widok; rzadki i trudny do zapomnienia.

Zdał sobie sprawę, że czuje do niej coraz silniejsze przyciąganie i zamierzał mu się oprzeć. Nigdy więcej nie pozwoli, by kobieta miała nad nim taką władzę. A jednak pragnął przebić jej mur obronny i lepiej ją poznać. O czym marzyła jako dziecko? Czy cieszyła się popularnością w szkole? Czy pochodziła z bogatej rodziny? Czy miała powodzenie u kolegów?

– Wychowywałaś się w okolicy?

Kiepski początek, ale Mark nigdy nie był w tym dobry. Pokręciła głową.

– Na południu Londynu. Nie słychać?

Flirtowała z nim?

– Nie masz akcentu.

– Jakoś udało mi się go pozbyć. Mój dobry przyjaciel ze szkoły policyjnej powiedział mi na samym początku, że im bardziej elegancki masz akcent, tym

szybciej awansujesz. To stereotyp, ale wszyscy mają cię za bardziej inteligentnego.

– A więc tutaj popełniłem błąd.

– Nie jest tak źle.

Naprawdę z nim flirtowała.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś taka przebiegła.

– Cóż, niezbyt mnie znasz, prawda?

Zachęcała go czy zniechęcała? Mark pomyślał, że naprawdę wyszedł z wprawy. Poszła do baru i wróciła z lagerem. Mark patrzył na nią podekscytowany, podniecony i rozdarty między chęcią bycia bliżej niej a chęcią wypicia alkoholu. Podała mu kufel.

– Mieliśmy dzisiaj dobry dzień. Dlatego masz nagrodę. Znasz zasady: dopóki ja tu jestem, możesz pić.

Wyciągnął rękę po piwo. Napił się, ale niewiele – chciał jej pokazać, że potrafi nad sobą panować i nie jest słaby. Tak długo nienawidził siebie i swojego życia! Teraz, gdy już wydostał się z otchłani, zamierzał pokazać swoją siłę. Oddał jej kufel. Uśmiechnęła się do niego ciepło i zachęcająco.

– Dlaczego wstąpiłeś do policji, Mark?

Teraz jej kolej na zadawanie pytań.

– Bo nigdzie indziej mnie nie chcieli.

Zaśmiała się.

– Poważnie. W szkole sobie nie radziłem. Trafiłem do dobrej placówki, ale po prostu nie potrafiłem się skupić na nauce. Chciałem jak najszybciej wydostać się z klasy.

– I gonić za koleżankami?

– I całą resztą. Po dwóch latach wachania przeze mnie kleju i podpalania budek telefonicznych stary mnie wyrzucił. Spędziłem trzy noce na podłodze u siostry, a potem stwierdziłem, że to pierdołę. I wtedy wstąpiłem do policji.

– Prawdziwy bohater.

– Ojciec omal nie dostał ataku serca. Uznał to za dowcip. Wszystkich zaskoczyłem. Podobało mi się to. Podobało mi się, że każdy dzień jest inny. Że nigdy nie wiesz, co cię czeka. No i dobrze się dogadywałem z kolegami. Wtedy w naszych szeregach nie było żadnych kobiet.

Uniosła brew, a potem poszła do baru po następną kolejkę. A więc nie chodziło o szybkiego drinka po pracy. Mark zastanawiał się, jak powinien to rozegrać, jednak niczego nie ustalił do jej powrotu. Kiedy stawiała szklanki na stolik, jej piersi na chwilę wyjrzały zza dekoltu. Nie wiedział, czy to przypadek, czy nie.

- A co z tobą? Dlaczego ty zostałam policjantką?

Chwila wahania, a potem:

- Żeby pomagać ludziom.

Krótko i na temat. To wszystko? Wtedy dodała:

- Kiedy weszłam do domu Bena i zobaczyłam tamtą jatkę, a potem pomogłam chłopcu uniknąć podobnego losu... Właśnie wtedy to poczułam. Nie mogłam przestać. Nie mogłam po tym odejść.

- Dobra w tym jesteś. W ratowaniu ludzi.

Spojrzała mu prosto w oczy. Zawahał się, a potem ciągnął dalej:

- Już bym dawno odszedł, gdyby nie ty. Nie mówiłem ci tego, ale napisałem wypowiedzenie. Byłem gotowy je złożyć. Zrezygnować. Ale uratowałaś mnie. Uratowałaś mnie przed samym sobą.

Powiedziane z pasją i prosto z serca – przez chwilę Mark poczuł wstyd za swoją otwartość, za swoją nagość. Ale taka była prawda: bez niej kto wie, gdzie by się teraz znajdował. Spojrzała na niego, nagle poważna. Czyżby wszystko zepsuł? A potem pochyliła się do przodu i pocałowała go.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, uśmiechnął się i rzucił najbardziej tanim tekstem, jaki przyszedł mu do głowy.

- U mnie czy...

- U ciebie.

047/117

Mieszkanie Marka okazało się prawdziwym chlewem. Nie planował uwodzić swojej szefowej tego dnia, więc resztki po ostatnim posiłku ciągle leżały na widoku. Niemniej rano zmieniał pościel, więc była czysta i świeża, kiedy się na niej położyli.

Helen nigdy nie lubiła pogaduszek i teraz się to nie zmieniło. Zazwyczaj to męczyzna gra pierwsze skrzypce – albo próbuje – ale nie w tym przypadku. Mark był jednocześnie zaskoczony i podniecony tym, jak wyraźnie kontrolę przejęła jego szefowa.

– Zaproponowałbym ci drinka, ale...

Zamiast odpowiedzieć, przeszła na drugą stronę pomieszczenia i pocałowała go. Potem zrzuciła płaszcz na podłogę i zapytała, gdzie jest sypialnia. Kiedy znaleźli się już w pokoju, popchnęła go na łóżko i sięgnęła do jego paska.

Mark już wiele razy kochał się z kobietą, ale zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy to kobieta kochała się z *nim*. Zły, że został zmuszony do podległości, próbował przewrócić ją na plecy. Teraz, kiedy już dostał erekcji, nagle zapragnął dominować nad Helen – pieprzyć ją, zastraszyć – ale ona przycisnęła go z powrotem do łóżka i usiadła na nim okrakiem.

Kochała się z nim? Czy wykorzystywała dla własnej przyjemności? Mark nagle zdał sobie sprawę, że nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Nawet w tej chwili, kiedy pochylała się nad nim, wywołując u obydwojga słodkie dreszcze, chciał, by to wszystko coś znaczyło, a nie służyło wyłącznie zabawie. Mężczyźni powinni traktować seks beztrosko. Być w stanie wyłączyć uczucia i kierować się instynktem. Ale Mark nigdy tego nie potrafił.

Po raz kolejny spróbował wykonać taki manewr, by znaleźć się na górze, ale Helen brutalnie przyszpiliła go do łóżka. Najwyraźniej nie zamierzała być na dole, więc Mark zdecydował się dostosować. Kiedy walka się skończyła, ich stosunek stał się bardziej czuły i spokojny. Helen zwolniła tempo i wreszcie ich ciała poruszały się w harmonii. Ku zaskoczeniu Marka, jego partnerka

najwyraźniej czerpała z tego przyjemność. *On* sprawiał jej przyjemność. Muskając sutkami jego usta, Helen wsunęła rękę między nogi, żeby dodatkowo się pieścić, jednocześnie bujając się w przód i w tył, siedząc na nim okrakiem.

Od tej chwili Mark desperacko walczył, by powstrzymać się od orgazmu. Pieprzyć się z szefową to jedno, ale nie sprawdzić się przy tym to zupełnie co innego. Dlatego starał się, jak mógł, wyobrażając sobie różne prozaiczne rzeczy, by osłabić swoje podniecenie. Kiedy jednak Helen znowu zwiększyła tempo (wyczuwając jego zbliżający się orgazm), mogło się to skończyć tylko w jeden sposób.

Chciał za to przeprosić, ale nie był pewien, czy powinien. Pomogła mu w tym, mówiąc:

– To było miłe.

Mark raz jeszcze poczuł, jak jego wątpliwości się rozwiewają. Przysunął się blisko do niej i z zaskoczeniem zauważył, że Helen się nie opiera. Zamiast tego przytuliła się do jego boku, by chwilę poleżeć w seksualnym spełnieniu.

I kiedy leżeli, ledwo przykryci pościelą, Mark otaksował wzrokiem jej ciało. W chwili namiętności wyczuł na plecach Helen szramy, ale nie poświęcił im zbyt wiele uwagi. Teraz, gdy nic go nie rozpraszało, przyjrzał im się dokładniej. Nie mógł w to uwierzyć. Reszta jej ciała była taka delikatna, gładka... tak idealna.

Musiła chyba odczytać jego myśli, bo schowała się pod kołdrą. Rozmowa została zakończona, jeszcze zanim ją rozpoczął. Leżeli przez chwilę w ciszy, a potem odwróciła się do niego i powiedziała:

– To zostaje między nami, okej?

Nie rozkaz ani nie groźba. Zabrzmiała raczej błagalnie, niemal nieśmiało. Mark po raz kolejny dał się zaskoczyć w tym pełnym niespodzianek dniu.

– Oczywiście. Nie ma sprawy.

A potem ruszyła do łazienki, by wziąć prysznic, zostawiając Marka sam na sam z jego pytaniami.

048/117

Helen pomaszerowała przez ulicę do swojego kawasaki. Wiedziała, że Mark obserwuje ją z okna, ale w żaden sposób tego nie zasygnalizowała. Nie chodziło o żadne gierki – po prostu nie była gotowa na radosne machanie ręką na pożegnanie czy posyłanie buziaków w powietrzu. Mimo to świadomość tego, że patrzył, sprawiła jej przyjemność i Helen celowo zwolniła, by cieszyć się tym chwilę dłużej.

Wspięła się na swoją maszynę i uruchomiła silnik. Strój ze skóry i hełm stanowiły kolejny pancerz kobiety – przestrzeń, w której mogła egzystować samotnie i w spokoju. Ale dzisiaj po raz pierwszy od lat poczuła, że go nie potrzebuje. Że nie musi skrywać się przed światem. Wydarzenia z mieszkania Marka były niezaplanowane i niespodziewane – i zapewne dlatego tak wiele sprawiły jej przyjemności. Jeśli Helen miała czas na zastanowienie, zaczynała komplikować sytuację i często do niczego w ogóle nie dochodziło. Dzisiaj natomiast było tak, jak być powinno. Zastanawiała się, co o tym myśli Mark. Może uznał ją za dziwaczkę? Nie on pierwszy. A może go zaintrygowała? Na więcej chyba nie mogła liczyć na tym etapie, i z pewnością tyle jej wystarczy.

Nadszedł czas, by odjechać. Wariat ciągle na nią patrzył, a zasłonka ledwo skrywała jego nagość. Dla dobra ich obojga powinna uciekać. Dlatego podkręciła gaz i ruszyła. Kiedy poczuła uderzenie wiatru, zdała sobie sprawę, że dzisiejszy dzień okazał się zdecydowanie niezwykły.

Była szczęśliwa.

049/117

Martina zdjęła stanik i wypięła swoje nagie piersi w stronę drugiej dziewczyny. Caroline – tak miała na imię? – odpowiedziała, liżąc jej sutki z gorączkowym, teatralnym pożądaniem. Martina odchyliła głowę do tyłu i jęknęła, a jej wzrok natychmiast padł na wgniecenie w dachu vana. Skąd się tam wzięło?

Robiła to już tak wiele razy, że nie potrafiła się zupełnie skupić. Kiedy twoje ciało wywija się i tańczy dla czyjejs przyjemności, mózg się wyłącza i nagle zdajesz sobie sprawę, że zastanawiasz się, czy zdążysz do pubu przed zamknięciem i czy powinieneś pojechać na wakacje do Egiptu, albo ile druga dziewczyna zapłaciła za operację biustu. To niesamowite, jak prozaiczne można mieć w takiej chwili myśli, chociaż twoja partnerka – chyba Carol, a nie Caroline – właśnie pieści twoje krocze językiem. Martina jęczała zgodnie ze scenariuszem. Podglądacze oczywiście nigdy się nie poznają. Tyle uwagi poświęcają scenie, której są świadkami – dwie nagie kobiety z dużymi biustami ogarnięte pożądaniem – że zupełnie nie zauważają oznak oszustwa. Zresztą i tak by ich to nie obeszło.

A jednak to zlecenie różniło się od większości. Zazwyczaj grały przed samotnym biznesmenem realizującym swoje fantazje o podglądaniu dwóch lesbijek albo przed dwoma bogaczami, którzy tylko czekali, by dołączyć do zabawy. Cała lesbijska otoczka była dla nich tylko zabawą – tak naprawdę odliczali sekundy do chwili, gdy dosiądą ich i będą je ujeżdżać jednocześnie, bez słowa gratulując sobie nawzajem bogactwa, wyobraźni i zdeprawowania. Prawdziwi palanci, ale dobrze płacili, więc chętnie przyjmowały od nich zlecenia.

O wiele rzadziej zdarzało się, by dwie dziewczyny wynajmowała kobieta, a już na pewno nie tak dobrze ubrana, jak Cyn. Jeszcze rzadziej odmawiała sobie czynnego udziału w zabawie. Większość kobiet zatrudniających prostytutki pozostawała w szczęśliwych, ale niesatysfakcjonujących seksualnie związkach małżeńskich. Zazwyczaj pragnęły otoczki i pozycji społecznej, jakie dawało im życie rodzinne, ale pożądały też dotyku innej kobiety. Dla nich nie liczyło się

show, ale kontakt. Cyn jednak okazała się inna. Spotykały się już czwarty raz i jeszcze nigdy nie dotknęła ich nawet palcem. Nie pieściła się. Każde zlecenie wyglądało tak samo – zabierała ich vanem i jechała do New Forest, a potem patrzyła, jak dziewczyny pieprzą się sztucznymi penisami. Z początku podchodziły do tego niepewnie – chodziło o jakiś pseudoseks w miejscu publicznym? – ale okazało się, że nieznajoma jest zupełnie nieszkodliwa. Martina często zastanawiała się jednak, co sobie myśli. Jaką miała z tego wszystkiego przyjemność?

Ostatnim dziwactwem był sposób zapłaty. Kobieta szybko ustaliła, że Martina lubi zabawę i bywanie w klubach. Od tamtej pory nigdy nie wręczała jej gotówki. Zamiast tego oferowała narkotyki. Musiała mieć do nich dobry dostęp, bo na ulicy te same działki kosztowałyby więcej, niż dziewczyny liczyły sobie za występ. Z pewnością dostaje je z tańszego źródła albo za darmo, szczęściara.

Skończyły, udając gorączkowy, wspólny orgazm, a po kilku sekundach już wciągały z powrotem ubrania. Ciało Martiny było silne i atletyczne; jak na dziewczynę była dość wysoka. Cyn otaksowała je spojrzeniem, mówiąc:

– Mam dla ciebie dzisiaj coś wyjątkowego.

Wyciągnęła rękę z torebką pełną pigułek. Martina sięgnęła po nią i przyjrzała się zawartości. W środku zobaczyła duże, białe tabletki ze znakiem orła.

– Właśnie dostałam z Odense. Myślę, że ci się spodobają. Z tymi ślicznotkami nie potrzebujesz już niczego więcej, uwierz mi.

Martina wyciągnęła połowę i włożyła w niecierpliwe ręce Caroline, a potem bez wahania obie połknęły po jednej, czując niezwykły smak – migdałowy, słodki. Caroline zapytała, dokąd jadą tej nocy.

Martina już miała ją spławić – zaplanowała wizytę u siostry tego wieczora – ale nie mogła wykrztusić ani słowa. Nagle zakręciło jej się w głowie. Zachwiała się, jakby próbowała za szybko wstać. Zaśmiała się i wyprostowała. Cyn mówiła coś do niej – sprawdzała, czy wszystko okej – ale głos dobiegał stłumiony i jakby z daleka. Poczowała rękę na ramieniu i uścisk nagle wydał się ciężki, właściwie wszystko wydawało się teraz ciężkie. Co się działo, do cholery? Wtedy zobaczyła Caroline leżącą na podłodze vana. Jak do tego doszło? Co...

I wtedy zgasło światło.

050/117

Helen zadbała o to, by pojawić się na komisariacie jako pierwsza. Poprzedniej nocy zupełnie się zapomniała w towarzystwie Marka; teraz pojawiły się wątpliwości. Znowu przyjęła typową dla siebie postawę obronną. Próbowwała to zwalczyć, choć raz zdeterminowana, by się nie poddać. Nie była pewna, jak się zachowa na widok Marka, więc postanowiła przyjechać wcześniej, żeby mieć czas na przygotowanie się.

Mark pojawił się punktualnie i od razu przystąpił do pracy. Teraz już większość zespołu zdążyła przyjechać. Helen rzuciła mu dyskretne spojrzenie – zastanawiała się, czy ktoś jeszcze zauważył, jak się ostatnio zmienił. Zrzucił kilka kilogramów, zyskał nieco kolorów i jego nieobecne spojrzenie całkowicie zniknęło. Helen rozmyślała o tym, czy będą teraz uprzejmie chodzili wokół siebie na paluszkach ze względu na zmianę w ich relacjach, ale Charlie szybko przerwała jej rozważania. Przyszła wcześniej i przekazała szefowej najświeższe wieści.

Helen wykorzystała stary trik – trzymała podejrzaną w areszcie wystarczająco długo, by zdobyć nakaz przeszukania, tak by Hannah Mickery nie miała czasu na pozbycie się dowodów. Zabrali jej komputer – nie spodobało jej się to – i większość dzienników, kalendarzy itp. Oczywiście nie mogli tknąć dokumentacji, która była poufna, jednak przy odpowiednim nastawieniu zawsze udawało się jakoś zdobyć informacje na temat pacjentów. Ale to później.

Jedno było pewne od samego początku. Wiedziała bardzo dużo na temat morderstw. Zebrała wszystkie artykuły na temat śmierci Sama, Bena, Marie i Anny, miała też zdjęcia. I to nie tylko te pochodzące z lokalnych gazet (które z kolei wzięto z Facebooka, szkolnych albumów etc.). Nie, te zostały zrobione Amy i Peterowi *po* zabójstwie. W kalendarzu Hannah znaleźli też numer telefonu Amy. Skąd go miała, skoro ani nie spotkała dziewczyny, ani też, jak stwierdziła w czasie zeznań, nigdy z nią nie rozmawiała?

Posiadała też szczegółowe dane na temat kancelarii Petera, jego adres e-mail

oraz, co najbardziej intrygujące, grafik pracy, który jednak dotyczył czasu po jego powrocie z krótkiej przerwy, więc w żaden sposób nie dało się go powiązać z porwaniem.

Uzyskanie dostępu do komputera okazało się twardym orzechem do zgryzienia. Hannah została poproszona o podanie hasła, ale odmówiła, więc musieli się nieco natrudzić. Ludzie zawsze myślą, że ich dane są świetnie zabezpieczone... Chociaż teoretycznie policja powinna poczekać na załatwienie odpowiednich pozwoleń, Helen zdecydowała inaczej – wkrótce panowie z działu informatycznego włamali się do systemu.

Charlie przypadła w udziale większość pracy na nogach, więc kiedy Helen przeglądała pliki znalezione na MacBooku Hannah, dziewczyna wreszcie usiadła. Dysk wypełniony był głównie nieinteresującymi ich danymi, niemniej skrywał też prawdziwy skarb. Schowany głęboko folder o nazwie „B” okazał się zabezpieczony hasłem. Upierdliwe... ale znowu złamanie go nie zajęło zbyt wiele czasu.

Na widok zawartości folderu Helen gwałtownie się wyprostowała. Zapis oficjalnego zeznania Amy, słowo w słowo taki, jaki usłyszała Helen w szpitalu. Inspektor zmrużyła oczy, nie dowierzając. Kliknęła na ikonkę RealPlayera, którą znalazła w tym samym katalogu, a jej najgorsze obawy się potwierdziły. Oto przed jej oczami pojawiło się doskonałej jakości nagranie wystraszonej Amy, składającej wyjaśnienia przed Helen. Bez względu na to, jaką rolę odegrała Hannah, musiała mieć wtyczkę w policji. Funkcjonariusza, który przekazał jej to nagranie. Ale w jakim celu?

Charlie głośno wypuściła powietrze. Śledztwo właśnie skoczyło mocno do przodu, ale w kierunku, który może okazać się niszczycielski. Czyżby korupcja? Zmowa? A może policjant był w jakiś sposób zamieszany w morderstwa?

– Wyłącz to. I nikomu ani słowa.

Charlie kiwnęła głową, więc Helen wstała i cicho, dyskretnie poszła porozmawiać ze swoim przełożonym.

051/117

Kręciło jej się w głowie. Próbowwała się podnieść, półprzytomna, a potem zadrżała. Wciąż nie widziała zbyt dobrze; czuła zimne i wilgotne powietrze. Gdzie trafiła?

Powoli do umysłu wracały wspomnienia, ale głowa pulsowała jej jak na najgorszym kacu i znowu musiała usiąść. Podłoga okazała się twarda i bezlitosna. Martina przypomniała sobie vana, Cyn, Caroline... Spojrzała na zegarek, a potem jeszcze raz, dla pewności. Czy to możliwe, żeby spała ponad dwadzieścia cztery godziny?

Usłyszała odgłosy wymiotowania i podniosła wzrok. W ten sposób znalazła Caroline. Dziewczyna źle się poczuła i właśnie płakała nad własnymi wymiocinami.

Uszczypnij się i obudź... Ale to nie był sen. Sny nie są takie dziwne. To Cyn je tutaj przyprowadziła? Gdzie się podziała? Martina krzyknęła, ale odpowiedziało jej tylko głucho echo. Znajdowały się w jakiejś piwnicy – łukowe sklepienie z cegły oświetlała stara lampa. W środku było ciasno i pachniało stęchlizną. Być może to zapomniane pomieszczenie jakiegoś dużego domu. Cała sytuacja nie miała najmniejszego sensu. Nic nie trzymało się kupy.

Drzwi zostały zamknięte od zewnątrz. Chociaż wyglądały na grube i solidne, i tak zaczęła w nie głośno uderzać pięściami. Waliła tak długo, aż rozboleły ją dłonie, a głowa zaczęła mocniej pulsować – musiała opaść z powrotem na podłogę, pokonana.

– Caroline?

Zawołała ją po imieniu, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Dlatego podniosła się i podeszła do koleżanki. Cokolwiek się działo, przynajmniej nie została sama. Po drodze stopa Martiny zahaczyła o jakiś twardy przedmiot, który pofrunął na drugą stronę pomieszczenia. Dziewczyna jęknęła z bólu, a potem zdała sobie sprawę, że dosłownie stanęła na jeszcze jednej rzeczy – telefonie komórkowym.

Podniosła go. Nie należał do niej i raczej też nie do Caroline. Nacisnęła przycisk i wyświetlacz podświetlił się na zielono. *Masz 1 nową wiadomość.*

Martina odruchowo nacisnęła OK.

Obok telefonu leży pistolet. W środku znajduje się jeden pocisk. Dla Martiny albo Caroline. Musicie wspólnie zdecydować, kto przeżyje, a kto zginie. Tylko śmierć może was wyzwolić. Nie ma zwycięstwa bez poświęcenia.

I tyle. Wzrok Martiny natychmiast powędrował do przedmiotu, który kopnęła na drugą stronę pomieszczenia. Pistolet. To był cholerny pistolet.

– Ty to zrobiłaś? – warknęła do Caroline. – Ty wpadłaś na ten dowcip?

Ale Caroline tylko płakała i kręciła głową:

– Co masz na myśli? Nie wiem, co...

Martina rzuciła w nią telefonem.

– To.

Caroline nerwowo uniosła aparat. Dłonie jej drżały, gdy czytała wiadomość. Upuściła telefon, który spadł na podłogę, a potem zwiesiła nisko głowę i zaczęła szlochać. Martinie zrobiło się niedobrze – jej koleżanka najwyraźniej o niczym nie miała pojęcia.

Widziała, jak jej oddech tworzy obłok pary. Czy to możliwe, by w tym grobie zrobiło się z czasem jeszcze zimniej? Zamarzną na śmierć, zanim ktoś zdąży je znaleźć.

Jej życie nie może się tak skończyć. Zbyt wiele przeszła, żeby umrzeć w tej zimnej i wilgotnej dziurze.

W ograniczonym świetle pomieszczenia oczy Martiny powoli powędrowały w stronę pistoletu.

052/117

Ktoś ją obserwował.

Samochód dostawczy od kilku dni stał zaparkowany w tym samym miejscu, jednak nikt się koło niego nie kręcił. Na boku namalowano logo hydraulika, ale w ewidencji nigdy żadnego nie było, a poza tym sprawdziła nazwę w Internecie; firma nie istniała. Hannah musiała to zrobić na swoim nowym smartfonie, bo policja wciąż nie oddała jej komputera.

Mickery spoglądała na auto przez szparę między zasłonkami. Czy ktoś obserwował ją właśnie teraz przez przyciemniane szyby, robiąc zdjęcia? A może po prostu ma paranoję?

W czasie przeszukania w jej domu znalazło się tylu ludzi, że trudno było wszystkich skontrolować. Zdążyliby zainstalować podsłuchy? Po ich wyjściu Hannah sprawdziła wszystkie możliwe skrytki. Nic. Może takie zimnowojenne zagrywki były zbyt poważne na tak przeciętną sprawę.

Ale miała tak wiele do stracenia, że stwierdziła, iż przezorność nie zaszkodzi.

Ta wścibska krowa Grace z pewnością już zdążyła włamać się do komputera. W zasadzie powinna była chyba podać im hasło, ale dlaczego miałyby ułatwiać im pracę? Poza tym i tak już wszystko wiedzą. Trudno będzie udawać, że to tylko zawodowe zainteresowanie, a nawet przeprosić jak za makabryczną wścibskość. Ale czy mają coś, żeby ją skazać? Oczywiście że nie.

Mimo to musiała zachować ostrożność. Grała o wysoką stawkę i jeden błąd mógł ją wiele kosztować. Tyle planowania mogłoby pójść na marne! Nie może tego spieprzyć.

Zapadał zmrok. To nie potrwa długo. Mogą monitorować jej rozmowy telefoniczne? Jeśli podsłuch mogli założyć nawet dziennikarze z „News of the World” [\[1\]](#)...

Miała nadzieję, że faktycznie ją podsłuchiwali. Wtedy byłoby jej łatwiej. Łatwiej uciec. Hannah poczuła przyływ podekscytowania – kiedy w grze zapanuje impas, każdy ruch powoduje podniecenie.

053/117

Caroline podciągnęła kolana do klatki piersiowej, żeby ochronić się przed zimnem, ale nie potrafiła opanować dreszczy. Czy to przez chłód? Czy strach? Caroline nie mogła zdecydować. Straciła panowanie nad... wszystkim. Nie wiedziała już nawet, czy jest noc, czy dzień. Nie potrafiła ocenić, jak długo znajdowały się w piwnicy. Nie miała pojęcia, co takiego zrobiły, by się tu znaleźć. Wiedziała tylko, że cierpi.

Brzuch bolał ją z głodu, w gardle czuła suchość, a do tego przemarzła do szpiku kości. Kiedy zamknęła oczy, w ciemności zobaczyła dziwne kształty – wielokolorowe wzory, które zmieniały się w motyle, ptaki, a nawet tęcze. Zaczynała mieć halucynacje. To dlatego, że jej ciało się wyłączało? Gdyby tylko miała tyle szczęścia! Może jej umysł szykował się do powolnego przejścia w stan paranoi i obłądzenia? Proszę, Boże, tylko nie to.

Z początku próbowały opanować głód, jedząc mrówki. Caroline miała właśnie okres, a jej krew miesięczna schła na podłodze w najdalszym kącie pomieszczenia. Klejąca i słodka wydzielina przyciągnęła insekty, więc Martina i jej koleżanka ścigały się, by wszystkie wyłapać. Mniej więcej do tego zdobyła karaluchę, którego z ekscytacją zgmiotła i wsunęła do ust. Niestety jedzenie już się skończyło. Zostały im tylko przykry zapach, straszny chłód... i samotność.

Czy ktoś je w ogóle szukał? Nikt nie będzie tęsknił za dwiema panienkami do towarzystwa. Martina trzymała się raczej z dala od ludzi i miała tylko garstkę przyjaciół, o ile w ogóle. Caroline mieszkała z dziewczyną o imieniu Sharon, która pochodziła z Macclesfield, ale nie nazwałaby jej przyjaciółką. Zainteresuje się jej losem choć na tyle, by zawiadomić policję, czy po prostu zacznie szukać nowej lokatorki? Raczej to drugie – Sharon nigdy nie pochwałała sposobu zarobkowania Caroline i z radością skorzystałaby z szansy, by się jej pozbyć. Teraz pewnie już wynosi jej rzeczy z pokoju. Dziwka.

Martina miała siostrę, ale czy były ze sobą blisko? Caroline nie wiedziała. Po raz pierwszy od lat zaczęła tęsknić za rodziną. Nie bez powodu uciekła z domu –

choć nikt nigdy tego nie przyznał – teraz jednak żałowała tego kroku. Jej matka była nedorajdą, ale nie zołą, a ojciec... cóż, on średnio nadawał się do roli ojca albo męża, ale nie życzył jej źle. Dlaczego nie wznowiła kontaktu? Ich sześćdziesiąte urodziny dawno minęły, a potem Boże Narodzenia, Wielkanoc – było mnóstwo okazji, by odezwać się i nawiązać na nowo relacje, tyle że nigdy nie podjęła tego wysiłku. Poprosiliby ją o wytłumaczenie ucieczki w środku nocy? Brzydziliby się jej nowym sposobem życia?

Poczuła przypływ gniewu i natychmiast zrozumiała, dlaczego nigdy nie zdobyła się na powrót. Winiła ich. Za to, że nie zauważyli. Za to, że nie obronili jej. Wciąż wściekała się, że tak ją zaniedbali i została sama na świecie. Właśnie dlatego nikt jej teraz nie szukał. Czy któraś z nich miała w ogóle po co lub dla kogo żyć? Jak bardzo związana z siostrą była Martina? Miała ochotę ją zapytać, ale stwierdziła, że to bezsensowne. W końcu to nie konkurs.

A może?

054/117

Zgodnie z przewidywaniami nadinspektor Whittaker nie przyjął wieści zbyt dobrze.

- Co ty mi próbujesz powiedzieć, do cholery? Że *policjant* przekazał jej te informacje?

Tak makabryczne zabójstwa wymagały całkowitej blokady przepływu danych. „Evening News” i kilka ogólnokrajowych gazet zauważyło wzrost zgonów w okolicy i zaczęło węszyć, ale nikt jeszcze nie odkrył istnienia niewidzialnej władczyni marionetek, która stała za tymi potwornymi zbrodniami. Technicy z Zakładu Medycyny Sądowej i inne służby pomocnicze nie wiedziały o śmiertelnym ultimatum, jakie dostawały ofiary. Dostęp do tych informacji – telefony, nagranie oraz transkrypcje przesłuchań – były trzymane w ścisłej tajemnicy. Oczywiście wiedzieli o nich Whittaker i Helen, a także Mark, Charlie oraz kilku innych kluczowych funkcjonariuszy, ale to wszystko. Dlatego jeżeli wykluczą możliwość, że ktoś mógł uprzedzić policjanta zbierającego dowody albo wpaść na nie przypadkowo, będą musieli przyjrzeć się swoim najbliższym współpracownikom, żeby znaleźć źródło przecieku. Whittaker nie owijał w bawełnę. Każdy członek zespołu będzie musiał zostać sprawdzony pod kątem dowodów na korupcję lub zмовę. Zadanie należało wykonać z zachowaniem bezstronności i szybko.

Helen działała bez zwłoki. W dzisiejszych czasach nikt nie kopiował danych na taśmy czy minidyski – już dawno zrezygnowano z tego typu przestarzałych metod. Przesłuchania nagrywano bezpośrednio do bezpiecznej sieci cyfrowej. Po zakończeniu wywiadu plik szyfrowano i wgrywano na zabezpieczony serwer. Do przechowywanych tam nagrań i transkrypcji mieli dostęp tylko autoryzowani użytkownicy. Istniało jedno źródło – serwer – więc każdy dostęp do danych pozostawiłby ślad.

Nagranie z przesłuchania zostało obejrzone niezliczoną ilość razy i Helen właśnie badała długą listę z historią odtwarzania. Tylko trzykrotnie doszło do

ściągnięcia bądź skopiowania plików. Przy dwóch razach obecna była Helen – co więcej, wciąż miała te dane. Pozostał zatem jeden przypadek nieautoryzowanego dostępu. Nie dało się zatuszować wszystkich śladów bez zniszczenia całego serwera, więc czarno na białym zobaczyła: „Środa 11 stycznia, 16:15”.

Mało prawdopodobne, by któryś z funkcjonariuszy zajmujących się zbieraniem danych był w to zamieszany, bo tego dnia brali udział w akcji w mieście, ale może właśnie dlatego złodziej wybrał ten dzień. Whittaker poszedł na urlop, a Helen całe popołudnie spędziła w laboratorium medycyny sądowej. Ich podwładni chodzili wtedy po domach (Helen będzie musiała jeszcze to potwierdzić), więc w budynku pozostało już tylko dwoje funkcjonariuszy, którzy mieli dostęp do zabezpieczonego serwera: Mark i Charlie.

Helen pluła sobie w brodę, że nie odwołała obiadu z Markiem, że nie wymyśliła jakiejś wymówki... Zupełnie ją zaskoczył. Nie mogła teraz się z tego wycofać, nie obrażając go albo nie wzbudzając przy tym podejrzeń, więc postanowiła pójść. Zazartował z tego, ile musiał się namęczyć, by zrobić na niej wrażenie; właśnie jedli bucatini z krewetkami, popijając je białym winem z Gavi, nie odzywając się przy tym ani słowem. Helen doskonale zdawała sobie sprawę z rozczarowania i zdenerwowania Marka – jego wizja wieczoru pełnego seksu i wina właśnie się rozpadła – ale nie potrafiła przestać myśleć o dochodzeniu. O ile Helen zupełnie nie zbladła, bardzo prawdopodobne, że Mark albo Charlie poważnie zdradzili zaufanie zespołu i udostępnili dane ze śledztwa osobie z zewnątrz. Jeśli skorumpowany policjant chciał pieniędzy, informacje przeciekłyby do prasy. Dlatego musiało chodzić o coś innego. Szantaż. Seks. Albo coś znacznie bardziej złowieszczonego.

Helen była rozdarta. Chciała pozostać szczerą wobec Marka, ale wtedy ryzykowałaby własną skórę. Właśnie rozpoczęło się wewnętrzne śledztwo i jeśli podzieli się tą wieścią z „podejrzany”, sama zostanie uznana za skorumpowaną. Dlatego ugryzła się w język i nawiązała uprzejmą rozmowę.

Szybko darowali sobie posiłek i przeszli do salonu. Helen zbliżyła się do gzymsu kominka. Zdjęcia szczęśliwej rodziny i byłej żony już dawno zniknęły. Pozostały tylko niezliczone fotografie małej dziewczynki z szerokim uśmiechem i blond fryzurą.

- To Elsie.
- Ile ma lat?
- Siedem. Mieszka z matką. Niedaleko.

Jednak wyraźnie zbyt daleko według Marka. Helen zadała jeszcze kilka pytań, a Mark odpowiadał jak dumny ojciec. Opisał osiągnięcia i zainteresowania Elsie, zdradził kilka anegdotek na temat jej dziwactw i wpadek... Trudno się tego słuchało – wyraźnie dało się wyczuć jego smutek z powodu rozłąki z córką. Rok temu był szanowanym policjantem z kochającą żoną i zapatrzonym w niego małym aniołkiem. Teraz stracił to wszystko na rzecz innego mężczyzny – kochanka żony, Stephena. Ich romans stał się przyczyną rozpadu małżeństwa, a jednak to Mark pozostał na lodzie. Jego żona nie potraktowała poważnie przysięgi małżeńskiej i głęboko go zraniła, a jednak to właśnie ona zagarnęła wszystko. Jemu zostało wynajęte mieszkanie i wizyty co drugi weekend.

Helen starała się go pocieszyć, ale przez cały czas coś mówiło jej, że powinna wyjść. Zostawić mężczyznę, który bardzo wyraźnie się w niej zakochiwał. W końcu Mark się uspokoił. Dziękując za to, że wysłuchała jego narzekań, musnął palcami jej policzek, a potem spróbował ją pocałować.

Helen odruchowo ruszyła w stronę wyjścia. Mark pobiegł za nią, przeproszając. Kiedy otworzyła drzwi, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Helen odskoczyła jak oparzona.

- Proszę, Helen, jeśli cię obraziłem... – zaczął się jąkać Mark.
- Nie błagaj, Mark. Stać cię na więcej.
- Nie rozumiem, co się dzieje.
- Nic się nie dzieje.
- Myślałem, że ty i ja... że my...
- Źle myślałeś. Uprawialiśmy seks. To wszystko.
- Dajesz mi kosza?
- Nie bądź dzieckiem.
- No to o co chodzi? Myślałem, że ci się podobam.

Helen zawahała się, próbując dobrać słowa.

- Mark, powiem to tylko raz, więc słuchaj uważnie. Nie zakochuj się we mnie, dobra? Nie chcę tego i ty też nie chcesz.

- Ale dlaczego?

– Po prostu nie rób tego.

I z tymi słowami Helen wyszła. Po drodze na dół karciła się za własną głupotę. Instynkt słusznie jej podpowiadał, żeby tu nie przychodzić.

055/117

Charlie Brooks ziewnęła i przeciągnęła się. Jej stawy zatrzeszczały głośno – zbyt długo siedziała w tej samej pozycji. Postanowiła więcej się ruszać, rozciągać, ćwiczyć... a potem uderzyła głową w niski metalowy dach.

Charlie nienawidziła obserwacji, bo oznaczała ograniczoną przestrzeń, śmieciowe jedzenie i bliskość policjantów, którzy albo się w niej podkochiwali, albo rzadko się myli, albo jedno i drugie. Czasami ich wysiłek przynosił efekty, niemniej zawsze miało się wrażenie, że prawdziwa zabawa, prawdziwa praca policyjna, ma miejsce gdzie indziej. Czy Helen naprawdę nie mogła znaleźć do tej roboty kogoś innego? Humor Charlie popsuł się jeszcze bardziej, kiedy spojrzała na Groundsa, który właśnie bezceremonialnie wyciskał sobie pryszczę.

Charlie miała dziwne wrażenie, że została za coś ukarana, chociaż nie potrafiła powiedzieć za co. Helen wyraźnie zmieniła ostatnio stosunek do niej. Charlie miała ochotę zapytać ją wprost, o co chodzi, ale zawsze w ostatniej sekundzie rezygnowała, martwiąc się, że wyjdzie na paranoiczkę. A jednak wrażenie nie zniknęło. W jakiś sposób musiała podpaść Helen i może obserwowanie domu Mickery to jej kara.

Hannah Mickery ledwo opuszczała dom od czasu wyjścia z aresztu. Kilka razy udała się na zakupy, ale nic poza tym. W ogóle nie korzystała ze swojego telefonu domowego, a rozmowy przez komórkę prowadziła krótkie i prozaiczne. Najwyraźniej nie chciała, by podejrzenia policji przeszkadzały jej w pracy, więc przyjęła swoją pacjentkę. Siedziały w gabinecie już ponad godzinę i Charlie zastanawiała się mimochodem, jakież to kompleksy, obawy czy dziwactwa były właśnie omawiane.

Wtedy nagle dostrzegła ruch. Charlie wyprostowała się i wycelowała swój aparat. Niestety czekało ją rozczarowanie. To tylko klientka zakończyła sesję i wyszła, chroniąc się przed deszczem pod „radośnie” żółtym parasolem. Charlie znowu opadła na fotel, niezadowolona, i patrzyła na oddalającą się kobietę.

Trzeba być prawdziwą wariatką, by włożyć na siebie coś takiego, pomyślała

niezycliwie Charlie. Fioletowy beret i czerwony płaszcz przeciwdeszczowy – co ona sobie myślała, że znajduje się na planie wideoklipu Prince'a? I te szpilki. Buty striptizerki, po prostu...

I właśnie wtedy Charlie zdała sobie sprawę, że kobieta, która wyszła z domu, nie miała na sobie szpilek. Jej buty miały płaski obcas.

Charlie wystrzeliła z vana, każąc Groundsowi wejść do domu, a sama pobiegła za klientką. Stawiając szybkie, ale ciche kroki, dogoniła kobietę, gdy jednak zostało jej ledwie czterdzieści metrów, pacjentka nieco się obróciła. Charlie zobaczyła jej twarz tylko przez ułamek sekundy, tyle jednak wystarczyło, by zyskała pewność, że ma przed sobą Mickery w ubraniach klientki. Kobieta natychmiast przyśpieszyła do sprintu; Charlie zrobiła to samo, rozmyślając o tym, co powiedziała by Helen, gdyby główna podejrzana uciekła.

Charlie spodziewała się łatwej pogoni, ale Hannah okazała się szybka. Biegła przez zatłoczoną ulicę bez wahania, jakimś cudem odnajdując drogę mimo dużego ruchu. Charlie pędziła jej śladem, zdeterminowana, by nie dać się pokonać, niestety hamujące z piskiem opon samochody stopowały ją na każdym zakręcie.

Odbiły w boczną uliczkę. Dystans między nimi wynosił teraz jakieś sto metrów i gdy zabrakło przechodniów, Charlie zaczęła przyśpieszać. Osiemdziesiąt, sześćdziesiąt, pięćdziesiąt. Coraz bliżej.

Przed nimi rysowała się zatłoczona ulica. Hannah Mickery dotarła do niej jako pierwsza i rzuciła się do przodu. Wiatr już dawno porwał jej beret i teraz rozwiewał długie, kasztanowe włosy. Kobieta dotarła na drugą stronę ulicy i bez wahania zanurkowała we wnętrzu Centrum Handlowego Marlands. Charlie dzieliło od niej zaledwie kilka sekund.

Morze znudzonych dzieci w wieku szkolnym. Ochroniarz dłubiący w zębach. Para niezdarnych facetów w koszulkach Saintsów... Ale ani śladu Mickery.

Wtedy przed jej oczami mignęły kasztanowe włosy. Zniknęły w windzie. Charlie pobiegła raz jeszcze, przeciskając się między donicami i małymi dziećmi. W górę i w górę. Płuca paliły żywym ogniem. W końcu, popchnąwszy guzdrającego się mężczyznę w średnim wieku, wpadła na półpiętro.

Czerwony płaszcz zniknął w Topshop. Stamtąd już nie ucieknie. Charlie wbiegła do środka, wyjmując po drodze legitymację policyjną, by uspokoić ochroniarzy,

którzy już wstali na jej widok. Wreszcie Charlie będzie mogła spojrzeć Helen prosto w oczy – miała dla niej soczystą nagrodę.

Tylko że to nie był ten czerwony płaszcz. Właściwy odcień, ale inna właścicielka. Samotna kobieta szukająca stroju na randkę nie spodziewała się, że zostanie powalona przez spoconą policjantkę.

– Co pani wyprawia?!

– Cholera! – Charlie już odsuwała się od zdumionej ofiary. Złapała najbliższego ochroniarza.

– Widział pan kobietę w czerwonym płaszczu, która tędy przechodziła? Czy KTOKOLWIEK widział kobietę w czerwonym płaszczu?

Charlie spojrzała na morze obojętnych twarzy i dotarło do niej, że sprawa jest beznadziejna.

Mickery uciekła.

056/117

Nie ruszały się od kilku dni. Rozpacz je przygniotła. Dopiero śmierć głodowa będzie wybawieniem – stało się jasne, że nie zdołają uciec.

Caroline od początku wyglądała jak bezdomne dziecko. Teraz przypominała ofiarę klęski głodu, a żebra mogły w każdej chwili przebić skórę na wylot. Martina miała więcej mięśni i mimo kilku dni bez jedzenia jakoś udało jej się podnieść na nogi.

– Spróbujmy jeszcze raz.

Martina starała się powiedzieć to z energią i nadzieją w głosie, ale Caroline tylko jęknęła.

– Proszę, Caroline, musimy spróbować jeszcze raz.

Teraz Caroline uniosła głowę, by zobaczyć, czy Martina mówi poważnie. Ich wysiłek nie miał sensu, więc po co się torturować? Drzwi nie ruszyły się nawet o milimetr, chociaż od ciągłego uderzania w nie miały siniaki na rękach i połamane paznokcie. Nie mogły zrobić już nic.

– Ktoś może nas usłyszeć.

– Nikogo tu nie ma.

– Musimy próbować. Proszę, Caroline, nie jestem gotowa na śmierć.

Długa chwila ciszy, a potem powoli, z ociąganiem, dziewczyna podniosła swoje zmęczone ciało z podłogi. O rozpacz było łatwiej niż o nadzieję. Nadzieja jest okrutna – obiecywała miłość, ciepło, bezpieczeństwo, szczęście, a Caroline bała się, że żadnego z powyższych nigdy już nie doświadczy. Wszystko to marzenia, a ona została pogrzebana żywcem w tej piwnicy. Teraz Caroline chciała już tylko być sam na sam ze swoją rozpaczą i jeśli kilka minut bezsensownego walenia w drzwi ma sprawić, że Martina zamilknie, niech tak będzie.

Zupełnie się zapominając, wpadła z całym impetem na drzwi. Piekący ból przeszył jej ramię, a potem zmienił się powoli w sadystyczne pulsowanie. Odwróciła się, wściekła.

– Nie zamierzasz mi po...

Przerwała w pół słowa, widząc wycelowany w siebie pistolet. Została oszukana. Ta przeklęta dziwka ją oszukała.

- Naprawdę mi przykro - wymamrotała Martina, a potem pociągnęła za spust, zamykając oczy, by nie patrzeć na horror. Huk wystrzału odbił się echem od ceglanych ścian piwnicy.

Nie słyszała za to żadnego krzyku ani odgłosu rozrywanych tkanek. Tylko głucho pacnięcie, gdy kula trafiła w drzwi. Martina spudłowała.

Naciskała spust raz po raz, ale wiedziała, że w magazynku znajdowała się tylko jedna kula. Miała tylko jedną szansę na zbawienie.

Caroline skoczyła i powaliła Martinę na podłogę. Walczyły gorączkowo w kurzu; Martina musiała się bronić i wkrótce Caroline siedziała na niej okrakiem. Kolana wbiła mocno w klatkę piersiową towarzyszki, a potem rozwarła je, żeby przyszpilić jej ramiona. Teraz zakrwawione, rozdrapane palce oplatały szyję Martiny.

Opanował ją szał, dziki i niepohamowany. Ale zwyciężyła. A potem krzyczała z radości, dusząc młodą prostytutkę na śmierć.

Wygrała.

057/117

– Gdzie ona jest?! – krzyczała Charlie. Martha Reeves siedziała spokojnie na fotelu w salonie, ubrana w jedną z koszul Mickery. Chociaż groziła jej kara za utrudnianie śledztwa, nie okazywała skruchy. Z jej perspektywy wyglądało to tak, że policja się myli i niesłusznie napastuje niewinną kobietę, więc dlaczego miałyby jej nie pomóc?

– Jest podejrzana o *morderstwo*. A pani właśnie stała się współwinna zbrodni. Zdaje sobie pani sprawę, co za to grozi? Dziesięć lat. Dziesięć lat za przebieranki. Chłodny sprzeciw.

– Po co w ogóle tu pani przyszła?

– Och, chyba się pani nie spodziewa...

– Kim pani jest? Zboczeńcem? Alkoholiką? Jakież to grzeszki musi pani przerabiać na terapii, że gotowa jest pani płacić trzysta funtów za godzinę temu konowałowi?

Grounds stwierdził, że to dobry moment, żeby wyjść. Nie lubił scen, a Brooks najwyraźniej się rozkręcała. Dla czyjej korzyści, nie był pewien. Bez względu na to, o co jej chodziło, i tak nic im to nie da, więc wykorzystał szansę na konsultacje przez radio – może komuś się poszczęściło.

Zgłoszenie już poszło i wszystkie dostępne jednostki przeczesywały okolicę, ale po Mickery nie było ani śladu. Pewien funkcjonariusz o sokolim wzroku zauważył porzucony czerwony płaszcz w kubie na śmieci tuż za Centrum Handlowym Marlands; to wszystko. Kobieta rozplynęła się w powietrzu. Przeklinając, Grounds ruszył z powrotem do domu.

– Czy ona może to robić? – warknęła Martha, gdy pojawił się w salonie. Charlie była zajęta przeszukiwaniem jej torebki.

– Tak, proszę pani. Kiedy wpadnie w szal, najlepiej po prostu przeczekać.

Obie kobiety spojrzały na niego spode łba. Komórka, szminka, BlackBerry, prezerwatywa, chusteczki, klucze z brelokiem ze zdjęciem uśmiechniętej rodzinki wciśniętym w tani plastik, cukierki, kolejna prezerwatywa...

- Zameżna?

Po raz pierwszy Martha zawahała się chwilę. Ale Charlie już przeglądała kontakty w jej telefonie.

- Adam? Nie. Chris? To może Colin? David? Graham? Spróbujmy Grahama...

Nacisnęła przycisk wybierania...

- Tom. Nazywa się... Tom.

Charlie rozłączyła się.

- Wie, że pani tu jest?

Martha spuściła wzrok.

- Tak myślałam. No dobra, to niech przyjedzie i zabierze panią do...

- Wystarczy.

- Już dzwonię.

- Powiedziałam WYSTARCZY!

- No już, Tom, odbierz.

- Jest w Valley.

- Słucham?

- Powiedziała, że jedzie do... Valley.

W słuchawce dało się słyszeć zdziwiony głos Toma, ale Charlie się rozłączyła.

- Mów dalej.

- Nie wiem, gdzie dokładnie, ale powiedziała, że jedzie do Bevois Valley^[2] i zaraz powinna wrócić. Że nie będzie jej nie dłużej niż godzinę.

Charlie wypadła na zewnątrz i pobiegła do samochodu. Groundsowi mogą się nie podobać jej metody, ale nikt nie odmówi im skuteczności. Pogoń została wznowiona i zbliża się do finału. Mickery pojechała do Bevois Valley, gdzie znajdowała się Empress Road, ulica znana amatorom płatnego seksu.

058/117

Caroline coraz głębiej i głębiej opadała na dno piekła, a nieruchome ciało Martiny służyło jej za osobistego demonicznego przewodnika. Choćby nie wiadomo ile razy zamykała oczy, odwracała głowę, krzyczała, wrzeszczała, płakała i jęczała, odgłosów milczącego oskarżenia Martiny nie dało się zagłuszyć.

Śmiech był jeszcze gorszy. Śmiech tej przeklętej dziwki, która to wszystko zorganizowała. Obiecała im coś. Powiedziała, że jeśli któraś z nich... Caroline jeszcze raz się rozplakała, ale łzy nie chciały już lecieć. Nie mogła już nic z siebie wycisnąć.

To wszystko okazało się oszustwem. Kobieta już dawno uciekła. A Caroline? Caroline zabiła dziewczynę. Martina była niewinna i co za to dostała? Śmierć.

Może sama powinna się zabić? Na tę myśl poczuła dziwną ulgę. Rozejrzała się po piwnicy, szukając jakiegoś sposobu. Mogłaby powiesić się na ubraniach Martiny... Tyle że nie miała ich do czego przyczepić. Sufit był gładki, a w pomieszczeniu nie stały żadne meble. Żadnych ostrych krawędzi ani przedmiotów, które mogłyby posłużyć za broń. W przypiływie szaleństwa zaczęła drapać dziurę po kuli – wyłaż, kanalio! – ale poddała się i popadła w jeszcze większą rozpacz.

Potem bez ostrzeżenia w zamku przekręcił się klucz i nagle drzwi się otworzyły.

– Doskonała robota, Caroline.

Słyszała ją, ale nie widziała. Przez chwilę Caroline nie mogła się ruszyć. Jej oprawczyni pojawiła się znowu i dziewczyna zamarła ze strachu.

...i nic więcej się nie wydarzyło. Czyżby kobieta odeszła? Wszystko na to wskazywało, skoro już jej nie słyszała. Caroline szybko wstała i podeszła do drzwi. Jeśli kobieta nadal tam stoi, Caroline złamie jej ten przeklęty kark. No dalej! Ale wtedy, w połowie swojej drogi na wolność, zatrzymała się. I odwróciła.

Martina leżała na podłodze – martwa, nieruchoma. Pojawiły się we dwie, niestety tylko jedna mogła stąd wyjść. Caroline stała w progu. Dopóki znajdowała

się w środku, pozostawała ofiarą. Kiedy wyjdzie na zewnątrz, stanie się zabójczynią.

Jakie miała wyjście? Żeby żyć, musi pogodzić się z popełnioną zbrodnią. Dlatego chwiejnie przekroczyła próg.

Znajdowała się na dole schodów. Z góry, przez jakąś dziurę z klapą w podłodze, wpadało światło, na chwilę oślepiając dziewczynę. Raz jeszcze się zawahała. Co jeśli porywaczka czekała tam na nią? Powoli, spokojnie weszła po skrzypiących stopniach. Wyrzała na morze jasności.

Została sama. Sama w niszczącym domu. Ogromnym. Niekochanym i niechcianym, podobnie jak sama Caroline. A jednak właśnie w tym momencie pokochała to miejsce. Jego światło, jego pustkę, wolność. Mogła pójść w dowolnym kierunku, bez strachu, bez przymusu. Raz jeszcze została kowalem własnego losu.

Uśmiechała się. Nie minęło dużo czasu, kiedy zaczęła zanosić się dzikim, rehotliwym, szalonym śmiechem. Przeżyła!

Wciąż nie milknąc, pomaszerowała do drzwi frontowych. Otworzyła je, a potem ruszyła krótką ogrodową ścieżką aż do bramy i stamtąd na zatłoczone ulice miasta.

059/117

Charlie udało się dostać do Bevois Valley w piętnaście minut. Na sygnale zdążyliby nawet w dziesięć, ale to nie wchodziło w rachubę. Nie chcieli wystraszyć Mickery. Grounds został z wkurzoną Marthą Reeves – bali się, że ostrzeże uciekinierkę.

Wszyscy funkcjonariusze na służbie otrzymali rysopis; Charlie natychmiast zajęła się koordynacją poszukiwań. Bevois Valley to nędzne zbiorowisko tanich supermarketów, stref przemysłowych i magazynów. Nie zajmuje dużej powierzchni i wielu policjantów z tej dzielnicy zawarło układy z prostytutkami i ćpunami, którzy również tu przebywają, zasiedlając liczne squaty i opuszczone domy na zrujnowanych ulicach. Wieści rozchodzą się zaskakująco szybko w tak zamkniętej społeczności. Dobry cynk może zakończyć poszukiwania. Może złapią Mickery na gorącym uczynku? Charlie poczuła, jak skacze jej ciśnienie – podniecenie śledztwem ruszającym z kopyta zawsze pobudzało jej serce. Ale tym razem było coś więcej. Ten przypadek stał się czymś osobistym – nie pozwoli Mickery znowu uciec.

Pięć minut. Dziesięć minut. Piętnaście. Wciąż ani śladu. Wchodzą i wychodzą z garażów i zakładów blacharskich, supermarketów i korporacji taksiarzy. Ale wszędzie to samo – spojrzenie na zdjęcie i kręcenie głową.

Potem jakieś poruszenie na ulicach. Ktoś woła o pomoc; kobieta leżąca na ulicy. Charlie pokonała dystans w kilka sekund i znalazła młodą dziewczynę w bardzo złym stanie. Szaleństwo w oczach, krew płynąca z zadrapań na twarzy... Ale w niczym im nie pomoże. Wkurzona panienska z okolicy, która podpadła swojemu kochasiowi z ciężką ręką. Kiedy funkcjonariusz odprowadził protestującego damskiego boksera, Charlie wróciła do poszukiwań.

Dwadzieścia minut. Trzydzieści minut. I wciąż cisza w radio. Charlie przeklinała swojego pecha. Jakim cudem ta kobieta potrafi się rozpuścić w powietrzu? Reeves na pewno nie kłamała, wydając jej plany – trzeba było siłą wyciągnąć z niej te informacje – więc gdzie, u diabła, podziewała się Mickery?

Charlie poczeka jeszcze trzydzieści minut, może dłużej. Coś się musi w końcu wydarzyć.

Zaczęło padać. Z początku słabo, ale po chwili rozpętała się ulewa. Kiedy grad zaczął odbijać się od mokrych włosów Charlie, raz jeszcze przeklęła swojego pecha. Niestety sytuacja miała się jeszcze pogorszyć.

– Odwołaj poszukiwania.

Charlie odwróciła się na pięcie. Przyjechała Helen i nie wyglądała na zadowoloną.

Nie rozmawiały w drodze na komisariat. Żadnego wyjaśnienia, dlaczego poszukiwania zostały odwołane, ani spodziewanego upomnienia za zgubienie głównej podejrzanej. Charlie nie wiedziała, co się dzieje, i nie podobało jej się to. Po raz pierwszy w życiu poczuła, jak to jest zostać zabranym przez policję. Być podejrzanym. Rozpaczliwie chciała porozmawiać, rozpędzić nerwowe myśli i dowiedzieć się, co się stało. Najwyraźniej nie mogła na to liczyć, dlatego cierpiała w ciszy, snując w myślach tysiąc czarnych scenariuszy.

Szły przez komisariat w milczeniu. Helen zaprowadziła ją do pokoju przesłuchań i wyłączyła telefon komórkowy. Siedziały i patrzyły na siebie.

– Dlaczego zostałam policjantką, Charlie?

Cholera, jest źle. Jeśli tak brzmiało pierwsze pytanie, Charlie miała przesrane.

– Żeby zrobić, co należy. Łapać złych ludzi.

– I twoim zdaniem jesteś dobrą funkcjonariuszką?

– Oczywiście.

Chwila ciszy, a potem:

– Opowiedz mi o Hannah Mickery. O tym, jak pozwoliłaś jej uciec.

Charlie nie zamierzała dać się sprowokować. O cokolwiek ją będą oskarżać, musi zachować spokój. Wiele może od tego zależeć. Dlatego opowiedziała o tym, jak Hannah ją przechytryzyła i jak udało jej się uciec. Nie było sensu upiększać opisu, skoro wyraźnie wpadła w tarapaty.

– Od jak dawna znasz Hannah Mickery?

– Słucham?

– Jak długo?

– Nie znałam jej wcześniej. Złapaliśmy ją, przesłuchaliśmy, włamaliśmy się do

jej komputera... to wszystko. Znam ją nie lepiej niż ty.

Znowu chwila ciszy.

- Ekscytują cię jej zbrodnie?

Rozmowa stawała się coraz dziwniejsza.

- Oczywiście że nie. Są potworne. Wstrętne. Jeśli Mickery okaże się winna, mam nadzieję, że zgnije w więzieniu.

- Najpierw będziemy musieli ją znaleźć.

Cios poniżej pasa, ale chyba zasłużony. Charlie spieprzyła sprawę z podejrzaną, nie było co do tego wątpliwości. A jeśli więcej osób zginie? Czy ich śmierć obciąży sumienie Charlie?

- Co poczułaś, gdy usłyszałaś o samobójstwie Petera Brightstona?

- Co „poczułam”?

- Uznałaś go za słabego?

- Nie, oczywiście że nie. Żal mi go. Powinniśmy byli zrobić wię...

- A co z Marie i Anną? Ich też było ci żal? A może zasłużyły na swój los? Na pewno były słabe. Jak nazywali ich miejscowi? Downami?

- NIE, ZDECYDOWANIE NIE. Nikt nie zasługuje na taką śmierć. I z całym szacunkiem, ale...

- Potrzebujesz pieniędzy, Charlie? Masz długi?

- Nie.

- Marzy ci się większy dom? Lepszy samochód?

- Nie, nie potrzebuję więcej pieniędzy.

- Każdy ich potrzebuje, Charlie. Co czyni cię inną? Uprawiasz hazard? Pijesz?

Pożyczasz pieniądze od nieodpowiednich ludzi?

- Nie! Sto razy nie.

- To dlaczego to zrobiłaś?

Zaskoczona Charlie wreszcie podniosła wzrok.

- Co zrobiłam?

- Jeśli powiesz to teraz, mogę ci pomóc.

- Proszę, naprawdę nie wiem, co chcesz usłyszeć...

- Nie będę udawać, że rozumiem, dlaczego pozwoliłaś się tak wykorzystać.

W najlepszym przypadku miała na ciebie haka. W najgorszym jesteś równie popieprzona. Ale zrozum, Charlie, że jeśli nie powiesz mi teraz prawdy,

z najmniejszymi szczegółami, resztę swojego życia spędzisz za kratkami. Wiesz, co się dzieje z policjantami w więzieniu?

I wtedy wszystko stało się jasne.

– Ja tego nie zrobiłam.

Cisza.

– Uważasz, że ktoś jej pomaga. Ktoś z naszego komisariatu. Ktoś z naszego zespołu. Ale to nie ja.

– Ale ja już wiem, że to ty.

– Nie możesz. Mam alibi. Wiesz, że mam alibi. Tak, byłam na komisariacie w tym czasie, ale rozmawiałam z Jackie Tyler z Działu Osób Zaginionych. Siedziałam z nią czterdzieści minut, przeglądając listę zaginionych par...

– Ona twierdzi, że to nieprawda.

– Nie, nie, nie, to kłamstwo. Złożyła zeznanie...

– Wycofała je. Pomyliły jej się godziny.

Ciężka, pełna zdumienia cisza. Po raz pierwszy w oczach Charlie pojawiły się łzy. Helen ciągnęła dalej:

– Na początku uznała, że to nie ma znaczenia, ale teraz przypomniało jej się, że przyszedł do niej wczesnym popołudniem...

– W takim razie kłamała. Byłam tam, spędziłam ten czas z nią, mogę ci podać nazwisko każdej pary, którą...

– Rozczarowałaś mnie, Charlie. I zdradziłaś nas wszystkich. Gdybyś miała w sobie resztki przyzwoitości i była ze mną szczerą, mogłabym ci pomóc; teraz wszystko zostaje w rękach Wewnętrznych. Pojawią się tu za pięć minut, więc przygotuj swoją historijkę...

Charlie złapała Helen za rękę.

– To nie ja.

Długa chwila ciszy.

– Wiem, że mnie nie lubisz. Wiem, że nie cenisz mnie zbyt wysoko. Ale *przysięgam*, że to nie ja...

Teraz łzy płynęły wartkim strumieniem.

– Nigdy bym... nie mogłabym. Jak mogło ci przyjść do głowy, że byłabym do tego zdolna?

Powiedziała to z wielką żarliwością. A potem zaczęła głośno szlochać.

- To nie ja.

Helen przyjrzała się jej, a potem stwierdziła:

- Dobrze, Charlie. Wierzę ci.

Charlie uniosła wzrok, ponownie zaskoczona.

- Ale...

- Śledczy z Wewnętrzznego wcale nie są w drodze. A Jackie nie wycofała swoich zeznań, nadal daje ci żelazne alibi. Przepraszam, że tak wyszło, ale nie miałam innego wyjścia. Muszę wiedzieć, kto to robi.

- I co?

- Jesteś czysta, Charlie. Nikt nie musi wiedzieć, że przeprowadziłyśmy tę rozmowę i nie trafi ona do twoich akt. Ogarnij się i wracaj do pracy.

Po tych słowach wyszła. Charlie schowała twarz w dłoniach. Ulga i wyczerpanie mieszały się w niej ze wstrętem - nigdy nie czuła wobec Helen Grace większej antypatii niż teraz.

Na zewnątrz Helen wzięła głęboki oddech. Zrobiło jej się niedobrze. Nie z powodu nieprzyjemnego przesłuchania Charlie, ale tego, co oznaczała jej niewinność. Pozostawał już tylko jeden możliwy sprawca - Mark.

060/117

Caroline usztywniła całe ciało i nasłuchiwała odgłosów najmniejszego ruchu. Minęły już cztery dni, odkąd została uwolniona, i prawie w ogóle w tym czasie nie spała. Nawiedzały ją wizje Martiny – duszącej się, z wytrzeszczonymi oczami – ale tak naprawdę to strach nie pozwalał jej zmrużyć oka. Euforia przetrwania powoli ustąpiła miejsca męczącemu przerażeniu. Dlaczego ją wypuszczono? Jaki potworny los ją czekał, skoro udowodniła, że potrafi zabić?

Caroline wypisała się ze szpitala, gdy tylko jej na to pozwolili, i szybko wróciła do domu. Potrzebowała znajomej przestrzeni, gdzie mogłaby się poczuć bezpiecznie. Ale Sharon wystarczyło jedno spojrzenie, by uciec do rodziców, chociaż Caroline błagała ją, by została. Widząc siebie później w lustrze, Caroline zrozumiała decyzję współlokatorki. Z odbicia patrzyły na nią szalone i nieludzkie oczy chodzącego trupa. Wyssano z niej całe życie: była blada jak ściana i nie dało się jej zrozumieć. Nie potrafiła opisać swoich przeżyć – niekończące się przekleństwa i nielogiczne uwagi nie miały zbyt wiele sensu.

Kiedy została sama, jej wątpliwości i lęki zaczęły się mnożyć. Łamała sobie głowę, ale wreszcie przypomniał jej się koleś, który potrafił załatwić wszystko. Pobiegła do jego squatu, gorączkowo oglądając się za siebie. Drżącymi dłońmi wyciągnęła gotówkę z bankomatu... Wreszcie udało jej się zdobyć to, czego potrzebowała. Pięćset funtów wystarczyło, by kupić pistolet i sześć naboí. Kiedy uzbrojona wracała do domu, poczuła ulgę. Przynajmniej będzie miała się czym bronić, jeśli – kiedy – nadejdzie kryzys.

Dni mijały powoli i bez incydentów; wkrótce Caroline miała już tak dosyć swojego towarzystwa, że postanowiła wrócić do pracy. Jej klientów wyraźnie odstraszał jej widok i żądali wyjaśnień. Gdzie była? Dlaczego jest tak wychudzona i tak rozkojarzona? Wcisnęła im jakąś bajeczkę i próbowała skupić się na swojej robocie. I przez cały czas piła. I piła. Wódkę, whisky, piwo, cokolwiek. Trudno zadowolić klienta ręką, kiedy cała się trzęsiesz.

Nie czuła już na tym etapie wyrzutów sumienia, tylko strach. Cyn wciąż się

gdzieś czaiła. Bogini Cyn, która uczyniła jej życie elementem gry i zrobiła z niej morderczynię, wciąż była gdzieś tam. Caroline wzdrygała się przy każdym skrzypnięciu podłogi, każdym trzaśnięciu drzwiami. Zeszłej nocy tak ją wystraszyły fajerwerki, że rozpłakała się przy kliencie. Jego zmieszany wyraz twarzy sprawił, że postanowiła iść do domu – za wcześnie wróciła do pracy.

I właśnie dlatego teraz siedziała w swoim mieszkaniu, zakopana po szyję w pościeli, wyciągając rękę do pistoletu leżącego na stoliku obok. Ktoś próbował wejść do środka. Była piąta rano i na zewnątrz panowały egipskie ciemności. Tak wyglądał plan Cyn? Przyjść do niej pod osłoną nocy? Caroline wstała – siedzenie i czekanie było w zasadzie straszniejsze niż ruszenie się z miejsca. Otworzyła drzwi do sypialni, trochę spodziewając się zobaczyć Cyn po drugiej stronie, korytarz okazał się jednak pusty.

Powoli wyszła z pokoju, przeklinając każdą skrzypiącą deskę w podłodze. W salonie również nikogo nie znalazła, w korytarzu też... ale znowu usłyszała ten dźwięk. Ciche drapanie, jakby ktoś próbował otworzyć zamek albo dostać się do środka. Caroline ścisnęła mocniej pistolet. Odgłosy dochodziły z kuchni. Przygotowując się na najgorsze, ruszyła do przodu i powoli otworzyła drzwi stopą.

W środku nikogo nie było. Nagle usłyszała hałas przy oknie. Caroline wystrzeliła bez wahania. Raz, drugi, trzeci. Potem odruchowo pobiegła do roztrzaskanego okna. Wyrzała na zewnątrz, żeby raz na zawsze dobić swoją prześladowczynię... I zobaczyła uciekającego kota sąsiadów. To tylko kot. Przeklęty, głupi kot.

Caroline opadła na podłogę pod ciężarem beznadziei i rozpacz. Teoretycznie przeżyła, ale w praktyce jej życie nie należało już do niej. Stała się niewolnicą strachu, w obliczu którego zwycięstwo nad Martiną wydawało się puste i pozbawione znaczenia. Wyrzuciła pistolet do kosza i zadzwoniła na policję, by przyznać się do popełnionej zbrodni.

Helen patrzyła na Caroline siedzącą po drugiej stronie stołu; właśnie składała oficjalne zeznania. Caroline spodziewała się kary. *Chciała* zostać ukarana. Dlatego wydawała się niemal rozczarowana, kiedy Helen zapewniła ją, że najprawdopodobniej nie grozi jej postawienie w stan oskarżenia – oczywiście,

jeśli historia się potwierdzi i jeśli obieca nikomu nie opowiadać o swoich przeżyciach.

Zaprowadziła ich do miejsca, gdzie zostały uwięzione. Dom został kupiony przez przedsiębiorcę, który wkrótce zbankrutował i zostawił posesję, by niszczała. Podobny los spotkał Martinę, która już przyciągnęła uwagę szcurów i much. Smród rozkładającego się ciała w piwnicy przyprawiał o mdłości, ale Helen musiała zobaczyć zwłoki na własne oczy.

Czego się spodziewała? Gromu z jasnego nieba? Jednocześnie miała nadzieję i obawiała się, że rozpozna kolejną ofiarę i tym samym nada nowy kierunek sprawie; okazało się jednak, że nigdy wcześniej nie widziała tej młodej dziewczyny. Prawdę mówiąc, wyglądała jak kolejny silikonowy klon prostytutek, które kończyły w podobny sposób. Dlaczego zabójczynie wybrała właśnie ją?

Caroline opowiedziała im o Cyn. Okazało się, że teraz miała kasztanowe włosy. Dziewczyna przedstawiła ze szczegółami repertuar ich przedstawienia dla niej. Nigdy nie nawiązały z Cyn fizycznego kontaktu, a wszystko działo się w vanie morderczynie.

- Jak się z wami skontaktowała?

- Przez Internet. Martina miała stronę z adresem e-mail.

Sprawdzą to, może uda się wyśledzić IP nadawcy. Helen w to nie wierzyła. Kobieta za bardzo się pilnowała, żeby popełnić taki błąd, dlatego prowadząca śledztwo postanowiła zwrócić większą uwagę na ofiary.

Caroline niczym się nie wyróżniała. Uciekła z domu w wieku szesnastu lat, żeby uniknąć kontaktu z dziadkiem, który nie rozumiał słowa „nie”. Zaczynała od oszukiwania naiwnych klientów, od których brała gotówkę przed wykonaniem usługi, aż w końcu trafiła na kogoś, kto biegał szybciej niż ona. Po tym wydarzeniu nie mogła chodzić przez kilka dni, ale kiedy już ozdrowiała, wyjechała z Manchesteru i ruszyła na południe. Najpierw do Birmingham, a potem do Londynu. I wreszcie do Southampton. Jej historia była historią typowej prostytutki. Najpierw zawiodły się na rodzinie, potem kopnęło je życie, a trwają jakoś z dnia na dzień dzięki własnemu sprytowi. Opowieść była przygnębiająca, ale typowa.

Czy w takim razie chodziło o Martinę? A może obie wybrano przypadkowo? Z tej dwójki to Martina wydawała się bardziej interesująca, a przynajmniej

wydawałaby się, gdyby cokolwiek o niej wiedzieli. Pojawiła się w Southampton niewiele wcześniej. Nie miała żadnych przyjaciół, żadnej rodziny ani numeru ubezpieczenia. *Tabula rasa*, co samo w sobie było intrygujące.

Helen osobiście zajęła się przesłuchaniem. Według przepisów potrzebowała partnera, ale nie przejmowała się tym. Nie mogła sobie pozwolić na kolejne przecieki. Jednak kiedy już kończyła, nadeszły wieści, które zmieniły postać rzeczy. Wreszcie pojawiła się szansa na ustalenie, kto ich zdradził.

Znalazła się Mickery.

061/117

Naprawdę potrzebował drinka. Ostatnie kilka dni były dla niego torturą i jego ciało, mózg i dusza pragnęły ucieczki w alkohol. Pierwszy łyk zawsze okazywał się najlepszy – nie trzeba być alkoholikiem, żeby to wiedzieć – a on starał się teraz z całych sił, by nie pójść do monopolowego.

Dostał kosza i sam nie wiedział dlaczego. To z powodu jego słabości? Wtedy wypłakiwanie się w rękaw Helen wydawało się naturalne, szczere i autentyczne; może teraz gardziła nim za jego wrażliwość? Żałowała, że się z nim przespała? A może chodziło o coś innego?

Nie widział Charlie i Helen od kilku dni. Albo wychodziły z komisariatu, albo siedziały same zamknięte w pokoju przesłuchań. Ich relacje wydawały się jeszcze bardziej skomplikowane niż zazwyczaj – Helen zawsze traktowała Charlie oschle – więc coś musiało się wydarzyć. Ale przynajmniej Charlie istniała w życiu Helen, na co Mark nie mógł już liczyć.

Zrobiło się już późno. Mark wiedział, że Charlie nigdy nie rezygnowała z zajęć bokserskich na policyjnej siłowni; choćby się waliło i paliło, zawsze się pojawiała, dlatego też czekał na parkingu przed wejściem, wzbudzając zainteresowanie każdego, kto obok niego przechodził.

I oto ona. Mark podszedł do niej od razu, wołając ją po imieniu. Charlie, która kilka sekund wcześniej maszerowała przez parking w stronę siłowni, najwyraźniej nieco zwolniła kroku. Czyżby panikowała, próbując zdobyć kilka cennych sekund na przemyślenie strategii działania? Nieważne, pomyślał Mark, i od razu przeszedł do rzeczy.

– Nie chciałbym stawiać cię w niekomfortowym położeniu, ale muszę wiedzieć, co się dzieje, Charlie. Co takiego zrobiłem?

Krótkie zawahanie, a potem:

– Nie wiem, Mark. Teraz wszystkich nas się czepia. Gdybym wiedziała, powiedziałabym ci, naprawdę.

Kontynuowała, dużo paplając, ale nic nie mówiąc. Mark poznał się na

kłamstwie. Charlie nigdy nie była dobrą aktorką. Ale dlaczego go oszukała? Zawsze dobrze się dogadywali, traktował ją jak przyjaciółkę. Co usłyszała od Helen?

- Proszę, Charlie. Choćby nie wiem, jak było to żenujące czy nieprzyjemne, muszę się dowiedzieć, co zrobiłem nie tak. Została mi już tylko ta praca. Jeśli ją stracę, mogę się pożegnać z wizytami Elsie i wszystkim, co dobre w moim życiu, więc jeśli cokolwiek wiesz...

Znowu go okłamała i udała niewtajemniczoną, ale jednocześnie odwróciła wzrok od jego niedowierzającego spojrzenia. Mark odpuścił - choć raz udało mu się opanować rosnący gniew. Wrócił na komisariat głęboko zasmucony. Gdziekolwiek by teraz poszedł, i tak pozostanie obserwowany, bezpieczniej dla niego będzie jednak na komisariacie. Mniej pokus. I właśnie kiedy siedział za biurkiem, w myślach układając swoje CV, zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał Jima Grievesa.

- Pomyślałem, że powinieneś o czymś wiedzieć. Ona to on.

- Słucham?

- Ta prostytutka, Martina. Może i porządnie ją wyposażyli, ale nie ma wątpliwości, że wcześniej była facetem. Operacji dokonano zapewne kilka lat temu... Sądząc po stanie jego odbytu, równie dobrze mógł pracować w tej branży wcześniej, choć dla innej klienteli. I właśnie tam zacząłbym na waszym miejscu szukać.

Czyli Martina urodziła się jako chłopiec. Mark poczuł przypływ energii - dostał ziarno, które, jeśli wykiełkuje, może mu pomóc naprawić stosunki z Helen. Nagle Mark wrócił do gry.

062/117

– Poproszę dwudziestkę marlboro gold.

Helen za dużo paliła i doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale musiała jakoś zebrać myśli, zanim usiądzie przed Mickery w pokoju przesłuchań; palenie zawsze jej w tym pomagało. Dlatego wymknęła się do pobliskiego kiosku. Właściciel sięgnął za siebie i wyciągnął stojącą, biało-złotą paczkę. Rzucił ją na ladę i beznamiętnym tonem podyktował skandaliczną cenę. Kiedy papierosy stały się tak drogie? – zastanawiała się Helen.

– Ja zapłacę.

Emilia Garanita. Kolejna zasadzka. Helen pomyślała, że musi być bardziej ostrożna, bo te częste spotkania tylko zachęcają dziennikarkę.

– Nie ma potrzeby – powiedziała, przekazując kioskarzowi dziesięciofuntowy banknot. Mężczyzna gapił się otwarcie na Emilię. Dlatego że rozpoznał jej twarz z gazety? Czy przez jej blizny? Przez chwilę Helen współczuła swojej przeciwnicze.

– Jak się miewasz, Emilio? Dobrze wyglądasz.

– Doskonale. To o ciebie się martwię. Jak sobie radzisz z *trzema* morderstwami?

– Jak już mówiłam wcześniej, śmierć Bena Hollanda została uznana za wyna...

– Sam Fisher, Ben Holland, Martina Robins. *Wszyscy zamordowani*. Coś takiego nigdy wcześniej się w Southampton nie wydarzyło. Wszystkie ofiary znaleziono w odludnych miejscach, a zabójcom brakowało motywu. Z czym mamy do czynienia?

Emilia trzymała w ręku dyktafon, najwyraźniej licząc na nagranie wahania Helen – a może raczej miała nadzieję, że ją upokorzy? Helen otaksowała ją spojrzeniem, ciesząc się z napięcia, jakie buduje, a potem odparła:

– Ze spekulacjami, Emilio. Ale mam nadzieję, że wkrótce będę miała dla ciebie więcej informacji. W tej chwili dysponujemy świadkiem, który pomaga nam w rozwikłaniu sprawy. Możesz to wydrukować, jeśli chcesz. To nie są spekulacje.

To jest fakt. Nie zrezygnowaliście z drukowania faktów, prawda?

I odeszła. Wracając na komisariat, Helen poczuła przyływ energii. Miło choć raz mieć przewagę. Zaciągnęła się mocno papierosem; cieszyła się na myśl o tym, co ją czeka.

063/117

Mickery nie chciała nic powiedzieć. Gapiły się na siebie z Helen już ponad godzinę, ale wciąż nie zdradziła celu swojej ucieczki.

- Był całkowicie niewinny - stwierdziła, wręcz powstrzymując się od uśmiechu.

- Więc po co te przebieranki? Ta gonitwa? Policjantka kazała ci się zatrzymać, a ty nie wykonałaś polecenia. Za samo to można trafić do więzienia.

- Miałam spotkanie z klientem - odparła Mickery - i uznałam, że nie powinnam przyprowadzać na nie miejscowej policji. I tak ma już dość problemów na głowie, proszę mi uwierzyć.

- Ale w tym problem, że nie wierzę.

Mickery wzruszyła ramionami. Najwyraźniej miała w głębokim poważaniu zdanie Helen. Jej prawnik stał tuż obok, z równie pysznym wyrazem twarzy. Zegarek odmierzał czas. Jedna minuta ciszy. Dwie. A potem:

- Zacznijmy wszystko od początku. Gdzie udałaś się wczorajszego popołudnia? Z kim się spotkałaś i dlaczego? - warknęła Helen.

- Powiedziałam już wszystko, co zamierzam powiedzieć w tej sprawie. Nie mogę łamać tajemnicy zawodowej.

Helen poczuła ogromne zmęczenie.

- Masz w ogóle pojęcie, w jak poważnej sytuacji się znalazłaś?

Spojrzały sobie w oczy.

- Jesteś główną podejrzaną w sprawie wielokrotnego morderstwa. Kiedy cię zaaresztuję i postawię zarzuty, będę walczyć o pięciokrotne dożywocie. Bez możliwości zwolnienia warunkowego i przedterminowego. Każdy dzień do końca życia spędzisz za kratkami i jakiegokolwiek, najmniejsze nawet złagodzenie kary będzie zależeć od tego, jak zachowasz się właśnie teraz. Tutaj, w tym pomieszczeniu. Jeśli powiesz mi, dlaczego to zrobiłaś, dlaczego zabiłaś Martinę i wszystkich innych, może będę w stanie pomóc.

- Martinę? - zapytała Mickery.

- Nie udawaj. Żądam odpowiedzi, a nie pytań. I jeśli nie usłyszę ich w ciągu następnych pięciu sekund, aresztuję cię i oskarżę o pięć zabójstw.

- Wcale nie.

- Słucham?

- Nie aresztujecie mnie. Nie postawicie mi zarzutów. I właśnie dlatego nie zamierzam nic robić.

Helen patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Nie mamy żadnych innych podejrzanych, Hannah. Jesteś jedyną osobą, której możemy postawić zarzuty. Tym razem się nie wymkniesz.

- Domyślam się, że nie gra pani w pokera, pani inspektor, inaczej lepiej by pani blefowała. Może pomogę.

Helen miała ogromną ochotę walnąć ją w nos i Mickery doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Ciągnęła dalej:

- Właśnie szukacie seryjnego mordercy. Nie udawajmy, że jest inaczej. Ale przede wszystkim szukacie bardzo specyficznego mordercy. Kobiety. Ile seryjnych zabójczyń potrafi pani wymienić? Eileen Wournos, Rose West, Myra Hindley. To nie jest długa lista. I właśnie dlatego są tak pożądane. Wszyscy *uwielbiają* seryjne zabójczynie. Tabloidy, twórcy filmów, przeciętni obywatele: wszyscy są zafascynowani kobietami popełniającymi kolejne morderstwa. Ale ta... – pauza dla lepszego efektu – ta przebija wszystkie inne. Dlaczego? Bo jest przebiegła, zorganizowana, a jednocześnie całkowicie nieuchwytna. Jak wybiera swoje ofiary? Jak je śledzi? Nienawidzi obojga porwanych? Czy tylko jednego? Jak może przewidzieć, kto zginie, a kto przeżyje? Interesuje ją wynik? I dlaczego wybiera właśnie ich? Co takiego jej zrobili? Czyżby jako pierwsza morderczyni w historii bardziej ekscytowała się tymi, którzy przetrwali, zamiast ofiarami? Jest jedyna w swoim rodzaju, wyjątkowa. I stanie się sensacją.

Helen nie skomentowała. Wiedziała, że Mickery chce ją wyprowadzić z równowagi i nie zamierzała dać jej tej satysfakcji. Hannah uśmiechnęła się i kontynuowała swój wywód:

- Jest kilka możliwych finałów tej niezwyklej historii. Ale najlepszy i zarazem taki, na jaki liczy każdy gryzpiórek i każdy czytelnik tabloidów, nastąpi wtedy, gdy uparty glina wreszcie dopnie swego. A wtedy wszyscy będziemy mogli się świetnie bawić, oglądając zdjęcie z aresztowania i czytając dwunastostronicowe

wydanie specjalne, pełne makabrycznych szczegółów, opinii „ekspertów” i słabo skrywanego, chorobliwego podniecenia.

Mickery dopiero się rozkręcała.

– Finał, którego nikt nie chce, a w szczególności wy, zaczyna się od pomyłki. Aresztowania niewinnej, szanowanej profesjonalistki – podkreśliła to słowo – które sprawia, że historia pojawia się w mediach, zanim zabójca zostanie złapany. Tabloidy się wściekają, obywatele są przerażeni i nagle milion oczu przygląda się milionom twarzy, zmuszając zabójcę do przyczajenia się, podczas gdy wasze śledztwo rozsypuje się na tysiąc fałszywych tropów. Morderczyni znika, wy zostajecie na łodzi, a ja dostaję sowitą rekompensatę, za którą kupuję sobie wymarzoną łódź.

Teatralna pauza.

– Dlatego musi się pani zastanowić, pani inspektor – ciągnęła dalej – czy jest pani absolutnie pewna, że to ja? I czy może to pani udowodnić? Ponieważ jeśli nie, jeśli rozumie pani, jak ogromny błąd może pani popełnić, wciąż jeszcze jest czas, by to zatrzymać. By postąpić słusznie. By pozwolić mi odejść, a samej wrócić do śledztwa. Jestem niewinna, Helen.

Jej imię nigdy jeszcze tak bardzo nie przypominało w wymowie przekleństwa. Bez wątplenia właśnie usłyszała doskonałą przemowę. I do tego budzącą pewne wątpliwości. Czy to możliwe, by Mickery była patologicznie chora i jednocześnie tak elokwentna? Czy ktoś, kto potrafi tak doskonale rozumieć sposób myślenia innych ludzi, może być socjopatą?

– Mogę iść? – Mickery nie mogła się powstrzymać.

Helen zastanowiła się chwilę, a potem powiedziała:

– Nie złożę oficjalnego oskarżenia w kwestiach, które omawialiśmy w tym pokoju i które, jak przypominam, muszą pozostać między nami, ponieważ śledztwo wciąż jest w toku.

Mickery uśmiechnęła się i zaczęła pakować swoje rzeczy.

– Ale nie zmienia to faktu, że nie zatrzymałaś się mimo wyraźnego polecenia policjantki na służbie, a za to należy się przynajmniej noc w areszcie, nie sądzisz?

Choć raz Mickery nie wiedziała, co powiedzieć.

064/117

W głowie Helen kłębiło się tysiąc myśli. Czy Mickery mówiła prawdę? Może faktycznie nie była morderczynią, a jej obsesja na punkcie sprawy ma zupełnie inne podłoże: pieniądze. Mickery doskonale wiedziała, że historia stanie się międzynarodową sensacją, kiedy już trafi do mediów, i być może rozpaczliwie próbowała wykorzystać swoją wiedzę do wyprzedzenia dziennikarzy.

Im dłużej Helen o tym myślała, tym bardziej sensowne jej się to wydawało. Kobieta zapewne już tworzyła szkic książki na temat zabójstw, razem z analizą psychologiczną zabójczyni i autentycznymi dowodami z policyjnego śledztwa. Miała szczęście i знаła dwie ofiary, więc wcześniej wyczuła pismo nosem, ale była też ambitna i chciała więcej. Kiedy po raz pierwszy zgłosiła się do Marka? I dlaczego do niego? Skąd miała pieniądze, by przekupić policjanta, aby przekazał jej informacje na temat wciąż trwającego śledztwa? Jeśli ktokolwiek wykaże, że działania Mickery mogły utrudnić poszukiwania zabójcy, będzie jej grozić odsiadka. Zawsze jakieś pocieszenie, pomyślała gorzko Helen.

Kiedy Hannah spędzała noc w celi, Helen miała czas na działanie. Musiała wszystko zrobić ostrożnie i zgodnie z zasadami, dlatego w pierwszej kolejności ruszyła do Whittakera, który wysłuchał jej z ponurą miną. Będą musieli oczywiście odsunąć Marka od śledztwa, ale czy mogliby to zrobić bez wzbudzania podejrzeń? Nie, oczywiście że nie. Będą musieli go zawiesić i oskarżyć. On z kolei w akcie zemsty i dla korzyści majątkowych może ruszyć prosto do prasy, Whittaker uważał jednak, że rozsądna zapłata, może nawet zachowanie pełnych przywilejów emerytalnych i dodatków za służbę, skłoni go do milczenia. W przeszłości już tak robili, a Mark nie pochodził z bogatej rodziny. Helen nie podobała się wizja nagradzania w ten sposób Marka za zdradę. Whittaker patrzył na wszystko z większym pragmatyzmem.

– Chcesz, żebym sam się tym zajął? – zapytał.

– Nie, ja to zrobię.

– Zazwyczaj to zwierzchnik przejmuje sprawę, kiedy trzeba zdyscyplinować...

– Wiem i rozumiem, ale muszę wiedzieć, co powiedział i komu. Myślę, że mam większą szansę to z niego wyciągnąć, jeśli sama się tym zajmę.

Whittaker spojrzał na nią znacząco.

– Masz na niego jakiś szczególny wpływ?

– Nie, ale mnie szanuje – odparła szybko Helen. – Wie, że nie wciskam nikomu kitu i jeśli zaproponuję mu układ, zrobię to w dobrej wierze.

Whittaker wydawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, więc Helen wyszła. Nigdy wcześniej z takim zadowoleniem nie opuszczała jego biura. Z drugiej strony, to była łatwiejsza część zadania. Trudniejszą okaże się spotkanie z Markiem.

Helen wsiadła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Przez chwilę odgłosy otaczającego ją świata dobiegały do niej stłumione. Wreszcie choć na moment odpocznie od szalejącej ciągle burzy. Dlaczego dopuściła Marka tak blisko? Dlaczego właśnie jego wybrała na towarzysza rozmyślań o sprawie, skoro najwyraźniej każdy szczegół przekazywał komuś nieuprawnionemu? Skrzywiła się na wspomnienie ich rozmów w pubie i na komisariacie, kiedy dzielili się teoriami i rozważali podejrzanych. Kto wie, może w książce Mickery właśnie powstaje ohydna karykatura Helen – nieudolna policjantka. Genialną zabójczynię ścigają nieskuteczni ignoranci.

Helen zawyła z bólu i kiedy spuściła wzrok, zobaczyła własne paznokcie wbite w skórę dłoni. Z całej frustracji i gniewu zraniła się do krwi. Przeklinając swoją głupotę, próbowała znowu się skupić. Nie było czasu na rozpraszenie się rozmyślaniami. Nie ma sensu walczyć w wymyślonych bitwach. Robiła to już wystarczająco często w przeszłości. Teraz musi zachować spokój, siłę i pewność siebie. Nadszedł czas, by działać.

065/117

Na początku poczuł ulgę. Mark cały dzień próbował dodzwonić się do Helen i powiedzieć jej o najnowszym odkryciu na temat Martiny, ale bezskutecznie. A teraz pojawiła się u niego i właśnie opierała się o framugę. Satysfakcja przeobraziła się w coś więcej – nadzieję? podniecenie? – bo przyjechała do niego *tutaj*, zamiast złapać go w biurze. Może lubi być tajemnicza, gorąca i zimna, trudna do okiełznanania. Jej wyraz twarzy sugerował jednak, że chodziło o coś innego.

Kiedy otworzył drzwi i wpuścił ją do środka, nie powiedziała ani słowa. Nie miał innego wyjścia, musiał zagrać według jej zasad i zobaczyć, o co w tym wszystkim chodzi. Dlatego przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Kto wykona pierwszy krok?

– To może być ostatni raz, kiedy spotykamy się w ten sposób. Byliśmy więcej niż przyjaciółmi, więc mam nadzieję, że zrobimy to bez krzyków, kłamstw i wzajemnych oskarżeń, żeby cała sytuacja nie stała się bardziej bolesna niż to konieczne.

Kiedy mówiła, wpatrywała się intensywnie w Marka, czekając na jego reakcję.

– Zdradziłeś nas, Mark. Nie można tego inaczej nazwać. Zdradziłeś mnie, zespół i całą służbę policyjną, która cię ukształtowała. Co gorsze, zdradziłeś niewinne ofiary tej przeklętej...

– Nie rozumiem...?

– Rozmawiałam z Whittakerem – przerwała mu Helen – więc nie musisz już kłamać. Zaraz rozpocznie się oficjalne śledztwo, które najprawdopodobniej skończy się wyrzuceniem ciebie ze służby. Twoje biurko już zostało uprzątnięte, stracisz też dostęp do wszystkich poufnych danych. Jestem upoważniona do odebrania ci legitymacji policyjnej po zakończeniu tej rozmowy.

Mark patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Widziałeś, jak inni przez to przechodzili, wiesz, jakie to potrafi być paskudne. Ale możesz sobie to ułatwić, Mark. Nie uważam cię za złego człowieka, nie jesteś

zgniły w środku i jestem pewna, że musiały istnieć jakieś poważne powody, że dopuściłeś się czegoś równie okropnego. Jeśli jesteś gotowy mi je zdradzić i współpracować, kiedy cię o to poproszę, będziemy mogli zaproponować ci pewien układ. Nie musisz odchodzić z policji z niczym.

Długa chwila ciszy, a potem pytanie:

– Dlaczego tutaj?

Odpowiedź Marka zaskoczyła ją. Nie usłyszała gorących zaprzeczeń, zamiast tego wykonał kolejny ruch w grze. Swoje pytanie zadał gorzkim tonem, ale chodziło w nim o coś jeszcze. Jakie miał zamiary?

– Dlaczego przyjechałaś tutaj powiedzieć mi... to? – Ostatnie słowo zostało wyplute. Wyzywał ją na pojedynek. Helen otaksowała go spojrzeniem, a potem odparła:

– Ponieważ chcę najpierw usłyszeć to sama, zanim reszta się o wszystkim dowie. Chcę, żebyś mi wyjaśnił swoją motywację, zanim nagramy twoje zeznania. Chcę, żebyś ty powiedział wszystko *mnie*.

Jej głos nagle stał się pełny emocji – poczucie osobistej zdrady wreszcie się przebiło. Mark tylko na nią patrzył. Wydawał się skonfundowany, jakby mówiła do niego w obcym języku.

– Co twoim zdaniem zrobiłem, Helen? – Mówił to neutralnym tonem, ale jakby ją przedrzeźniał.

– Nie rób tego, Mark. Mimo wszystko stać cię na więcej.

– Powiedz. Powiedz, co zrobiłem.

Helen skrzywiła się i poczuła, jak wraca jej gniew. Dlaczego pozwoliła temu aroganckiemu dupkowi się do siebie zbliżyć?

– Wydałeś Mickery nasze śledztwo. Sprzedałeś nas.

W końcu wszystko zostało powiedziane jasno.

– A ja chcę wiedzieć dlaczego.

– Pierdol się.

Helen uśmiechnęła się pod nosem, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego. Mark zezłościł się i wstał, jakby miał zamiar podejść do niej. Helen wzdrygnęła się, on jednak zdążył już się odwrócić i teraz krążył w kółko, nie mówiąc ani słowa. Helen nie zastanawiała się wcześniej, czy Mark zareaguje agresywnie i czy może okazać się niebezpieczny. Jak bardzo pokręcony musiał być ten koleś? Może

w ogóle go nie znała.

Kiedy Mark wreszcie się odezwał, wyraźnie walczył z narastającym gniewem.

- Dlaczego uważasz, że to ja?

- Ponieważ nikt inny nie mógł tego zrobić, Mark.

- Ty miałaś dostęp, Whittaker, Charlie, technicy...

- Tylko ty i Charlie byliście na komisariacie, kiedy ściągnięto dane. Technicy strajkowali, Whittaker miał urlop, a ja pojechałam w teren.

- Więc to *muszę* być ja? A co z Charlie? W ogóle przyszło ci do głowy, że...

- To nie ona.

- A skąd *wiesz*?

- Ponieważ ma alibi. I ponieważ spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała, że to nie ona. Dlaczego ty tego nie zrobiłeś, Mark? Zamiast łązić w kółko, dlaczego nie spojrzysz mi w oczy i nie powiesz, że jesteś niewinny?

Krótką pauza, a potem:

- Ponieważ i tak byś mi nie uwierzyła.

Smutek w jego głosie był druzgocący. Helen nagle poczuła silną i niezrozumiałą potrzebę pocieszenia go, ale zwalczyła ją, wbijając paznokcie w poranioną skórę dłoni. Ból ją uspokoił.

Kiedy uniosła wzrok, Mark nalewał sobie solidną porcję wina.

- Dlaczego nie, do cholery? - Osuszył kieliszek i postawił z powrotem na stół. Wpatrując się w Helen, znowu go podniósł i uderzył nim o blat. I znowu, i znowu, i znowu, aż w końcu odpadła podstawka i kieliszek się roztrzaskał. Stłuczone szkło Mark zrzucił na podłogę, a potem swoimi krwawiącymi dłońmi przeczesał włosy. Jego gniew osiągnął apogeum; teraz słabł.

- Dlaczego nie mogłaś mnie najpierw zapytać, a dopiero potem rozpoczynać całą procedurę?

- Doskonale wiesz dlaczego. Gdyby padł chociaż cień podejrzenia, że potraktowałam cię w sposób uprzywilejowany z powodu naszego... ponieważ my...

- Dbaliśmy o siebie, hę?

- Nie o to chodzi. I dobrze o tym wiesz.

- Wiesz, przez długi czas naprawdę myślałem, że zrobiłem coś nie tak. Że jakoś cię obraziłem. Popełniłem jakieś potworne romantyczne *faux pas*. Potem

zaczęłam się zastanawiać, czy chodzi o różnicę w stopniach. Albo że się rozmyśliłaś... Ale w to nie chciało mi się wierzyć, więc uznałem, że jesteś po prostu wariatką. Piękną, nieprzewidywalną wariatką. I wiesz co? Nie przeszkadzałoby mi to. Jakoś bym sobie poradził.

Ku zaskoczeniu Helen, zaśmiał się. Jednak jego śmiech był krótki i pełen goryczy. Już miała odpowiedzieć, kiedy on znowu podjął wątek.

– Ale nigdy, nigdy bym nie przypuszczał, że chodzi o coś takiego. Że właśnie dlatego mnie odrzuciłaś. Dlaczego jesteś taka pewna, tak całkowicie przekonana, że postawiłbym na szali moją pracę, przyszłość i szanse na bycie dobrym ojcem, a nawet... pieprzyć to... możliwość powtórnego zakochania się, a wszystko to dla jakiejś łapówki?

– Nic nie mówiłam o łapówce.

– Nie bądź głupia.

– Nigdy nie wspomniałam o łapówce.

Mark wypuścił głośno powietrze, a potem spojrzał na swoją pokrwawioną rękę.

– Zapłaciła ci, Mark?

Długa chwila ciszy, a potem:

– Popełniasz poważny błąd.

– Zapłaciła ci?

– Mógłbym siedzieć tu cały dzień i tłumaczyć ci dokładnie, dlaczego z nią nigdy nie rozmawiałem, nigdy nie byłem w zмовie, nigdy nie dałem się jej przekupić i dlaczego w ogóle nie zrobiłem niczego złego, ale to nie ma sensu, prawda? Pociąg już ruszył ze stacji i nie ma odwrotu. I pewnie nigdy się nie dowiem, dlaczego zrobiłaś mi to, nie mając żadnego solidnego dowodu na to, czy to policjant zawinił, czy administracja, czy... cokolwiek innego. Ale powiem ci jedno. Nie zamierzam siedzieć tu i odpowiadać na twoje pytania bez obecności prawnika. Trzymałaś się zasad. Oczywiście że trzymałaś się zasad. Dlatego poszłaś do Whittakera i rozmawiałaś z Charlie, a potem wysłałaś straszliwy żółty formularz do Biura Spraw Wewnętrznych. Dlatego ja też będę się trzymał zasad. Nie zamierzam dać się wykorzystać i zasiądem w pokoju przesłuchań z adwokatem i przedstawicielem związku zawodowego, żeby powoli i szczegółowo odpowiedzieć na wszystkie zarzuty, a wtedy ja zostanę uwolniony, a ty wyjdiesz na idiotkę.

Odsunął gwałtownie krzesło i pomaszzerował do drzwi wejściowych, by równie raptownie je otworzyć. Helen musiała go posłuchać – i tak ryzykowała samym przyjściem tutaj.

– Mam im powiedzieć, że się pieprzyliśmy? – zapytał ostro. – Myślisz, że im się spodoba? To mogłoby wyjaśnić, dlaczego próbujesz zniszczyć moją karierę. Może byłem kiepski w łóżku. Może poczułaś, że na zbyt wiele sobie pozwoliłaś. Pomyślałaś, że może się to na tobie zemścić. Cóż, teraz na pewno.

Helen dotarła już do drzwi. Chciała po prostu wyjść, ale Mark jeszcze nie skończył.

– Powinienem cię teraz nienawidzić, wiesz? Ale zwyczajnie mi cię żal.

Helen odepchnęła go na bok i ruszyła w stronę schodów. Dlaczego jego współczucie tak ją zabolowało? Jest skorumpowanym policjantem, zgniłym jabłkiem – kto by się przejmował jego zdaniem? Bezskutecznie próbowała się przekonywać, że Mark nie ma racji, jednak nawet mimo bólu i gniewu wiedziała, że ją zaniepokoił. Wydawał się tak oburzony, wściekły, *pewny* swojej niewinności. Dowody wskazywały na niego. Nie mogła się tak bardzo pomylić.

Prawda?

066/117

Tak dobrze pamiętam tamten dzień. Wszystko, co wydarzyło się potem – nieszczęście, przemoc, pustka – miało swój początek właśnie tego dnia. Wcześniej oczywiście nasze życie nie należało do najszcześniejszych, ale pokrywało się z moimi oczekiwaniami. Tego natomiast się nie spodziewałam.

W naszym domu odbywała się swego rodzaju impreza: urodziny wujka Jimmy'ego. Cały dzień chlali – komuś się poszczęściło przy zakładach – i wszyscy byli bardziej napruci niż zwykle. Sąsiedzi przychodzili już dwa razy, wyzywając nas za hałas, ale rodzice mieli to w dupie. Gorzej nawet, bo podkręcili muzykę i Enjoy Yourself Specialsów ryczało na cały regulator. Kręciłyśmy się w pobliżu, próbując podkraść papierosa czy puszkę z piwem, ale nie byłyśmy mile widziane. Ostatecznie stwierdziłam, że nie ma nic bardziej smutnego niż grupa tańczących i chlejących frajerów w średnim wieku, więc zmyłam się do łóżka. Mama do tego czasu zdążyła już zaliczyć zgon, a tatuś i jego „koledzy” często wykorzystywali jej głupotę i w takich chwilach robili jej kawały. Raz naszczali na nią, gdy spała, a że nie chciałam na to patrzeć, wolałam spadać.

Najpierw myślałam, że pomyliły mu się pokoje. Że był zbyt pijany, by odróżnić kierunki. Potem się wkurwiłam – i tak ledwo zmrużyłam oko. Jak mam się wyspać, gdy padnie koło mnie? Ale on nie spał. I w sumie nie zamierzał.

Na początku się nie poruszyłam. Zamarłam w szoku. Jego prawa ręka wylądowała na mojej prawej piersi. Próbowałam ją zrzucić, ale nie mogłam. Zacisnął dłoń mocniej. Pamiętam, że bardzo wtedy zabolalo. Zaczęłam się rzucać. Miałam jeszcze nadzieję, że to głupi żart, ale chyba w głębi duszy już czułam, że nie. Wspiął się na mnie i przyszpilił do łóżka.

Wydaje mi się, że w tamtym momencie zaczęłam go błagać, by przestał, ale jego palce już powędrowały pod moją koszulę nocną, szukając właściwego miejsca. Jego dłonie były szorstkie i owłosione, a kiedy wcisnął we mnie pięść, skrzywiłam się z bólu. Wciąż byłam dziewicą – zaledwie czternastolatką – i nie nadawałam się dla kogoś takiego jak on. Jego druga ręka przyciskała mnie do poduszki. Zamknęłam

oczy i marzyłam o śmierci. O końcu. Ale ten nie nadszedł – ojciec kontynuował, niezmordowany, cały czas stękając.

W końcu się znudził i zabrakło mu pary. Wytarł rękę o spodnie, zszedł z łóżka i podszedł do drzwi. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, czy naprawdę wyszedł, i wtedy zdałam sobie sprawę, że mamy widzów. Jimmy i paru kumpli ojca patrzyli na nas, uśmiechając się i nawet śmiejąc. Ojciec wyminął ich chwiejnie i poszedł na korytarz. Jimmy go przepuścił i zaczął rozpinać pasek.

I wtedy zdałam sobie sprawę, że teraz jego kolej, a to był dopiero początek.

067/117

– Przepraszam. Nie powinnam była mówić do ciebie w ten sposób. Nie miałam tego na myśli, nie chciałam cię zranić i przykro mi, że tak wyszło.

Słowa wylewały się z niej wartkim potokiem; Jake przyjął jej przeprosiny, nieznacznie kiwając głową w geście przebaczenia. Kiedy się pojawiła, długo się zastanawiał, czy ją wpuścić, ale w końcu ustąpił. Bardzo łatwo powiedzieć, że usuwa się kogoś ze swojego życia, kiedy jednak ten ktoś pojawi się na twoim progu, prosząc o pomoc, trudno odmówić.

– Możemy wznowić normalne spotkania?

Zapytała prosto z mostu, ale szczerze. Jake zwrócił uwagę na to, jak różne definicje „normalności” funkcjonują pośród ludzi. Nieśluszenie ją ocenił, nawet jeśli jej gniew i wyzwiska były ohydne i nie zasłużył sobie na nie. Najwyraźniej wydarzyło się coś, co przyniosło jej cierpienie – nie wiedział kiedy i dlaczego – niemniej jeśli może sprawić, że poczuje się lepiej, to zrobi to. Jego własna droga do życia, jakie wiódł teraz, była nieprzewidywalna i wyjątkowa. Jego rodzice nigdy nie chcieli mieć dzieci, a Jake nieustannie wędrował między niezliczonymi ciotkami i babciami – jedną mniej zainteresowaną od drugiej – aż w końcu wylądował w rodzinie zastępczej. Przez cały ten czas cierpiał; trudno jest być niekochanym i nie czuć z tego powodu bólu. W końcu nauczył się kontrolować i wykorzystywać ów ból, w ten sposób panując nad lękami i egzorcyzmując swoje demony w sposób, jaki ekscytował jego klientów i samego Jake’a. Próbował kiedyś roli niewolnika i kiedy już pokonał początkowy strach, nawet czerpał z tego przyjemność, w głębi duszy jednak zawsze chciał być panem. Zdawał sobie sprawę, że jego wybór w istocie jest podyktowany brakiem pewności siebie; nie przeszkadzało mu to. Miał teraz kontrolę i tylko to się liczyło.

Doszedł do takiego momentu w życiu, kiedy wszystko wydawało się uporządkowane i dobre. I właśnie dlatego wiedział, że przyjmie ją z powrotem. Zraniła go, ale żałuje tego. W ogóle miała kogoś poza nim? Jake po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że ta kobieta może go potrzebować. Odrzucenie jej byłoby

okrutne i niebezpieczne.

- Tak, możemy wznowić normalne spotkania. Tyle że za pięć minut spodziewam się klienta, więc...

Zrozumiała aluzję i wyszła, ale najpierw przeszła na drugą stronę pokoju, żeby go przytulić. Znowu złamała zasady, Jake jednak zignorował to, bo gest okazał się miły. Patrzył, jak kobieta odchodzi, zaskoczony, że poczuł taką ulgę. Z pewnością go potrzebowała.

Być może Jake także jej potrzebował.

068/117

Hannah Mickery nie miała dobrej nocy. Już wiele razy odwiedzała różne więzienia w ramach pracy zawodowej i zawsze czuła odrazę. Wizja nocy spędzonej w areszcie napawała ją prawdziwym strachem. Nic złego jej się nie przytrafiło; teraz miała za sobą długą, zimną i ponurą noc z siedemnastoletnią ćpunką dotrzymującą jej towarzystwa; dziewczyna zresztą obszczała się ze strachu. Mocz odpłynął w kąt i do rana zasmrodził całą celę.

Niczego tak nie pragnęła, jak powrotu do domu, prysznic i *snu*. Udało jej się zachować spokój, ale teraz czuła się zmęczona i niezadowolona. Dlatego kiedy jej adwokat, Sandy, przyjechał pod areszt, westchnęła z ulgą. Ucałowała go – po raz pierwszy w życiu – i poprosiła o zabranie do domu. Jednak Sandy miał inny pomysł.

- Musisz się z kimś spotkać.
- Ktokolwiek to jest, będzie musiał poczekać. Jadę prosto do domu i do łóżka.
- To jedyna taka szansa, Hannah. Będziesz musiała mi zaufać.

Hannah zwolniła kroku i odwróciła się, żeby spojrzeć na Sandy'ego.

– Potrzebuję godziny twojego czasu, to wszystko. Przywiozłem ci ubrania. Możesz się wykąpać u mnie, jeśli zrobisz to szybko. Spotkanie zaczyna się za niecałą godzinę. Zaufaj mi, Hannah, właśnie na to czekałaś.

W domu Sandy'ego woda spływała kaskadą po ciele Hannah, przynosząc jej natychmiastową ulgę. Powinno ją to uspokoić, kobieta była jednak za bardzo podniecona. W głowie kotłowało jej się od pytań, a ponad wszystko czuła dziecinną ekscytację. Wygrała los na loterii. Udało im się.

Po drodze przedstawił jej ogólny zarys propozycji. Okazała się bardziej nawet intratna, niż miała nadzieję. Oczywiście postawiono im duże wymagania, przygotowała się jednak bardzo dokładnie i miała już wszystkie potrzebne materiały. Po opublikowaniu artykułu podpiszą umowę na książkę, a to z kolei oznaczało pokazywanie się w telewizji i kto wie co jeszcze. Zyska sławę i się wzbogaci, a potem? Może przeniesie się do Stanów... Tam jest dość przebiegłych

kryminalistów, by miała zajęcie do końca życia.

Nie spodziewała się kobiety, a już z pewnością nie tak ładnej. Naprawdę myślała stereotypowo – każdemu wydaje się, że pismaki z tabloidów to faceci. W każdym razie kobieta sprawiała wrażenie wyjątkowo dobrze zorientowanej i zrobiła na Hannah duże wrażenie swoją detektywistyczną pracą oraz bezczelnością i pewnością siebie, jakich potrzebowała, by zająć tak daleko. Liczyło się tylko to, by prześcignąć konkurencję. Szybko ustalili szczegóły i podpisali na miejscu korzystną umowę. W tym momencie kobieta wyciągnęła butelkę szampana, którą zabrała ze sobą na wszelki wypadek. Po raz kolejny Hannah zachwyciła się jej charakterem.

Szampan okazał się dobrej jakości. I błyskawicznie uderzał do głowy. Hannah potrafiła sporo wypić, więc pewnie to adrenalina spowodowała zawroty głowy. Najwyraźniej Sandy czuł się podobnie.

069/117

Helen stanęła przed biurkiem Whittakera jak uczennica, która nabroiła. Wiedziała, dlaczego została wezwana. On wiedział, że ona wiedziała. Ale mimo to nie śpieszył się, przeglądając kolejne strony „Evening News”, a potem złożył gazetę i położył ostrożnie na blacie, okładką do góry.

„ANI ŚLADU!”

Nagłówek krzyczał na nią. Helen przeczytała artykuł Emilii Garanity z samego rana i od razu wiedziała, że zainteresują się nim jej zwierzchnicy. W tekście znalazło się kilka istotnych szczegółów na temat Amy i Sama oraz Bena i Petera, a także kilka mglistych przypuszczeń na temat Martiny. Ale autorka najwięcej uwagi poświęciła wypuszczeniu Mickery i zawieszeniu „wyższego rangą policjanta pracującego nad śledztwem”. Źle to wyglądało. Helen domyślała się, że Whittaker zebrał już cięgi od swoich przełożonych, ponieważ zgromił ją wzrokiem, kiedy tylko weszła do jego biura.

– Zadzwońię do niej – powiedziała Helen. – Zobaczę, czy uda mi się ją namówić do odpuszczenia tej sprawy.

– Trochę za późno, nie uważasz? Poza tym nie ma potrzeby. Sam się z nią skontaktowałem. Będzie tutaj za pięć minut.

Emilia weszła do pomieszczenia dumna jak paw. Nie śpieszyła się z decyzją, czy wypije kawę, czy herbatę, angażując się też w krótką pogawędkę o pogodzie. Została wybrana i wezwana, i najwyraźniej zamierzała pełnymi garściami czerpać z tego przyjemność.

– Ma pan coś do dodania, panie nadinspektorze? Wciąż pokłada pan nadzieję w inspektor Grace jako prowadzącej śledztwo? Pojawiły się jakieś nowe informacje?

– Nie zamierzam omawiać śledztwa. Chciałem z panią porozmawiać – odparł szorstko Whittaker.

– Nie rozumiem...

- Nadszedł czas, żeby się wycofać. Pani artykuł jest zwodniczy i nie pomaga, dlatego nie życzę sobie kolejnych tekstów aż do czasu, kiedy będziemy dysponować konkretami. Zrozumiano?

Helen bawiła jego bezceremonialność. Nikt nie mógł stanąć na drodze Whittakera do awansu.

- Mam nadzieję, że nie próbuje pan dyktować prasie...

- Dokładnie to zamierzam zrobić, do cholery. I na pani miejscu słuchałbym uważnie.

Emilia choć raz wyglądała na zbitą z tropu, ale szybko odzyskała rezon.

- Z całym szacunkiem...

- Co pani wie o szacunku? - warknął Whittaker. - Jakiż to szacunek okazała pani rodzinie Andersonów po tragedii, jaka im się przytrafiła? Krzycząc przez szparę w drzwiach, dzwoniąc dniami i nocami, przesiadując godzinami przed ich domem oraz przeglądając zawartość kubła na śmieci?

- Przesadza pan. Mam obowiązek...

- Czyżby? Mam tutaj raport wyszczególniający każdą wizytę pani czerwonego fiata z rejestracją o numerze BD50 JKR przed domem Andersonów. Listę sporządził ojciec Amy, zajmuje dwie strony. Pojawiała się pani o północy, drugiej i trzeciej nad ranem. I tak dalej, i tak dalej. To już podpada pod nękanie. Mam pani przypomnieć zasady etyki zawodu, według których zgodzili się działać wszyscy dziennikarze, czy to ogólnokrajowi, czy regionalni? - ostatnie słowo wypowiedział z prawdziwą pogardą.

Emilia dla odmiany nie wiedziała, co powiedzieć. Dlatego Whittaker ciągnął dalej:

- Mógłbym domagać się przeprosin dla rodziny na pierwszej stronie. Mógłbym wlepić pani mandat. Pieprzyć to, może nawet mógłbym sprawić, żeby panią zwolnili, gdybym naprawdę chciał. Ale jestem miłym i litościwym człowiekiem. Proszę zatrzymać swoje wyssane z palca opinie dla siebie albo straci pani posadę w lokalnej prasie, a tam już nie ma powrotu, prawda?

Emilia wyszła krótko po tym, wściekła, ale bezsilna. Helen nie wiedziała, co powiedzieć. Whittaker zrobił na niej ogromne wrażenie.

- Naprawdę ma pan raport z jej wizyt? - zapytała.

- Oczywiście że nie - odparł. - A teraz wracaj do pracy, Helen, i wreszcie zrób

jakieś postępy. Załatwiłem ci trochę czasu. Wykorzystaj go.

Odprawił ją. Helen podziwiała jego postawę i lojalność wobec zespołu – a także jej samej. Ale kiedy szła korytarzem, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ten frontalny atak na dziennikarkę obróci się przeciwko nim. Emilia przetrwała o wiele więcej i zawsze walczyła o swoje.

070/117

Charlie weszła do centrum operacyjnego i od razu zwróciła uwagę na panującą w nim atmosferę. W samym środku otwartego śledztwa w centrum operacyjnym zwykle jest głośno, tłoczno i nerwowo. Ale dzisiaj panował spokojny, posępny nawet klimat i łatwo dało się odgadnąć przyczynę. Biurko Marka zostało uprzątnięte, a na jego tablicy nie wisiały już prywatne zdjęcia i pamiątki. Zupełnie jakby nigdy nie istniał.

Mark cieszył się w zespole popularnością i wszyscy zauważyli jego nieobecność. Może i był wrażliwy, trochę popieprzony, ale na tym polegał jego urok, zwłaszcza w oczach kobiet. Taki zagubiony chłopiec. Oprócz tego był sprytny i zabawny, a kiedy się przyłożył, także świetny w swojej robocie. Teraz wszyscy zastanawiali się, czy rzeczywiście go znali. Czy naprawdę mógł ich sprzedać? Zmarnować ich pracę? Czy jego kłopoty finansowe faktycznie wymagały takiej zdrady? Charlie zawsze lubiła Marka i postanowiła, że sprawdzi później, gdzie się podziały jego rzeczy. Zajęła się swoją robotą, cały czas kątem oka widziała jednak pusty fotel.

Helen pojawiła się krótko po dziewiątej. Wszyscy starali się wyglądać pogodnie, jakby nic się nie stało. Helen, jak zwykle, nie traciła czasu i od razu wezwała Charlie, by przedstawiła jej najnowsze ustalenia w sprawie. Wydawała się zdenerwowana i zniecierpliwiona.

- Opowiedz mi o Martinie.
- Cóż, urodziła się jako chłopiec i prawdopodobnie przeszła operację jakieś trzy do pięciu lat temu. Blizny wskazują na to, że nie wcześniej.
- Reklamowała swoje usługi jako transseksualistka?
- Nie. Zachęcała klientów, pisząc, że lubi imprezować i wie, jak sprawić komuś przyjemność. Rozrywkowa dziwka, coś w tym guście.
- Dlaczego? Transwestyta zawsze może więcej zarobić. Jest bardziej egzotyczny, wyspecjalizowany. Dlaczego nie reklamowała się w ten sposób?
- Może nie lubiła tego rodzaju klientów?

- Albo miała coś do ukrycia?

Pytanie zawisło w powietrzu.

- Pochodziła z okolicy? – kontynuowała Helen.

- Raczej nie. Inne panienki mówią, że zaczęła tu pracować parę lat temu. Jej strona internetowa to potwierdza. Ma lokalne IP, założone dwadzieścia jeden miesięcy temu.

- A co z prawdziwym adresem?

Charlie pokręciła głową.

- Nic jeszcze nie ustaliliśmy. Dla innych dziewczyn stanowiła tajemnicę, trzymała się na uboczu.

- A co z pieniędzmi?

- Współpracujemy z lokalnymi bankami, niestety na razie nie znaleźliśmy rachunku na jej nazwisko.

Helen wypuściła głośno powietrze. W tym śledztwie nic nie przychodziło im łatwo.

- Cóż, w takim razie musimy szukać szczęścia w klinikach. Ile placówek w okolicy zajmuje się tego typu operacjami?

- Piętnaście. Rozmawiamy ze wszystkimi, ale bronią się przed omawianiem szczegółów na temat swoich klientów.

- To ich przyciśnij. Powiedz im, co się stało z Martiną, pokaż im zdjęcia. Musimy się dowiedzieć, kim była. Kim był.

Charlie nie mogła się powstrzymać od cierpkiego uśmiešku i choć raz Helen także. Czyżby Charlie oszukiwała się, że jej relacja z Helen poprawiła się od czasu przesłuchania? Była wściekła krótko po konfrontacji – nie spodobało jej się kwestionowanie jej lojalności – i nawet zastanawiała się nad przeniesieniem. A jednak wciąż chciała przypodobać się Helen, zasłużyć na jej szacunek. Prawda była taka, że większość kobiet w policji pragnęła być jak ona. Helen została najmłodszą kobietą inspektorem w historii Hampshire, a jej kariera rozwijała się w wyjątkowym tempie. Nie miała męża i rodziny, co zdaniem wielu funkcjonariuszek dawało jej niesprawiedliwą przewagę, ale i tak jej osiągnięcia były godne podziwu. Służyła im wszystkim za wzór do naśladowania.

Helen stanęła przed zespołem.

- Brooks będzie dzisiaj dowodzić. Naszym priorytetem są kliniki. Wiem, że

mamy jednego człowieka mniej i chcielibyście dowiedzieć się więcej na ten temat. Powiem wam, gdy nadejdzie odpowiedni moment. Na razie musicie się skupić. Mamy zabójcę do złapania.

I wyszła. Charlie natychmiast zaczęła przydzielać zadania Sanderson, McAndrew i reszcie, a oni przyjęli je bez skarg, chociaż wielu z nich miało tę samą rangę, co Brooks. Chcąc wyglądać poważnie i profesjonalnie, Charlie mówiła szybko i konkretnie, w głębi duszy jednak uśmiechała się szeroko. Po raz pierwszy Helen Grace pozwoliła komuś innemu przejąć stery.

071/117

W końcu musiała zadzwonić na policję. Nie miała na to ochoty, ale została zmuszona. Z początku poczuła strach – Stephen nie było tej nocy w domu, a kiedy jakiś pijak zaczął walić w drzwi, ogarnęło ją przerażenie – gdy jednak odkryła, co się naprawdę dzieje, lęk ustąpił miejsca obrzydzeniu.

Nie widziała Marka pijanego od kilku miesięcy. Myślała, że już się pozbiierał i ogarnął, ale teraz był w wyraźnie opłakanym stanie. Ubranie miał poplamione, włosy w nieładzie, a do tego bełkotał. Wypluwał żalosne inwektywy, wściekły na swoją niedolę, opowiadając wszystkim sąsiadom, jak to Christina rozłożyła nogi przed tym bezmózgiem, Stephenem, chodzącym dildem. Walenie w drzwi stawało się coraz głośniejsze – Elsie z pewnością zaraz się obudzi – więc Christina musiała coś zrobić.

Zostawiając łańcuch, otworzyła drzwi, żeby nieco ugłaskać Marka. Chciała rozpocząć rozmowę, ale to tylko jeszcze bardziej go rozgniewało. Jak śmiała blokować mu wejście, krzyczał. Przecież on tylko chciał się zobaczyć ze swoją córką. Córką, którą mu ukradła. Christina chciała zamknąć z powrotem drzwi, ale Mark wcisnął do środka rękę, odepchnął byłą żonę i zerwał łańcuch.

Wszedł i pomaszerował na górę do pokoju Elsie. Christina chwyciła telefon i wykręciła numer na policję. Czytała o szaleńcach, którzy zabijali własne dzieci po rozwodzie. Czy Mark byłby do tego zdolny? Nie wierzyła w to, ale nie zamierzała ryzykować. Powiedziała dyspozytorce, co się dzieje, podała swój adres i pobiegła na górę.

Nie wiedziała, czego się spodziewać i pod wieloma względami zobaczyła coś o wiele gorszego, niż mogła sobie wyobrazić. Elsie stała na łóżku, cała roztrzęsiona, i płakała bezgłośnie w szoku. Mark leżał na podłodze, wstrząsany szlochem. Elsie skończyła to, co zaczęła Christina. Widok przerażenia na twarzy córki zadał mężczyźnie śmiertelny cios. Alkohol pokonał go ostatecznie, zabierając wszystko, co było w nim dobrego.

Tak właśnie wyglądał człowiek złamany, którego czekało już tylko uzalenie się

nad sobą do końca życia. Po raz pierwszy Christine ogarnęło uczucie, od którego zawsze uciekała.

Poczucie winy.

072/117

Musiła się upewnić. Już zdążyła zrujnować karierę Marka i prawdopodobnie nawet więcej, a chociaż logika wskazywała na niego... Helen miała wątpliwości. Wydawał się taki zraniony, tak rozgniewany, a do tego bezczelny – nie mógł tego wszystkiego udawać, prawda? Z początku Helen bardzo zaskoczyła obecność kapusia w zespole, ostatnio jednak zaczęła mieć nadzieję, że właśnie ten kapuś doprowadzi ich prosto do zabójczyni. Zamiast tego wywiódł ich w pole, odwracając uwagę od głównego celu. Helen kusilo, żeby odpuścić – zawrócić i pojechać do centrum operacyjnego – ale na to było już za późno. Zaniósł już rozkaz egzekucji do skazańca i teraz czekali tylko na proces. Niemniej nawet gdy topór zawisł w powietrzu, Helen czuła, że musi się upewnić.

I właśnie w trakcie przeglądania papierów personelu zauważyła coś intrygującego. Helen przebywała w laboratorium medycyny sądowej w dniu, kiedy dokonano nielegalnego skopiowania zeznań Amy, Whittaker pływał na łodzi, a Charlie była niewinna – przynajmniej w oczach Helen. W związku z tym pozostawali już tylko Mark i technicy: Peter Johnson, Simon Ashworth i Jeremy Laing. Wszyscy tego dnia strajkowali, więc nie mógł nim być żaden z nich... ale w papierach Simona Ashwortha znalazło się coś dziwnego. Coś, na co Helen wcześniej nie zwróciła uwagi. Mężczyzna przeniósł się do Hampshire z Agencji ds. Walki z Przestępczością w Londynie, gdzie pomagał tworzyć nowe bazy danych; tutaj pojawił się w ramach awansu. Wpasował się w nowy zespół i pokazał z dobrej strony, ale teraz znowu wracał do Londynu, choć w Hampshire spędził tylko cztery miesiące. Krok wydawał się dziwny, zwłaszcza że podpisał roczną umowę na wynajem mieszkania w Portsmouth. Coś musiało się zdarzyć, tyle że nieoficjalnie. Coś niewidocznego i niepokojącego, co zmusiło go do powrotu do Londynu.

Helen wpadła na trop, a jej podejrzenia przybrały na sile, gdy Ashworth zniknął. Poszedł na zwolnienie chorobowe, chociaż nikt nie potrafił powiedzieć, co mu właściwie dolegało. Coś tu zdecydowanie nie pasowało. Ludzie doskonale

wiedzieli, że coś z nim nie tak, ale nie mieli pewności, czy to choroba, czy coś innego. Dłuższą chwilę zajęło Helen skłonienie Petera Johnsona do mówienia o swoich kolegach z pracy. Kiedy już zaczął, okazało się, że Simon Ashworth nie cieszył się ich sympatią.

Przerwał strajk. Helen poczuła gęsią skórę, kiedy to usłyszała. Ashworth nie należał do związku zawodowego, ale i tak spodziewano się po nim, że dołączy do szefa i kolegów w czasie jednodniowego strajku. Jednak nie zrobił tego. Z natury był niedostosowanym społecznie samotnikiem i często działał ludziom na nerwy. Czy to czyniło go bardziej podatnym na propozycje Mickery? Peter Johnson bardzo otwarcie mówił o swojej antypatii do Ashwortha, ale zaprzeczył, by skłonili go do transferu. On i jego koledzy może dali mu do zrozumienia, że – jak to zwykle bywa w przypadku łamistrajków – nie jest tu mile widziany; do niczego więcej Peter nie zamierzał się przyznawać. Bał się zarzutów o nękanie, a nawet zastraszanie. Przeniesienie musiało być pomysłem samego Ashwortha.

– Będzie pani musiała sama go o to zapytać – zakończył Johnson.

Helen właśnie to zamierzała zrobić. Najpierw jednak musiała znaleźć Ashwortha, a przecież od tygodni nikt go nie widział.

073/117

Czuła tylko smak własnych wymiocin. Wymiocin i zaschniętej krwi. Miała spieczone usta, wyschnięte gardło, a w głowie dudniło jej od tępego bólu. Nie jadła nic od kilku dni i czuła, jak w jej żołądku tworzą się wrzody. Nie to było jednak powodem jej niepokoju – najbardziej ze wszystkiego chciała się napić. Zazwyczaj wypijała kilka litrów wody dziennie i denerwowała się, kiedy nagle brakowało jej niezbędnego zaopatrzenia. Jakże zabawne wydawały się te drobne niedostatki teraz, gdy naprawdę umierała z pragnienia. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym wyrażeniem, ale teraz doskonale rozumiała jego znaczenie. Powoli ogarniała ją rozpacz – wiedziała już, że nie ma drogi ucieczki.

Sandy leżał bezwładnie przy wyjściu, chyba w nadziei, że odejdzie we śnie. W nadziei na spokojną śmierć kończącą ten koszmar. Zostali uwięzieni i tyle. Oczy Mickery powędrowały w lewo i zatrzymały się na chmarze much latających wokół zebranych w kącie ekskrementów. Nie było ich na początku, więc jak się tu dostały? Gdzie w tej wielkiej puszczy znajduje się szpara? Małe kanale pewnie mogą sobie latać wte i wewte.

Kiedy Mickery obudziła się z otępienia, była oszołomiona i zdezorientowana. Wszędzie panowały egipskie ciemności i nie dało się ocenić, czy jest dzień, czy noc, gdzie się znalazła i co się z nią stało. Przeżyła najstraszniejszy moment życia, kiedy Sandy się poruszył. Wcześniej zakładała, że śni, ale wściekła rozpacz Sandy'ego dobitnie pokazała ponurą rzeczywistość.

Natychmiast zajęli się eksploracją ich więzienia; walili w ściany, szukając miejsc łączenia metalowych elementów, i powoli dochodzili do smutnych wniosków, że oto znaleźli się w jakimś wielkim metalowym pudle. Czyżby kontener? Prawdopodobnie, ale jakie to miało znaczenie? Był solidny, zabezpieczony i nie dało się z niego wyjść. Tylko tyle musieli wiedzieć. Krótco po tym odnaleźli pistolet oraz telefon. I właśnie w tym momencie Mickery przestała się wreszcie łudzić.

– Dorwała nas, Sandy.

– Nie. Nie, nie, nie, nie, nie. Musi istnieć inne wyjaśnienie. Musi.

– Przeczytaj wiadomość na pieprzonym telefonie. *Dorwała nas.*

Sandy nie chciał spojrzeć na wyświetlacz. W ogóle nie zamierzał brać udziału w tej rozmowie. Z drugiej strony, o czym mieli mówić? Stało się jasne, że zostały im już tylko dwa wyjścia z sytuacji – śmierć głodowa albo morderstwo. Mickery powiedziała to na głos, a Sandy okazał się słaby, tchórzliwy i niezdolny do stawienia czoła sytuacji. Ale Mickery go do tego zmusiła.

Postanowili działać. Czekanie było ponad ich siły. Rozpacz ich dusiła. Trwanie w ten sposób stanowiło torturę; musieli coś zrobić. Postanowili ciągnąć losy – a raczej muchy, bo niczego innego nie mieli. Dlatego Mickery w tej chwili stała przed Sandym z wyciągniętymi rękami. W jednej z zaciśniętych pięści miała martwego owada. Druga była pusta. Jeśli Sandy wybierze muchę, przeżyje. Jeśli nie, umrze.

Sandy zawahał się, próbując spenetrować wzrokiem skórę i odnaleźć skarb ukryty w dłoni Hannah. Lewa czy prawa? Życie czy śmierć?

– No dalej, Sandy. Miejmy to już z głowy, do cholery.

Mickery mówiła rozpaczliwym, błagalnym tonem, Sandy jednak nie miał litości, nie potrafił. Zamarł w bezruchu.

– Nie mogę tego zrobić.

– No już, Sandy. Albo przysięgam, że sama podejmę decyzję.

Tym razem w jej głosie zabrzmiała furia i Sandy wreszcie otrząsnął się z paraliżu. Mruczając pod nosem modlitwę, powoli wyciągnął rękę i dotknął lewej dłoni Mickery.

Długa, potworna chwila ciszy. Potem Hannah ostrożnie rozprostowała palce i pokazała im obojgu wnętrze dłoni.

074/117

To był przedziwny dzień. Najlepszy i najgorszy zarazem. Charlie leżała w łóżku, próbując go jakoś zrozumieć.

Po wyjściu Helen zespół wziął się do pracy, napędzany energią i zapałem Charlie. Kiedy zachęciła chłopaków, by brutalnie potraktowali menadżerów klinik, którzy wymawiali się ochroną prywatności swoich klientów, wreszcie nastąpił progres i powoli zaczęli przerabiać kolejne nazwiska z listy, ścigając chirurgów z całego Hampshire, zdolnych do wykonania operacji zmiany płci. Ostatecznie natrafili na ścianę. Wszyscy zostali już przepytani, ale nikt nie rozpoznał Martiny ani nie udzielił żadnych wskazówek, które mogłyby im pomóc w ustaleniu, kim była, zanim stała się kobietą.

Dlatego nadszedł czas na poszerzenie obszaru działań. W całym kraju istniało jeszcze kilkanaście klinik zajmujących się tego rodzaju operacjami i należało skontaktować się ze wszystkimi. Dobry Boże, spraw, żeby nie okazało się, że Martina zmieniła płeć za granicą; to mogłoby się okazać zbyt wielkim wysiłkiem na ich ograniczone zasoby, a desperacko poszukiwali czegokolwiek, co mogłoby pchnąć sprawę do przodu. Charlie zostawiła tę robotę chłopakom. Sama już słaniała się na nogach i potrzebowała chwili przerwy. W drodze powrotnej do domu poprawił jej się humor dzięki perspektywie spędzenia kilku cennych chwil z chłopakiem i kotem, a także jakiegoś porządnego obiadu oraz, co najważniejsze, drzemki.

Roboty drogowe. Objazd. Irytujące, ale nic więcej. Niestety oznaczało to, że Charlie musi pojechać inną trasą. Taką, która zawiedzie ją prosto pod mieszkanie Marka. Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia; zdała sobie sprawę, że tak mocno skupiła się na tym, by udowodnić sobie (i Helen, oczywiście), że potrafi przejąć stery, iż zupełnie o nim zapomniała. W ten sposób pokazała, że kiepska z niej szefowa i słaba przyjaciółka – nie można zapominać o rannych nawet w najbardziej rozpaczliwej walce.

Wyrzucając sobie bezduszność, zatrzymała się i wysiadła. Czy to aby na pewno

dobry pomysł? Prawdopodobnie nie, ale nie uśnie, jeśli nie sprawdzi, co z Markiem. Nikt inny z zespołu tego nie zrobi, nie miała co do tego wątpliwości.

Na co właściwie liczyła? Że radzi sobie zaskakująco dobrze? Wyglądał jak półtora nieszczęścia, a do tego śmierdział potem i alkoholem.

– Wierzysz jej?

Pytanie zadane prosto z mostu zaskoczyło Charlie.

– Komu?

– Jej. Myślisz, że was sprzedałem?

Długa chwila ciszy. Istniała oficjalna odpowiedź i szczerą odpowiedź. Ostatecznie wygrała ta druga.

– Nie.

Mark wypuścił głośno powietrze, jakby wcześniej wstrzymywał oddech. Wbił wzrok w podłogę, żeby nie okazać emocji.

– Dziękuję – mruknął, nie patrząc na nią, ale Charlie wiedziała, że mówi z głębi serca. Odruchowo podeszła do niego i usiadła obok, a potem objęła go ramieniem. Przysunął się bliżej, zadowolony ze wsparcia.

– Najsmutniejsze jest to, że chyba się w niej zakochałem.

Wow. Tego się nie spodziewała.

– Czy wy...?

Mark kiwnął głową.

– A do tego jak ostatni idiota myślałem, że to się może dobrze skończyć. A teraz...

– Może nie miała wyjścia. Może naprawdę myślała...

Charlie zawahała się. Nie dało się w przyjemny sposób dokończyć tego zdania. Korupcja to najgorsza rzecz, o jaką można oskarżyć policjanta.

– Potrafię się domyślić, jak mówią o tej sprawie na komisariacie... Ale jestem niewinny, Charlie. Nie zrobiłem niczego złego. I chcę wrócić do pracy. Naprawdę chcę wrócić... Więc... jeśli jest coś, co mogłabyś zrobić... w jakikolwiek sposób wpłynąć na nią i powstrzymać...

Mark zawahał się. Charlie nie wiedziała, co powiedzieć. Oboje zdawali sobie sprawę, że wszystkiego nie da się odkręcić. Nawet jeśli oczyszczą go z zarzutów, kto go przyjmie z tak długą listą problemów? W czasach, gdy nie zatrudniano nowych policjantów, nikt nie doszukiwał się potencjału, zwłaszcza tam, gdzie

padał choć cień podejrzenia o brak odpowiedzialności i szczerości. Co takiego mogłaby powiedzieć Charlie, by podnieść go na duchu i nie skłamać?

– Jakoś to przetrwasz, Mark. Jestem tego pewna.

Sama nie wiedziała, czy w to wierzy...

Wyszła z jego mieszkania, obiecując wpaść niedługo jeszcze raz. Mark nie do końca zarejestrował jej odejście, pogrążony w myślach.

W drodze powrotnej do domu Charlie nabrała wątpliwości. Mark nie należał do osób, które mogłyby zrobić coś głupiego, prawda? Jej zdaniem nie, ale kto może mieć pewność? Wyglądał na zrozpaczonego. Ani żony, ani dzieci w domu, żadnej pracy, skłonność do pijaństwa... Nagle wszystkie te myśli nie chciały dać Charlie spokoju. Rozboliła ją głowa i ścisnęło w żołądku. Dostała mdłości, więc zatrzymała się na poboczu i otworzyła drzwi w ostatniej chwili, by zwymiotować lunch na asfalt. Poczowała dwa silne skurcze, a potem wszystko się uspokoiło.

Później, w domu, przytulona do swojego chłopaka Steve'a, poczuła innego rodzaju wątpliwości. Wymknęła się cicho z łóżka, na palcach poszła do łazienki i otworzyła szafkę. Nadzieja mieszała się z niepokojem, kiedy Charlie wyjmowała małe pudełko.

Dziesięć minut później poznała odpowiedź. Była w ciąży. Próbowali tak długo bez powodzenia, a jednak się udało. Mała niebieska kreska. Drugi test dał jej ten sam wynik. Tak niewielkie rzeczy mogą tak poważnie zmienić życie. Kiedy Charlie siedziała na sedesie, wciąż w lekkim szoku, do łazienki wszedł Steve. Nie pierwszy raz napłynęły jej do oczu łzy. Tym razem były to jednak łzy szczęścia.

075/117

Przez chwilę patrzyła na jego oko. A potem zniknęło. Helen udało się znaleźć mieszkanie Simona Ashwortha w centrum i grzecznie zadzwoniła do drzwi – co kosztowało ją wiele wysiłku, bo miała ochotę walić w nie pięścią. Długa cisza, żadnych odgłosów ruchu. Zadzwoniła jeszcze raz. I jeszcze raz. Przerwała na chwilę i nasłuchiwała. Czy to skrzypienie deski podłogowej, odgłos cichutkiego kroku? A potem znowu w judaszu pojawiło się oko. Helen spodziewała się tego, więc sama też cały czas tam zaglądała. Ktoś za drzwiami przestraszył się i oko zniknęło. Odgłosy skradania się sprawiły, że Helen się uśmiechnęła – nakryła go, więc po co chodził na palcach?

Policjant w takiej sytuacji ma kilka opcji. Może podążyć oficjalnymi kanałami, załatwić zezwolenie na przeszukanie itd., ale kiedy pracuje się samemu, niemal zawsze oznacza to, że kiedy ty idziesz wypełniać papierki, twój podejrzany ucieka. Można też wybrać sposób dla kogoś bardziej cierpliwego i udać, że się odchodzi, by zostać na dole i czekać, aż podejrzany wyjdzie na ulicę. To zazwyczaj działa, bo zwykle jest zdesperowany, by uciec z mieszkania, i pojawia się na zewnątrz w ciągu godziny. Ale Helen nigdy nie była cierpliwa. I właśnie dlatego pomaszerowała do biura zarządcy budynku, który właśnie jadł drugie śniadanie, i zażądała otwarcia mieszkania pod numerem dwadzieścia jeden.

Zgodnie z prawem mógł zapytać o nakaz, jednak ludzie dziwnie głupieją na widok legitymacji policyjnej. Nie chcąc zadzierać z policją albo ekscytując się dramatyzmem chwili, zwykle godzą się na wszystko. Podobna sytuacja miała miejsce teraz; podenerwowany zarządca bez wahania poszedł otworzyć drzwi do mieszkania numer dwadzieścia jeden. Wydawał się nieco zaskoczony i rozczarowany, kiedy Helen zamknęła mu je przed nosem – słaby uśmiech był wszystkim, co dostał w zamian za swój trud.

Ashworth szykował się do ucieczki. Spakował już torby, a w rękę trzymał kluczyki do samochodu – był o krok od wyjazdu. W tej chwili jednak zdębiał, kiedy Helen ruszyła w jego stronę. Wydawał się przestraszony i wrzeszczał coś

o nielegalności działań pani inspektor, ale bez przekonania i groźby w głosie. Helen schowała legitymację policyjną i wskazała na puste, metalowe krzesło. Po krótkiej chwili wahania Ashworth zrozumiał swoją sytuację i usiadł.

- Dlaczego to zrobiłeś, Simon?

Helen nigdy nie przebierała w środkach. Krótko i zwięźle przedstawiła mu zarzuty nielegalnego ściągania poufnych danych i przeszkadzania w śledztwie dla korzyści finansowych. Nie zamierzała dawać Ashworthowi czasu na wymówki i zaprzeczanie. Ku jej zaskoczeniu, zaczął się odważnie bronić.

- To nie mogłem być ja.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ każdy konsultant techniczny zajmujący się tego rodzaju sprawami ma swój własny kod dostępu. Tylko za jego pomocą możemy uzyskać dane, więc od razu możecie sprawdzić, kiedy i w jaki sposób korzystaliśmy z systemu.

- Musi istnieć jakieś obejście.

- Nie dla nas. Pracownicy techniczni często zmieniają miejsce, czasami w ramach służby policyjnej, czasami poza nią. Żeby nie dopuścić do zagrożenia śledztwa i sprawować kontrolę nad przepływem ludzi, stworzono system kodów dostępu. Jeśli sprawdzi pani...

- W takim razie dlaczego skłamałeś? - przerwała mu Helen. Nie zamierzała słuchać wykładu.

- Jak to skłamałem?

- Pytałam wszystkie osoby mające dostęp do danych o ich poczynania tamtego dnia, a ty powiedziałeś, że strajkowałeś wspólnie z pozostałymi. Ale to nieprawda. Przerwałeś strajk.

- I co z tego? Nie zgadzam się z ich postulatami, więc poszedłem na chwilę do pracy. Nie siedziałem długo i kiedy mnie zapytano o ten dzień, pomyślałem, że lepiej skłamać, żeby reszta się nie dowiedziała.

- I tak się dowiedzieli, prawda? Od kogo?

Po raz pierwszy Ashworth wydawał się zdenerwowany. Wreszcie wszystko to do czegoś zmierza, pomyślała Helen.

- Nie wiem - mruknął, spuściwszy wzrok na własne buty.

- Jesteś ambitny, Simon?

- Chyba tak.

- Chyba tak? Masz wysokie zarobki jak na swój wiek i świetne notowania. Naprawdę możesz daleko zajść. W zasadzie to przeprowadzka do Hampshire była awansem, prawda?

Ashworth kiwnął głową.

- A jednak minęły dopiero cztery miesiące, a już rzucasz nową robotę i wracasz do starej. Tej, którą w swoim podaniu o pracę w Hampshire nazwałeś nudną i niestanowiącą dla ciebie żadnego wyzwania.

- Wszyscy gadamy takie rzeczy na rozmowach o pracę. - Nadal nie podniósł oczu.

- Co się stało?

Długa chwila ciszy, a potem:

- Zmieniłem zdanie. Nie urządziłem się zbyt dobrze w Southampton, nie mam tu żadnych przyjaciół, a potem... kiedy koledzy z pracy zaczęli mnie odsuwać, bo nie należę do związku, pomyślałem, że lepiej stąd spadać.

- Tylko że twoje podanie o przeniesienie wpłynęło, zanim inni dowiedzieli się o twojej zdradzie. Powiedzieli to bardzo wyraźnie. Dopiero na wydziałowej posiadówie w pubie osiemnastego zostałeś zmuszony do przyznania się, że przerwałeś strajk. Papiery o przeniesienie złożyłeś szesnastego.

- To musi być jakaś pomyłka...

- Kilku świadków może potwierdzić treść rozmowy w pubie. Wszyscy nie mogą kłamać.

Jeszcze dłuższa pauza.

- Prawda jest taka... Prawda jest taka, że mi się tu nie podoba. Nie podobają mi się ludzie, nie podoba mi się praca. Chcę wyjechać.

- To ciekawe, bo w rozmowie ze zwierzchnikami po trzech miesiącach opowiadałeś, jaki to jesteś tutaj szczęśliwy. Jak podoba ci się większa odpowiedzialność. Poza tym otrzymałeś doskonałe noty i nawet sugerowano, że za rok albo dwa możesz dostać awans. Mam kopię twojego podsumowania, jeśli chciałbyś je przeczytać.

Helen wyciągnęła rękę z teczką, ale Ashworth nie odezwał się ani słowem. Wyglądał na bardzo, bardzo zgnębionego, co cieszyło Helen. Zaczynał pękać, więc postanowiła jeszcze mocniej go przycisnąć.

- Przeszedłeś szkolenie policyjne, Simon, więc nie będę traktować cię z góry

i opowiadać, jak ucierpi twoja kariera, jeśli zostaniesz zmuszony przyznać się do okłamania funkcjonariusza pracującego nad sprawą morderstwa. Jeśli zostaniesz zmuszony do przyznania się, że wziąłeś łapówkę w zamian za poufne dane.

Ashworth siedział nieruchomo, ale jego ręce się trzęsły.

– Będziesz po prostu skończony. A wiem, jak twoja praca jest dla ciebie ważna.

Helen mówiła teraz łagodniejszym tonem.

– Wiem, że jesteś utalentowanym facetem, Simon. Wiem, że możesz wiele osiągnąć. Jeśli jednak mnie teraz okłamiesz, zniszczę cię. Nie ma odwrotu.

Ashworth skulił się i zaczął drżeć. Czyżby płakał?

– Dlaczego mi to robisz?

– Ponieważ muszę poznać prawdę. Przekazałeś informacje Mickery? A jeśli tak, to dlaczego? Mogę ci pomóc, ale tylko wtedy, gdy ty pomożesz mnie.

Długa chwila ciszy, a potem:

– Myślałem, że o wszystkim wiesz.

Mówił przez ściśnięte gardło.

– Powiedział mi, że o tym wiesz.

– Kto?

– Whittaker.

Whittaker. Helen nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Co ci powiedział? Co powinnam była wiedzieć?

Ashworth pokręcił głową, ale jego interlokutorka nie zamierzała odpuszczać.

– Powiedz. Powiedz teraz albo zostaniesz aresztowany za konspirację mającą na celu...

– To Whittaker ściągnął nagranie z przesłuchania.

– Miał tego dnia urlop.

– Widziałem go. Wszedłem do biura. Przez strajk nikogo nie było, ale zastałem tam Whittakera. Samego. Powiedział, że przeglądał materiały ze sprawy i kiedy sprawdziłem później system, zobaczyłem, że ściągnął nagranie. Nic sobie wtedy z tego nie robiłem. W końcu jest dowódcą, prawda? Kiedy jednak potem dowiedziałem się, że wypytujecie o to, co ludzie robili tamtego dnia, zdałem sobie sprawę, że Whittaker przy swoim zeznaniu popełnił błąd, że pomyliły mu się dni. Poszedłem się z nim zobaczyć. Nie chciałem, żeby miał kłopoty przez głupią pomyłkę.

- Oddałeś mu przysługę.

- W pewnym sensie. Whittaker mnie lubił, widział we mnie potencjał. Dlatego tylko o tym wspomniałem. Lepiej dmuchać na zimne. Cóż, nie spodobało mu się to, ani trochę. Powiedział, że to mi się coś pomyliło... Ale ja znałem prawdę.

Zawahał się w obawie przed kontynuowaniem opowieści.

- Mów dalej. Co się wtedy stało?

- Powiedział, że może zniszczyć moją karierę jednym telefonem. Że nie rozumiem, w co się mieszam. Zdecydowaliśmy... On zdecydował, że mam zostać jak najszybciej przeniesiony z powrotem do Londynu. Myślę, że to on wygadał tę sprawę ze strajkiem. Żeby uwiarygodnić moje odejście. Powiedział mi, że o wszystkim wiesz. Że to był twój pomysł.

Helen poczuła przyływ gniewu, ale natychmiast go zdusiła. Musi zachować spokój i skupić się na sprawie. Czy to wszystko może być prawdą?

- Powiedział, że ja brałam w tym udział?

- Tak, że ty się tym zajmujesz, więc nie ma sensu z tobą o tym rozmawiać.

- I co wtedy zrobiłeś?

- Starąłem się jakoś pracować dalej, ale było trudno, kiedy chłopaki zaczęły się mnie czepiać. Dlatego poszedłem na zwolnienie. Ukrywałem się przez ten czas tutaj, czekając na przeniesienie...

Zawahał się, gdy zrozumiał powagę sytuacji. Po raz pierwszy tego dnia Helen odezwała się pojednawczym tonem.

- To nie musi się źle skończyć, Simon. Jeśli powiedziałaś prawdę, mogę ci wszystko wynagrodzić. Możesz wrócić do Londynu, wyciągnąć wnioski z tej lekcji i zacząć wszystko od nowa, bez brudu w papierach. Możesz robić to, do czego zostałeś stworzony, i osiągnąć, co zechcesz.

Ashworth spojrzał na nią; w jego oczach niedowierzanie mieszało się z nadzieją.

- Ale w zamian za to musisz coś dla mnie zrobić. Musisz teraz pojechać do mojego mieszkania. I kiedy już tam trafisz, masz spisać zeznania, zawierając w nich wszystko, co mi przed chwilą powiedziałaś. A potem będziesz czekał. Nie odbierzesz telefonu ani nigdzie nie zadzwonisz. Nie napiszesz żadnego maila, SMS-a czy zmiany statusu na Twitterze. Będziesz siedział cicho i nikt nie musi wiedzieć o tym, że rozmawialiśmy, aż do chwili, gdy nadejdzie właściwy

moment. Zrozumiano?

Ashworth przytaknął. Teraz zrobiłby dla niej wszystko.

- Świetnie. No to jedziemy.

076/117

Nie mogli się teraz wycofać. Umowa została zawarta, czy im się to podoba, czy nie.

Kiedy Mickery prostowała palce lewej ręki, wiedziała doskonale, że jest pusta. Sandy padł na podłogę, jęcząc. Mickery patrzyła na niego, ledwo panując nad emocjami. Mieszały się w niej podniecenie i przerażenie, ale przede wszystkim... ulga. Przeżyje.

Krótko po tym Sandy zaczął błagać. Powiedział, że nie traktował tego poważnie, a sam pomysł był szalony, poza tym muszą się trzymać razem i nie pozwolić jej wygrać.

– Co byś zrobił, gdybyś wylosował muchę? Oszczędziłbyś mnie? – zapytała Mickery. Nie doczekała się odpowiedzi, co samo w sobie wiele mówiło. Nacisnęła spust, by ratować własny tyłek. W głębi serca był samolubnym dupkiem.

– Proszę, Hannah. Mam żonę. Mam dwie córki. Przecież je znasz, spotkałaś je. Proszę, nie rób im tego.

– Nie mamy wyboru, Sandy.

– Oczywiście że mamy. Zawsze mamy wybór.

– Jaki? Umrzeć z głodu? Tego właśnie chcesz?

– Może uda nam się wyjść. Możemy wyważyć drzwi...

– Na Boga, Sandy, nie komplikuj i tak już trudnej sytuacji. Nie ma wyjścia. Nie ma drogi ucieczki. Nie mamy innego wyboru.

W tym momencie zaczął szlochać, ale nie wzbudził tym u niej litości. Gdyby Sandy wygrał, już by nie żyła, nie miała co do tego wątpliwości. Nagle poczuła przypływ niechęci – jak śmiał błagać o litość, której sam by nie okazał! Kiedy próbował jej dotknąć, gwałtownie go odepchnęła. Potknął się i upadł, lądując twardo na metalowej podłodze.

– Błagam cię, Hannah, nie rób tego...

Ale Mickery już podniosła pistolet. Nigdy wcześniej nie strzelała i nigdy nie

myślała o tym, by kogoś zranić, teraz jednak zachowała zimną krew i przygotowała się do egzekucji mężczyzny, którego nazywała swoim przyjacielem.

– Przykro mi, Sandy.

I z tymi słowami nacisnęła spust.

Trzask.

Pusta komora. Cholera. Sandy, który kilka chwil wcześniej w desperackim geście obrony przed nadchodzącym bólem zaczął młócić powietrze rękami, przestał nimi wymachiwać. Nagle się podniósł.

Trzask. Trzask.

Dwie kolejne komory również puste. Teraz Sandy szarżował wprost na nią.

Trzask. Trzask. Rzucił się na kobietę i wytrącił jej broń z ręki. Hannah zatoczyła się do tyłu; uderzyła głową o twardą podłogę. Kiedy uniosła wzrok, to Sandy miał w ręku pistolet. Spodziewała się zobaczyć na jego twarzy nienawiść, ale on wydawał się po prostu zaskoczony.

– Jest pusty. Magazynek jest pusty. – Rzucił jej broń. Co powiedział? Mózg Hannah nie mógł nadążyć za rozwojem wydarzeń... Niemniej miał rację. Wszystkie komory okazały się puste. Nigdy nie było żadnego pocisku.

Huk z lewej strony sprawił, że Mickery aż podskoczyła. Ale to tylko Sandy padł na podłogę, płacząc ze śmiechu. Wyglądał jak szaleniec. Szczęśliwy szaleniec. To wszystko było przeklętym żartem.

Mickery wrzasnęła. Jej krzyk mroził krew w żyłach; był długi, głośny i pełen bólu. Wszystko na nic. Oszukała ich, zrobiła z nich zwierzęta, a potem odmówiła Mickery jej triumfu. Nie tak wyglądały zasady tej gry. Nie tak miało się to skończyć. Przecież miała przeżyć. Chciała przeżyć.

Hannah klękła na podłodze, czując, jak odpływa z niej cała energia. Została pobita, pokonana. Ohydny śmiech Sandy'ego brzmiał jak dzwon pogrzebowy.

077/117

Kiedy Charlie weszła do centrum dochodzeniowego następnego ranka, Helen znowu zasiadła do sterów. Dziewczyna poczuła niewielką irytację – jej rola lidera zespołu nie trwała dłużej niż jeden dzień – ale potem natychmiast udzieliło jej się podniecenie panujące w pomieszczeniu i całe rozczarowanie zniknęło. Coś się wydarzyło.

Właściwie to dwie rzeczy. Jedna dobra i jedna zła. Udało im się znaleźć „Martinę” – klinika specjalizująca się w operacjach zmiany płci w Essex potwierdziła tożsamość ofiary. Stracili za to Hannah Mickery. Ona i jej adwokat, Sandy Morten, zaginęli kilka dni wcześniej.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział? – zapytała gniewnie Helen.

– Nie wiedzieliśmy o tym – odparła Charlie. – Zaginięcie Mortena zostało zgłoszone jakiś czas temu, ale nikt nie zgłosił Mickery. Dopiero kiedy przeglądaliśmy maile Mortena, zauważyliśmy, że miał się z nią spotkać. Oboje zaplanowali spotkanie z niejaką Katherine Constable. Twierdziła, że jest dziennikarką pracującą dla „Sunday Sun”, ale sprawdziliśmy to u nich; nie mają na liście płac nikogo o takim nazwisku.

– Constable? Robi sobie z nas jaja[3].

Helen była wściekła na siebie i na sytuację. Tak bardzo skupiła się na szukaniu kreta, na odkryciu konspiracji, że straciła z oczu Mickery. Gdyby ją upilnowała, być może wreszcie spotkaliby się twarzą w twarz z zabójczynią.

Wysłała Charlie i resztę zespołu do domu Mortena. Zapewne bezcelowo, jednak to właśnie tam „Katherine” miała się spotkać z nim oraz Mickery – może jeśli pojedą tam wszyscy, znajdą jakąś wskazówkę, jakiś ślad albo świadka, cokolwiek. Tymczasem Helen ruszy do Essex.

Miło było wrócić do śledztwa. I dobrze, że opuściła komisariat – potrzebowała czasu do namysłu. Ashworth ukrył się teraz w jej mieszkaniu, jego zeznanie zostało już spisane. Od czasu ich wybuchowej rozmowy sprawdziła resztę faktów. Nigdy nie kwestionowała alibi Whittakera i pluła sobie za to w brodę,

ponieważ z bliska wyglądało podejrzenie. Chociaż warunki pogodowe na żeglowanie z Poole były dobre tamtego dnia i większość łodzi wypłynęła z przystani, część została na miejscu, a wśród nich „Zielona Papryczka”, należący do Whittakera i mierzący osiem metrów jacht, o którego dbał z takim oddaniem.

Czyli Whittaker okłamał ją, a inny pracownik komisariatu zeznał, że widział go na miejscu przestępstwa. Co więcej, Ashworth oskarżył Whittakera także o nękanie, przymuszanie i udaremnianie prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Przez cały ten czas Whittaker chronił własne interesy, a nie Helen i jej zespół. Groził Garanicie, żeby nie ukradła im tematu.

Ta sprawa to prawdziwa bomba zapalająca i Helen musiała postępować bardzo ostrożnie. Sukces śledztwa – nie wspominając już o jej własnej karierze – zależał od tego, czy wykona właściwy ruch.

Klinika Porterhouse w Loughton okazała się luksusowa i profesjonalna. W środku Helen znalazła nieskazitelne foyer i równie nieskazitelnych pracowników, a panująca tam atmosfera koła nerwy. W miejscu tym wykonywano różnego rodzaju operacje, ale specjalizowano się w przypadkach niezgodności płci. Na początku przeprowadzano terapię, która w dziewięciu na dziesięć przypadków kończyła się operacją i pełną zmianą płci.

Zespół wysłał szczegółowe informacje na temat Martiny. Skala czasowa poszukiwań utrudniała całą sprawę – uważali, że operację wykonano od trzech do pięciu lat wcześniej, dlatego musieli brać pod uwagę bardzo dużą liczbę potencjalnych kandydatów. Na szczęście tego typu operacje nie są powszechnie przeprowadzane i biorąc pod uwagę to, co już wiedzieli o wzroście, grupie krwi, kolorze oczu i szczegółach medycznych Martiny, mieli duże szanse na jej odnalezienie. Niemniej jednak Helen denerwowała się, kiedy zaprowadzono ją do menadżera kliniki. Będzie potrzebować solidnego punktu zaczepienia.

Menadżer, chirurg z zaskakująco owłosionymi rękami, chciał zapewnić, że klinika nie zostanie wymieniona w żadnym nieprzyjemnym kontekście sprawy „morderstwa prostytutki”, jak to ujął, a Helen musiała się nieźle napracować, żeby go przekonać. Kiedy jednak zasugerowała mu delikatnie, że w tak poważnym śledztwie mają inną możliwość nakłonienia ich do współpracy, jego nastawienie całkowicie się zmieniło.

– Myślę, że będziemy w stanie państwu pomóc – powiedział, wyjmując teczkę

z dokumentami. – Młody dwudziestokilkulatek przyszedł do nas pięć lat temu. Wyraźnie miał zły okres, fizycznie i psychicznie. Doradziliśmy mu terapię, by spróbował poradzić sobie z tą sytuacją, zanim zdecyduje się na zmianę płci, i zasugerowaliśmy, że mógłby przynajmniej zredukować listę dodatkowych zabiegów. W końcu udało nam się skłonić go do porzucenia połowy procedur, ale to wszystko. Był zdeterminowany, by przejść znaczną przemianę. Oprócz operacji zmiany płci przeszedł też zabieg poprawiający wygląd pośladków, nóg oraz ramion, a także dużo drobniejszych poprawek na twarzy.

– Jakiego rodzaju poprawek?

– Zmiana kształtu policzków i pigmentu skóry, pełniejsze usta, węższy nos, wypełniacze...

– Ile go to kosztowało?

– Fortunę.

– Potrafi pan ocenić, dlaczego zdecydował się na tak poważne zmiany w wyglądzie?

– Oczywiście zapytaliśmy go o to. Zawsze omawiamy każdy zabieg, żeby przekonać się, czy jest... niezbędny. Jednak on nie chciał rozmawiać. I nie mogliśmy go do tego zmusić.

W jego głosie zabrzmiała defensywna nuta, więc Helen postanowiła zakończyć ten wątek. Wskazała na dokumenty i zapytała:

– Mogę?

Mężczyzna podał jej teczkę. Helen zerknęła na nazwisko i poczuła, jak ściska jej się żołądek. Zdjęcie potwierdzało jej przypuszczenia. Właśnie spełnił się najgorszy z koszmarów.

Jednak chodziło o nią. Od początku chodziło o nią.

[3] *Constable* (ang.) – posterunkowy, policjant (najniższy stopniem).

078/117

Umarła. Na pewno umarła. W tym miejscu nie było dość tlenu dla muchy, a co dopiero dla człowieka. W jej ciele nie było już krztyny życia, ledwo docierały do niej wrażenia z zewnątrz. Otaczała ją ciemność. Gorąca nie dało się znieść. Brakowało powietrza.

Hannah próbowała przekonać samą siebie, ale doskonale wiedziała, że żyje... jeszcze. Śmierć uwolni ją od tej męczarni. Teraz nie istniała żadna ulga w cierpieniu. Została sprowadzona do poziomu zwierzęcia pogrążającego się we własnej rozpacz i bólu.

Jak długo Sandy nie dawał znaku życia? Nie mogła sobie przypomnieć. Dobry Boże, jaki smród tu zapanuje, gdy umrze? Gnijące odchody to jedno, ale rozkładające się ciało? Gdyby Mickery miała jeszcze jakieś łzy, rozplakałaby się teraz. Jednak ich już dawno zabrakło. Stała się wysuszonym szkieletem. Dlatego leżała, błagając śmierć o ukojenie.

Wtedy nagle coś się stało. Bez ostrzeżenia oślepiło ją palące światło. Krzyknęła z bólu – czuła się, jakby ktoś skierował na jej głowę promień lasera – i przycisnęła dłonie do twarzy. Poczuła raptowny podmuch świeżego powietrza, mroźnego, a jednak wspaniałego. Ulga trwała krótko.

Ktoś ciągnął ją po ziemi. Dopiero po chwili zdała sobie z tego sprawę; teraz miała pewność, że właśnie to się z nią działo. Ktoś ścisnął jej ramię jak imadłem i ciągnął po podłodze w stronę światła. Czyżby nadszedł ratunek? Czy to Grace?

Uderzyła w coś metalowego i jęknęła. Teraz poczuła pod sobą czyjeś ręce; została podniesiona. Instynkt podpowiadał jej, że to nie pomoc, że nie ma już ratunku. Wylądowała ciężko na małej, ograniczonej przestrzeni. Zaczęła badać ją dłońmi i powoli, niechętnie otworzyła oczy.

Światło wciąż było boleśnie jasne. Mickery zauważyła, że leży w czyimś cieniu, więc potrafiła je znieść, jeśli zmrużyła powieki. Leżała w bagażniku samochodu, zupełnie bezradna.

– Witaj, Hannah. Zaskoczona?

To był głos Katherine, jej ciemieżycielki.

– Niesłusznie. Nie jestem sadystką; postanowiłam cię oszczędzić.

Mickery spojrzała na nią, nie mogąc pojąć tego, co właśnie usłyszała.

– Ale musisz najpierw coś dla mnie zrobić.

Hannah czekała. Nawet w tym stanie zdawała sobie sprawę, że zrobi wszystko, o co Katherine ją poprosi. Niczego w całym swoim dotychczasowym życiu nie chciała tak bardzo, jak wyjść z tego cało.

Kiedy samochód odjechał, Hannah poczuła, że się uśmiecha. Coś się stało, choć nie wiedziała co. I oto zostanie uwolniona ze swojego czyścica. Mogła za to zapłacić każdą cenę – każdą.

Nie przyszło jej do głowy, by zastanowić się, co się stało z Sandym. Dla niej już nie istniał.

079/117

Zabójczynie chyba nigdy nie przestanie śmiać im się prosto w twarz. Porwanie Mickery i Mortena było już piątym z kolei, a sprawca wciąż nie popełnił żadnego błędu. Sanderson, Grounds i McAndrew przeprowadzili wnikliwe rozmowy z okolicznymi mieszkańcami, żeby odszukać świadków zdarzenia. Whittaker przydzielił im dodatkowych mundurowych, jednak bez skutku. Charlie i Bridges spędzili cały dzień z rodziną Mortenów, nadzorując prace na miejscu przestępstwa, ale nie znaleziono nawet najmniejszego śladu. Cała trójka najwyraźniej piła szampana – dwa kieliszki z resztkami środków odurzających leżały na podłodze, a odcisk trzeciego odnaleźli na blacie biurka – jednak nie było ani śladu po butelce i ostatnim kieliszku. Charlie odebrała telefon od wściekłego Whittakera i musiała przyznać, że nie ma dla niego żadnych dobrych wieści.

Porwanie z domu ofiary to odważny krok. Czyżby zabójczynie uważała się za nieuchwytną? Wyglądało na to, że miała rację. W domu Mortenów panowała nerwowa atmosfera. Grasowała tam banda techników medycyny sądowej, a żona Sandy'ego, Sheila, nie chciała pojechać do przyjaciół, zapewne czując, że jej obecność, a przynajmniej odmowa opuszczenia rodzinnego domu, w jakiś sposób zagwarantuje powrót męża. Charlie wiedziała, że to złudne nadzieje; oczywiście nie mogła tego powiedzieć na głos. Sandy wróci albo w worku, albo jako wrak człowieka. Młoda kobieta poczuła, że to wszystko ją przytłacza, i kiedy wzięło ją znowu na wymioty, uciekła na zewnątrz.

Ledwo zdążyła się schować, kiedy skurcz zgiął ją wpół. Nadtrawione śniadanie chlusnęło na ziemię. Cały dzień cierpiała z powodu mdłości i złego samopoczucia. Miała wrażenie, że sprowadzanie dziecka na ten mroczny świat jest czymś dziwnym i głęboko niepokojącym. Razem ze Steve'em cieszyli się z ciąży, ale teraz Charlie miała wątpliwości. Czy miała prawo zmuszać dziecko do życia w takim świecie, gdzie istnieje tyle brutalności, okrucieństwa i zła? Ta ponura myśl przyprawiła ją o kolejne mdłości.

Właśnie ocierała usta, kiedy zadzwonił telefon. Dzwonek był radosny i bardzo

nie na miejscu. Odebrała.

– Charlie Brooks.

– Pomóż mi.

– Kto mówi?

Długa chwila ciszy i głęboki wdech, jakby osoba po drugiej stronie zbierała się na odwagę, a potem:

– Hannah Mickery.

Charlie natychmiast się wyprostowała. Faktycznie głos ją przypominał. To naprawdę ona?

– Gdzie jesteś, Hannah?

– Przed Jadłodajnią Strażacką na Sutton Street. Proszę, przyjeźdź.

Po tych słowach się rozłączyła.

Charlie była w drodze w ciągu kilku minut. Bridges, Sanderson i Grounds już jechali z komisariatu, razem ze wsparciem. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to może się okazać pułapką. Ale Charlie, bez względu na ciążę, nie zamierzała się wycofywać. Kiedy zbliżali się do Sutton Street, włączyli koguty. Wsparcie objechało teren z drugiej strony, dyskretnie przyglądając się okolicy.

Mickery ledwo trzymała się na nogach. Włosy jej zmatowiały, płaszcz krzykliwie odróżniał się od bladej skóry. Kobieta zdawała się opierać o ścianę, żeby nie upaść. Charlie nie mogła uwierzyć, jak bardzo się zmieniła. Podbiegła do niej, rozglądając się na boki w poszukiwaniu potencjalnego niebezpieczeństwa. Stając przed Mickery, poczuła się bardziej bezbronna, niż się spodziewała. Oczami wyobraźni widziała rozwijające się w jej brzuchu dziecko, ale szybko porzuciła myśl o nim. Musiała się skoncentrować.

Mickery padła w jej ramiona. Charlie podtrzymała ją chwilę, przyglądając się ciału kobiety. Wyglądała żałośnie. Co doprowadziło ją do takiego stanu?

Charlie wezwała pogotowie; kiedy czekali na przybycie pomocy, starała się wyciągnąć coś z przerażonej terapeutki. Ale Mickery nie chciała z nią rozmawiać. Zupełnie jakby dostała wyraźne instrukcje i zamierzała się ich trzymać za wszelką cenę. Wcześniej tak beczelna i pewna siebie, teraz była wystraszona.

– Grace – wyszeptała zachrypniętym głosem.

– Słucham?

– Będę rozmawiać wyłącznie z Helen Grace.

Nic więcej nie chciała powiedzieć.

080/117

Telefon miała wyłączony, drzwi zamknęła na klucz, została zupełnie sama. Całkowite zerwanie kontaktu z zespołem podczas tak ważnego śledztwa było co prawda niezgodne z protokołem, ale Helen potrzebowała chwili samotności. Musiała *pomyśleć*.

Wyciągnęła własne dokumenty z działu zatrudnienia i właśnie przeglądała swoją historię zawodową, jednocześnie przeszukując archiwa zarówno „Southampton Evening News”, jak i „Frontline”, miesięcznika policji Hampshire. Próbowwała znaleźć jakieś powiązanie – coś, co raz na zawsze udowodniłoby, że zabójca ma na celowniku właśnie ją.

Nie mogła się dłużej łudzić, że nie wybiera swoich ofiar, kierując się dawnymi sukcesami Helen. Ocaliła Jamesa Hawkera (znanego później jako Ben Holland) od pewnej śmierci, kiedy próbował go zabić jego szalony ojciec. Jednak morderczyni zadbała o to, by James/Ben nie doczekał szczęśliwego zakończenia. Helen uratowała Marie i Annę przed nastoletnimi podpalaczami; one też wpadły w ręce tej kobiety. Martina urodziła się jako Matty Armstrong i pracowała jako męska prostytutka w Brighton, aż do czasu, kiedy została porwana i zamknięta w piwnicy, gdzie grupa mężczyzn torturowała ją i gwałciła, dopóki Helen i jej partner nie usłyszeli krzyków i nie włamali się do środka, by zakończyć jej mękę. I znowu zabójczyni nie pozwoliła Matty’emu/Martinie otrząsnąć się z tej tragedii. Mickery była prawdopodobnie tylko bonusem, małym żarcikiem kosztem Helen – czas pokaże, czy miała rację – więc zostali tylko Amy i Sam. Oni stanowili brakujący element. Co ich łączyło z Helen? W jaki sposób zwrócili na siebie uwagę morderczyni?

Helen otrzymała oficjalną pochwałę za uratowanie Jamesa i Martiny. We „Frontline” umieszczono jej zdjęcia z chwili, gdy odbierała wyróżnienie; miała do nich dostęp każda osoba dysponująca komputerem. Nie istniała oficjalna pochwała za pomoc Marie i jej córce, ale historia pojawiła się w „Echo” i Helen została tam wymieniona z nazwiska. Znalezienie tego w Internecie też było

banalne. Gdzie w tym wszystkim kryli się Amy i Sam? Helen nie potrafiła przypomnieć sobie ważnych wydarzeń ze swojej kariery, w których brały udział osoby w ich wieku. Nic z tego nie rozumiała.

W przeszłości otrzymała także kilka innych wyróżnień; najważniejsze było to, które przyznano jej za szybką reakcję przy poważnym wypadku samochodowym. Ale to wydarzyło się dwadzieścia kilka lat temu, zanim Amy i Sam w ogóle się urodzili. Sfrustrowana Helen zaczęła przeglądać wydania „Frontline” z tamtego roku. Z głowy nie wyleciały jej jeszcze szczegóły tej sprawy, teraz jednak odświeżała sobie pamięć. Kierowca autobusu wracającego z Thorpe Park zasnął za kółkiem. Jego auto staranowało barierkę na środku dwupasmówki blisko Portsmouth i wjechało na jezdnię obok, pod prąd. Kierowca zginął na miejscu, podobnie jak ludzie z kilku innych pojazdów. Powstały w ten sposób karambol stanął w ogniu i pojawiłoby się o wiele więcej ofiar, gdyby nie heroizm dwóch policjantek, które znalazły się na miejscu zdarzenia. Jedną z nich była młoda Helen. Pracowała od trzech miesięcy. Nie lubiła swojego zajęcia i chciała jak najszybciej poświęcić się czemuś innemu, ale zasady to zasady – musiała zaczynać od podstaw. Dlatego postąpiła wówczas najlepiej, jak potrafiła; widziała przy tym naprawdę potworne rzeczy, ale nigdy i nigdzie nie miała tak dobrej okazji do wykazania się umiejętnościami i odwagą, jak podczas tamtego wypadku. Razem z partnerką, Louise Tanner, wyciągnęły z samochodów wiele szokowanych i zranionych ofiar, gdy wokół szalał pożar. Krótco po tym pojawili się strażacy i ogień został ugaszony. Wszyscy obecni zdawali sobie sprawę z tego, że właśnie dzięki szybkiej reakcji policjantek udało się uratować wiele istnień.

Nazwiska Helen i Louise zostały wspomniane we „Frontline”, a lista ofiar znajdowała się w artykule „Southampton Evening News” oraz „Portsmouth Echo”, ale nigdzie nie umieszczono danych tych, którzy przeżyli. Wszystkich bardziej interesowała tragedia niż ocaleni. Helen opadła na fotel. Kolejny ślepy zaułek. Czyżby Amy i Sam okazali się przypadkowymi ofiarami? Może i tak, ale skoro zabójczyni poświęciła tyle uwagi wyszukaniu pozostałych, musiało istnieć jakieś powiązanie.

Helen postanowiła przejrzeć archiwa prasy ogólnokrajowej, biorąc pod uwagę to, że wielu uczestników karambolu to pasażerowie promu, którzy właśnie

jechali do Portsmouth, by rozpocząć wakacje. Przejrzała pobieżnie artykuły w „Guardian”, „The Times”, „Mail”, „Express”, „Sun”, „Mirror”, „Star”... nic nie przyciągnęło jej uwagi. Już miała się poddać, ale postanowiła spróbować ostatni raz. „Today” było tabloidem; w tym krótkim czasie, gdy gazetę wydawano jako ogólnokrajową, jej dziennikarze uwielbiali tego typu historie, więc Helen stwierdziła, że obejrzy także ich relację z tamtego tragicznego dnia.

I właśnie wtedy to znalazła. W dwustronicowym materiale dotyczącym karambolu opublikowano zdjęcie młodej policjantki prowadzącej kobietę w bezpieczne miejsce. Fotografie musiał zrobić jakiś ciekawski, który sprzedał ją gazecie, bo w podpisie nie umieszczono nazwiska autora. Dlatego też żadne inne pismo jej nie przedrukowało i dlatego Helen jeszcze jej nie widziała.

Zdjęcie było dobrze wykonane i pokazywało wszystko doskonale. Twarze Helen i młodej kobiety, której pomagała, były wyraźnie widoczne. Nagle wszystko nabrało sensu.

081/117

Helen nacisnęła dzwonek i nie odrywała od niego palca. Było już późno i wiedziała, że nie zostanie ciepło przyjęta, ale i tak musiała tu przyjechać. Diane Anderson, z początku rozzłoszczona, wreszcie zaprosiła Helen do środka, kiedy zdała sobie sprawę, że policjantka nie zamierza odejść. Mieli już dość sąsiadów przyglądających się dziwnie dużej liczbie gości w ich domu. Nie chciała dawać im kolejnego powodu do plotek.

– Pójdę po Richarda – powiedziała przez ramię, ruszając w stronę schodów. Nie chciała sama stawiać czoła następnej rundzie pytań.

– Zanim to pani zrobi, chciałabym, żeby pani coś zobaczyła.

Helen wyciągnęła wydruk zdjęcia z „Today”, który zrobiła wcześniej na komisariacie. Diane zatrzymała się i zirytowana wróciła do salonu, wyrrywając Helen kartkę z ręki. Kiedy tylko na nią spojrzała, irytację zastąpił szok.

– Rozpoznaje pani ludzi na fotografii? – zapytała Helen. Nie było czasu na owijanie w bawełnę.

Cisza. Szok ustąpił miejsca zdenerwowaniu. Richard znajdował się na piętrze i mógł w każdej chwili zejść na dół.

– I jak?

– To ja – wymamrotała Diane.

– A więc jednak spotkałyśmy się wcześniej.

Diane przytaknęła, ale spuściła wzrok na podłogę.

– Wiedziała pani o tym? Kiedy widziałyśmy się po tym, jak Amy... po śmierci Sama, rozpoznała mnie pani?

– Z początku nie; tyle się wtedy działo. Ale później... Zaczęłam się zastanawiać... Nie byłam pewna.

– Dlaczego, do cholery, nic pani nie powiedziała? – Helen nie ukrywała gniewu.

– Jakie to ma znaczenie, na Boga? Co to ma w ogóle wspólnego ze sprawą?

– To ma znaczenie, bo stanowi powiązanie z policją... i ze mną konkretnie. Dlaczego nic pani nie powiedziała?

Diane pokręciła głową, nie chcąc poruszać tego tematu.

– Muszę wiedzieć. Jeśli mi teraz pani pomoże, obiecuję, że znajdziemy zabójcę Sama, ale jeśli nie...

Diane zdusiła szloch, a potem zerknęła na schody. Ani śladu Richarda... jeszcze.

– Tamtego dnia nie spędziłam z Richardem. Wracałam właśnie z Salisbury z kimś innym.

Helen zrozumiała.

– Z kochankiem?

Diane kiwnęła głową. Teraz łzy leciały jej ciurkiem.

– Pojechałam do niego, ponieważ... ponieważ zaszłam w ciążę. Dziecko było jego. Amy jest... jego. Chciał, żebym odeszła od Richarda i związała się z nim, tylko... rozbiliśmy się w drodze powrotnej. Zginął. Z początku nie mogłam się wydostać, stopy mi się zaklinowały, i myślałam, że spłonę żywcem, ale...

– Wyciągnęłam panią.

Helen spojrzała na zdjęcie. Jeśli ktoś dobrze się przyjrzał, mógł zauważyć wystający brzusek. Helen uratowała życie Diane, ale – co ważniejsze – także Amy. Ta myśl przyprawiała ją o mdłości. Zabójczyni była bardziej diaboliczna i pokręcona, niż im się wydawało.

– O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego wypytuje pani o tamten dzień?

Pytanie za milion.

– Nie mogę teraz tego wyjawić, ale jesteśmy znacznie bliżej zrozumienia przyczyn porwania Amy. Powiem więcej, gdy tylko je odkryjemy. Teraz jednak proszę, by ta rozmowa została między nami.

Diane pokiwała głową. Nie miała nic przeciwko.

– Złapiemy zabójcę Sama – ciągnęła dalej Helen – a Amy odzyska spokój ducha. Obiecuję. Cała reszta leży w pani rękach. Nie zamierzam niszczyć niczyjego małżeństwa.

Diane odprowadziła ją do wyjścia. Na zewnątrz Helen od razu wyciągnęła telefon. Zobaczyła kilka wiadomości od Charlie i kiedy udało jej się oddzwonić, szybko dowiedziała się o Mickery. Gra robiła się coraz dziwniejsza, a Helen miała paskudne przeczucie, że oto zbliża się idealnie przygotowany finał. Spotkała w swojej karierze policjantki wielu koszmarnych ludzi i właśnie próbowała sobie

wszystkich przypomnieć, rozpaczliwie szukając zabójczyni.

- Już jadę, Charlie, ale musisz najpierw coś dla mnie zrobić.

- Tak, szefowo?

- Sprawdź, gdzie teraz znajduje się Louise Tanner.

082/117

Hannah Mickery nigdy nie obgryzała paznokci. Teraz jednak obgryzała je do krwi. Prawdziwa ironia. W pracy zmieniała nerwowych, drapiących się i obgryzających paznokcie ludzi w stonowanych, spokojnych obywateli. Teraz sama wyglądała jak wrak człowieka; koszarne doświadczenie pozbawiło ją całej kontroli nad sobą.

Gdzie się podziewała Grace? Czekanie na nią to prawdziwa tortura. Kiedy dobijała targu ze swoją porywaczką, wszystko wydawało się takie proste. Zrobi, o co ją poproszono, i odzyska wolność. To zabawne, że krótko po zawarciu umowy oczami wyobraźni zobaczyła życie wolne od strachu i rozpacz. Życie, w którym swoje przykre doświadczenia, a w szczególności powrót do normalności, mogłaby wykorzystać w szczytnym celu. By pomóc innym. By pomóc samej sobie.

Teraz wydawało jej się to absolutnym nonsensem, wytworem nie zrównoważonego umysłu. Może nie uda jej się spotkać z Grace? Może zawiedzie? Tortury jeszcze się nie skończyły.

Nagle w pomieszczeniu pojawiła się Helen. Mickery poczuła ogromną radość, mimo że inspektor wyraźnie wystraszyła się jej wyglądu. Choć starała się okazać współczucie, terapeutka poczuła się jak egzotyczny i odpychający gad w terrarium.

Helen z kolei nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Mickery w czasie przesłuchania zawsze zachowywała zimną krew, a teraz przypominała jedną z tych wariatek, które spotyka się w stołówkach dla ubogich. Bezdomnych kobiet tak doświadczonych przez los, że wydają się pozbawione zmysłów.

- Nie chcę jej tutaj - warknęła Mickery, patrząc z ukosa na Charlie.
- Detektyw Brooks musi być obecna ze względów proce...
- Nie może jej tu być. Proszę.

Teraz w jej prośbie zabrzmiała błagalna, wręcz rozpaczliwa nuta. Całe ciało Mickery wydawało się trząść. Helen kiwnęła głową, a Charlie wyszła.

- Co się z tobą stało, Hannah? Jesteś w stanie mi o tym opowiedzieć?

- Wiesz, co się ze mną stało.

- Mogę się domyślać, ale wolę to usłyszeć od ciebie.

Mickery pokręciła głową i spuściła wzrok.

- Nie jesteś aresztowana i nie zamierzam stawiać cię przed sądem za to, do czego zostałeś zmuszona. Jeśli zabiłaś Sandy'ego... powiedz mi, gdzie...

- Sandy żyje - przerwała jej Mickery - a przynajmniej tak mi się wydaje. I nic mu nie zrobiłam.

- Więc gdzie się znajduje? Możemy mu pomóc...

- Nie wiem. Trafiliśmy do jakiegoś metalowego pojemnika, chyba kontenera w porcie. Czułam zapach morza, gdy mnie z niego wyciągnęła.

- Kto cię wyciągnął?

- Ona. Katherine.

- Pozwól, że powtórzę. Wyciągnęła cię na zewnątrz i uwolniła, mimo że Sandy żył i nie został ranny.

Mickery przytaknęła.

- W pistolecie nie było naboju. Nie chciała, żebyśmy zginęli. Zabawiła się naszym kosztem.

Helen usiadła, próbując przyswoić nowe informacje.

- Dlaczego, Hannah? Dlaczego was oszczędziła?

- Ponieważ chciała, żebym przekazała ci wiadomość.

- Wiadomość.

- Miałam się skontaktować z Brooks, ale rozmawiać z tobą. Tylko z tobą.

- I jaka to wiadomość?

- Wyzywam cię.

Helen czekała na więcej, ale Mickery zamilkła.

- To wszystko?

Mickery pokiwała głową.

- Wyzywam cię - powtórzyła. Nie było mowy, by kobieta nie przekazała tej wiadomości, stwierdziła Helen w duchu.

- Co to znaczy? - pytanie Hannah było rozpaczliwe. Zupełnie jakby odpowiedź Helen mogła sprawić, że potworne doświadczenia nabiorą sensu.

- To znaczy, że jesteśmy coraz bliżej zabójcy.

– Kim jest?

Helen zawahała się. Co jej powiedzieć?

– Nie mam pewności, Hannah. Jeszcze nie.

Hannah prychnęła, a na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie.

– I co ja mam robić, gdy wy bawicie się w policjantów i złodziei?

– Możemy zaproponować ci bezpieczną kryjówkę i osobistą ochronę, jeśli to masz...

– Nie trzeba.

– Naprawdę, Hannah, zadbamy o...

– Myślisz, że jesteście w stanie ją powstrzymać? Jej się nie da pokonać. Wygra.

Nie rozumiesz tego?

Oczy Mickery błyszczały. Wyglądała jak szaleniec.

– Zadzwońię do twojego lekarza, Hannah. Naprawdę uważam...

– Mam nadzieję, że nie cierpisz na bezsenność.

Mickery złapała ją za ramię, mocno wbijając paznokcie w jej skórę.

– Cokolwiek zrobiłaś, mam nadzieję, że nie cierpisz z tego powodu na bezsenność.

Helen wyszła z przesłuchania, żeby odnaleźć lekarza z komisariatu, a w głowie wciąż słyszała słowa Mickery – prorocze i niepokojące. Helen tak mocno pograżyła się we własnych myślach, że z początku nie zareagowała, gdy ktoś zawołał ją po imieniu.

Whittaker. Powinna była się tego spodziewać. W duchu przeklinała się za brak przygotowanego planu na wypadek kłopotliwego spotkania.

– Jak się czuje? Udało ci się cokolwiek z niej wyciągnąć?

Mówił rzeczowym tonem, ale Helen wyczuła jego napięcie. Choć Whittaker to dobry polityk i aktor, teraz wyglądał na roztrzęsionego. Nie miał pojęcia, w jakim stanie znaleźli Mickery i co im powiedziała. Mogła zniszczyć jego karierę kilkoma słowami.

– Kiepsko wygląda, ale jakoś się trzyma i współpracuje.

– To dobrze.

Niezbyt przekonujące, stwierdziła w duchu Helen.

– A co z adwokatem? – kontynuował Whittaker. – Czy on...?

- Nie mamy w tej chwili pewności. Najwyraźniej zdaniem Mickery zabójczyni wypuściła ich oboje.

To zdecydowanie go zaniepokoiło.

- Cóż, informuj mnie o wszystkim. Nie uda nam się dłużej trzymać tego w tajemnicy, więc...

I odszedł. Co teraz? Helen wiedziała, że nie ma zbyt wielu możliwości. Trudno znaleźć prywatną przestrzeń na komisariacie; taką, w której można by swobodnie porozmawiać. Na szczęście jedno z takich miejsc znajdowało się za kubłami na śmieci ze stołówki. Dlatego poszła tam teraz i zadzwoniła do Wydziału Spraw Wewnętrznych.

- To, co mam zamiar powiedzieć, musi zostać między nami, okej?

Helen wróciła do centrum operacyjnego. Charlie, Bridges, Grounds, Sanderson, McAndrew - wszyscy zostali wezwani na odprawę i słuchali z przejęciem. Kiwnęli jednocześnie głowami, odpowiadając na pytanie Helen.

- Jak dotąd nasza zabójczyni wybrała pięć par. Każda jest w pewien sposób związana ze mną.

Podniósł się wyraźny szum, ale nikt nie odważył się przerwać Helen, więc kontynuowała.

- Marie i Anna Storey. Pomogłam im w starciu z podpalaczami. Ben Holland, urodzony jako James Hawker, omal nie zginął z ręki ogarniętego szalem ojca; przeżył, bo pojawiłam się na miejscu zbrodni. Martina, prostytutka, w przeszłości była mężczyzną o nazwisku Matty Armstrong, pracowała w seksbiznesie, została uprowadzona i wielokrotnie zgwałcona przez grupę mężczyzn. Uratowałam ją, ja i mój ówczesny partner.

Kolejny pomruk ze strony zespołu.

- Diane Anderson, wtedy w ciąży, uczestniczyła w karambolu niedaleko Portsmouth. Louise Tanner i ja pracowałyśmy wtedy w drogówce i pomogłyśmy Anderson oraz jej nienarodzonemu dziecku, Amy. Diane nigdy o tym nie wspomniała, ponieważ nie podróżowała wtedy ze swoim mężem... ale teraz się przyznała.

- A Mickery? - wreszcie ktoś odważył się zadać jakieś pytanie. Tym razem była to McAndrew.

- Mickery i Sandy stanowili bonus. Mały żarcik. Zabójczyni uznała, że nie nadążamy, więc zdecydowała się wysłać nam wiadomość. Mickery została uwolniona pod warunkiem, że odnajdzie mnie i przekaże następujące słowa: „Wyzywam cię”.

Komunikat zawisł w powietrzu. Nikt nie zaryzykował komentarza.

- Otrzymałam oficjalne wyróżnienia za wszystkie akcje, które przed chwilą wymieniałam. Nasza zabójczyni celowo wybrała osoby, którym pomogłam, i postanowiła je zniszczyć. Nie miało znaczenia to, czy staną się ofiarami, czy zabójcami. Ich życie i tak zostało zrujnowane. Najwyraźniej lubi ten element niewiadomej, stanowi on dla niej niespodziankę.

Oczywistym pytaniem byłoby „Kto jest zabójcą”, więc Charlie zaimponowała Helen swoją reakcją:

- Dostałaś jeszcze jakieś wyróżnienia?

Kolejny pomruk, a potem Helen odparła:

- Tak, jedno. Młoda australijska barmanka, Stephanie Bines, pracowała w barze w Southampton. Była świadkiem strzelaniny w porcie, postanowiła zeznawać, a potem próbowano ją zabić. Akurat my chroniliśmy ją tamtego dnia, a dokonane przez nas aresztowanie pomogło złapać cały gang. Wysłałam już policjanta w mundurze pod jej ostatni znany adres, ale chcę, żeby dwójka z was zajęła się tym od razu. Nie ty, Charlie.

Charlie usiadła, a Helen nominowała dwoje innych członków zespołu. Potem wzięła Brooks na stronę.

- Chcę, żebyś zrobiła dla mnie coś innego i wolałabym, żeby odbyło się to tak cicho i ostrożnie, jak się tylko da. Zrozumiano?

Charlie pokiwała głową.

- Jak wspomniałam, tamtego dnia, kiedy wyciągałyśmy ludzi z samochodów, pracowała ze mną Louise Tanner.

Helen zawahała się przez chwilę. Słusznie postępowała?

- Nie najlepiej... nie najlepiej sobie poradziła. Nie wróciła na stałe na służbę i jakiś czas potem zupełnie zniknęła. Chcę, żebyś dowiedziała się, gdzie się podziewała i co robiła, a potem masz to wszystko powiedzieć tylko mnie, okej?

- Oczywiście, szefowo. Już się tym zajęłam.

- Zanim pójdziesz, chcę porozmawiać o czymś jeszcze. Niedługo będziemy tu

mieli prawdziwy Armagedon; musisz mi pomóc w opanowaniu sytuacji.

– Co masz na myśli?

– Mark jest niewinny. Nie sprzedał nas.

Charlie spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Helen zniszczyła mu życie i się myliła?

– Wiem, kto to zrobił, i ta wiadomość wywróci wszystko do góry nogami. Będę potrzebować cię po swojej stronie, żeby zadbać o spokój oraz koncentrację zespołu. Korupcja to jedno, ale mamy też do złapania zabójcę. Cokolwiek się wydarzy, musimy walczyć, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana. Mogę na ciebie liczyć?

– Na sto procent.

I Helen wiedziała, że to prawda. Śledztwo od początku było koszmarem, a najgorsze jeszcze przed nimi. Ale Charlie wykazała się w jego trakcie; Helen cieszyła się, że będzie ją mieć w swojej drużynie, gdy nastąpi finał.

Dlatego też tak źle się czuła, podrzucając jej teraz fałszywy trop.

083/117

Szpicruta poszybowała w powietrzu i wbiła się mocno w ciało, kiedy dotarła do celu. Kobieta wygięła się w łuk, pozwalając, by fala bólu przetoczyła się przez jej organizm. Potem poczuła nieuchronne pieczenie, a chwilę później jej ciało zaczęło się rozluźniać. Pan wymierzył jej już piętnaście ciosów i zaczynała się nieco męczyć, ale mimo to powiedziała:

– Jeszcze.

Jake przychylił się do prośby, choć wiedział, że powinien już zakończyć sesję. Spotkanie należało do przyjemnych – prawie jak za dawnych czasów – i rozum podpowiadał, by wycofać się, póki jest tak miło.

– Ostatni raz.

Jake uniósł szpicrutę z ulgą, uderzając nią nieco szybciej i mocniej niż zwykle. Kobieta jęknęła, nasycona i szczęśliwa. Jake zaczął się zastanawiać, czy właśnie dokonuje się w niej zmiana. Czyżby od teraz sesje przynosiły jej też satysfakcję seksualną? Wiele klientek, które karał, podnieconych do granic wytrzymałości przez jego okrutne, ale przyjemne ciosy, bez skrępowania doprowadzało się do orgazmu na jego oczach. Czy ona także pójdzie ich śladem? Czy pozwoli sobie na to?

Jake zauważył, że coraz więcej czasu poświęca na rozmyślanie o niej. Zawsze był ciekawski, a od czasu ich kłótni i pojednania nie potrafił już zaprzestać prób rozgryzienia jej. Dlaczego tak bardzo się nienawidziła? W wyobraźni przetestował już tuzin różnych sposobów na rozpoczęcie rozmowy. Ostatecznie pytanie samo wypłynęło, zaskakując ich oboje.

– Zanim wyjdiesz... czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać?

Zawahała się i spojrzała na niego zaintrygowana.

– To znaczy... wiesz, że cokolwiek się tutaj wydarzy, zostanie między nami, więc jeśli chciałabyś o czymś porozmawiać, nie musisz się martwić. Nikt się o tym nie dowie.

– O czym miałabym rozmawiać? – Wydawała się zaciekawiona, ale

niezdecydowana.

– O sobie.

– Po co?

– Może tego chcesz. Może czujesz się tutaj komfortowo. Może to idealna przestrzeń, by powiedzieć mi, jak się czujesz.

– Jak się czuję?

– Tak. Jak się czujesz, gdy tu przychodzisz. I jak się czujesz, kiedy odchodzisz...

Popatrzyła na niego dziwnie, a potem, zbierając swoje rzeczy, stwierdziła:

– Przepraszam, ale nie mam na to czasu.

I ruszyła do drzwi. Jake wyprzedził ją, łagodnie, choć zdecydowanie blokując przejście.

– Proszę, nie zrozum mnie źle. Nie chcę być wścibski i na pewno nie zamierzam cię skrzywdzić. Chcę po prostu wiedzieć, jak mogę ci pomóc.

– Pomóc mi?

– Tak, pomóc ci. Jesteś dobrą, silną kobietą, która może wiele dać, ale nienawidzisz siebie samej; to nie ma sensu. Dlatego... pozwól sobie pomóc. Nie masz żadnego powodu, by tak się karać i być może gdybyś porozmawiała ze mną...

Zawahał się pod wpływem jej spojrzenia, pełnego gniewu, złości i rozczarowania.

– Pierdol się, Jake.

Odepchnęła go i wyszła. Jake opadł na krzesło – źle to rozegrał i przyszło mu za to zapłacić. Tym razem wiedział ponad wszelką wątpliwość, że nigdy więcej nie zobaczy Helen Grace.

084/117

Każdy ma jakąś granicę tolerancji. Linie, której nie można przekroczyć. Ja nie byłam wyjątkiem. Gdyby ten głupi bydlak miał choć trochę oleju w głowie, nie doszłoby do tego. Ale okazał się tępy i chciwy, więc postanowiłam go zabić.

Do tego czasu został ze mnie wrak człowieka. Poddałam się – wiedziałam, że moim przeznaczeniem są ból i samotność. Pogodziłam się z tym. W końcu tak kończyły wszystkie dziewczyny, które znałam. Żadnej nie udało się z tego wyrwać. Wystarczy spojrzeć na moją matkę, pieprzoną parodię człowieka. Stała się wycieraczką, workiem treningowym, ale, co gorsza, także współsprawcą. Wiedziała, co on ze mną robi. Co Jimmy i reszta ze mną robią. I nic nie powiedziała. Zignorowała to; udawała, że nic się nie stało. Gdyby ją wyrzucił, zapewne umarłaby na ulicy, nikt inny by jej nie zechciał. Dlatego wybrała najłatwiejsze wyjście. Jej nienawidziłam bardziej niż jego.

Przynajmniej tak mi się wydawało, aż do tamtego dnia, kiedy zobaczyłam, jak wchodzi do naszej sypialni i waha się. Zazwyczaj maszerował pewnie i brał, co chciał – lubił, gdy wszystko działo się szybko i brutalnie. Ale tamtego dnia się zatrzymał i po raz pierwszy jego wzrok powędrował na górną część piętrowego łóżka.

Wiedziałam, co to oznaczało, i jakie paskudne myśli krążyły mu po głowie. Co dziwne, wycofał się, wyszedł z pokoju. Może nie był jeszcze na to gotowy. Ale wiedziałam, że to tylko kwestia czasu. I wtedy podjęłam decyzję.

Postanowiłam, że zabiję skurwysyna.

I, co więcej, zrobię to z przyjemnością.

085/117

– To trudne. Chcesz, żebym ci pokazał, jak to się robi?

Simon Ashworth po raz pierwszy od kilku dni nie był blady jak ściana. Chowając się w mieszkaniu Helen, stał się nerwowy i niespokojny, jadł mało i dużo palił. Ale teraz, kiedy pani inspektor miała dla niego zadanie – i to porządną, detektywistyczną pracę – nieco się rozpromienił. Cieszył się z szansy na pokazanie swoich umiejętności, a Helen właśnie dała mu ku temu doskonałą sposobność.

Jej nagłe pojawienie się zaskoczyło go. Wpadła do środka i zaczęła zadawać mu pytania, nie interesując się jego samopoczuciem ani nie informując o nowych ustaleniach w sprawie Whittakera. Wydawała się zdenerwowana, zdekoncentrowana, a kiedy zaczęła podawać mu szczegóły śledztwa, zrozumiał tego przyczynę. Wszystko przyswoił, ale nadal wydawało mu się to niepojęte. Wyraźnie jednak dało się zauważyć, jak duży zrobili postęp. Grace udało się rozgryźć sposób wybierania ofiar, a teraz chciała dowiedzieć się, jak zabójczyni je śledziła. Jak udawało jej się tak dobrze poznać ich zwyczaje, by w najbardziej dogodnym momencie zaproponować im podwózkę i w ten sposób je porwać?

Niektórzy, na przykład Ben Holland, rutynowo wykonywali pewne czynności, które łatwo dało się wyśledzić. Marie i jej córka nigdy zaś nie wychodziły z domu. Ale co z Amy? Albo Martiną? One zachowywały się impulsywnie i nieprzewidywalnie. Jak dało się czytać w ich myślach?

– Załóżmy, że nie informują o swoich planach w serwisach społecznościowych i tak dalej. Wtedy najlepszym sposobem na monitorowanie ich ruchów jest włamanie się do ich komunikatorów – zaczął Simon.

Choć raz Helen milczała; cieszył się z chwilowej przewagi.

– Włamanie się do telefonów byłoby trudne, ponieważ najpierw trzeba mieć fizyczny dostęp do urządzeń i włożyć w nie chip. Możliwe, ale ryzykowne. O wiele łatwiej dostać się do ich kont mailowych.

– Jak?

- Pierwszy krok to wejście na ich profile na Facebooku czy innym tego typu serwisie z osobistymi informacjami. Zazwyczaj można tam znaleźć adresy mailowe plus mnóstwo informacji na temat rodziny, daty urodzin, ulubionych miejsc na wakacje i tak dalej. Wtedy można wejść na stronę internetową dostawcy usług poczty elektronicznej i napisać im, że zapomniało się hasła do konta. Dostaje się kilka prostych pytań bezpieczeństwa, typu nazwisko panięnskie matki, imię zwierzaka, jakąś ważną datę, ulubione miejsce. Jeśli się zrobiło porządnny research, większości odpowiedzi można udzielić. Pytają też, czy chcemy zostawić stare hasło, czy zmienić je na nowe. Zostawiamy stare, żeby prawdziwy właściciel konta niczego nie podejrzewał, a sami możemy już wchodzić w pocztę na własnym komputerze. Proste.

- Potrafiłbyś sprawdzić, czy z konta korzystano na różnych urządzeniach?

- Jasne. Ich dostawca mógłby podać te informacje, gdybyś go przekonała. Zazwyczaj na początku trochę się ociągają, ale jeśli powiesz im, że chodzi o sprawę morderstwa, prawdopodobnie się zgodzą.

Helen podziękowała Simonowi i wróciła na komisariat. Nigdy by się nie spodziewała, że chłopak okaże się tak istotny dla śledztwa. Amy wysłała swojej matce maila z dokładnymi szczegółami ich powrotu do domu. Czyżby zabójczyni miała dostęp do tych informacji i się przyczaiła? Podobnie Martina napisała do swojej siostry – jedynej osoby z poprzedniego życia, z którą jeszcze utrzymywała kontakt – pytając, czy może ją odwiedzić i uciec na jakiś czas z Southampton. Czyżby w ten sposób zabójczyni wysłedziła Matty'ego? A „Cyn” zdecydowała się przyśpieszyć porwanie, obawiając się utraty szansy, jeśli Matty/Martina wyjedzie do siostry w Londynie?

Więcej pytań niż odpowiedzi, ale Helen wreszcie czuła, że zbliża się do poznania prawdy.

086/117

– Nie podchodź do mnie.

Whittaker zignorował prośbę wysyczaną przez Mickery.

– Dotknij mnie choć palcem, a zacznę krzyczeć.

Zostawili ją na noc w izbie chorych na komisariacie. Tam mogła wypoczywać i mieć całodobową ochronę. Żółtodziób z bardzo późnej zmiany nie dostrzegł niczego podejrzanego w tym, że Whittaker dał mu przerwę na papierosa. Po prostu dobry z niego koleś. Nadinspektor wiedział, że ma maksymalnie pięć minut, i zamierzał je wykorzystać.

– Muszę wiedzieć, co planujesz.

– Mówię poważnie. Nie zbliżaj się.

– Na Boga, Hannah, nie skrzywdzę cię. To ja, Michael.

Chciał wyciągnąć do niej rękę i ją uspokoić, ale ona odsunęła się gwałtownie.

– To twoja wina. To wszystko twoja...

– Nie bądź śmieszna. To ty przyszedłaś do mnie.

– Dlaczego mnie nie odszukałeś? – Zaskoczyła go bezradność w jej głosie. – Byłam w piekle, Mike. Dlaczego mnie nie odszukałeś?

Nagle cały jego gniew wyparował i zostało już tylko współczucie. Ścisnęło go w gardle i opanował go przemożny smutek. Po raz pierwszy spotkał Hannah po spartaczonym strzelaninie, która zakończyła jego obiecującą karierę. Pomogła mu dojść do siebie i połączyła ich miłość. Trzymał jej istnienie w tajemnicy, ponieważ nie chciał, by świat dowiedział się o jego terapii, ale uczucia do kobiety były szczere.

– Próbowaliśmy, Hannah, naprawdę próbowaliśmy. Wysłałem wszystkich policjantów, jakich tylko mogłem, nie wzbudzając...

Hannah spojrzała na niego gniewnie.

– Nie wydając siebie?

Powiedziała to z prawdziwą goryczą.

– Próbowiałem, uwierz. Naprawdę się starałem. Ale nie zostałem po tobie nawet

ślad. Po Sandym także nie. Zapadliście się pod ziemię. Nie wiem, czy ta zabójczyni to człowiek... czy pieprzony duch. Nie mogliśmy jej wyśledzić. Tak bardzo mi przykro! Gdybym mógł zamienić się z tobą miejscami, zrobiłbym to, uwierz...

– Nie mów tak. Ani mi się waż.

– A co chcesz usłyszeć?

Pytanie zawisło w powietrzu. Whittaker wiedział, że została mu tylko chwila i powinien już wychodzić.

– Chcę usłyszeć, że to się nie wydarzyło. Chcę usłyszeć, że nigdy cię nie poznałam. Że nigdy nie zakochałam się w tobie. Nigdy nie podzieliłeś się ze mną swoim zabójcą. Pragnę, żeby to wszystko zniknęło. Chciałabym, żeby mnie nie było. Żebym nie istniała.

Whittaker patrzył na jej rozpacz i nie potrafił wykrztusić z siebie słowa.

– Ale nie musisz się martwić. Nie powiem im o tobie. Będę siedzieć cicho. Będę robić, co mi każą, i może przeżyję.

Wróciła do łóżka i odwróciła się twarzą do ściany.

– Dziękuję, Hannah.

To nie wystarczało – ani trochę – jednak czas naglił, więc Whittaker wyszedł. Chwilę później młody policjant wrócił, śmierzdząc tanimi papierosami, a Whittaker klepnął go po plecach i odszedł. Kiedy znowu znalazł się w swoim biurze, wypuścił głośno powietrze. Ich plan zakładał wspólną emeryturę z milionami na koncie. Teraz nic już z tego nie wyjdzie. Przynajmniej ocalił skórę. Cała sprawa zakończyła się paskudnie, naprawdę paskudnie, jednak jemu nic się nie stało. Przez całą noc nie spał, roztrzęsiony, ale kiedy słońce zaczęło wschodzić, poczuł przyływ energii i optymizmu.

I właśnie wtedy usłyszał głośne pukanie do drzwi. Zanim miał szansę odpowiedzieć, do środka weszła Helen... w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy z Wydziału Spraw Wewnętrznych.

087/117

Nigdzie nie udało się znaleźć Stephanie Bines. Wyjątkowo trudno jest namierzyć wędrownych pracowników, zwłaszcza barmanów. W tej profesji obietnica kilku funtów więcej sprawia, że ludzie ciągle zmieniają miejsce zatrudnienia. Stephanie Bines pracowała w większości barów w Southampton – była atrakcyjna i zabawna, ale także niestała i humorzasta – i od jakiegoś czasu nikt jej nie widział.

Po sprawie sądowej zastanawiała się nad powrotem do domu, z Australii uciekła jednak nie bez powodu i wizja ponownego pojawienia się tam z podwiniętym ogonem (wciąż bez męża i pieniędzy) niezbyt jej się podobała. Dlatego zmieniła Southampton na Portsmouth i robiła to, co wcześniej: pracowała, piła, pieprzyła się i spała. Stephanie była niczym kawałek drewna wyrzuconego na południowy brzeg wyspy.

Niczego nie odkryli pod jej ostatnim adresem. Sanderson pojechała tam, jednak na miejscu znalazła mieszkania na wynajem, za które płaci się co tydzień, a Stephanie nie widziano tam od wieków. Właściciel, podejrzliwy wobec policji i niepewny tego, co można znaleźć w jego tanich pokojach, niechętnie podchodził do współpracy – domagał się nakazu, zanim otworzy jakiegokolwiek drzwi. Zespół natychmiast zgłosił się po stosowne upoważnienia do sądu. Wszystko to musiało potrwać, dlatego postanowili wznowić poszukiwania w klubach i barach w centrum, lokalnych szpitalach, firmach taksówkarskich i tak dalej. Nadal ani śladu.

Zapadła się pod ziemię.

088/117

Whittaker wpatrywał się intensywnie w Helen. Żadne nie odezwało się nawet słowem – funkcjonariusze z Wewnętrznego właśnie oficjalnie wygłaszali oskarżenie – ale Helen czuła, że i tak jest właśnie przesłuchiwana. Wściekłe spojrzenie Whittakera wwiercało się w jej czaszkę, jakby próbował odczytać jej myśli.

– Muszę przyznać, że jestem zaskoczony, Helen. Myślałem, że masz więcej oleju w głowie.

Lethbridge z Wewnętrznego nagle zamilkł, zaskoczony niespodziewaną uwagą Whittakera.

– Myślałem, że już to wyjaśniliśmy – ciągnął dalej nadinspektor – a teraz rzucasz we mnie takimi oskarżeniami. Chyba nie muszę ci przypominać, że wciąż trwa śledztwo, które wymaga twojej *pełnej* uwagi.

Helen nie zamierzała spuścić wzroku, nie dała się zastraszyć. Lethbridge chciał kontynuować, ale Whittaker go zagłuszył.

– Mogę się tylko domyślać, że chodzi o twoje ambicje. Może poczułaś, że za wolno wspinasz się po drabinie zawodowej. Może tak prędkie awansowanie cię na najmłodszą inspektor Hampshire nie stanowiło wystarczającej nagrody. Ale pozwól, że coś ci powiem. Wbijanie noża w plecy zwierzchników nie pomaga w karierze. Zresztą zaraz się o tym przekonasz.

Wciąż patrzył jej w oczy. Helen jako pierwsza spuściła wzrok – z powodu poczucia winy – chociaż nie potrafiła powiedzieć, dlaczego miała wyrzuty sumienia. Whittaker zachowywał się jak zawsze: przypominał jej, ile mu zawdzięczała, jednocześnie wygłaszając zawołowaną groźbę. Potrafił doskonale wyznaczyć granicę i jej nie przekraczać oraz zastraszyć każdego, kto zagrażał jego pozycji. To prawda, że Whittaker ją „dostrzegł”, wybrał spośród funkcjonariuszy jako obiecującego detektywa, a potem pomógł jej wspiąć się po szczeblach kariery aż do stanowiska inspektora. A teraz ona na niego doniosła. Niestety to, czego się dopuścił (i nie chodziło tylko o jego związek z Mickery oraz

wyciek poufnych informacji, ale zwłaszcza o zrobienie z Marka i Simona kozłów ofiarnych), było tak paskudne, że w rzeczywistości powinna czuć wobec niego jedynie pogardę.

Helen cieszyła się, że przesłuchanie skończyło się po zaledwie dwudziestu minutach. Wewnętrzni będą musieli jeszcze raz spotkać się z Whittakerem i jego reprezentantem związkowym oraz prawnikiem, a Grace od teraz zostanie wykluczona ze śledztwa. Whittaker, jak można się było spodziewać, powiedział niewiele, po prostu zaprzeczył wszystkim zarzutom. Złamie się?

Zbyt wiele jednak na niego wskazywało. Charlie była niewinna, a Helen z ręką na sercu musiała przyznać, że Mark też wydawał się przekonujący. Zeznania Simona Ashwortha były zaś niezwykle frapujące. Wszystkie ścieżki prowadziły do Whittakera, ale Helen wiedziała, że wysokich rangą funkcjonariuszy rzadko karano publicznie. Tym bardziej w sytuacji, gdy chodziło o tak sensacyjną sprawę. Przypadki korupcji często rozpatrywano za zamkniętymi drzwiami przez miesiące, nawet lata, można było więc śmiało założyć, że na koniec Whittaker przejdzie na emeryturę bez żadnego konkretnego wymiaru kary. Helen nienawidziła polityki.

Tego typu sprawy długo się ciągnęły. Dwie rzeczy stały się jednak jasne natychmiast. Po pierwsze, Helen tymczasowo przejmie obowiązki Whittakera. Po drugie, chciała Marka z powrotem w zespole.

Helen zrobiła głęboki wdech i nacisnęła dzwonek. Czeką ją trudne zadanie, ale nie mogła zwlekać. Charlie wciąż szukała Louise Tanner, Stephanie Bines zapadła się pod ziemię, a oni nie znajdowali się ani o krok bliżej zakończenia tego koszmaru. Potrzebowała wszystkich najlepszych ludzi.

- Szybciej, szybciej – mamrotała pod nosem Helen, nasłuchując oznak obecności Marka w mieszkaniu. Minęła minuta. Potem kolejna. Już miała zrezygnować, kiedy usłyszała, jak ktoś przekręca klucz w zamku. Odwróciła się w chwili, kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanął Mark.

A przynajmniej to, co z niego zostało.

Jego wygląd wzbudzał współczucie. Nieogolona twarz, przekrwione oczy, niepewna postawa. Pijący za dnia alkoholik, któremu nic i nikt nie mogło przeszkodzić. Miał na sobie dres, ale nie zamierzał uprawiać żadnego sportu.

Zupełnie się poddał. Helen poczuła ogromny żal. Zaofiarowała Markowi pomoc, a potem przyczyniła się do jego powrotu do butelki. Patrzył na nią z mieszaniną zaskoczenia i pogardy w oczach, więc Helen od razu przeszła do rzeczy:

– Mark, zbyt wiele razem przeszliśmy, żebym teraz owijała w bawełnę i szukała ładnych słówek, więc po prostu będę z tobą szczerą. Wiem, że nie jesteś winny tego wszystkiego, o co cię oskarżyłam. Wiem, że spierdoliłam sprawę. I chciałabym, żebyś od razu wrócił do pracy. Jeśli nie masz siły albo nie możesz znieść mojego widoku, zrozumieć, ale chciałabym znaleźć sposób na przywrócenie cię do zespołu. Jesteś zbyt utalentowanym policjantem, żeby postawić na tobie krzyżyk. Myliłam się... Udało mi się znaleźć winnego i chcę ci wszystko wynagrodzić.

Długa chwila ciszy. Mark wydawał się zszokowany.

– Kto?

– Whittaker.

Mark zagwizdał, a potem się roześmiał. Nie dowierzał.

– Nie wiemy jeszcze, czy chodziło o pieniądze, czy uczucie, niemniej jestem całkowicie przekonana, że to on. Zełgał w sprawie swojego alibi, naciskał na podwładnych, żeby kłamali... straszny bałagan.

– Kto przejmuje jego funkcje?

– Ja.

– Cóż, gratulacje.

Dotychczas zachowywał się uprzejmie, teraz zaś w jego ton wkradły się pierwsze nuty sarkazmu.

– Wiem, że cię zawiodłam, Mark. Wiem, że zdradziłam naszą... przyjaźń. Nie chciałam cię skrzywdzić, ale zrobiłam to z właściwych powodów. Po prostu się pomyliłam. Bardzo, bardzo się pomyliłam.

Wciągnęła głośno powietrze, a potem kontynuowała.

– Sytuacja się zmieniła i potrzebuję cię z powrotem. Wiem, że zabójczyni kieruje się osobistą urazą do mnie. Zbliżamy się do końca, Mark... Musisz wrócić.

Szybko nakreśliła sytuację, opowiadając o uratowanych i wyróżnieniach. Mark wszystkiego wysłuchał, z początku biernie, potem powoli zaczął zadawać pytania, coraz mocniej się angażując. Dawne instynkty się obudziły, pomyślała Helen.

- Powiedziałaś już o tym pozostałym? Że jestem niewinny – wypalił Mark, nie pozwalając Helen na inicjatywę.

- Charlie wie, reszcie powiem dzisiaj.

- To absolutne *minimum*, które musisz zrobić, zanim w ogóle zacznę myśleć o tym, co mi zaproponowałaś.

- Oczywiście.

- I chcę przeprosin. Wiem, że nie jesteś w tym do...

- Przepraszam, Mark. Naprawdę bardzo przepraszam. Nigdy nie powinnam była w ciebie wątpić. Powinnam była słuchać swojego instynktu. Ale nie posłuchałam.

Mark patrzył na nią, zaskoczony wylewnymi przeprosinami.

- Wiem, że sama cię doprowadziłam do tego stanu... Chcę to naprawić. Ogarnij się i pozwól nam ją złapać. Proszę.

Nie chciał podjąć od razu ostatecznej decyzji. Helen się tego spodziewała, chociaż w głębi duszy miała nadzieję, że będzie inaczej. To, by wybaczył jej od razu, było mało prawdopodobne. Dlatego zostawiła go i wróciła do pracy. Czas pokaże, czy było już za późno, by wszystko naprawić.

089/117

Charlie Brooks nie lubiła alkoholu. Puby otwarte od dziewiątej rano nie należały do jej ulubionych miejsc, a dzisiaj odwiedziła chyba tuzin, wkraczając w inny, mroczniejszy świat. Są puby, gdzie umawiasz się na randkę. Są też takie, gdzie ludzie wchodzą na stoliki i śpiewają, oraz jeszcze inne, w których zapijasz się na śmierć. Wciąż było dosyć wcześnie, a w Kotwicy już brakowało miejsc. Siedzieli tam renciści, alkoholicy i ci, którzy nie znosili samotności.

Mimo zakazu palenia dało się wyczuć ostry zapach dymu papierosowego. Charlie zastanawiała się, na co jeszcze obsługa nie zwracała uwagi w tego rodzaju przybytkach. Przez lata rada miasta próbowała zamknąć puby w porcie, ale browary mają dużą siłę przebicia, a puby sprzedające mocne piwo po dwa funty za pintę zawsze cieszyły się popularnością wśród klientów.

Poszukiwania zdążyły ją już zmęczyć. W pobliżu doków Southampton istnieje mnóstwo podejrzanych lokali, a Charlie będzie musiała odwiedzić każdy. Kiedy tylko wchodziła do któregoś z nich, wszystkie oczy zwracały się ku niej. Chociaż przebrała się w zwykłe ciuchy, wciąż wyglądała zbyt ładnie, zbyt świeżo, żeby nie zwracać na siebie uwagi klienteli. Nikt nie przyjmował jej z otwartymi ramionami i już zdążyła się zniechęcić, kiedy wreszcie nastąpił przełom.

Louise Tanner (albo Louie, jak nazywano ją w okolicy) była stałym gościem Kotwicy. Musiała się tu kiedyś wreszcie pojawić. Wystarczyło tylko poczekać.

Czy to jakiś postęp? Lepsze to niż nic, więc Charlie zamówiła sobie napój i usiadła w tylnym rogu. Dzięki temu miała dobry widok na wejście, jednocześnie pozostając w cieniu. To było dobre miejsce do obserwacji.

Starła się wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać Louise. Dysponowali jedynie jej oficjalnym zdjęciem z bazy policyjnej, a to zrobiono wiele lat temu. Wtedy była silną funkcjonariuszką z blond włosami związanym w kucyk i niewielką przerwą między jedynekami. Niekoniecznie atrakcyjna, ale jednak imponująca kobieta. Jej tężyzna fizyczna przydała się, kiedy razem z Helen wyciągały ludzi z karambolu, niestety później okazało się, że Louise zabrakło siły

psychicznej. Nigdy nie da się przewidzieć, jak człowiek zareaguje na traumatyczne przeżycie; podczas gdy Helen Grace udało się je wyprzeć ze świadomości, przepracować czy poradzić sobie z nim w jakikolwiek inny sposób, Louise Tanner okazała się zbyt słaba. Co ją złamało? Chodziło o oparzenia na najmłodszych ofiarach? Czy o zwłoki kierowcy zgniecionego między autobusem a filarem? Może płomienie, może zapach albo ciemność? Louise po wszystkim próbowała pokonać efekty uboczne traumy. Poszła na terapię, zmniejszyła o połowę obłożenie godzin i mogła liczyć na wszelką pomoc; rok później jednak i tak odeszła ze służby.

Koledzy z pracy oraz przyjaciele starali się utrzymać z nią kontakt, ale Louise stawiała się coraz bardziej agresywna i rozgoryczona. Ludzie mówili, że za dużo pije, nawet spekulowali na temat jej udziału w drobnych przestępstwach. I wszyscy po kolei ją opuszczali, aż w końcu nie został już nikt, nawet rodzina, która nie potrafiła powiedzieć, gdzie kobieta może się teraz znajdować.

Jej życie drastycznie różniło się od życia Helen, która szybko wspięła się po szczeblach kariery i teraz cieszyła się wysoką pensją i poważaniem. Tanner w jakiś sposób winiła za to Helen, dlatego co jakiś czas przysyłała złośliwe listy na komisariat w Southampton. Helen nie zwracała na nie uwagi, ale teraz poczta się przydała, ponieważ stempel wskazywał na to, że Tanner wciąż mieszkała w okolicy. Oprócz tego widziano ją kilka razy na mieście, a inspektor Grace miała przecucie, że Louise nie odeszła zbyt daleko od tego, co dobrze znała. I właśnie dlatego Charlie siedziała ze szklanką letniego soku pomarańczowego przy stoliku na tyłach jednego z najbardziej paskudnych pubów, jakie kiedykolwiek widziała.

Czas mijał powoli. Charlie zaczęła się zastanawiać, czy nie padła ofiarą żartu. Czyżby właściciel ostrzegł Louise? Może oboje właśnie dławili się ze śmiechu, patrząc na głupkowatą policjantkę marnującą swój czas.

Ale wtedy zobaczyła ruch przy wejściu. Do środka weszła kobieta w pikowanej kurtce i dresowych spodniach. Wyglądała na częstego gościa. Mignięcie twarzy i pasmo jasnych włosów... Czyżby Louise?

Wolnym krokiem podeszła do baru i rzuciła właścicielowi żarcik. W odpowiedzi usłyszała kilka słów i natychmiast odwróciła głowę w stronę Charlie. Najwyraźniej mężczyzna coś jej powiedział, a Charlie nie miała już wątpliwości, że to Louise. Ich spojrzenia się spotkały; kobieta w ciągu ułamka

sekundy podjęła decyzję i zaczęła uciekać.

Charlie natychmiast ruszyła za nią. Louise wyprzedzała ją o trzydzieści metrów i biegła, ile sił w nogach. Najpierw po kocich łbach, które przecinały tę niegdyś średniowieczną okolicę, a potem główną ulicą w stronę magazynów na Zachodnich Dokach. Charlie starała się dwa razy bardziej, czując pieczenie w płucach. Louise wyraźnie nie była w najlepszej kondycji – biegła w dziwny, nierówny sposób, jakby kiedyś zaliczyła jakąś kontuzję – a jednak nabrała zaskakująco dużej prędkości, widocznie napędzana desperacją.

Od Charlie dzieliło ją już tylko dziesięć metrów, kiedy nagle skręciła w prawo i wbiegła do magazynu numer 24, gdzie ustawiono w wysokie stopy kontenery wysyłane do Polski. Charlie zmieniła kierunek i wpadła do środka. Louise najwyraźniej gdzieś przepadła.

Charlie zakłęta. Choć z pewnością była już bardzo blisko uciekiniarki, kontenery tworzyły tyle maleńkich alejek i doskonałych kryjówek w kątach, że nie miała pojęcia, gdzie zacząć. Zanurkowała w lewo, a potem od razu się zatrzymała i zaczęła nasłuchiwać. Tak, dobrze jej się zdawało. Zduszony kaszel. Louise dużo paliła i sprint z pewnością nie zrobił dobrze jej płucom. Charlie schyliła się i zaczęła cicho stąpać w stronę maskowanego, ale uporczywego kaszlu. I oto znalazła się Louise, odwrócona plecami i w pułapce, gdyby tylko Charlie mogła się do niej dostać.

Dzieliło je już tylko kilka metrów; uciekiniarka odwróciła się i spojrzała na policjantkę dzikimi oczami. Właśnie wtedy Charlie zauważyła nóż – wyszczerbione, paskudnie wyglądające ostrze, na dodatek zwrócone ku niej. Charlie odruchowo cofnęła się, po raz pierwszy zdając sobie sprawę z tego, w jak niebezpiecznym położeniu się znalazła. Ona i jej nienarodzone dziecko.

Teraz to Louise zaczęła iść w jej stronę. Charlie zaczęła się coraz szybciej wycofywać, próbując zachować spokój.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać, Louise.

Ale ścigana nic nie powiedziała; zamiast tego włożyła z powrotem kaptur na głowę, jakby chciała ukryć przed prześladowczynią swoją tożsamość. Bliżej i bliżej. Charlie nie mogła oderwać oczu od noża.

I wtedy z głośnym hukiem wpadła na metalową ścianę kontenera. Odwróciła się i zbyt późno zauważyła, że weszła w ślepy zaułek. Została jej już tylko chwila

na podniesienie rąk w geście kapitulacji i odwrócenie się twarzą do Louise, która złapała ją za kołnierz i popchnęła w tył. Z ostrzem przy szyi Charlie, Louise zaczęła przeszukiwać jej kieszenie. Rzuciła pełne wściekłości i obrzydzenia spojrzenie na odznakę policyjną i radio. Cisnęła je na podłogę i opluła.

– Kto cię wysłał? – warknęła.

– Prowadzimy śledztwo...

– KTO cię wysłał?

– Helen Grace... inspektor Grace.

Chwila wahania, a potem Louise uśmiechnęła się szeroko, pokazując przerwę między zębami.

– Przekażesz jej wiadomość ode mnie?

– Pewnie.

W tej chwili Louise przejechała ostrzem noża po klatce piersiowej Charlie, ledwo mijając jej gardło. Krew zaczęła płynąć z długiej rany tuż nad piersiami. Charlie wpatrywała się w nią, zszokowana, a potem paskudny rechot Louise sprowadził ją z powrotem na ziemię.

– Nie wystarczy?

Nagle z porzuconego radia Charlie podniosły się głośne trzaski. Louise odruchowo spojrzała w tamto miejsce, obawiając się, że ktoś im przeszkodzi. Wtedy Charlie machnęła ostro lewą ręką, wybijając kobiecie nóż z ręki. Rzuciła się do przodu, ale wtedy lewa pięść Louise trafiła ją w gardło. Przez chwilę Charlie miała wrażenie, że jej tchawica została zmiażdżona. Nie mogła złapać oddechu i musiała oprzeć się o ścianę. Kiedy uniosła wzrok, Louise już zdążyła wybiec na zewnątrz i właśnie uciekała. Charlie ruszyła jej śladem, ale natychmiast się zatrzymała i zwymiotowała. Nie mogła zrobić ani jednego kroku więcej.

Poprosiła przez radio o wsparcie, a potem powoli pomaszerowała w stronę wyjścia. Szok zrobił swoje; potrzebowała świeżego powietrza. Zrobiła głęboki wdech, napełniając płuca morską bryzą, i od razu poczuła się lepiej. Potem uniosła oczy i z zaskoczeniem zobaczyła idących w jej stronę mundurowych. Za ich plecami dostrzegła taśmy policyjne w okolicy magazynu numer 1. Od lat nikt go nie używał, a przynajmniej tak im się wydawało. Najwyraźniej coś się tam działo. Gdy jeden z mundurowych zajął się Charlie, nakreślił jej sytuację.

Wagarowicze znaleźli rano tego samego dnia jakiegoś mężczyznę – jeszcze nie martwego, ale bliskiego śmierci – leżącego w wysmarowanym fekaliami kontenerze.

Znaleźli Sandy'ego Mortena.

090/117

Siedziba lokalnego kuratora mieściła się w dawnej szkole na Southam Street. Pracowała tam Sarah Miles, koleżanka Helen z akademii policyjnej w Netley; właśnie do niej teraz śpieszyła. Nie podobało jej się, że musi oszukać dawną przyjaciółkę, ale nie miała innego wyjścia. Nie mogła otwarcie mówić o swoich podejrzaniach, dopóki nie nabierze całkowitej pewności. Później będzie mnóstwo czasu na wyjaśnienia... Jeśli będzie jakieś później.

Poprosiła o informacje na temat Lee Jarrota, drobnego przestępcy, który, jak zasugerowała Helen, prawdopodobnie złamał zasady zwolnienia warunkowego. Inspektor musiała złośliwie oszukać Sarah, a w sprawę wmieszać też samego Lee, który prawdopodobnie nie zrobił nic złego. Kiedy Sarah udała się do piwnicy, gdzie trzymali akta, Helen ruszyła za nią. W zasadzie nie wolno jej było tam przebywać, ponieważ należała do innego wydziału, ale często schodziła razem z Sarah, żeby trochę poplotkować. Właśnie dotarły do połowy akt na literę „J”, wędrując wzdłuż niekończących się folderów, kiedy Helen oznajmiła, że zostawiła komórkę w samochodzie.

– Obiecałam, że będę pod telefonem całą dobę. Nie miałabyś nic przeciwko, gdybym poprosiła cię o przyniesienie akt na górę?

Sarah przewróciła oczami i ruszyła dalej. Nie lubiła tracić czasu.

Co oznaczało, że Helen musi się śpieszyć. Cofając się w stronę wyjścia, nagle ostro skręciła w lewo. Gorączkowo przeszukiwała wzrokiem akta – gdzie, do cholery, podziewały się te na „C”? W tle dało się słyszeć zwalniający krok obutych w szpilki stóp Sarah. Już prawie znalazła dane Jarrota.

C. Wreszcie. Szybciej, szybciej. Helen przeglądała dokumenty. Casper, Cottrill, Crawley... Sarah już wracała. Helen miała tylko kilka sekund, kiedy... udało się. W każdej innej sytuacji wahałaby się przed dotykaniem ich, nawet przez myśl by jej to nie przeszło. Ale teraz złapała folder i wrzuciła go do torby.

Kiedy Sarah wróciła do wejścia, Helen już na nią czekała.

– A jednak cały czas leżała grzecznie w torebce. Poważnie, niedługo zapomnę

własnej głowy.

Sarah Miles znowu wywróciła oczami i wspólnie wyszły, a Helen ukradkiem westchnęła z ulgą.

091/117

Rana Charlie okazała się powierzchwniowa, ale ponieważ spodziewała się dziecka, lekarze zostawili ją na obserwacji dłużej niż zwykle. W ten sposób wszyscy na komisariacie dowiedzieli się, że jest w ciąży. Kiedy weszła do centrum operacyjnego, zebrali się wokół, wypytując ją o samopoczucie i sugerując powrót do domu – ale Charlie wołała zostać i pomóc w śledztwie.

Jej stoicyzm wzbudził powszechny podziw, choć w rzeczywistości atak Tanner wytrącił ją z równowagi. Myślała tylko o dziecku, które tak głupio naraziła na niebezpieczeństwo. Co powiedziałyby Steve’owi, gdyby straciła maleństwo, o które tak długo się starali? Najchętniej wróciłaby do domu, przytuliła się do swojego faceta i porządnie się wypłakała. A jednak zdawała sobie sprawę, że w policji panuje głęboki mizoginizm i jakakolwiek oznaka słabości u kobiety – bez względu na uzasadnienie – stałaby się powodem do ataku kolegów po fachu. Miękką policjantką zostałaby uznana za słabe ogniwo i tak też potraktowana. Niech Bóg ma w opiece kobiety, które stawiają dzieci na pierwszym miejscu. Jak tylko zobaczą w tobie kurę domową, to koniec. Jeśli chcesz przedłużyć urlop macierzyński albo pracować na pół etatu, równie dobrze możesz prosić o przeniesienie. Nikt nie lubi półetatowców na pierwszej linii.

Nie było miejsca na sentymenty. Policja kierowała się zasadą „wszystko albo nic”. Właśnie dlatego Helen Grace cieszyła się takim szacunkiem – nigdy nie kończyła służby i nie pozwalała, by życie prywatne miało jakikolwiek wpływ na jej pracę, co czyniło z niej idealną kobietę funkcjonariuszkę. Wszystkim innym stawiało poprzeczkę bardzo wysoko; dlatego Charlie została. Chociaż ten incydent poważnie nią wstrząsnął, nie zamierzała stracić pozycji, na którą tak ciężko pracowała.

Mark nie śpieszył się i poczekał, aż tłum się rozejdzie, by podejść do Charlie i mocno ją uściskać. Wiedziała, dlaczego się powstrzymywał – w zespole nie brakowało niedowiarków, którym chwilę zajmie, zanim znowu zaufają Markowi, więc lepiej, żeby nie pojawiał się w pierwszym szeregu. Pieprzyć ich, pomyślała

Charlie, ściskając Marka mocniej, niż to było konieczne. Niech reszta patrzy. Może na zasadzie osmozy część jej świętości przejdzie na niego i pomoże mu przyspieszyć odkupienie.

Szybko musieli zapomnieć o swoich podejrzeniach na temat Marka i darować sobie insynuacje – Mickery zaczęła mówić. Charlie oczywiście nie powinna była tego wiedzieć, ale ściany mają uszy, a Mickery rzadko, odkąd ją znaleźli, opuszczała policyjną izbę chorych. Uznała ją za swoje sanktuarium i nie zamierzała rozmawiać z Wewnętrznyimi nigdzie indziej. Charlie miała sporo przyjaciółek pośród znudzonych i gadatliwych policjantek pilnujących Hannah. Przekazały to, co udało im się podsłuchać; okazało się, że Mickery miała romans z Whittakerem po tym, jak udał się do niej na terapię. Czy spali ze sobą, kiedy zaczęły się morderstwa? I kto wpadł na pomysł wzbogacenia się? Nie miało to zbyt wielkiego znaczenia. Mark zostanie oczyszczony z zarzutów i tylko to się liczyło.

Pozostawało ważne pytanie: jak zareaguje on na obecność Helen? Gdyby udało im się znaleźć sposób na koegzystencję, jego powrót byłby pewny. Jeśli nie, miał przechłapanie.

W tym momencie do pomieszczenia weszła Helen. Nie nawiązała w żaden sposób do powrotu detektywa Fullera. Zamiast tego zarządziła zbiórkę.

– Wiemy już, że Sandy Morten miał wylew – zaczęła. – Nie został zraniony przez naszą podejrzaną, po prostu jego ciało nie wytrzymało skrajnie nieprzyjaznych warunków. Jest już na intensywnej terapii i walczy, ale, uwierzcie lub nie, miał szczęście. Gdyby ci chłopcy go nie znaleźli, mielibyśmy kolejnego trupa. Lekarze są dobrej myśli. Co to wszystko oznacza?

– Że nie był częścią planu – odparł Bridges.

– Właśnie. Oszczędziła Mickery i Mortena. W ogóle nie zamierzała ich zabijać. Zrobiła im po prostu kawał. W ten sposób chciała przyspieszyć grę.

Helen rozejrzała się po twarzach zespołu, zadowolona z malującego się na nich gniewu, wymieszanego z determinacją. Policjanci nienawidzą, kiedy ich się prowokuje.

– Dlatego nadszedł czas, żebyśmy podkręcili śrubę i dla odmiany byli krok przed naszą zabójczynią. Priorytetem jest znalezienie Stephanie Bines, która

najprawdopodobniej zostanie następną ofiarą, a nie chcę mieć jej śmierci na sumieniu. Charlie, możesz koordynować prace w tym aspekcie? Zaprzęgnij do roboty kogo tylko zechcesz. Musimy ją znaleźć. Mark, chcę, żebyś skupił się na poszukiwaniach Louise Tanner. Jest wyjątkowo niebezpieczna, ma do mnie uraz i próbowała już zabić jedną z naszych. Zbierz paru ludzi i weźcie się za nią, okej?

Mark pokiwał głową; cały zespół na niego patrzył. Helen pomyślała, że rozegrał to idealnie – wydaje się szczery, nieskrępowany, zdeterminowany. Musiał w to włożyć nadludzki wysiłek, ale godnie zaprezentował się przed zespołem i przed nią, a nawet jeśli nadal wyglądał jak gówno, był przynajmniej czysty i trzeźwy. Helen czuła ogromną wdzięczność i cieszyła się, że zdecydował się jeszcze raz jej zaufać.

Zespół ruszył do pracy. Teraz, kiedy Helen przejęła funkcje Whittakera, jej ludzie jeszcze bardziej starali się jej przypodobać, ponieważ panowało przekonanie, że ten, kto złapie zabójczynię, zastąpi Grace na jej dawnym stanowisku. Dlatego wszyscy podwoili wysiłki, węsząc awans.

Helen wróciła do biura Whittakera. Chociaż został zawieszony i nigdy tu nie wróci, nadal miało się wrażenie, że to *jego* biuro. Dlatego Helen wolała nie siedzieć na razie w jego fotelu i stanęła obok, by przejrzeć jeszcze raz dokumenty, które dopiero co ukradła.

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do opieki społecznej, by po chwili zdobyć adres, którego potrzebowała.

Pozostała część drużyny polowała na Bines i Tanner, więc Helen miała kilka godzin dla siebie. To i tak mogło nie wystarczyć, bo czekało ją wiele pracy, więc docisnęła gaz i pomknęła ulicą. M25 jak zwykle wiła się niemiłosiernie, więc z radością skrzyła na M11. Wkrótce wjechała na A11 i ruszyła w stronę Norfolk.

Podążając za znakami prowadzącymi do Bury St. Edmunds, Helen znalazła się na nieznanym terenie. Kiedy dotarła do celu, zdała sobie sprawę, że jest zdenerwowana. Czuła się tu niekomfortowo. Powrót przypominał otwarcie puszki Pandory.

Przed jej oczami stanął przyjemnie wyglądający dom z oknem wykuszowym z przodu i zadbanym ogródkiem. Teoretycznie znajdował się w nim ośrodek readaptacyjny, ale wyglądał znacznie lepiej. Okoliczni mieszkańcy trzymali się

z dala, zwykły przechodzień uznałby go jednak za atrakcyjne, miłe miejsce.

Helen uprzedziła o swoim przyjeździe. Szybko zaprowadzono ją do środka, by mogła spotkać się z menadżerem. Potwierdziła swoją tożsamość, pokazała najnowsze zdjęcie, jakim dysponowała, a potem wygłosiła pewnym głosem swoją zmyśloną historyjkę. Wiedziała, że szanse są niewielkie, ale i tak poczuła rozczarowanie. Menadżer powiedział, że Suzanne Cooke nie widziano tu od ponad roku. W zasadzie nigdy nie pasowała do tego miejsca, wyznał, nigdy nie angażowała się w ich programy. Oczywiście poinformowali kuratora o jej zniknięciu, ale ze względu na ograniczone fundusze i reorganizację ludzie ciągle się zmieniają, a jej przypadek uległ zapomnieniu.

– Oczywiście z chęcią byśmy zrobili więcej, ale i tak mamy już ręce pełne roboty – stwierdził.

– Rozumiem, jest ciężko. Proszę powiedzieć mi więcej o Suzanne. Czym się tutaj zajmowała? Miała przyjaciół? Kogoś, komu się zwierzała?

– O nikim takim mi nie wiadomo. Nie nawiązywała tutaj znajomości. Trzymała się na uboczu. Zazwyczaj lubiła po prostu ćwiczyć. Jest bardzo dobrze zbudowana, silna. Podnosiła dużo ciężarów i kiedy nie siedziała na siłowni, pomagała przy brakowaniu. Mówili, że jest silniejsza niż większość mężczyzn.

– Przy brakowaniu?

– Tak, w Thetford Forest. To tylko kilka kilometrów stąd i każdego roku niektórzy z naszych mieszkańców mają możliwość pomagania przy letnim brakowaniu. Oczywiście ze względu na użycie broni sprawujemy nad tym ścisły nadzór, ale część ludzi to lubi. Brakowanie to praca fizyczna i pozwala spędzić cały dzień na świeżym powietrzu.

– Jak to wygląda?

– W Thetford chodzi głównie o jelenia szlachetnego. Wczesnym rankiem dokonują odstrzału, zazwyczaj w odległych częściach lasu. Praktycznie nie da się tam dojechać samochodem, więc zwłoki muszą zostać przeniesione do najbliższej drogi, by dało się je załadować.

– W jaki sposób?

– Za pomocą uprzęży. Związuje się nogi jelenia, a potem przypina pasem do uprzęży, która przypomina trochę taką do wspinaczki, i zakłada się ją na ramiona. Potem ciągnie się jelenia po ziemi. To o wiele łatwiejsze niż noszenie.

Kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce.

092/117

Charlie gapiła się na monitor komputera i poczuła bolesny skurcz żołądka. Podczas gdy Skype puszczał swoją melodyjkę, modliła się, by ktoś odebrał połączenie. Od tego zależał los Stephanie Bines.

Poszukiwania okazały się wykańczające, ale Charlie nie traciła nadziei. W towarzystwie Bridgesa i Groundsa (właściwie to oni poprosili ją o pomoc) odwiedziła każdy obskurny pub, kawiarnię czy klub w Southampton i poza granicami miasta. Rozmowy zawsze wyglądały tak samo:

– Tak, znamy Stephanie. Pracowała tutaj kilka miesięcy temu. Bardzo lubiana, zwłaszcza przez facetów.

– I wiecie, gdzie się teraz podziewa?

– Nie mam pojęcia. Pewnego dnia po prostu nie przyszła do pracy.

Z początku Charlie robiła się wtedy nerwowa. Każde wspomnienie o nagłym zniknięciu w tym śledztwie mogło podnieść ciśnienie... W głowie Charlie powoli tworzył się obraz lubiącej wędrować kobiety, niepewnej siebie, która nie przywiązywała się do ludzi czy miejsc. Była podróżnikiem, który zarzucił kotwicę na południowym wybrzeżu, ale coś mówiło Charlie, że tylko tymczasowo. Dlatego przestała łązić po ulicach i wróciła do centrum operacyjnego, żeby sprawdzić międzynarodowe linie lotnicze. Ostatni raz widziano Stephanie we wrześniu, w Southampton, więc tam zaczęła. Z pomocą innych policjantów nękała telefonami Qantas, British Airways i Emirates, a potem trafiła w dziesiątkę przy Singapore Airlines. Szesnastego października, Stephanie Bines, bilet w jedną stronę do Melbourne. Dodatkowe poszukiwania ujawniły, że Stephanie ma siostrę mieszkającą na przedmieściach tego miasta. W ten sposób udało się ją odnaleźć – najwyraźniej żywą i w dobrym zdrowiu – w Australii.

Ale Charlie nie chciała ryzykować i dlatego postanowiła zadzwonić do niej przez Skype. Zabójczyni potrafiła doskonale wprowadzać w błąd, więc Charlie nie zamierzała spocząć, dopóki na własne oczy nie zobaczy Stephanie.

I oto ona. Bardziej opalona, bardziej blond, ale zdecydowanie Stephanie. Małe

zwycięstwo Charlie, Helen i reszty zespołu. Udało im się ocalić przynajmniej jedno życie. Czyżby nagła decyzja o powrocie do domu zniszczyła plany morderczynie?

Stephanie nie potrzebowała dodatkowej zachęty, żeby znowu wsiąść do samolotu. Po kilku tygodniach w domu już się dusiła, czuła się lekceważona. Charlie musiała coś zaimprovizować, by trzymać ją z dala od Wielkiej Brytanii, więc zmyśliła niewielkie zagrożenie związane z procesem, w którym zeznawała Stephanie. Mówiła spokojnie i uspokajająco, ale zasugerowała, że dla dobra jej samej i rodziny powinna wybrać się na krótkie wakacje do Queensland czy na Czerwoną Pustynię, dopóki wszystko się nie uspokoi.

Charlie zakończyła rozmowę pełna optymizmu – być może morderczynię jednak dało się powstrzymać.

Nagle Mark zwrócił na siebie jej uwagę, machając z drugiej strony centrum operacyjnego. Szybko do niego podeszła.

– Na komisariacie właśnie odebrano telefon. Tanner była widziana blisko starego szpitala dziecięcego na Spire Street.

– Kiedy?

– Pięć minut temu. Zadzwoniła jakaś mamuśka z wózkiem. Dała Tanner piąta i prawie straciła całą portmonek.

Natychmiast ruszyli w drogę, kierując się do centrum. Czy Tanner mogła być seryjną morderczynią, której szukali? Wkrótce się przekonają. Charlie poczuła przypływ adrenaliny, kiedy razem z Markiem pędzili w okolice szpitala. Miło było znów wspólnie ruszyć na polowanie.

093/117

Każdy człowiek przeżywa niezliczone chwile, w których zastanawia się, czy lepiej się wycofać, czy skoczyć na głęboką wodę. W miłości, pracy, wśród przyjaciół i rodziny nadchodzą czasem momenty, kiedy musisz zdecydować, czy jesteś gotowy do wyjawienia całej prawdy o sobie.

Helen celowo kreowała się na enigmę. Miała fasadę, którą prezentowała światu – siłę, odporność, brak wątpliwości czy żalu. Wiedziała, że to nieprawdziwa ona, ale wszyscy wokół zaskakująco łatwo w to wierzyli. Zawsze oceniamy siebie bardziej surowo niż innych. Większość współpracowników Helen czy okazjonalnych kochanków nie miała zastrzeżeń do jej image'u twardej, oddanej policjantki, której niczym nie dało się zaskoczyć, zastraszyć ani onieśmielić. Im dłużej utrzymywała ten wizerunek, tym więcej osób w niego wierzyło, dlatego też towarzyszyła jej aura osoby z innego świata, zwłaszcza pośród mundurowych.

Helen zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę i zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu, zanim zniszczy stworzonego przez siebie bożka. Poinformowanie pozostałych stało się niezbędne i mogło uratować komuś życie. Helen musiała zapłacić za to wysoką cenę, wyciągając na światło dzienne wydarzenia i decyzje, które przez lata głęboko chowała.

Wszedł Bridges, wytrącając panią detektyw z introspektywnego transu. Przyniósł dokumenty, o które prosiła. Kiedy wspólnie pochylili się nad nimi, dyskretnie przyczajeni w jej biurze, Helen nieustannie oceniała każde powiązanie, podwójnie i potrójnie sprawdzając swoje założenia. Nie mogło być mowy o jakichkolwiek wątpliwościach.

Wtedy nagle serce przestało jej bić.

– Wróć.

– Do rzeczy osobistych? Czy...

– Do raportu Zakładu Medycyny Sądowej. Z domu Mortena.

Po zniknięciu Sandy'ego Mortena dokładnie sprawdzono jego dom. Wiedzieli,

że porywaczka się w nim pojawiła i wypita szampana z prawnikiem oraz Mickery, więc długo i wytrwale szukali wszelkich śladów.

– Nic tam nie ma, szefowo. Znaleziono tylko DNA Mickery, Mortena, jego żony, wszystkich głównych...

– Druga strona.

– To tylko niekompletne próbki, większość z nich uznano za...

Helen wyrwała mu raport, by przyjrzeć się z bliska. Właśnie ostatecznie pozbyła się jakichkolwiek wątpliwości. Wiedziała, kim jest morderczyni i dlaczego zabija.

Ani śladu po Tanner. Za to porzucona torebka blisko zabitego deskami szpitala dziecięcego sugerowała, że mogła tam przed chwilą być i zdobyła to, czego chciała. Już mieli odejść, kiedy ostry metaliczny brzdęk dochodzący z wnętrza budynku sprawił, że zamarli. Ktoś najwyraźniej coś upuścił.

Mark wskazał to miejsce Charlie. Odruchowo wyłączyli radia i telefony, a potem zaczęli skradać się w kierunku budynku. Jedna z desek na oknie była częściowo oderwana, a przecież opuszczony szpital to idealne miejsce na kryjówkę...

Charlie i Mark wcisnęli się do środka, ostrożnie opierając się na zbutwiałym parapecie, by nie hałasować. Szpital okazał się zrujnowany i zupełnie opuszczony. Z niegdyś zatłoczonego i głośnego miejsca została tylko skorupka. Charlie wyciągnęła pałkę i przygotowała się do akcji. Ręka jej się trzęsała – czy na pewno jest na to gotowa? I tak już za późno na wątpliwości. Szli do przodu, spodziewając się, że ktoś w każdej chwili może na nich skoczyć.

Wtedy nagle zauważyli jakiś ruch. Tanner w bluzie z kapturem i dresach wyskoczyła ze swojej kryjówki i przebiegła przez jakieś drzwi wahadłowe. Mark i Charlie zaczęli ją gonić, ile sił w nogach. Wpadli za drzwi, ale Tanner była już dwadzieścia metrów przed nimi.

Wbiegli na klatkę schodową; spoglądając do góry, zobaczyli ją wchodzącą po trzy stopnie naraz. Ruszyli jej śladem. Mark wyprzedził Charlie, zdeterminowany, by złapać uciekinierkę. A potem znowu usłyszeli huk.

Dogonili ją wreszcie na czwartym piętrze. Skręciła w prawo czy w lewo? Drzwi wahadłowe po lewej poruszały się lekko. A więc w lewo. Mark otworzył drzwi i wślizgnął się do środka.

Pusto. Ale po drugiej stronie zobaczył kolejne drzwi, tym razem prowadzące do czterech pokoi. Mogła być w każdym z nich. I jeśli była, wpadła w pułapkę. Zajrzeli do pierwszego pomieszczenia, potem kolejnego i kolejnego. Zostało już tylko jedno.

Łup! Wszystko wydarzyło się tak szybko, że umysł Charlie nie potrafił tego przyswoić. Metalowa rurka uderzyła w głowę Marka zza jego pleców, a mężczyzna upadł na podłogę. Charlie zamachnęła się pałką, która głośno odbiła się od metalu. Wymierzyła kolejne ciosy; Tanner sparowała wszystkie...

Tylko że to nie była Tanner. Powinni się tego domyślić po tym, jak wbiegała po schodach, oraz po przebiegłości, z jaką wmanewrowała ich w wybór złego korytarza i zakradła się za ich plecami. Gonili nie Tanner, lecz zabójczynię, i Charlie stanęła z nią twarzą w twarz.

Nadszedł czas, by przenieść walkę na terytorium wroga. Nakazawszy zaskoczonemu Bridgesowi zebranie drużyny, Helen wyciągnęła telefon i wybrała numer Charlie. Odezwała się poczta głosowa. Przeklinając, Helen zadzwoniła do Marka. Znowu poczta. Co oni sobie myśleli? Zostawiła mu krótką wiadomość, a potem ruszyła do centrum operacyjnego.

Nie podobało jej się, że musi zacząć bez dwójki swoich ulubionych policjantów, ale nie miała innego wyjścia. Nawet bez nich zespół liczył sobie dwudziestu funkcjonariuszy i mogła ufać, że McAndrew, Sanderson i Bridges efektywnie nimi pokierują.

Helen chciała wyjawić wszystko najszybciej, jak to możliwe, więc zaczęła prosto z mostu.

- Kobieta, której szukamy, nazywa się Suzanne Cooke.

Zebrani przekazywali sobie kopie zdjęcia Suzanne, aż w końcu wszyscy je dostali.

- Razem z fotografią otrzymaliście jej akt oskarżenia. Została skazana na podwójne dożywocie i spędziła w więzieniu dwadzieścia lat. Zniknęła spod nadzoru kuratorskiego dwanaście miesięcy temu. Przebywała w okolicach Norfolk, ale jestem pewna, że teraz znajduje się w Hampshire i to ona jest odpowiedzialna za te morderstwa.

Po zebranych rozszedł się cichy pomruk. Helen zawahała się, a potem

kontynuowała:

– Jestem przekonana, że wybiera swoje ofiary ze względu na mnie. Stephanie Bines najwyraźniej na razie jest cała i zdrowa, chcę jednak pełnej współpracy z australijską policją, żebyśmy mogli zapewnić jej bezpieczeństwo. To ostatnia możliwość z listy, ale jak pokazuje przypadek Mickery, Suzanne ma wyobraźnię i potrafi działać poza planem. Dlatego chcę zaangażować każdego dostępnego policjanta. Sama zajmę się prasą, a wy macie się skupić na odnalezieniu Suzanne. Bridges, proszę poinformować mundurowych, że chcę widzieć wszystkich na ulicach, przepytujących ludzi. Suzanne Cooke to nasza główna podejrzana i każda para oczu w tym kraju ma jej szukać. Zrozumiano?

– Dlaczego ty, szefowo? – odparł Grounds, wymawiając na głos pytanie, które chodziło po głowie wszystkim. – Dlaczego wybiera ofiary związane z tobą?

Helen zawahała się. Czas na skrywanie tajemnic się skończył; nawet teraz musiała jednak najpierw zrobić głęboki wdech, żeby odpowiedzieć:

– Ponieważ jest moją siostrą.

Charlie szykowała się na walkę o życie. Jednak jej przeciwniczka nie zrobiła ani jednego kroku w jej stronę; zamiast tego puściła metalową rurkę. Ta spadła na podłogę; odgłos odbił się w opustoszałym budynku potężnym echem. Charlie zamarła, spodziewając się podstępu, ale zabójczyni tylko opuściła kaptur, pokazując atrakcyjną, choć surową twarz. Przez chwilę Charlie wydawało się, że ją rozpoznaje; wrażenie szybko zniknęło. Kim była ta kobieta? Miała mocno wyrzeźbione ramiona i muskularną sylwetkę, ale delikatną, choć nieumalowaną twarz. Zapewne w ten sposób chciała bardziej przypominać Tanner.

– Nie wiem, po co nas tu przyprowadziłaś, ale możemy to zakończyć polubownie. Odwróć się i oprzyj ręce o ścianę.

– Nie zamierzam z tobą walczyć, Charlie. Nie po to tu jestem.

Słyszając swoje imię z ust zabójczyni, poczuła głęboki niepokój. Najgorsze miało dopiero nadejść... Uśmiechając się, kobieta beztrąsko wyjęła pistolet z kieszeni i wycelowała nim w Charlie.

– Wiesz, co mogę ci tym zrobić, prawda? Jeśli dobrze pamiętam, szkoliłaś się na Smith and Wesson, czyż nie?

Charlie wbrew sobie kiwnęła głową. Kobieta miała nad nią dziwną władzę –

chodziło o osobowość? Czy po prostu fakt, że wszystko o niej wiedziała?

– Dlatego odłóż pałkę i zdejmij pas. Jeśli chcesz ściągnąć swojego partnera na dół, musisz pozbyć się zbędnego ciężaru.

Zabójczyni rzuciła jej swego rodzaju uprząż i pokazała gestem, żeby ją założyła. Charlie tylko się na nią gapiała. Nie mogła się ruszyć.

– Teraz! – krzyknęła zabójczyni, a na jej twarzy pojawił się grymas wściekłości.

Charlie upuściła pałkę na podłogę. Wpadli w pułapkę. Zapewne to właśnie ta kobieta zadzwoniła na komisariat, zgłaszając spotkanie z Tanner. A oni dali się nabrać.

Starcie z Louise skończyło się źle.

Teraz czekało ich coś znacznie gorszego.

Zespół zarzucił Helen pytaniami – niektóre z nich były pełne gniewu, niektóre zaciekawienia – a ona odpowiadała na nie tak szczerze i spokojnie, jak tylko mogła.

– Jak długo podejrzewałaś?

– Jak długo *wiedziałaś*?

– Czego ona chce?

– Będziesz następnym celem?

Helen wciąż nie miała pewności w wielu kwestiach, a spekulacje nie zaprowadziłyby ich zbyt daleko. Dlatego po trzydziestu minutach szalonej dyskusji postanowiła ją zakończyć. Musiała wysłać swoich ludzi na poszukiwania zabójczyni.

Kiedy szła korytarzem w stronę czekających dziennikarzy, zdała sobie sprawę, że trzęsą jej się ręce. Tak długo skrywała swoją przeszłość, że ujawnienie jej teraz przypominało otwieranie zabliźnionej rany. Czy nadal może liczyć na zaufanie swojego zespołu? Czy nadal będą jej wierzyć? Helen modliła się o to – miała paskudne przeczucie, że najgorsze jeszcze przed nimi.

094/117

– Czy przeciętni obywatele mają się czego obawiać? – Emilia Garanita zadbała o to, by zadać pierwsze pytanie. Nie zamierzała stracić szansy na dokręcenie śruby w obecności przedstawicieli prasy ogólnokrajowej i tabloidów. Wciąż dobrze pamiętała atak, jaki przypuścił na nią Whittaker.

– Nie uważamy, by przeciętni obywatele byli zagrożeni, ale dla pewności prosimy nie podchodzić do podejrzanej. Może okazać się uzbrojona, a jej zachowanie jest nieprzewidywalne. Jeśli ktoś zobaczy Suzanne Cooke, powinien natychmiast zawiadomić policję.

– W jaki sposób jest powiązana z ostatnimi zabójstwami w Southampton? – zabójcze pytanie z „The Times”.

– Wciąż próbujemy ustalić fakty w tym aspekcie – odparła Helen, zauważając cynicznie podniesioną brew Emilii – ale naszym zdaniem mogła mieć aktywny udział w śmierci Sama Fishera i Martiny Robins.

Uwzględnienie Martiny w wypowiedzi dla prasy było trudną decyzją. Jeśli dziennikarze podchwycą ten temat i wyśledzą Caroline, wszystko się posypie. Nie było mowy, żeby powstrzymała się przed opowiedzeniem im wszystkich szczegółów diabolicznego udziału Suzanne w tych morderstwach.

– To prawda, że dostała pani awans, pani inspektor? – Garanita znów wtrąciła się do rozmowy. – Plotki głoszą, że nadinspektor Whittaker został zawieszony i grożą mu zarzuty o korupcję.

W tym momencie wszyscy wybuchli, a na Helen padało jedno pytanie za drugim. Przypominało to prawdziwy atak. Grace nie miała wyjścia: musiała to przetrzymać, bez względu na prowokacyjność i szkodliwość pytań. Musiała upewnić się, że ludzie będą czujni, więc potrzebowała prasy. Sytuacja wymagała radykalnych środków.

095/117

Przeszył go ból. Mark zamknął oczy w agonii, a potem opadł na podłogę. Co się z nim stało, do cholery? Instynktownie dotknął dłonią tyłu głowy i skrzywił się, gdy palce natrafiły na głęboką, zakrwawioną ranę. Bolało jak cholera, ale (prawdę mówiąc) reszta ciała miała się nie lepiej – czuł się, jakby ktoś go bił, długo i zaciekle.

Powoli wszystko sobie przypominał. Ściganie Tanner, bieg przez szpital, a potem... utrata przytomności. Niejasno przypominał sobie ułamek sekundy niepokoju, wrażenie czyjejs obecności za plecami. Głupi ćwok, z pewnością dał się zaskoczyć Tanner i przyszło mu za to zapłacić.

Rozejrzał się. Miejsce pachniało antyseptykiem oraz stęchlizną. Znowu spróbował podnieść głowę, przyzwyczajając oczy do słabego światła. Znajdował się w jakiejś kotłowni. Czyżby w piwnicy szpitala? Jeśli tak, w jaki sposób się tutaj dostali?

– Mark.

Charlie. Dzięki Bogu. Powoli obrócił głowę, ignorując towarzyszący ruchowi ból, a potem zobaczył skuloną w kącie koleżankę. Trzymała poobijaną lampę biwakową, która była jedynym źródłem światła.

Kiedy zaczął pojmować ten dziwny widok, w jego głowie rozległ się alarm.

– Dorwała nas, Mark.

– Tanner?

Charlie pokręciła głową, a potem schowała twarz w dłoniach. Wreszcie wymamrotała:

– To była pułapka. Dorwała nas. *Ona*.

Wtedy Mark podniósł się i rozejrzał po pomieszczeniu, ale ponieważ wstał za szybko, zakręciło mu się w głowie i znowu upadł na podłogę.

Kiedy odzyskał przytomność, jego głowa leżała na kolanach Charlie, która dmuchała mu w twarz. Było mu gorąco i zimno jednocześnie, a do tego spocił się i boleśnie zaschło mu w gardle. Dotyk Charlie działał na niego kojąco. Podniósł

oczy, żeby jej podziękować, ale zobaczył, że płacze.

– Dorwała nas, Mark.

Zdawało mu się. Nie znajdą tu ukojenia.

096/117

Glock przyjemnie leżał w jej ręku. Minęło sporo czasu, odkąd Helen trzymała broń, ale czerpała z niej teraz siłę i spokój. Podpisała papiery, a potem poszła odebrać przydzieloną amunicję. W swoim podaniu jako powód podała ochronę osobistą ze względu na możliwe zagrożenie życia. Ale czy słusznie? Czy może teraz kierowała nią mroczniejsza motywacja?

Protokół wymagał, by w obliczu takiego niebezpieczeństwa nie pracowała sama, w tej podróży nie mogła mieć jednak towarzysza, więc skłamała, mówiąc, że musi pojechać na lokalny komisariat, żeby udzielić informacji na temat śledztwa. Członkowie zespołu to kupili, ale nie wszystkich udało jej się przekonać – w drodze na północ zauważyła czerwonego fiata Garanity. Nie trzymała się zbyt blisko, w końcu nie była amatorką, ale Helen i tak ją dostrzegła. Poczowała przyływ gniewu i dodała gazu, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość i prowokując dziennikarkę. Na szczęście Emilia uznała, że nie ma sensu łamać prawa, ścigając policjantkę, więc poddała się. Kiedy zniknęła Helen z oczu, inspektor zawróciła na obwodnicę i pojechała w stronę Londynu.

Lista koszmarów z dzieciństwa, które wciąż nawiedzały ją w dorosłym życiu, była krótka. Kiedy odkryła, że Chatham Tower miało zostać zburzone, zdecydowała się pojechać właśnie tam. Budynek idealnie wpasowywał się w *modus operandi* Suzanne. Musiał coś dla niej znaczyć. Zabawne, że w myślach nazywała ją Suzanne, jakby używanie tego imienia było mniej bolesne od prawdziwego. Zresztą Helen sama przyzwyczała się do swojego nowego nazwiska – wybrała Grace, ze względu na konotacje z odkupieniem^[4], a także z powodu babci ze strony matki – i gdyby teraz ktoś zwrócił się do niej, używając prawdziwego nazwiska, poczułaby się dziwnie, wzbudziłoby to w niej niepokój.

Helen zdała sobie sprawę, że jedzie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, i zwolniła. Musi spróbować zachować spokój. Nie wiedziała, w jaki sposób miała zakończyć się ta gra; z pewnością jednak, aby finał potoczył się według jej zasad, nie mogła stracić nad sobą kontroli.

Zrozumiała, że już bardzo długo wypierała ze świadomości możliwość udziału siostry w morderstwach. Nie miała z nią kontaktu przez ponad dwadzieścia lat i nie chciała tego zmieniać. Wołała o niej zapomnieć. Ale kiedy zobaczyła raport z przeszukania domu Sandy'ego Mortena, nie mogła dłużej zaprzeczać. Znaleziono fragment odcisku palca i kiedy udało się z niego wyciągnąć resztki materiału genetycznego, częściowo pasującego do DNA Helen, uznano, że należy do niej. Zawsze tak robili, żeby nie tracić czasu na badanie śladów zostawionych przez nieuważnych funkcjonariuszy. Ale istniał pewien problem. Helen nigdy nie pojawiła się w domu Sandy'ego Mortena. Przeoczono tę anomalię, jednak informacja ta potwierdzała wszystkie najgorsze przypuszczenia pani inspektor.

Znajdowała się teraz w gorszej części londyńskich przedmieść. Nie minęło dużo czasu, kiedy w zasięgu wzroku pojawiła się Chatham Tower. Wieża została wybudowana w latach sześćdziesiątych; teraz planowano ją wyburzyć. Niegdyś spełnienie marzeń, dzisiaj prawdziwy koszmar... Choć Arrow Security, firma pilnująca porządku na tym terenie, została poinformowana o wizycie, Helen i tak musiała czekać na pracownika z kluczem. Zręczliwy strażnik otworzył drewniane drzwi, podczas gdy detektyw wypytała go o możliwe dziury w drewnianym płocie otaczającym budynek. Twierdził, że żadnych nie było – dzieciaki zajmowały się raczej dźganiem się nożami w centrum, zamiast przychodzeniem tutaj – mimo to Helen obejrzała cały, szukając wszelkich wyrw czy słabszych elementów. W końcu uznała, że jednak jest zabezpieczony i weszli do środka. Czy ktoś mógł ominąć płot, wspinając się po drabinie? Możliwe.

Nie mogli skorzystać z windy, więc musieli wejść na jedenaste piętro po schodach. Helen maszerowała dziarsko; jej towarzysz ledwo za nią nadązał. Zanim się obejrzała, stanęła przed drzwiami mieszkania numer 112. Musiała oprzeć się o ścianę, kiedy strażnik spróbował otworzyć drzwi. Uchyliły się bez problemu i mężczyzna już miał wejść do środka, kiedy Helen go zatrzymała.

– Proszę tutaj poczekać.

Strażnik wydawał się zaskoczony, ale nie oponował:

– Ależ proszę bardzo.

Bez zbędnych słów Helen przekroczyła próg i zniknęła, pochłonięta przez ciemność.

[4] *Grace* w języku angielskim oznacza łaskę.

097/117

- Musimy być silni, Mark. Jeśli będziemy silni, jeśli będziemy się trzymać razem, ona nie wygra.

Mark kiwnął głową.

- Nie pokona nas. Nie pozwolę jej na to – ciągnęła dalej Charlie.

Mężczyzna podniósł się z jej pomocą i razem zaczęli badać swoje otoczenie. Jeśli nadal znajdowali się w szpitalu, nikt ich nie usłyszy. Rada miasta od lat próbowała sprzedać budynek inwestorom, ale bez powodzenia. Stał zupełnie sam, w zniszczonej i zapomnianej części miasta.

Otaczały ich betonowe ściany. Nie znaleźli żadnych okien, a drzwi ktoś niedawno wzmocnił, zupełnie nie pasowały do reszty zrujnowanego pomieszczenia. Siłowali się z zawiasami, bez narzędzia nic nie mogli jednak wskórać. Niemniej drzwi dawały im *jakieś* możliwości. Gdyby udało im się poluzować zawiasy...

Mark zignorował dudnienie w głowie i rosnącą temperaturę, by popracować nad zawiasami, a tymczasem Charlie zajęła się waleniem w drzwi. Uderzała raz za razem, coraz mocniej i mocniej, cały czas wrzeszcząc najgłośniejszym, jak potrafiła, błagając o pomoc. Robiła dość hałasu, by obudzić zmarłych... ale czy ktokolwiek to słyszał?

Z podłogi podnosiły się kłęby kurzu, otaczając ich oboje, wciskając się do oczu, do uszu, do gardeł. Głos Charlie się załamał, mimo to się nie poddawała. Jedno napędzało drugie do pracy. Po godzinie bezowocnych zmagania padli na podłogę, wykończeni.

Charlie nie zamierzała płakać. Znaleźli się w samym środku najgorszego, niewyobrażalnego koszmaru, lecz nie mogli wpaść w rozpacz. Inaczej nie mieliby żadnej szansy na przeżycie.

- Pamiętasz Andy'ego Foundinga? – zapytała, próbując tchnąć pogodę ducha do swojego tonu.

Niestety łamiący się głos ją zdradzał.

- Pewnie – odparł zmieszany Mark.

- Słyszałam, że podaje policję z Hampshire do sądu. Twierdzi, że padł ofiarą molestowania seksualnego ze strony funkcjonariuszek.

Mark prychnął i krótko zaśmiał się w odpowiedzi. Andy zwany Obmacywaczem pracował przy biurku na komisariacie w Portsmouth, a jego rączki-wędrowniczki stały się legendarne, zwłaszcza pośród młodszych funkcjonariuszek. Charlie zaczęła opowiadać dalszy ciąg anegdoty i chociaż Mark bardzo chciał spać i marzył o chwili spokoju, nie odmówił słuchania, wiedząc, że muszą w jakiś sposób zagłuszyć rozpacz.

Zaczęli wymieniać się opowiastkami. Żadne nie wspomniało o leżącym na podłodze pistolecie.

098/117

Byłam pewna, że się obudzą i przeszkodzą mi w zabawie, ale to niesamowite, ile potrafi działać siedem pint białej błyskawicy. Ojciec nigdy nie wylewał za kołnierz – piwo, cydr, co tylko wpadło mu w ręce – a mama bardzo nie odstawała. Dzięki alkoholowi lepiej znosiła bicie i przestawała myśleć. Gdyby została trzeźwa odpowiednio długo, zdałaby sobie sprawę z tego, w jakim gównie się znalazła, i włożyłaby głowę do piekarnika. W pewnym sensie żałowałam, że tego nie zrobiła.

Planowałam tę chwilę na tak wiele różnych sposobów. W marzeniach zawsze używałam noża. Podobała mi się wizja rozciętych arterii oraz krwi obryzgującej ściany, ale w rzeczywistości nie miałam dość odwagi. Bałam się, że coś spieprzę. Nie wbiję ostrza wystarczająco głęboko, nie trafię w tętnicę. Skoro już miałam to zrobić, to porządnie. Każdy błąd mógł kosztować mnie życie. Sukinsyn też nigdy się nie śpieszył – Bóg jeden wie, co ze mną wyczyniał – więc musiałam się postarać.

Znalazłam trochę taśmy w biurze zarządcy i wzięłam trzy rolki. W końcu wykorzystałam tylko jedną, ale byłam zdenerwowana, więc wolałam mieć pewność, że niczego mi nie zabraknie. Najpierw zajęłam się nim. Złapałam nadgarstek i delikatnie owinęłam taśmą. Robiłam to niemal czule, jakbym bandażowała ranę. Zawijałam i zawijałam, a potem podniosłam jego rękę i przyłożyłam ją do żelaznej ramy łóżka, okręcając taśmą tak długo, aż ramię było trwale przymocowane. Wtedy powtórzyłam to samo z drugą ręką.

Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Ojciec już się wiercił, było mu niewygodnie, więc musiałam się śpieszyć.

Lewą rękę matki załatwiłam szybko, ale przy prawej się obudziła, a przynajmniej tak mi się wydawało. Otworzyła oczy i spojrzała prosto na mnie. Lubię myśleć, że zrozumiała, co się dzieje, i poddała się temu. Dała mi swoje przyzwolenie. Nieważne, po chwili znowu opuściła powieki i nie sprawiała już żadnych problemów.

Teraz oboje zostali mocno przywiązani do ramy, więc pobiegłam do kuchni. Mogłam zacząć hałasować. Liczył się czas. Złapałam folię spożywczą i wróciłam do pokoju. Widziałam coś takiego na filmie i zawsze się zastanawiałam, czy to działa.

Odwinęłam spory kawałek, a potem dołożyłam jeszcze drugą i trzecią warstwę. Weszłam na łóżko, usiadłam okrakiem na klatce piersiowej ojca, a potem delikatnie uniosłam jego głowę. Przyłożyłam mu folię do twarzy, a następnie szybko owinęłam naokoło kilka razy, aż w końcu jego oczy, nos i usta zostały całkowicie zakryte sprężystym, napiętym plastikiem.

Teraz zaczął się rzucać jak szalony. Otworzył oczy i patrzył na mnie jak na wariatkę. Próbował krzyczeć i uwolnić ręce. Musiałam naprawdę się postarać, żeby nie spaść z niego, ale nie zamierzałam rezygnować z chwili triumfu. Docisnęłam mocniej folię. Oczy miał wybałuszone, twarz fioletowo-brązową. Matka obok zaczęła się powoli ruszać, poirytowana i zaspana.

Ojciec słabł, a ja jeszcze mocniej przyciskałam folię. Ciągnęłam krawędzie już tak silnie, że bolały mnie ręce. Ale musiałam się upewnić, że zadziała. Musiałam go wykończyć.

Wtedy nagle przestał się ruszać. Matka już się obudziła i patrzyła na mnie zupełnie zdezorientowana. Uśmiechnęłam się do niej, a potem przyłożyłam folię do jej twarzy. Tym razem tylko jedną warstwę. Nie spodziewałam się walki.

Wkrótce wszystko się skończyło. Wstałam i zdałam sobie sprawę, że jestem mokra od potu. Zaczęłam się trząść. Nie czułam radości, co nieco mnie rozczarowało – myślałam, że wpadnę w euforię. Ale udało się. Załatwione.

099/117

Stała w sypialni i patrzyła na otaczającą ją ruinę. Poniszczone plakaty i sfatygowane meble, które niegdyś tu stały, dawno zniknęły – teraz leżały już tylko śmieci po ćpunach i włóczęgach, którzy nieustannie się tu pojawiali, odkąd budynek został skazany na potępienie.

Pokój niósł ze sobą tyle wspomnień. Dobrych, złych, potwornych. Za każdym razem, gdy pojawiał się w jej wspomnieniach, Helen przypominała sobie swój strach, dezorientowanie i poczucie beznadziejności, kiedy leżała bez ruchu, słysząc odgłosy gwałtu popełnianego na siostrze łożko niżej. Jako dziecko tak długo była bezsilna, że czuła się przedziwnie, stojąc w tym pomieszczeniu teraz, jako dorosła kobieta, do tego z pistoletem w ręku. To *wtedy* przydałaby jej się dorosła Helen. Ktoś, kto mógłby zaprowadzić porządek, zakończyć cierpienie i wymierzyć sprawiedliwość.

Może dałoby się tego wszystkiego uniknąć, gdyby ktoś – ktokolwiek – usłyszał jej wołanie o pomoc.

Piętrowe łożko zostało zepchnięte w dalszy róg pomieszczenia. Teraz nie było już tutaj niczego prócz wypłowiałego plakatu Britney Spears, niedawno porysowanego długopisem. Helen przemaszerowała na drugi koniec pokoju i zerwała zniszczony plakat. Przesuwając palcami po szorstkim tynku, szukała swoich inicjałów: J.H. Wyryła je w ścianie szkolnym cyrkiem wiele lat temu. Były wyrazem desperacji, w jakiej znalazła się jako dziecko – miały przetrwać, nawet gdyby jej się nie udało.

Helen pogrążała się w mrocznych wspomnieniach i wyszła z pokoju. Wkroczyła do drugiej sypialni, a potem do cuchnącej kuchni i zapleśniałego holu. Zdążyła już jednak zrozumieć, że niczego tu nie znajdzie. Była przekonana, że wizyta okaże się owocna, lecz musiała odejść stąd z pustymi rękami.

Po raz ostatni spoglądała na to miejsce. Zawahała się przez sekundę i obejrzała za siebie. Ciekawe, że nigdy nie brakowało chętnych do wynajęcia tego mieszkania, nawet po tym, co się stało tamtej nocy. Biedaków nie stać na

przesady i delikatność. Nowa rodzina wprowadziła się w ciągu tygodnia. Przez lata mieszkanie powoli niszczało i rozpadało się, aż w końcu stało się odpowiednie wyłącznie dla zwierząt. Może zasłużyło sobie na taki los.

Helen pośpiesznie opuściła budynek, a zrzędlivy strażnik wrócił do swojej zimnej herbaty. Usiadła na chwilę na motorze, zastanawiając się nad następnym krokiem. Instynkt zawsze dobrze jej podpowiadał, ale tym razem ją zawiódł. Nie miała innego wyjścia, jak sięgnąć po inne możliwości. Sprawdzić każde powiązanie.

Włączyła telefon, który natychmiast poinformował ją o dużej liczbie nieodebranych połączeń. Niepokój zmienił się w przerażenie, gdy wysłuchała pierwszej wiadomości Bridgesa.

Mark i Charlie zniknęli.

100/117

Przez chwilę cieszyła się wolnością. Udała się do centrum handlowego i właśnie biegła do windy. Jej matka stała tuż przy drzwiach, rozmawiając z ochroniarzem i upominając go w kwestii jego obowiązków. Nigdy wcześniej widok matki tak jej nie ucieszył. Pobiegnęła do niej, a kiedy znalazła się bliżej, ochroniarz odwrócił się w jej stronę, ale nie potrafił powiedzieć ani słowa, po prostu gapił się na nią, jęcząc, jęcząc, jęcząc...

Charlie obudziła się przestraszona. Ponura rzeczywistość zwała się na nią całym swym ciężarem. Mark leżał obok na podłodze, jęcząc, jęcząc, jęcząc... Charlie zdusiła gniew – w końcu to nie jego wina. Rana na głowie okazała się paskudna, a nie mieli możliwości, by ją opatrzyć. Na początku Charlie wykorzystwała ślinę i rękaw, żeby ją nieco oczyścić. Później martwiła się, że w ten sposób tylko wtarła w nią więcej brudu. Mark był w kiepskim stanie jeszcze zanim zostali porwani – za dużo pił, za mało spał – a utrata krwi dodatkowo go osłabiła. Teraz miał głęboką ranę z pierwszymi oznakami infekcji. Najwyraźniej pojawiła się też gorączka. Co zrobią, gdy poważnie zachoruje?

Odsuwając od siebie tę myśl, Charlie zerknęła na zegarek. Jak długo spała? Za krótko. Czas posuwa się do przodu bardzo wolno, kiedy już stracisz nadzieję. Pierwszego ranka oboje byli bardzo aktywni, nawet optymistycznie nastawieni, zafiksowani na znalezieniu wyjścia z pułapki. Postanowili spać w nocy i pracować za dnia. Następnego ranka wykorzystali sprzączki od pasków, żeby popracować nad zawiasami, ale bez skutku. W końcu sprzączki pękły, a wraz z drugim popołudniem ich niewoli pojawiły się rozpacz i apatia.

Charlie nigdy wcześniej nie czuła się tak brudna, tak obrzydliwa i zupełnie bezsilna. Niewielkie więzienie już zrobiło się odpychające. Postanowili wypróżnić się i (w jej przypadku) wymiotować w kącie. Charlie trzymała się tego założenia, w trakcie porannych mdłości opróżniając i tak już pusty żołądek nad śmierdzącą podłogą. Mark najwyraźniej był już zbyt słaby, żeby dotrzymać obietnicy. Właśnie się wypróżnił i nozdrza jego towarzyszkę wypełnił smród.

Natychmiast poczuła przyływ mdłości i pobiegła w kąt, gdzie zwymiotowała długą strużkę żrącej żółci. Skurcze powtórzyły się jeszcze dwukrotnie, a potem w końcu przyszedł spokój. Nagle poczuła potworne palenie w gardle – niepołamowane, mordercze pragnienie. Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając jakiegokolwiek źródła wilgoci; cały czas tarła oczy, próbując wycisnąć z nich słone łzy. Niestety bez powodzenia – wypłakała już wszystkie. Nie mieli już...

Jakiś ruch. Kątem oka zobaczyła jakiś ruch. Bała się spojrzeć w tamtą stronę, niepewna tego, co zobaczy, jednak powoli odwróciła głowę. I zobaczyła go. Wielkiego, tłustego szczura.

Pojawił się znikąd. W oczach Charlie był zwiastunem nadziei, niczym oaza na pustyni. Jedzenie. W myślach już zatapiała zęby w jego ciele, odrywając mięso od kości, kojąc bolący z głodu żołądek. Biorąc pod uwagę wielkość zwierza, mogłoby wystarczyć dla nich dwojga.

Musiała być ostrożna. Nie mogła się śpieszyć; od tego mogło zależeć ich życie. Charlie zsunęła kurtkę z ramion – może nie była to najlepsza sieć, ale nie miała nic innego.

Krok do przodu. Szczur nagle podniósł oczy i zaczął wpatrywać się w ciemność. Kobieta zamarła. Zwierzę chwilę węszyło, a potem wróciło do skubania; ostatecznie jednak chciwość wygrała z ostrożnością.

Kolejny krok. Tym razem szczur się nie ruszył.

I jeszcze jeden krok. Charlie była już blisko.

I ostatni. Teraz praktycznie stała już nad nim.

Skoczyła do przodu, przykrywając zwierzę kurtką. Szczur rzucał się wściekle, a Charlie uderzała w szamoczące się wybrzuszenie pięścią. Wreszcie przestało się ruszać. Czyżby jej się udało? Grzmotnęła jeszcze raz, dla pewności, a potem rozluźniła lekko uścisk, żeby sprawdzić. Szczur wyskoczył spod kurtki w desperackiej próbie ucieczki. Charlie próbowała złapać go za ogon, ale wyslizgnął się spomiędzy jej palców. Wybiegł przez szparę w ścianie.

Kobieta wstała. To, co przed chwilą zrobiła, było tak rozpaczliwe, że aż śmieszne. Brzuch bolał ją z głodu, a w gardle paliło żywym ogniem. Musiała coś znaleźć. Potrzebowała ulgi, potrzebowała jedzenia.

Poddała się i zdecydowała się na coś, mimo że przysięgała, iż nigdy tego nie

zrobi. Zsunęła majtki i nasikała na złożone dłonie, a potem wypła ciepły płyn duszkiem.

101/117

Winili ją? Czy tylko tak jej się zdawało? Charlie i Mark zaginęli dwie doby temu, a niepokój zespołu powoli przeistaczał się w szok i rozpacz. Kiedy Helen zaczęła kierować poszukiwaniami, ludzie rzucali jej oskarżające spojrzenia, jakby jednogłośnie uznali, że to wszystko przez nią.

Ostatni zapis GPS z telefonów Marka i Charlie pokazywał Spire Street, miejsce, w którym rzekomo ostatnio widziano Tanner. Potem jednak ani śladu. Wyłączyli komórki oraz radia i nie komunikowali się więcej z kolegami z komisariatu. Z początku funkcjonariusze mieli nadzieję, że doniesienie o Tanner było prawdziwe i jakimś cudem Charlie i Mark wciąż ją ścigali, ale wkrótce stało się jasne, że się łudzą. Nie doszło do żadnej próby kradzieży, a ich kolegów celowo zwabiono w pobliże szpitala. Śmierdziało zasadzką. Wszyscy myśleli o tym samym – czyżby *ona* ich dorwała?

Sprawdzili każdy budynek na Spire Street, rozmawiali z właścicielami wszystkich sklepów w okolicy i z każdym przechodniem; w czasie drugiego okrążenia wokół szpitala dziecięcego mundurowy o sokolim wzroku wypatrył luźną deskę na jednym z okien. Na parapecie znaleźli świeże ślady błota, jakby ktoś dopiero co tamtędy wchodził. Helen chciała natychmiast posłać tam funkcjonariuszy, ale przełożeni nie pozwolili jej na to bez wsparcia taktycznego.

Zmobilizowanie uzbrojonej jednostki wymagało frustrująco dużo czasu, jednak po tym, jak Helen objechała równo kogo trzeba, wreszcie pędzili do szpitala. Budynek był duży i miał wiele wyjść, więc musieli zadbać, by Suzanne im się nie wymknęła. Oczywiście o ile w ogóle tam była.

Weszli do środka tak cicho i ostrożnie, jak tylko potrafili. Uzbrojeni policjanci zajęli pozycje, a Helen, Bridges i tuzin innych funkcjonariuszy ruszyło za nimi. Mieli ogromną przestrzeń do przeszukania, ale wiedzieli, że jeśli się rozdziela, powinni uwinąć się dość szybko; cały czas mieli też utrzymywać kontakt przez radio.

Helen czuła napięcie we wszystkich mięśniach. Wiedziała, że musi jakoś

zapanować nad nerwami – wzburzenie prowadziło do złych decyzji, zwłaszcza gdy miało się glocka w ręku. Dzień był wietrzny i podmuchy świszczące między rozbitymi szybami sprawiały, że wewnątrz budynku wydawało się nieziemskie, a nawet nawiedzone. Ogarnij się, powiedziała sobie w duchu Helen. Nie doszukuj się w cieniach rzeczy, które nie istnieją.

Trudno o spokój, kiedy stawka jest tak wysoka. To wszystko jej wina. Nie dlatego, że stała się przyczyną morderstw, tylko dlatego, że namówiła Marka na powrót do pracy. Gdyby dała mu spokój, pewnie zostałby z niego wrak, ale *bezpieczny* wrak. A tymczasem jego powrót do zespołu obył się bez gniewu i wzajemnych oskarżeń, ponieważ wierzył w to, co robił i – mimo wszystko – wierzył także w nią. Jakże gorzkie żniwo zebrało jego oddanie!

Weszła sama na górę, łamiąc protokół. Zajrzała do pierwszego pomieszczenia. Puste i zapomniane, pogrążone w ciemności i pokryte kurzem. Helen odbezpieczyła pistolet. Instykt mówił jej, że siostra była zbyt cwana, by ryzykować natknięcie się na oddział specjalny. To Helen ścigała. Inspektor podniosła broń i wystawiła głowę za próg kolejnego pokoju, przekonana, że zaraz stanie twarzą w twarz ze swoją nemezis.

Nagle odezwało się radio. Bridges. Wydawał się raczej podekscytowany niż zaniepokojony. Usłyszał jakiś hałas dochodzący z piwnicy. Właśnie szedł to sprawdzić. Helen natychmiast odwróciła się i pobiegła na schody.

Pędząc w stronę odgłosów, Bridges nie spodziewał się zobaczyć przed sobą Helen. Zawsze był dumny z tego, jak szybko potrafił się poruszać, ale jego zwierzchniczka wpadła w jakiś trans. Starła się zachować spokój, jednak Bridges widział, jak napięte miała nerwy. Teraz, napędzana strachem i gniewem, zamierzała sama zakończyć ten koszmar.

Kiedy dotarli na dół schodów, zobaczyli rozchodzący się na cztery strony korytarz. Radio znowu zatrzeszczało i Bridges wyłączył je, uciszony ostrym spojrzeniem Helen. Nadstawili uszu.

Prosto przed nimi. Hałas zdecydowanie dochodził z korytarza na wprost. Pobiegli. Pierwsze drzwi okazały się zamknięte na klucz, ale dźwięki zdawały się dobiegać z dalszego punktu. Znowu ruszyli. Odgłosy powtarzały się – łup, łup, łup. Dochodziły z następnego pomieszczenia. Drzwi zamknięto, ale policjanci i tak dostaną się do środka. Musieli.

Helen krzyknęła w nadziei na odpowiedź, a Bridges pobiegł po taran. Wrócił niecałą minutę później z kolejnymi funkcjonariuszami. Wykorzystując swoje ramię, próbował złamać zamek ciężkich, metalowych drzwi. W przód i w tył, w przód i w tył; w końcu drzwi zaskrzypiały i puściły. Helen odepchnęła je na bok i razem z Bridgesem wpadli do środka.

Niczego jednak nie znaleźli.

Wyłamane okno wiszące na zawiasach wystukiwało rytm, odbijając się na wietrze od metalowej ramy.

102/117

Chciał umrzeć.

Dla Marka śmierć byłaby wybawieniem, ulgą od bólu męczącego jego ciało. Próbował zwalczyć gorączkę, koncentrować się na tym, co tu i teraz, próbować znaleźć jakiś sposób na ucieczkę, ale w ten sposób przyprawił się tylko o większy ból głowy, więc wybrał letarg.

Ile czasu potrzeba, by umrzeć z głodu? Za dużo. Stracił poczucie czasu, ale miał pewność, że ich niewola trwała jakieś trzy doby. Nieustannie czuł skurcze żołądka, gardło mu spuchło i piekło, ledwo miał siłę, żeby się podnieść. Aby czas szybciej leciał, zaczął przywoływać wspomnienia z dzieciństwa, myśli o szkole przypominały mu jednak *Raj utracony*, poemat czytany (i nielubiany) przez niego w szkole średniej. Czuł się jak bohater tej koszmarnej wizji, przechodzący niekończące się tortury mroźnych nocy i paskudnych potów, jakie wywoływała u niego gorączka za dnia. Nic nie dawało ulgi.

Wiedział, że temperatura jego ciała cały czas wzrasta. Miewał lepsze i gorsze chwile. Czasami był świadomy i mógł rozmawiać z Charlie, a czasami wiedział, że bełkocze niezrozumiale. Czy na pewnym etapie całkiem straci kontakt z rzeczywistością? Odsunął tę myśl od siebie.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć tyłu głowy. Rana była szeroka i głęboka; właśnie badał ją swoimi brudnymi palcami.

– Zostaw to, Mark. – Głos Charlie przebił się przez ciemność. Nawet po trzech dniach w czyścicu wciąż się o niego martwiła. – Tylko pogorszysz sprawę.

Ale Mark zignorował ją, ponieważ poczuł jakiś ruch pod palcem. Jego rana ożyła. Przyciągnął z powrotem dłoń i podsunął pod nos. Robaki. W jego ranie zagnieździły się robaki.

Włożył palce do ust i zlizął żyłtka. Poczuł się dziwnie, gdy przechodziły mu przez gardło. Dziwnie, ale dobrze. Wyciągnął jeszcze kilka z rany i położył na język.

Charlie już się zbliżała. Usiadła na podłodze obok niego. Mark zawahał się – raz

jeszcze odezwały się w nim poczucie koleżeństwa i zwykła przyzwoitość. Niepewnie wyciągnął z rany dwa palce oblepione robakami i włożył Charlie do ust. Delektowała się nimi, zostawiając je chwilę na języku, a potem sięgnęła jeszcze po kilka.

Skończyły się za szybko. Już było po robaczanym obiedzie. Teraz ich żołądki pulsowały z głodu – maleńkie kęsy tylko przypomniały ich wnętrznościom, jak bardzo są puste. Więcej. Więcej. Więcej. Ich żołądki chciały więcej. Ich żołądki *potrzebowały* więcej.

Ale nic już nie mogli im dać.

103/117

Przeszukali każdy centymetr terenu w promieniu trzech kilometrów od szpitala, ale nie znaleźli nawet śladu po Marku i Charlie. Natrafili za to na świeżą krew w korytarzu na czwartym piętrze. Badania potwierdziły, że należała do Marka. McAndrew popłakała się; nie była jedyną wyraźnie przygnębioną osobą z zespołu. Helen nie zdawała sobie dotychczas sprawy, jak bardzo wszyscy lubili Marka. Nic dziwnego, że jej teraz nienawidzili.

Mark i Charlie zostali podstępnie zwabieni do szpitala, zaatakowani, a potem przeniesieni gdzieś indziej. W najbliższym otoczeniu budynku nie było żadnych kamer monitoringu. Na niedalekiej, bardziej uczęszczanej ulicy nagrano wiele samochodów dostawczych, ale który należał do ich zabójczyni? Gdzie ich zabrała? Z pewnością na tym obszarze dało się znaleźć mnóstwo opuszczonych budynków i magazynów. Mundurowi już zaczęli je po kolei sprawdzać, a Helen zażądała, by robili to w obecności psów. Szukali też wszelkich potencjalnych świadków, intensywnie przepytując okolicznych mieszkańców. Każdy, kto zachowałby się podejrzanie, miałby na głowie ekipę śledczych przeszukujących jego dom od piwnicy aż po dach. Dla dobra sprawy funkcjonariusze rozebraliby każdy budynek na kawałki. *Musieli znaleźć Marka i Charlie.*

Helen zaryzykowała założenie, że wciąż znajdują się w okolicy. Suzanne mogła przewieźć ich gdzieś indziej, ale ponieważ wszystkie jednostki policji zostały ostrzeżone, miała o wiele trudniejszą sytuację niż w przypadku poprzednich ofiar. Z pewnością nie chciała teraz popełnić błędu, więc musiała działać ostrożnie. Wszystkie oczy i uszy w Southampton, Portsmouth i dalej powinny jej teraz szukać. Helen zdążyła już złożyć podanie o dodatkowych funkcjonariuszy z sąsiednich jednostek oraz ze straży miejskiej, a także anulowała urlopy wszystkim w centrali Southampton. Niestety to wciąż było za mało.

Istniała jeszcze jedna możliwość. Emilia Garanita dowiedziała się o zakończonej niepowodzeniem akcji w dawnym szpitalu dziecięcym. Zirytowana, że nikt nie powiadomił jej na czas, nieustannie wydzwaniała do

Helen, rozpaczliwie domagając się informacji, dlaczego zorganizowano akcję i skąd tyle ruchu od tamtej pory. Czyżby szukali Suzanne? Czy były kolejne ofiary?

Ryzykowny krok, ale Helen nie miała innego wyjścia. Nastął czwarty dzień poszukiwań i wciąż nie mieli nic. Dlatego sięgnęła po telefon i wybrała numer Garanity.

104/117

Emilia Garanita uwielbiała swój zawód. Co prawda wielu przedstawicieli prasa otwarcie gardziło dziennikarzami lokalnymi, pracowała do późna i płacono jej żenujące stawki, ale w jej oczach nie miało to znaczenia. Uzależniła się od adrenaliny, nieprzewidywalności i podniecenia, jakie ta praca dawała jej na co dzień.

Oprócz tego chodziło jeszcze o władzę. Nawet jeśli politycy, policjanci i radni traktowali prasę z góry, tak naprawdę się jej bali. W bardzo dużym stopniu liczyli na przychylną opinię publiczną, by piąć się po szczeblach kariery, a to właśnie Emilia i jej koledzy po fachu mówili ludziom, co mają myśleć. Czuła teraz tę władzę, siedząc naprzeciwko Helen Grace. To Emilia wybrała miejsce spotkania i ona ustalała, o czym będą mówić. Grace potrzebowała pomocy, więc nie będzie już kłamać i ukrywać faktów.

- Dwoje naszych zaginęło - zaczęła szybko detektyw. - Charlie Brooks i Mark Fuller, chyba znasz ich oboje. Prawdopodobnie zostali porwani; potrzebujemy pomocy twojej i twoich czytelników, żeby ich znaleźć.

Kiedy Grace ciągnęła dalej, Emilia poczuła znajome mrowienie. Istniał jeszcze jeden plus bycia reporterką - w każdej chwili mógł wpaść ci w ręce naprawdę gorący temat, prawdziwa bomba. Właśnie w takie dni ciężka harówka zostaje wynagrodzona. Wszystkie te godziny spędzone na relacjonowaniu spraw z sądu rejonowego - akty wandalizmu, bójki, włamania - to cena, jaką trzeba zapłacić, by dostać *prawdziwy* temat. A kiedy wreszcie się pojawi, lepiej być przygotowanym. Właśnie na takich historiach można zdobyć sławę.

Emilia nie mogła nadążyć z pisaniem, nawet wykorzystując stenografię. To, w jaki sposób rozwinęło się to śledztwo, było niesamowite. Oczami wyobraźni już widziała swój artykuł... A mieć taki temat przed prasą ogólnokrajową to prawdziwy skarb.

Emilia obiecała zrobić wszystko, co w jej mocy, więc Grace wyszła. Powiedziała, że jest zadowolona z rezultatów ich „pogawędki”, ale zdaniem

Emilii wyglądała na nieco chorą. Żadna kobieta nie czuje się komfortowo, prosząc o pomoc inną kobietę albo grając drugie skrzypce. Solidarność jajników nie istnieje.

Popędziła do biura. Nerwowe podniecenie, które czuła wcześniej, teraz ustąpiło miejsca dziwnemu spokojowi. Dokładnie wiedziała, co robi.

Przez całą karierę używała dziennikarstwa jako broni – żeby obnażyć, zranić lub zniszczyć tych, którzy sobie na to zasłużyli.

Tym razem nie miało być inaczej.

105/117

Była 6:30 rano i słońce nie chciało wstać. Gęsta mgła spowijała Southampton, idealnie dopasowując się do nastroju Helen. Kobieta zatrzasnęła za sobą drzwi frontowe, wsiadła na motor i ruszyła do centrum, niepotrzebnie dociskając mocno gaz.

Minęło kolejnych trzydzieści sześć godzin i nadal żadnych wieści. Nie, to nieprawda, pojawiło się mnóstwo „wieści”, ale żadne pomocne. Od czasu spotkania z Emilią Helen ciągle walczyła z wyrzutami sumienia, obawiając się, że popełniła błąd. Choć nie miała za bardzo wyboru (prasa musiała zostać poinformowana), mogła tylko pogorszyć sytuację. Widziała się z Emilią późnym wieczorem, więc artykuł z następnego ranka był sensacyjny, ale ubogi w szczegóły. Dzisiejsze wydanie „Evening Post” z pewnością okaże się zupełnie inne.

Egzemplarz gazety leżał już na biurku Helen, kiedy pojawiła się w biurze. Ktoś chciał jej pomóc czy dokuczyć? Pominęła krzykliwy nagłówek i przeszła prosto do dalszej części artykułu. Okazał się potworny. Autorzy rozpływali się nad makabrycznymi szczegółami zbrodni, wyjaśniając czytelnikom, jak wyglądają kolejne etapy głodu i odwodnienia, spekulując, który z funkcjonariuszy przetrwa dłużej i co może spowodować ich śmierć. Dla mniej pojętych mieli nawet pomocną infografikę – rozpiskę fizycznego i psychicznego upadku – przedstawiającą prognozę tego, jak Charlie i Mark czuli się pierwszego, drugiego, trzeciego, czwartego i piątego dnia. Dalsze pozostawały pod znakiem zapytania.

Pośród tych wszystkich chorobliwie makabrycznych opisów pojawił się numer policyjnej gorącej linii, który miał być celem publikacji. Zgodnie z przewidywaniami, telefony rozdzwoniły się natychmiast. Czytelnicy ekscytowali się niezwykłą historią, nie mogło być inaczej. Większość ludzi tylko rozpaczliwie próbowała zwrócić na siebie uwagę, czym wywołali wściekłość Helen.

Kiedy usiadła z chłopakiem Charlie i rodzicami Marka, nie była w stanie ukoić

ich bólu. Sensacyjne doniesienia z „Evening News” sprawiły, że szaleli z niepokoju i wyładowywali swój gniew na Helen. Musiała być szczerą wobec nich, jeśli chodzi o szanse przeżycia ich najbliższych, jednocześnie obiecała, że zrobi wszystko, by ich odnaleźć. Jednak na twarzach Steve’a i Fullerów widziała tylko szok, jakby naprawdę nie potrafili zrozumieć tego koszmaru i tylko czekali, aż się obudzą.

Helen rozpaczliwie próbowała podzielić się z nimi jakimiś dobrymi wieściami, żeby podnieść ich na duchu, ale nie było sensu kłamać. Wiedziała, że Mark i Charlie są silni, lecz nie zmieniało to faktu, że nikt nie widział ich od tygodnia. Kto wie, w jakim stanie znajdowali się teraz? Albo jak długo zdołają wytrzymać? To w końcu tylko ludzie.

Czas pędził nieubłaganie, a każda minuta była na wagę złota.

Charlie próbowała wstać, ale kiedy tylko się podniosła, zakręciło jej się w głowie. Poczula się jak pijana i klapnęła na tyłek. Odwróciła głowę na bok, bo ponownie poczuła skurcze żołądka... i nie miała czym zwymiotować. Już od paru dni zresztą.

Umierała z głodu. Wiele razy beztrąsko używała tego określenia, dopiero teraz jednak poznała jego prawdziwe znaczenie. Powtarzająca się biegunka, skurcze organów wewnętrznych, czerwona wysypka na całym torsie i doprowadzająca do szału popękana skóra naokoło ust, na łokciach i kolanach. Miała wrażenie, jakby się rozpadała. Niedługo zostanie z niej niewiele więcej niż szkielet. Robaki już dawno się skończyły. Mark zapewne umrze, zanim wróci.

Po drugiej stronie pomieszczenia jej towarzysz zaczął nucić piosenkę *Miałem małe drzewko orzecha* w ramach akompaniamentu. Już od kilku dni śpiewał pod nosem rymowanki dla dzieci. Może słyszał je od matki, a może sam usypiał nimi córkę...

Nieważne, słowa zupełnie do siebie nie pasowały, melodię też mylił. Tak naprawdę po prostu wydawał dźwięki, udowadniając sobie, że wciąż żyje. Kogo próbował nabrać?

Charlie rozejrzała się po więzieniu po raz setny i po raz setny zobaczyła te same cztery ściany. Smród był już nie do zniesienia. Odchody, pot i wymioty tworzyły razem obrzydliwą mieszankę. Poza tym robiło im się potwornie zimno. Charlie próbowała owinąć szczękającego zębami Marka otuliną, ale ta bardzo go drażniła i zaraz spadała.

Kobieta zastanawiała się nad zjedzeniem jej, ale wiedziała, że nie zdoła utrzymać tego w żołądku, a nie chciała już więcej wymiotować. Dlatego tylko siedziała, pogrążona w mrocznych myślach.

Oparła głowę o twardą, zimną ścianę. Przez chwilę chłód ją ukoił. A więc w takim grobie spocznie. Nigdy już nie zobaczy Steve'a. Nigdy nie zobaczy rodziców. I, co najgorsze, nigdy nie zobaczy swojego dziecka.

Nie było sensu czekać na zbawienie. Nie spodziewała się już ratunku. Teraz mogli już tylko wypatrywać śmierci.

Chyba że... Z głową przy ścianie, Charlie mocno zacisnęła powieki. Wiedziała, że pistolet leżał niedaleko, ale nie chciała na niego patrzeć. Jakże łatwo byłoby podejść i go podnieść! Mark nie mógłby jej powstrzymać, wszystko skończyłoby się w mgnieniu oka.

Zagryzła boleśnie wargę. Byle nie myśleć o tym. Nie zrobi tego. Nie może. Ale nie potrafiła zająć umysłu niczym innym.

107/117

Wojna na wyniszczenie. Inni może odsunęliby się od tego zadania, wysyłając na linię frontu jakiegoś kozła ofiarnego. Ale Helen wiedziała, że sama była winna aktualnej sytuacji, więc nie miała innego wyjścia, jak ruszyć na rzeź.

Otoczona z dwóch stron powiększonymi zdjęciami Marka i Charlie, właśnie informowała prasę ogólnokrajową o sytuacji, namawiając wszystkich, którzy mieli jakieś podejrzenia, o skontaktowanie się z policją. Artykuł Emilii w „Evening News” rozpętał burzę. Każdy większy tabloid ze Zjednoczonego Królestwa wysłał swojego reprezentanta na spotkanie, a oprócz nich pojawili się też dziennikarze z Europy, Stanów Zjednoczonych i innych miejsc z całego świata.

Nie mogli się już ukrywać. Polowali na seryjnego mordercę. Właśnie na taką publiczną deklarację czekała Emilia Garanita, dokładając teraz swoją cegiełkę do koszmaru i wzywając Helen do rezygnacji ze stanowiska. Żądała oficjalnego śledztwa w sprawie udziału inspektor Grace w śledztwie. W „Evening News” właśnie pracowano nad kolejnym artykułem, w którym zamierzano wymienić wszystkie kłamstwa, półprawdy, wykręty i niekompetencje, jakie ich zdaniem dotychczas charakteryzowały prowadzenie sprawy. Helen nie próbowała się przed tym bronić. Informacja zostanie przekazana ludziom. Poniesione przez nią koszty zawodowe nie grały roli.

Zamierzała zostać na komisariacie całą noc, żeby w pracy dać upust swojej wściekłości i frustracji, ale zmartwieni współpracownicy w końcu namówili ją do powrotu do domu przynajmniej na godzinę czy dwie. Wszyscy zapracowywali się na śmierć, a ona niebezpiecznie zbliżała się do pewnej granicy.

Helen pojechała na motorze do siebie, utrzymując stałą prędkość. Wciąż była nieco roztrzęsiona i rozbita. W domu wzięła prysznic i przebrała się. Poczła się świeżo i natychmiast dostała zastrzyk energii, a nawet, co jeszcze bardziej absurdalne, zaczęła mieć nadzieję.

Przez krótką, cudowną chwilę czuła pewność, że znajdzie ich żywych.

Ale kiedy wyjrzała przez okno na ponure nocne niebo, jej optymizm zaczął topnieć. Szukali już *wszędzie* i wciąż nic. Kiedy policja hrabstwa Hampshire zaglądała do każdego kąta Southampton, Helen skontaktowała się ze swoimi dawnymi kolegami z policji metropolitalnej. Może jej siostra dla swoich ostatnich ofiar wybrała jakieś szczególne miejsce? Może chciała zaśmiać się po raz ostatni w jakiejś „fajnej” lokacji? W mieście znajdowały się opuszczone magazyny, w których kiedyś wybijały szyby; cmentarz, na którym kiedyś się upijali; szkoły, z których uciekały; przejścia podziemne, gdzie obserwowały jeżdżących na deskach chłopaków. Poprosiła, by wszystkie te miejsca zostały przeszukane.

Ale dotychczas niczego nie znaleziono. W dalszym ciągu przygniatająca pustka. Ta sama osłabiająca frustracja. Mark i Charlie umierali gdzieś z głodu, a Helen nic nie mogła na to poradzić.

Wytrzymała w mieszkaniu dziesięć minut, a potem wymaszerowała na zewnątrz i popędziła z powrotem do centrum operacyjnego. Gdzieś na pewno został jakiś ślad. A Helen musiała go znaleźć.

108/117

Dziecko nie chciało przestać krzyczeć.

Charlie wciąż wyobrażała sobie, jak maleństwo leży w jej brzuchu. Jakimś cudem wiedziała, że to dziewczynka. Kiedy o niej myślała, w jej głowie pojawiał się mały człowiek z osobowością i potrzebami, a nie zbitka komórek. Wydawało jej się, że słyszy, jak woła o jedzenie, zdezorientowana i zestresowana brakiem pożywienia od matki. Przecież nie tak to miało być. Czy też z głodu czuła skurcze w małym brzuszku, jak jej matka? Może nawet jeszcze nie ma żołądka, pomyślała Charlie, ale nie mogła wybić sobie tej myśli z głowy. Głodzę własne dziecko. Głodzę własne dziecko.

Mark i Charlie sami przyczynili się do tej sytuacji. To ich należało winić. Ale dziecko jest niewinne. Czyste i niewinne. Dlaczego miało płacić tak wysoką cenę? Wściekłość na własną głupotę pobudziła ją. Przynajmniej jej woła pozostawała silna, w przeciwieństwie do wychudzonego, bezużytecznego ciała.

Próbowała zdusić gniew. Starła się zasnąć, ale noc była długa i zimna, i cicha. Charlie chciała spać, ale dziecko nie przestawało krzyczeć.

Krzyczeć, by podniosła broń.

Zespół został poinformowany o zadaniach i odprowadzony. Kiedy Bridges, Sanderson i reszta wyruszyli w teren, Helen została w centrum operacyjnym. Ktoś musiał koordynować poszukiwania zakrojone na tak wielką skalę, poza tym miała paskudne przeczucie, że coś przeoczyła, i chciała jeszcze raz przejrzeć wszystkie akta.

Wcześniej podążyła za bardzo niewyraźnym śladem. Każda rada miejska w południowej Anglii została zawiadomiona, a urzędnicy właśnie przeglądali wykazy terenów przemysłowych oczekujących na odbudowę albo rozbiórkę. Skontaktowano się również z władzami portowymi i w tej chwili powstawała lista wszystkich nieużywanych magazynów oraz statków. Sprawdzano nieruchomości pod wynajem, ale mogli przerobić tylko te najświeższe... a kto powiedział, że Suzanne nie mogła wynająć czegoś kilka tygodni wcześniej?

Poszukiwania były dokładne i rozległe, mimo to Helen miała poczucie bezsensowności tego wszystkiego. Jeśli więzienie Charlie i Marka zostało wybrane przypadkowo, jakie mieli szanse na odnalezienie go? Bała się porażki. Nie mogła też oprzeć się wrażeniu, że odpowiedź znajduje się tuż pod jej nosem, dlatego wróciła do listy najważniejszych miejsc z dzieciństwa. Zawsze wzorowała się na Marianne, silniejszej z ich dwójki, i nie odstępowała jej na krok. Wszyscy powtarzali, że tam, gdzie znajdziesz Marianne, znajdziesz i Jodie. Zmieniając swoje imię i całe życie, Helen próbowała wyjść z tego cienia, teraz jednak raz jeszcze poczuła go na sobie, wpadając w ciemność i rozpacz.

Podczas czytania raportu na temat Arrow Security Helen po raz pierwszy poczuła ten dreszcz emocji, jaki towarzyszy odkryciu nowego śladu. W czasach równouprawnienia obecność kobiety wśród ochroniarzy nie powinna budzić zaciekawienia. Ale ilu ochroniarzy płci żeńskiej widuje się naprawdę? Co więcej, ta konkretna zatrudniła się w firmie zaledwie dwa miesiące wcześniej. Zostały jej przydzielone budynki w Croydon i Bromley^[5], ponieważ właśnie tam mieszkała. Jednak jej referencje wyglądały podejrzanie – jakby były podrobione –

i po krótkiej konsultacji z urzędnikami okazało się, że podany przez nią adres jest fałszywy.

Helen przefaksowała firmie Arrow zdjęcie z policyjnej kartoteki Marianne oraz drugie, komputerowo postarzone, i natychmiast uzyskała odpowiedź od jej zaniepokojonych pracowników. Kobieta z fotografii mogła być ich nową ochroniarz, która przedstawiła się jako Grace Shields.

Grace. Nie mogła mieć już żadnych wątpliwości. Ale czy to oznaczało „pierdol się”, czy „podejź bliżej”? Helen wybrała tę drugą możliwość i raz jeszcze ruszyła w pośpieszną drogę do Chatham Tower. Nie mogła mieć pewności, czy i kiedy miała znaleźć to powiązanie według planów siostry, ale i tak nie miała wyjścia. Bez względu na to, czy Marianne znajdowała się gdzieś w Chatham Tower, mogli tam być Mark i Charlie, a ona zamierzała ich znaleźć.

Pędząc na północ, Helen poczuła przypływ nadziei. Właśnie zbliżała się do końca gry.

110/117

Kiedy mnie zabierali, padał deszcz.

Nie zauważyłam tego, gdy wsadzali mnie do radiowozu, ale kiedy siedziałam z tyłu jak zwykły przestępca, zauważyłam niebieskie światła odbijające się w kałużach na ulicy.

Czułam się otepiała. Psychologowie powiedzieliby, że to szok po zabójstwie, ale ja w to nie wierzyłam. Może i szok, ale nie z powodu traumy. Chcieli, żebym z nimi rozmawiała, ale ja nie miałam ochoty, nie mogłam wymówić nawet słowa. Powoli zamykałam się w sobie. Dla mnie był to początek końca.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak gapi się na mnie z progu. Owinęli ją kocem; jakiś pracownik społeczny kręcił się koło niej, ona jednak tylko patrzyła prosto przed siebie, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Ale się stało i właśnie przez nią. To ona zniszczyła naszą rodzinę, nie ja.

To o mnie pisali paskudne rzeczy, dostałam wyrok, opluto mnie i szkalowano. Ale to ona popełniła prawdziwą zbrodnię i dobrze o tym wiedziała.

Widziałam to w jej oczach, kiedy mnie wywozili. Stała się Judaszem, nie, gorzej niż Judaszem. On zdradził swojego przyjaciela. Ona zdradziła własną siostrę.

111/117

Zrób to teraz, szybko. Miej to już z głowy.

Mark zmusił się do ruchu, zbierając resztki sił. Ale gorączka szalała, bolało go całe ciało i okazało się, że ledwo może poruszać nogami. Nie ma wymówki.

Charlie leżała po drugiej stronie pomieszczenia. Płakała i krzyczała. Czyżby traciła zmysły? Zazwyczaj tak spokojna, tak ciepła, teraz zdawała się pełna wściekłości i gniewu, sycząca harpia na prostej drodze do szaleństwa. Kto wiedział, co właśnie działo się w jej głowie?

Pistolet leżał w jednakowej odległości od ich obojga. Mark nie mógł odwrócić od niego wzroku. Teraz, gdy już spróbowali wszelkich sposobów na ucieczkę, broń stała się jedynym rozwiązaniem.

Podniósł się na łokciach. Natychmiast ugięły się pod nim i wylądował z powrotem na podłodze, uderzając brodą o zimny kamień. Wściekły, spróbował jeszcze raz, wytężając każdy mięsień, żeby unieść swój szkielet z ziemi. Tym razem mu się udało, dzięki podciągnięciu kolan pod klatkę piersiową. Ostry ból przeszedł całe jego ciało, które buntowało się przeciwko niemu; nie pozwolił mu wygrać.

Jeszcze raz zerknął z ukosa na pistolet. Teraz musiał poruszać się powoli, bez nagłych ruchów. Ostrożnie przeniósł ciężar ciała na pośladki, żeby znowu usiąść. Nagle wyprostowana postawa przyprawiła go o zawroty głowy; oczami wyobraźni zobaczył wspomnienie Elsie kładącej zimny ręcznik na jego czole, by ulżyć mu w posylwestrowym kacu. Słodki z niej aniołek. Jego aniołek.

Broń leżała półtora metra dalej. Jak szybko może pokonać ten dystans? Skoro wreszcie podjął tę decyzję, nie może się wycofać. Chwila zwłoki i jeszcze nabierze wątpliwości. Moment niepewności i jego ciało może odmówić współpracy. Nie może pozwolić, by w ostatniej minucie powstrzymały go obiekcje.

Poczołgał się po podłodze na rękach i kolanach. Ból był nie do zniesienia, ale jakoś udało mu się nie zatrzymać. Charlie usłyszała go i natychmiast się

odwróciła, niestety było już za późno, Mark dotarł na miejsce. Złapał pistolet i wycelował. Nadszedł czas, by zabić.

112/117

Rozpadało się na dobre. Nadeszła burza i lejąca się jak z cebra woda obmywała pędzącą na motorze Helen. Zupełnie jakby pogoda była równie wściekła, co ona.

Deszcz nie pozwalał dobrze widzieć, więc kiedy Helen pierwszy raz ją zobaczyła, wyglądała jak duch, jak projekcja umysłu. Z początku myślała, że to przedstawiciel Arrow wyszedł jej na spotkanie, ale wtedy zdała sobie sprawę, że to kobieta. Natychmiast cała się spięła, zwalnając i sięgając po broń.

Wtedy nagle poczuła, że nie może złapać oddechu. Zaciśnęła powieki i za chwilę znów otworzyła oczy, marząc, by się myliła. Ale miała rację. Zatrzymała się, zeskoczyła z motoru i podbiegła do przemokniętej i na wpół nagiej kobiety.

Charlie szła przed siebie, jakby nie rozpoznała Helen. Inspektor złapała ją za ramię i odwróciła w swoją stronę. Charlie z dziką wściekłością w oczach próbowała ugryźć Helen w twarz, ale ta ją odepchnęła i spoliczkowała. Uderzenie najwyraźniej ocuciło dziewczynę, która opadła na kolana. Przemoczona i bez ubrań wyglądała jak koszmarna wersja znanej Helen dziarskiej funkcjonariuszki.

– Gdzie? – pytanie Helen było bezpośrednie i szorstkie.

Charlie nie patrzyła na nią.

– Sam to zrobił. To nie ja. Chciał mnie uratować.

– GDZIE? – warknęła Helen.

Po twarzy Charlie ciekły łzy. Uniosła prawą rękę i wskazała na Chatham Tower.

– W piwnicy – powiedziała łamiącym się i słabym głosem.

Helen zostawiła ją i pobiegła do środka. Odbezpieczyła broń, mijając próg otwartego wejścia do budynku. Nie było czasu na strategię i ostrożność. Musiała znaleźć Marka.

Odrzuciła możliwość, że mógłby być już martwy, przekonana, że z pewnością jest jeszcze szansa, by go uratować. W jednej chwili Helen zrozumiała, że jednak coś do niego czuła. Jeszcze nie miłość, ale coś dobrego i ciepłego, co mogło się rozwinąć. Może zeszli się nie bez powodu. Może mieli się nawzajem uratować i naprawić szkody wyrządzone przez przeszłość.

Wpadła do środka i rozejrzała się dziko dokoła. Potem pobiegła przez atrium ile sił w nogach i kopnęła drzwi prowadzące na klatkę schodową. Pędziła na dół, pokonując po trzy stopnie naraz.

Dotarła do piwnicy. Otworzyła nogą pierwsze drzwi, żeby znaleźć... pusty regał. Nie, drzwi nie wydawały się wystarczająco mocne, żeby zatrzymać kogoś w środku, potrzebowałyby...

Wtedy Helen je zobaczyła – metalowe drzwi kołyszące się na zawiasach. Przebiegła korytarz i wpadła do środka.

Kiedy weszła, na widok Marka ugięły się pod nią kolana; padła na podłogę. Najgorsze, co mogła zobaczyć. Powoli uniosła głowę, ale za drugim razem nie wyglądał lepiej. Leżał w kałuży własnej krwi. Umarł, a broń, która pozbawiła go życia, wciąż ścisnął w dłoni. Helen zbliżyła się do niego i wsunęła rękę pod jego głowę. Niestety – był zimny i nieruchomy.

Głośny huk. Helen podniosła głowę. Kogo się spodziewała? Charlie? Bridgesa? To była Marianne; oczywiście że Marianne.

– Witaj, Jodie.

Kobieta uśmiechnęła się i zamknęła za sobą drzwi.

– Dawno się nie widziałyśmy.

113/117

Nie było triumfu ani szczęścia. Nie było nawet ulgi. Charlie przeżyła. Jej dziecko przeżyło. Ale dawna Charlie umarła i została pochowana. Już nie wróci.

Leżała na asfalcie i mokła na deszczu. W głowie kłębiło się od myśli. Szok mieszał się z uczuciem nienawiści. Powoli ogarnęło ją wyczerpanie. Zamknęła oczy i otworzyła usta. Krople deszczu padały na jej popękane, krwawiące wargi. Poczwała chwilową ulgę i odniosła wrażenie, że przepływa przez nią życie, a potem straciła przytomność. Jej powieki opadły, umysł odpłynął. Charlie wydawało się, że wciągnięto ją w ciemność, która przynosiła ukojenie, ale też drenowała ją z sił.

Potem czyjś głos. Dziwny, dochodzący z daleka mechaniczny głos. Charlie próbowała się wydostać z otchłani, niestety zmęczenie jej na to nie pozwoliło. Potem znowu ten głos, nagły i uparty. Choć udało jej się otworzyć jedno oko, nikogo nie zobaczyła.

– Gdzie jesteś? Proszę, odezwij się. – Pełen rozpaczony głos brzmiał teraz wyraźnie.

Charlie otworzyła drugie oko i podniosła głowę.

Radio Helen leżało obok jej porzuconego motoru. I ten głos... głos należał do Bridgesa. Szukał jej.

Może to wszystko się jeszcze nie skończyło. Może Charlie będzie miała szansę na odkupienie. Wiedziała, że musi spróbować. Podniosła się, a potem opadła na kolana. Całe jej ciało trzęsło się, a zęby dzwoniły. Widziała podwójnie. Mimo to musiała jakoś dostać się do radia.

114/117

– Jak mogłaś?

Marianne zaśmiała się. W pytaniu Jodie dostrzegła piękną ironię. Właśnie to powiedziała Marianne *do niej* tyle lat temu. Szeroki uśmiech pojawił się na twarzy kobiety – kto mógł przewidzieć, że jej ciężka praca przyniesie tak doskonałe efekty?

– To było łatwiejsze, niż ci się wydaje. Mężczyźni dali się podejść bez problemu. Sama wiesz, jak na nich działa ładna twarz. A dziewczyny, cóż, były bardzo... ufne. Lubię powtarzać, że to ciężka praca, ale jak widzisz, do najcięższej roboty zatrudniłam innych.

Zerknęła na ciało Marka.

– A tak swoją drogą, widziałaś Charlie? – ciągnęła dalej. – Jak się trzyma? Przebiegła zaraz obok mnie, kiedy otworzyłam drzwi, więc nie miałam szansy dobrze jej się przyjrzeć.

– Zniszczyłaś ją...

– Och, nie bądź taka patetyczna. Nic jej nie będzie. Dojdzie do siebie, pobędzie ze swoim chłopakiem, urodzi dziecko. Czy zdoła spojrzeć mu w oczy, to inna sprawa, ale wygrała. Przeżyła. Myślałam, że sama to zrobi, jednak to Mark wziął sprawy w swoje ręce.

– Dlaczego nie przyszedł po mnie? – zapytała Helen.

– Bo chciałam, żebyś cierpiała.

Powiedziane brutalnie i bez owijania w bawełnę.

– Zrobiłam to, co należało. Teraz postąpiłabym tak samo. – Głos Helen stał się głośniejszy, kiedy furia przejęła nad nią kontrolę. Po raz pierwszy w oczach Marianne pojawił się jakiś błysk – czyżby gniewu?

– Nigdy cię nie obchodziło to, jak bardzo cierpiałam, prawda? – rzuciła.

– To nieprawda.

– Nie chodzi o to, że mi tego życzyłaś. Po prostu nie robiło ci to żadnej różnicy, co jest nawet gorsze.

– Nie, nigdy nie chciałam...

– Zamknęli mnie na *dwadzieścia lat*. Próbowali mnie złamać w poprawczaku, a potem jeszcze raz, w Holloway. Pisałam do ciebie, więc nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Przemoc, wykorzystywanie. Napisałam ci o tym wszystkim i o tym, jak za to zapłacili. Jednej dziewczynie w Holloway wyłupiłam oko. Pamiętasz? Oczywiście że tak. Ale mimo to nie odpisywałaś, nie odwiedzałaś mnie. W ogóle mi nie pomagałaś, bo chciałaś, żebym tam zgniła. Żebym wyschła i umarła. Twoja własna siostra.

– Przestałaś nią być już dawno temu.

– Z powodu tego, co się wydarzyło na górze? Przynajmniej miałam jaja, ty niewdzięczna suko.

Wreszcie dał o sobie znać jad.

– *Uratowałam cię*. Byłaś następna w kolejce. Zniszczyliby taką małą dziewczynkę jak ty.

Oskarżenia Marianne trafiły w czułe miejsce.

– Wiem o tym. Wiem, że chciałaś mi w ten sposób pomóc...

– Mogłyśmy być razem szczęśliwe, ty i ja. Mogłyśmy gdzieś pojechać, żyć na ulicy, coś wykombinować. Nigdy by nas nie znaleźli. Gdybyśmy trzymały się razem, nic by się nie stało.

– Naprawdę w to wierzysz, Marianne? Bo jeśli tak, jesteś bardziej szalona, niż myślałam...

Nagle Marianne zaczęła maszerować w stronę Helen z ogniem w oczach. Helen natychmiast uniosła swojego glocka, a Marianne zatrzymała się. Dzielilo je zaledwie półtora metra.

Helen przyjrzała się twarzy siostry o tak znajomym kształcie i rysach, a tak obcym wyrazie. Jakby w środku zaległ się jakiś potwór i właśnie próbował wydostać się na zewnątrz.

– Ani mi się waż patrzeć na mnie z góry – syknęła Marianne. – Ani mi się waż... osądzać mnie. To ty jesteś tutaj oskarżoną, nie ja.

– Bo zrobiłam, co było trzeba? Bo postąpiłam tak, jak każdy przyzwoity człowiek postąpiłby na moim miejscu? Zamordowałaś naszych rodziców, Marianne. Zabiłaś ich z zimną krwią.

– A tęskniłaś za nimi? Po tym wszystkim? Tęskniłaś za tymi gwałcicielami?

Przez chwilę Helen nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Po morderstwie tak bardzo skupiła się na Marianne i swojej własnej zadziwiającej wędrownicy od jednej rodziny zastępczej do drugiej, że nie miała w zasadzie czasu na żalobę.

– I co? – naciskała Marianne. Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem:

– Nie.

Marianne uśmiechnęła się. Zwycięsko.

– Sama widzisz. Byli nikim, gorzej nawet. I zasłużyli na gorszy los niż ten, który ich spotkał. Okazałam im litość. A może zapomniałaś, co zrobili?

Zdjęła blond perukę, by pokazać swoją czaszkę. Włosy nigdy nie odrosły w miejscu, gdzie ojciec przypiekł jej skórę przy piecyku, zostawiając dziwną i nieatrakcyjną łysą plamę na czubku.

– Widać tylko blizny. W końcu by nas zabił. Dlatego musiałam to zrobić. Powinnaś być mi wdzięczna, do cholery.

Helen patrzyła na swoją siostrę i widziała ten sam upór, ten sam gniew, który okazała w czasie swojego procesu dwie dekady wcześniej. Jej słowa nie były nieprawdziwe, ale nadal brzmiały jak majaczenie wariatki. Helen nagle poczuła ogromną potrzebę wyjścia z tego pomieszczenia i ucieczki przed tą parzącą nienawiścią.

– Jak to się skończy, Marianne?

Marianne uśmiechnęła się, jakby tylko czekała na to pytanie.

– Skończy się tak, jak się zaczęło. Wyborem.

I wtedy Helen wszystko zrozumiała.

– Dokonałaś wyboru wiele lat temu – ciągnęła dalej Marianne. – Wybrałaś zdradę. Zdradziłaś siostrę, która ci pomogła. Która zabiła dla ciebie. Zdecydowałaś się ratować własną skórę i rzucić mnie wilkom na pożarcie.

– Wszystkie twoje ofiary musiały dokonać wyboru – odparła Helen, kiedy przerażający plan stał się dla niej jasny.

– Myślisz, że ludzie są dobrzy, Jodie. Jesteś optymistką. Ale to nieprawda. Są złośliwi, samolubni i okrutni. Sama to udowodniłaś. Podobnie jak każdy z tych małych egoistycznych sukinsynów, których porwałam. Ostatecznie każde z nas to tylko zwierzę, które wydrapałoby drugiemu oczy, by przeżyć.

Marianne zrobiła krok do przodu; Helen odruchowo położyła palec na spuście.

Jej siostra zatrzymała się i uśmiechnęła, a potem podniosła swoją broń na wysokość oczu Helen.

- A teraz stoisz przed kolejnym wyborem. Zabijesz czy dasz się zabić?

A więc to tak. Helen i Marianne miały się stać ostatnimi uczestniczkami tej piekielnej gry.

115/117

Bridges zostawił Charlie tam, gdzie leżała, i pobiegł w stronę budynku. Uzbrojony oddział specjalny w pełnym rynsztunku był już w drodze, ratownicy medyczni właśnie pędzili na miejsce, ale Bridges nie miał zamiaru czekać. Helen została w środku z zabójczynią – Suzanne, Marianne, jakkolwiek się nazywała – jemu zaś nie podobały się jej szanse na przeżycie. To wszystko musiało skończyć się rozlewem krwi.

Wpadł do holu. Windy nie działały, drzwi do piwnicy stały jednak otworem, więc ruszył w tamtą stronę. Zbiegł po schodach i pokonał korytarz. Nie miał broni, ale i tak nie zawrócił. Liczyła się każda sekunda.

Wreszcie je zobaczył: zamknięte metalowe drzwi. Zaczął w nie walić pięściami, a potem usłyszał wyraźny głos Helen, nakazujący mu odejść. Pieprzyć to, pomyślał, rozglądając się rozpaczliwie za jakimś narzędziem.

W korytarzu niczego nie znalazł. Na szczęście za ostatnimi drzwiami stał regał, wciąż pełen na wpół zużytych butelek wybielacza i antyseptyków, z kolei na podłodze leżała gaśnica. Jedna z tych starych, jeszcze z lat siedemdziesiątych, ciężka i gruba. Bridges podniósł ją z ziemi.

Popędził z powrotem do metalowych drzwi i dotarł do nich w ciągu kilku sekund. Zatrzymał się, zacisnął zęby, a potem uderzył gaśnicą w zamek.

116/117

Metal zadrżał pod wpływem uderzenia, a przez korytarz przetoczyło się echo głośnego łomotu. Mimo to Marianne nawet nie mrugnęła. Nie odrywała wzroku od siostry, delikatnie pieszcząc spust broni.

Łup. Kolejny potężny cios w zamek. Ktokolwiek był na zewnątrz, nie brakowało mu determinacji. Drzwi skrzypiały pod naporem.

– Czas na decyzję, Jodie. – Marianne uśmiechała się, mówiąc. – Wystrzelę w tej samej sekundzie, gdy drzwi się otworzą.

– Nie rób tego, Marianne. To nie musi się tak skończyć.

– Już za późno. Drzwi zaraz puszczą, więc decyduj szybko.

Bridgesowi szło coraz lepiej.

– Nie chcę cię zabijać, Marianne.

– W takim razie dokonałaś wyboru. Szkoda. Myślałam, że skorzystasz z okazji.

Drzwi złowieszczo zaskrzypiały. Naprawdę zostały im już tylko sekundy.

– Chcę ci pomóc. Odłóż broń.

– Już miałaś szansę, Jodie. I umyłaś ręce. Uratowałaś tych wszystkich ludzi, tych wszystkich *nieznajomych*... a mnie nie chciałaś.

– I myślisz, że nie czułam się z tego powodu winna? Zobacz, co ze mną zrobiłaś. Co wciąż robisz...

Helen zdarła z siebie koszulkę, żeby pokazać blizny na plecach. Marianne na chwilę się zawahała, zszokowana widokiem.

– Wyrzuty sumienia pożerają mnie w każdej minucie każdego dnia. Oczywiście, że to zrobiłam. Ale miałam dziesięć lat. Jakie miałam inne wyjście? Zabiłaś dwoje ludzi. Zabiłaś tatę i mamę w ich własnym łóżku, na Boga. Zamordowałaś naszych rodziców! Co miałam robić?

– Miałaś mnie ochronić. Miałaś się z tego cieszyć.

– Nigdy nie *prosiłam*, żebyś ich zabiła. Nigdy nie *chciałam*, żebyś ich zabiła.

W ogóle niczego nie chciałam. Nie rozumiesz? Sama to sobie zaserwowałaś.

– Naprawdę w to wierzysz? Naprawdę?

- Tak.

- W takim razie nie ma już nic do powiedzenia. Żegnaj, Jodie.

Bridges przebił się wreszcie przez drzwi. Jednocześnie rozległ się huk wystrzału.

117/117

W strugach deszczu Charlie zobaczyła dwie sylwetki. Mężczyznę wyprowadzającego z budynku kobietę. Nigdy nie była religijna, ale przez ostatnie dziesięć minut modliła się o cud. Teraz mogła się przekonać, czy się dokonał.

Odepchnęła ratownika medycznego i ruszyła do przodu. Zdążyła pokonać zaledwie dziesięć metrów, kiedy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Upadła na kolana, lądując na mokrej ziemi. Osłaniając oczy przed deszczem, wytrzymała wzrok w słabym świetle – Bridges pomagał kobiecie? Czy prowadził ją w kajdankach?

Wtedy nagle zza chmur wyrzało słońce i na chwilę zrobiło się jaśniej.

To była Helen. Przeżyła. Ratownicy medyczni już biegli w jej stronę, podobnie jak policjanci, ale odepchnęła ich wszystkich. Charlie zawołała do niej; Helen minęła ją bez słowa.

Pozbywszy się Bridgesa, inspektor Helen Grace szła samotnie w strugach deszczu. Gra się skończyła. Helen przeżyła, ale nie wygrała. Jej męka dopiero się zacznie. Marianne doskonale zdawała sobie sprawę, że nie zazna spokoju ten, kto przeleje krew najbliższych. Teraz przyszła kolej na Helen.

Jesteś ciekawy kolejnej części? Przewróć stronę...

Helen Grace powraca w niepokojącym thrillerze

**POWIĘDZ
PANN
GDZIE
TY
ŚPISZ**

Premiera: wrzesień 2015

m.j. arlidge

POWIEDZ
PANNOM
GOZIE
TY
ŚPI SZ



001

Znad morza przypełzła mgła. Spłynęła na miasto niczym wroga armia, pochłaniając wszystkie punkty orientacyjne. Pozbawione księżycowej poświaty Southampton wydawało się miejscem dziwnym i niepokojącym.

Na terenach przemysłowych przy Empress Road panowała grobowa cisza. Warsztaty blacharskie zamknięto, pracownicy supermarketu i mechanicy wrócili już do domów; teraz swoją obecność w okolicy zaznaczały prostytutki. Ubrane w krótkie spódniczki i odsłaniające pępek bluzeczki, zaciągały się głęboko papierosami, próbując ogrzać się ich nikłym żarem w przejmującym chłodzie. Maszerując w tę i z powrotem, starały się jak najlepiej zaprezentować swoje wdzięki, jednak w półmroku wyglądały raczej jak wysuszone szkielety, a nie obiekty pożądania.

Mężczyzna jechał powoli, wpatrując się w półnagie ćpunkki. Najpierw zdawało mu się, że je rozpoznaje, ale się pomylił. Nie tego szukał. Dzisiaj miał ochotę na coś szczególnego. Nadzieja mieszała się ze strachem i frustracją. Od wielu dni nie myślał o niczym innym. Był już coraz bliżej... lecz jeśli to wszystko kłamstwo? Miejska legenda? Grzmotnął ręką kierownicę. Ona musi tu być.

Nic. Nic. Ni...

Znalazła się. Stała sama, opierając się o pokrytą graffiti ścianę. Mężczyzna poczuł nagły przyptyw podniecenia. Ta prostytutka wydawała się inna niż pozostałe. Nie patrzyła na swoje paznokcie, nie paliła, nie plotkowała. Po prostu czekała. Czekala, aż coś się wydarzy.

Zjechał z ulicy i zatrzymał się poza zasięgiem wzroku kobiet, przy płocie z siatki. Musiał zachować ostrożność, nie mógł zdawać się na przypadek. Rozejrzał się po okolicy, ale widział tylko mgłę. Zupełnie jakby na całym świecie zostali tylko on i ona.

Przemaszerował na drugą stronę ulicy w stronę prostytutki, a potem opamiętał się, zwalniając krok. Nie powinien się śpieszyć – tę chwilę należało smakować, rozkoszować się nią. Czasami czas oczekiwania przynosił większą przyjemność

niż sam akt. Doświadczenie go tego nauczyło. Tej musi się lepiej przyjrzeć. Chce mieć wyraźne wspomnienia, by sycić się nimi przez kilka następnych dni.

Otaczały ją opuszczone domy. Nikt już nie chciał tu mieszkać; budynki stały puste i brudne. Teraz służyły ćpunom i dziwkom, którzy zostawiali po sobie igły i brudne materace. Kiedy mężczyzna podszedł do dziewczyny, ta uniosła wzrok, zerkając zza gęstej grzywki. Odepchnęła się od ściany i bez słowa kiwnęła na znajdującą się najbliżej ruinę, a potem weszła do środka. Żadnych negocjacji, żadnego wstępu. Zupełnie jakby pogodziła się ze swoim losem. Jakby wiedziała.

Usiłując ją dogonić, mężczyzna pożerał wzrokiem jej tyłek, nogi i buty na obcasie, czując rosnące podniecenie. Kiedy zniknęła w ciemności, przyspieszył. Nie mógł już dłużej czekać.

Drewniana podłoga zatrzeszczała pod jego stopami. Zrujnowany dom wyglądał dokładnie tak, jak w fantazjach mężczyzny. Nieznośny zapach stęchlizny wypełnił mu nozdrza – wszystko tu gniło. Poszedł do salonu, teraz służącego za skład stringów i kondomów. Ani śladu dziewczyny. Czyżby chciała bawić się w chowanego?

Kuchnia. Pusto. Odwrócił się i wszedł na schody. Przy każdym kroku rozglądał się w poszukiwaniu swojej zwierzyny. Wszedł do pierwszej sypialni. Spleśniałe łóżko, wybite szyby w oknie, martwy gołąb... Ale jej ani śladu.

Podniecenie walczyło z wściekłością. Jak śmie tak sobie z nim pogrywać? To tylko zwykła dziwka. Psie gówno, które przyczepiło się do buta. Jeszcze mu za to zapłaci.

Pchnął drzwi do łazienki – pusto – a potem odwrócił się i pomaszerował do drugiej sypialni. Roztrzaska jej tę głupią...

Nagle szarpnęło mu głowę do tyłu. Poczuł ból – ktoś ciągnął go za włosy, coraz mocniej i mocniej. Teraz nie mógł też oddychać – twarz zasłonił mu jakiś worek. Ostry, gryzący zapach wypełnił mu nozdrza; instynkty obudziły się – niestety trochę za późno. Walczył jeszcze o życie, ale powoli tracił przytomność.

A potem świat pogrążył się w mroku.

002

Obserwowali każdy jej ruch. Przysłuchiwali się każdemu słowu.

- Ciało należy do białej kobiety w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Została znaleziona przez straż miejską wczoraj rano w bagażniku opuszczonego samochodu na posesji w Greenwood.

Inspektor Helen Grace mówiła wyraźnie, donośnym głosem, mimo ściśniętego z nerwów gardła. Właśnie przeprowadzała odprawę swojego zespołu na siódmym piętrze Głównego Komisariatu Policji w Southampton.

- Jak widzicie na zdjęciach, jej zęby zostały wgniecione do środka, prawdopodobnie młotkiem, a obie ręce ucięto. Na skórze ma mnóstwo tatuaży, co może pomóc nam w ustaleniu jej tożsamości i od razu sugeruje, by skoncentrować się na narkotykach i prostytucji. Morderstwo wygląda na porachunki gangów. Bridges obejmie dowodzenie nad śledztwem i przedstawi wam konkretne osoby pozostające w kręgu naszego zainteresowania. Tony?

- Tak... Zaczniemy od najważniejszego. Chcę sprawdzić podobne sprawy z przeszłości...

Kiedy Bridges przejął prowadzenie odprawy, Helen wymknęła się z pomieszczenia. Nawet po tak długim czasie wciąż nie mogła wytrzymać zainteresowania swoją osobą, plotek i obmawiania za plecami. Minął już prawie rok, odkąd powstrzymali Marianne, lecz oczy wszystkich wciąż zwrócone były na Helen. Złapanie seryjnego mordercy to nie lada osiągnięcie, ale nie może się równać zabiciu własnej siostry. Bezpośrednio po tym zdarzeniu przyjaciele, współpracownicy, dziennikarze i obcy ludzie okazywali pani inspektor swoje wsparcie i współczucie. W większości było ono jednak udawane – tak naprawdę chcieli poznać wszystkie szczegóły. Chcieli otworzyć Helen i sprawdzić, co jest w środku – jak to jest zabić własną siostrę? Twój ojciec cię molestował? Obwiniasz się za te wszystkie morderstwa? Czujesz się odpowiedzialna? Helen przez całe swoje dorosłe życie budowała między sobą a światem mur – nawet nazwisko, którego teraz używała, było fikcją – ale sprawa Marianne

bezpowrotnie go zniszczyła. Z początku miała ochotę uciec – zaoferowano jej zwolnienie, przeniesienie, a nawet wcześniejszą emeryturę z pełnymi przywilejami – ale jakoś udało jej się dojść do siebie. Postanowiła wrócić na komisariat, kiedy tylko będzie to możliwe. Wiedziała, że cokolwiek zrobi, oczy świata i tak będą na nią zwrócone. Lepiej stawić tej obserwacji czoła na znajomym gruncie, gdzie przez wiele lat było jej dobrze.

Tak wyglądała teoria, ale rzeczywistość okazała się o wiele trudniejsza. Z tym miejscem wiązało ją tyle wspomnień – Mark, Charlie – i tylu ludzi chętnie spekulowało albo dowcipkowało na temat jej przeżyć... Nawet teraz, choć minęło już kilka miesięcy od jej powrotu do pracy, czasami chciała po prostu uciec.

– Dobranoc.

Helen wzdrygnęła się, nie zdawała sobie sprawy z obecności policjanta przy biurku.

– Dobranoc, Harry. Mam nadzieję, że Saintsom poszczęści się dzisiaj na meczu.

Mówiła lekkim tonem. Słowa zabrzmiały jednak dziwnie, jakby radość była dla niej zbyt trudna. Pośpieszyła na zewnątrz i wsiadła na swojego kawasaki, żeby popędzić w dół West Quay Road. Mgła znad morza, która pojawiła się wcześniej, nie chciała opuścić miasta; Helen zniknęła w jej kłębach.

Utrzymując wysoką, lecz stałą prędkość, wyprzedziła samochody sunące powoli w kierunku stadionu. Kiedy dotarła na peryferie miasta, zjechała na autostradę. Odruchowo sprawdziła lusterka, ale nikt jej nie śledził. Kiedy ruch zrobił się mniejszy, przyśpieszyła, najpierw do stu dwudziestu, a po chwili do stu czterdziestu. Nigdy nie czuła się tak spokojna, jak pędząc z tą prędkością.

Mijała kolejne miasteczka. Winchester, potem Farnborough... i wreszcie w oddali zamajaczyło Aldershot. Znowu zerknęła w lusterka i ruszyła w kierunku centrum miasta. Zostawiła motor na parkingu NCP, gdzie natrafiła na grupkę pijanych rekrutów, i szybko uciekła, trzymając się cienia. Mimo iż nikt jej tu nie znał, wolała nie ryzykować.

Minęła dworzec kolejowy i po chwili znalazła się na Cole Avenue, w samym środku przedmieść Aldershot. Nie wiedziała, czy słusznie postępuje. W głębi siebie czuła, że powinna zawrócić. Schowała się między krzewami rosnącymi po jednej stronie ulicy, zajmując tę pozycję, co zwykle.

Czas mijał powoli. Helen zaburczało w brzuchu; zdała sobie sprawę, że od

śniadania nic nie jadła. Głupio postępowała: chudła z dnia na dzień. Co chciała w ten sposób udowodnić? Istnieją lepsze sposoby na pokutę niż zagłodzenie się na śmierć.

Nagle zobaczyła ruch. Ktoś krzyknął „cześć” i chwilę potem zatrzasnęły się drzwi domu z numerem 14. Nie odwracała wzroku od młodego chłopaka, który właśnie szedł ulicą, wystukując coś na swojej komórce. Zbliżył się do Helen na odległość trzech metrów, a potem zniknął za rogiem. Helen policzyła do piętnastu i wyszła ze swojej kryjówki, by ruszyć jego śladem.

Mężczyzna – dwudziestopięcioletek o chłopięcej urodzie – był przystojny; miał ciemne, gęste włosy oraz pełną twarz. W obszernych dżinsowych spodniach, wiszących mu na tyłku, wyglądał jak wielu chłopaków w jego wieku, na siłę udających luzaków. Helen uśmiechnęła się, patrząc na tę wystudiowaną swobodę.

W zasięgu wzroku pojawiła się grupka chuliganów, którzy zebrali się przed Railway Tavern. Z piwem za dwa funty, shotami za pięćdziesiąt pensów i darmowym bilardem, knajpa była mekką miejscowej młodzieży, biedaków i podejrzanego towarzystwa. Starszy właściciel z radością obsługiwał każdego, kto ledwo zaczął dojrzewać, więc w środku zawsze było tłoczno, tłum wylewał się też na ulicę. Zadowolona z tej przykrywki, Helen niezauważona wmieszała się w tłum. Grupka chłopaków przywitała z radością młodego mężczyznę, kiedy pomachał im dwudziestofuntowym banknotem. Weszli do środka, a Helen za nimi. Gdy stała cierpliwie w kolejce do baru, pozostawała dla nich niewidzialna – w ich świecie ludzie po trzydziestce nie istnieli.

Po kilku drinkach udali się w bardziej odosobnione miejsce, w kierunku placu zabaw na peryferiach miasta. Zapuszczony park okazał się pusty; Helen musiała zachować większą ostrożność – kobieta spacerująca sama nocą przez park z pewnością przyciągnęłaby uwagę, więc inspektor trzymała się z tyłu. Znalazła stary dąb, naznaczony wyrytymi w korze licznymi inicjałami kochanków, i schowała się w jego cieniu. Stąd mogła swobodnie przyglądać się chłopakom, którzy mimo panującego chłodu beztrósco i radośnie palili trawkę.

Helen całe swoje życie była obserwowana, ale tutaj pozostawała niewidzialna. Po śmierci Marianne stała się bohaterką mediów, a ludzie zaczęli znać jej wszystkie sekrety. Tylko jednej rzeczy nie wiedzieli. Jedną tajemnicę zdołała

zachować dla siebie.

Ta tajemnica stała teraz jakieś piętnaście metrów od niej, zupełnie nie zdając sobie sprawy z jej istnienia.

003

Otworzył oczy, ale nic nie widział. Po jego policzkach spływała jakaś ciecz. Gałki oczne bezużytecznie kręciły się w oczodołach. Dźwięki docierały do niego potwornie stłumione, jakby ktoś włożył mu do uszu watę. Powoli wracała mu przytomność, kiedy nagle jego gardło i nozdrza przeszył straszliwy ból. Poczł intensywne pieczenie, jakby w jego tchawicy ktoś zaprószył ogień. Chciał kichnąć albo zwymiotować, żeby pozbyć się źródła cierpienia, ale został zakneblowany – ktoś zakleił jego usta taśmą. Musiał więc przełknąć swoją agonię. Kiedy łyzy w końcu przestały lecieć, wreszcie mógł coś zobaczyć. Rozejrzał się dokoła i zauważył, że wciąż znajduje się w opuszczonym domu, tylko że teraz przeniesiono go do pierwszej sypialni; leżał właśnie plackiem na brudnym łóżku. Nerwy mu puszczały. Zaczął się dziko rzucać, próbując się uwolnić, jednak ręce i nogi miał przywiązane do żelaznej ramy łóżka. Próbował je wyrwać, wykręcić i oswobodzić, ale nylonowe sznury trzymały mocno. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest nagi. Potworna myśl zaświtała mu w głowie. Czyżby zamierzali go tak zostawić? Żeby zamarznął na śmierć? Jego organizm już zdążył uruchomić mechanizm obronny – na ciele pojawiła się gęsia skórka – i nagle mężczyzna zorientował się, że jest mu przeraźliwie zimno.

Krzyknął, lecz zdołał wydobyć z siebie tylko zduszony jęk. Gdyby mógł porozmawiać z napastnikami, wytłumaczyć im... przecież może dać im pieniądze, a oni go wypuszczą. Nie mogą go tak zostawić. Kiedy tylko spojrział na swoje nalane, starzejące się już ciało, wyciągnięte na poplamionej kołdrze, oprócz strachu do jego świadomości przedostał się też wstyd.

Nasłuchiwał jakichkolwiek odgłosów w nadziei, że nie został jednak całkiem sam. Cisza. Porzucili go. Jak długo będą go tu trzymać? Dopóki nie opróżnią wszystkich jego kont? Dopóki nie uciekną? Mężczyzna zadrżał, już teraz obawiając się chwili, gdy przyjdzie mu się targować z jakimś ćpunem albo dziwką o wolność. Co zrobi, gdy go wreszcie puszczą? Co powie swojej rodzinie? Policji? Przeklinał się za swoją głupotę...

Skrzypienie podłogi. A więc jednak nie został zupełnie sam. Pojawiła się nadzieja – może uda mu się czegoś dowiedzieć? Wyciągnął szyję, żeby jakoś zwrócić na siebie uwagę napastnika, ale zbliżał się do niego od tyłu i pozostawał niewidoczny. Nagle mężczyzna zdał sobie sprawę, że łóżko, na którym leżał, zostało przesunięte na środek pokoju, gdzie wyglądało jak scena jakiegoś show. Nikt chyba nie chciałby spać w ten sposób, więc dlaczego...?

Jakiś cień. Zanim mężczyzna zdołał zareagować, coś wylądowało na jego oczach, nosie i ustach. Znów jakiś worek. Czuł miękkiego materiału na twarzy, a potem ściągnięcie troczków. Gdy gruby aksamit został przyciśnięty do jego nosa, ofiara zaczęła się dusić. Potrząsała wściekle głową na wszystkie strony, walcząc o oddech.

W każdej chwili mężczyzna spodziewał się poczuć, jak worek zostaje ściągnięty mocniej, ale ku jego zaskoczeniu nic takiego się nie wydarzyło.

Co teraz? Znowu zrobiło się cicho. Słyszał już tylko własne sapanie. Pod materiałem robiło się gorąco. Czy tlen może dostać się do środka? Zmusił się do spokojnego oddechu. Jeśli teraz spanikuje, dostanie hiperwentylacji, a wtedy...

Nagle wzdrygnął się; jego nerwy z miejsca napięły się jak postronki. Coś zimnego wylądowało mu na udzie. Coś twardego. Czyżby metal? Nóż? Teraz wędrowało po nodze, w kierunku... Wierzgnął wściekle, ciągnąc z całych sił za sznury. Teraz już wiedział na pewno, że przyjdzie mu walczyć o życie.

Próbował wrzeszczeć ile sił w płucach, lecz taśma trzymała. Więzy też nie chciały puścić. Poza tym... nikt tutaj nie usłyszałby jego krzyków.

O autorze

M. J. Arlidge przez piętnaście lat pracował dla telewizji, specjalizując się w produkcjach spod znaku drama. Ostatnie pięć spędził przy produkcji kilku seriali kryminalnych dla ITV, emitowanych w godzinach najlepszej oglądalności, w tym *The Little House*, *Undeniable* oraz znanych ze stacji Tele 5 *Rozdartych*. Aktualnie pisze scenariusze do *Milczącego świadka* (w Polsce dostępnego na BBC Entertainment). Prawa do jego debiutanckiej, bestsellerowej powieści *Ene, due, śmierć*, w której po raz pierwszy pojawia się inspektor Helen Grace, zostały sprzedane już do 25 krajów. Polska premiera drugiego tomu serii, *Powiedz, panno, gdzie ty śpisz*, jest planowana na wrzesień 2015 roku.



Polecamy również

Manipulacje, intrygi i bezwzględny, ale też fascynujący prawniczy świat...

Syn biznesmena zostaje oskarżony o zabicie dwóch osób. Sprawa wydaje się oczywista. Potencjalny winowajca spędza bowiem 10 dni zamknięty w swoim mieszkaniu z ciałami ofiar.

Sprawę prowadzi Joanna Chyłka, która zrobi wszystko, by odnieść zwycięstwo w batalii sądowej. Pomaga jej młody aplikant Kordian Oryński.

Dwoje prawników zostaje wciągniętych w wir manipulacji, który sięga dalej, niż mogliby przypuszczać.





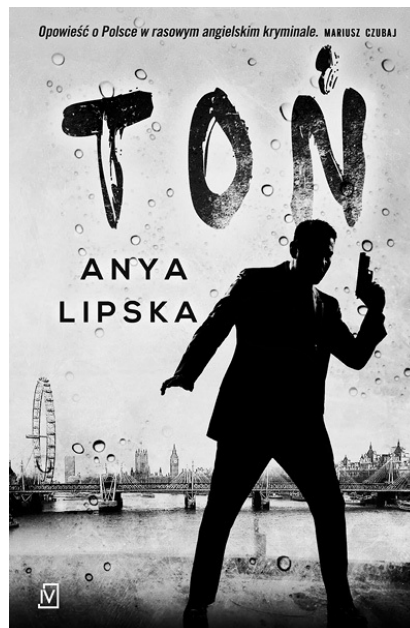
*Ta książka to jazda
bez trzymanki! Sam zdecyduj,
czy w to wchodzisz.*

KATARZYNA BONDA

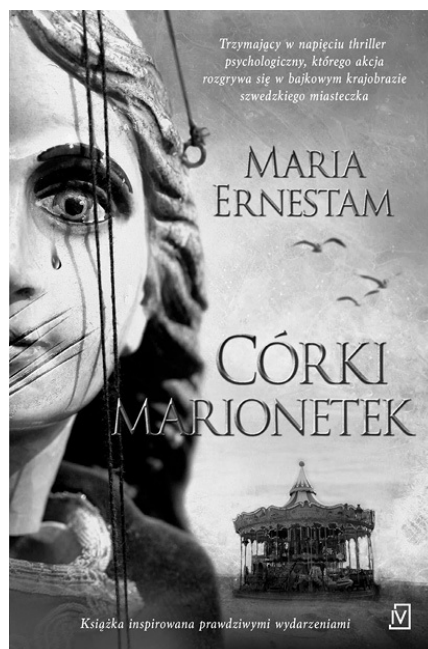


KASACJA

REMIGIUSZ MRÓZ



Współczesny Londyn. Tamiza wyrzuciła na brzeg ciało młodej dziewczyny. Jediną wskazówką mogącą pomóc w ustaleniu jej tożsamości jest tatuaż w kształcie serca.



Pewnego letniego popołudnia na początku lat 80. jedenastoletnia Mariana dokonuje mroźnego

krw w żyłach odkrycia. Na karuzeli, do jednego z drewnianych koni, przywiązano jej ojca. Ktoś go śmiertelnie postrzelił, a policja nie może lub nie chce znaleźć sprawcy okrutnego morderstwa.

Spis treści

[001/117](#)

[002/117](#)

[003/117](#)

[004/117](#)

[005/117](#)

[006/117](#)

[007/117](#)

[008/117](#)

[009/117](#)

[010/117](#)

[011/117](#)

[012/117](#)

[013/117](#)

[014/117](#)

[015/117](#)

[016/117](#)

[017/117](#)

[018/117](#)

[019/117](#)

[020/117](#)

[021/117](#)

[022/117](#)

[023/117](#)

[024/117](#)

[025/117](#)

[026/117](#)

[027/117](#)

[028/117](#)

[029/117](#)

[030/117](#)
[031/117](#)
[032/117](#)
[033/117](#)
[034/117](#)
[035/117](#)
[036/117](#)
[037/117](#)
[038/117](#)
[039/117](#)
[040/117](#)
[041/117](#)
[042/117](#)
[043/117](#)
[044/117](#)
[045/117](#)
[046/117](#)
[047/117](#)
[048/117](#)
[049/117](#)
[050/117](#)
[051/117](#)
[052/117](#)
[053/117](#)
[054/117](#)
[055/117](#)
[056/117](#)
[057/117](#)
[058/117](#)
[059/117](#)
[060/117](#)
[061/117](#)

[062/117](#)
[063/117](#)
[064/117](#)
[065/117](#)
[066/117](#)
[067/117](#)
[068/117](#)
[069/117](#)
[070/117](#)
[071/117](#)
[072/117](#)
[073/117](#)
[074/117](#)
[075/117](#)
[076/117](#)
[077/117](#)
[078/117](#)
[079/117](#)
[080/117](#)
[081/117](#)
[082/117](#)
[083/117](#)
[084/117](#)
[085/117](#)
[086/117](#)
[087/117](#)
[088/117](#)
[089/117](#)
[090/117](#)
[091/117](#)
[092/117](#)
[093/117](#)

[094/117](#)

[095/117](#)

[096/117](#)

[097/117](#)

[098/117](#)

[099/117](#)

[100/117](#)

[101/117](#)

[102/117](#)

[103/117](#)

[104/117](#)

[105/117](#)

[106/117](#)

[107/117](#)

[108/117](#)

[109/117](#)

[110/117](#)

[111/117](#)

[112/117](#)

[113/117](#)

[114/117](#)

[115/117](#)

[116/117](#)

[117/117](#)

[Powiedz panno, gdzie ty śpisz \(fragment\)](#)

[001](#)

[002](#)

[003](#)

[O autorze](#)

[Polecamy również](#)